



YVES JÉGO
DENIS LÉPÉE

1661

Życie, ton, rozmach
najlepszych powieści
historycznych

Jégo Yves, Lépée Denis

1661

Jest tytułowy rok 1661. We Francji o schedę po kardynale Mazarinie zaciekle walczą Colbert i Fouquet. W wir wydarzeń zostaje wciągnięty Gabriel, młody aktor, który przypadkiem staje się posiadaczem niezwyklej teczki. Jest w niej zaszyfrowany „klucz” do odczytania Sekretu (Piąta Ewangelia) strzeżonego przez tajemne Bractwo. Gabriel postanawia rozwiązać zagadkę, w czym pomaga mu ukochana Louise, nałożnica króla...



Doświadczenie uczy nas, że to,
w co nie można uwierzyć, nie jest nieprawdą.
Paul de Gondi, kardynał de Retz

Gdybym wszystkie prawdy trzymał w garści,
pilnie uważałbym, żeby żadnej nie wypuścić
i nie pokazać jej ludziom.
Bernard de Fontenelle

Często spotykamy swój los na drodze,
którą wybraliśmy, żeby go uniknąć.
Jean de La Fontaine

Rzym - środa, 2 lutego 1661, o zmroku

Rozkołysane dzwony zamku Świętego Anioła obwieszczały wieczorne nabożeństwo. Wzdłuż muru południowej wieży podążał jakiś człowiek. Przyspieszył kroku, jakby chciał oddalić się od hałasu, skręcił w stronę Tybru i wszedł na schody wiodące ku rzece. Cienie wyrastających prosto z muru wierzb, omiatanych przez podmuchy wiatru i chłostanych uderzeniami zimnego deszczu, całkowicie go teraz zakrywały. François d'Orbay rozpiął ociekający wodą szary płaszcz. Zszedł na dół po schodach i zatrzymał się na chwilę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Zrzucił kaptur osłaniający głowę, a potem ruszył w dalszą drogę wzdłuż porośniętego zielskiem brzegu. Czekająca tu na niego przywiązana do pierścienia łódź. D'Orbay, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa, wskoczył do niej i skinieniem głowy pozdrowił siedzącego tam wiosłarza. Ten pochylił się, aby odepchnąć łódź od muru, i chwycił za wiosła, a pasażer rozsiadł się tymczasem na umocowanej przy rufie ławeczce. Popychana prądem i zręcznie kierowana łódeczka szybko mknęła po wodzie, trzymała się brzegu i była prawie niewidoczna.

Gdy mijali most Mazzinich, wiosłarz uniósł nagle prawe wiosło i łódź skręciła w stronę przeciwnego brzegu. Niesiona prądem, nabierała stopniowo prędkości i uderzyłaby prosto w brzeg, gdyby wiosłarz w ostatniej chwili znowu nie zmienił jej kierunku. Popłynęła w stronę kamiennego występu, ledwie wystającego nad wodę, otarła się o kamień i gwałtownie przyhamowała. Wiosłarz zanurzył ręce w wodzie,

zmacał sznur i uruchomił miedziany zatrask. Jednocześnie kiwnął na pasażera, pokazując mu, że ma się pochylić.

Ciągnięta na sznurze łódź wpłynęła do tunelu, którego sklepienie wznosiło się nad powierzchnię wody najwyżej na długość palca. Leżący na wznak d'Orbay wpatrywał się w omszały mur nad głową, a jednocześnie przyciskał do twarzy kaptur, chcąc odgrodzić się od duszącego smrodu, panującego w ścieku.

Robiło się coraz ciemniej i łódź stopniowo zwalniała. W tunelu zabrzmiał głos wioślarza:

- Dopływamy, dostojny panie.

D'Orbay nie odpowiedział. Jego uwagę całkowicie pochłaniał blask, jaki pojawił się przed łodzią. Powietrze stało się mniej duszące, a tunel zaczął się rozszerzać.

Można już było dostrzec pięć przymocowanych do ściany świeczników, a naprzeciwko nich - wyłożone białym kamieniem wybrzeże i prowadzące w górę schody. D'Orbay zostawił wioślarza w łodzi, wyskoczył na brzeg i szybko ruszył przed siebie, stukając butami po kamiennych płytach.

Wkrótce do jego uszu zaczęły dochodzić przytłumione odgłosy rozmowy. W chwilę później odchylił ciężką kotarę z ciemnego aksamitu i wszedł do pomieszczenia o wystroju ostro kontrastującym z ubóstwem podziemnego tunelu, przez który niedawno płynął. Zniknął nagi i wilgotny kamień, a pojawiły się pięknie wymalowane, cenne boazerie, przyozdobione dodatkowo w dwa wielkie zwierciadła weneckie, w których odbijało się blade światło świec.

D'Orbay odetchnął z ulgą, widząc sześciu uśmiechniętych mężczyzn. Na jego widok umilkli. Sześciu spośród czternastu - pomyślał, przekraczając kamienny próg. Przybyli tu z Anglii, Hiszpanii, Włoch i Austrii lub Polski.

Wszyscy siedzieli w wielkich, obitych czarną skórą fotelach, z których tylko jeden różnił się od pozostałych - nad oparciem miał słońce z pozłacanego drewna, a przednie nogi wyglądały jak łapy gryfa. Pięciu

plus jeden - pomyślał d'Orbay, wpatrując się w siedzącego na tym fotelu człowieka spojrzeniem pełnym czułości i szacunku. Oto Giacomo Del Sarto, tajemniczy wielki mistrz...

- Giacomo, jestem szczęśliwy, że znowu mogę cię ujrzeć. Wysoki, chudy mężczyzna, do którego skierowane były te słowa, dał d'Orbayowi znak, że ma usiąść. D'Orbay rzucił swój płaszcz na jeden z foteli i pozdrawiając po kolei obecnych, podszedł bliżej.

- Po tysiącokroć przepraszam was, przyjaciele. Ta podróż nie była dla mnie wypoczynkiem.

Giacomo, wciąż milcząc, pokazał gestem, że nie ma to wielkiego znaczenia, potem pochylił się i ściągnął z obstawionego fotelami okrągłego stołu pokrowiec ze sztywnego płótna. Na marmurowym blacie stołu, w samym jego środku, można było ujrzeć mozaikę, ukazującą to samo słońce otoczone czternastoma kolumnami.

- Teraz, gdy nasz brat z Paryża jest wśród nas, proponuję, żebyśmy się zajęli sednem naszej sprawy. Niektórzy spośród nas zastanawiają się, w jakim celu zwołałem to nadzwyczajne zebranie. Czy zechcesz nam to wyjaśnić, François? - dodał, zwracając się w stronę d'Orbaya.

- Zdobyte przez nas wieści o zdrowiu Mazariniego potwierdzają się - odparł zapytany. - Tym razem istotnie jest ciężko chory. Co prawda magowie przepowiadają mu rychły powrót do zdrowia, ale w rzeczywistości jego koniec szybko się zbliża i śmierć nie będzie miała respektu nawet dla pierwszego ministra. Za kulisami kręcą się już szczury i Paryż wrze od pogłosek, co nastąpi w finansach i polityce. Mazarini po trzydziestu latach sprawowania władzy musi w końcu pogodzić się z losem i umrzeć. Jego zły duch, Colbert, intryguje po cichu, chcąc ukryć pochodzenie majątku tego starego łotra i ukazać go jako człowieka uczciwego. Ale nie to jest takie ważne. Istotne jest tylko, że sprawa ta może służyć naszym planom. Młodość króla, koniec pewnej epoki, rozluźnienie uścisku żelaznej łapy Mazariniego - wszystko to stwarza nam wyjątkową sytuację, jaka zapewne nieprędko się powtórzy. Powinniśmy więc z tego skorzystać.

D'Orbay przerwał, coś mu nagle przyszło do głowy. Jego spojrzenie zaczęło się przesuwać po ciemnej boazerii, potem zatrzymało się na

jednym z ogromnych zwierciadeł i widok własnego odbicia jakby przypomniał mu, że ma coś jeszcze powiedzieć.

- Wolelibyśmy oczywiście, żeby sytuacja nie była aż tak pogmatwana - podjął - ale ja nadal wierzę w nasz sukces. Musimy tylko czuwać, żeby umysły nie za bardzo się rozgrzały. Niedawny upadek rewolucji, która swojego czasu obaliła w Anglii monarchię, i powrót Karola II na tron zajmowany niegdyś przez jego ojca mogą mieć taki skutek, że niektórym zakręci się w głowie. Nowy król z pewnością będzie chciał pomścić śmierć ojca i zacznie prześladować tych, co opowiedzieli się za jego zgładzeniem. Ci spośród naszych braci, którzy tam działali, byli pewni, że walczą o naszą sprawę, ale okazało się, że wcale tak nie jest. Zresztą nie jest to takie istotne. Chodzi tylko o to, żeby ta żalosna porażka nie utrudniła nam życia we Francji.

Jeden z obecnych podniósł się i dał znak, że chce o coś zapytać. Gia-come ruchem ręki udzielił mu głosu.

- Mówi się jednak, że w Paryżu buntują się frondyści. D'Orbay skrzywił się z powątpiewaniem.

- Nie wierzę w to ani trochę. Czy myślisz, bracie, że porządni ludzie się burzą, gdy w królestwie Francji zmienia się władza? Nie, przyjaciele, oni myślą o teatrze. Cały Paryż wrze od plotek na temat nowej sztuki pana Moliera. Ma ona otworzyć sezon w teatrze pałacu królewskiego, autor zaś chce nią dowieść swojego geniuszu. Pierwszy minister umiera, ale dla nas ważni są tylko zwolennicy i wrogowie jakiegoś tam aktorzy. Skoro już jestem w Rzymie, skorzystam z okazji i odwiedzę jednego z historycznych przywódców Frondy, wygnanego arcybiskupa Paryża, Paula de Gondiego. Na ogół docieram do niego bez trudu. Zbadam zamiary jego byłych przyjaciół, spiskowców...

Głos zabrał milczący dotychczas mężczyzna. Mówił z wyraźnym akcentem hiszpańskim.

- Czy nie należałoby się jednak obawiać, że młody król Francji, wpatrzony w swojego angielskiego krewniaka, może się stać zbyt ambitny?

D'Orbay podniósł się i westchnął. Podłoga skrzypiała pod jego jeździeckimi butami. Stał przed mahoniowym stolikiem, spojrzał na

rozstawione na nim szachy, mechanicznie wziął do ręki alabastrową figurkę i zaczął nią obracać między palcami.

- Ze strony głów koronowanych spodziewać się można wszystkiego... Na szczęście młody Ludwik myśli więcej o damach, polowaniach i muzyce niż o władzy; przynajmniej na razie. Nienawidzi tylko spisków i zdrajców. Powinniśmy dbać, żeby nie wyglądać tak jak oni, bo to nie wróżyłoby nam niczego dobrego.

D'Orbay odłożył figurkę, zawrócił i stanął z tyłu za swoim fotelem. W migotliwym świetle świec jego przemoczone włosy, związane z tyłu na karku aksamitną tasiemką, wydawały się ciemniejsze od węgla. Starając się ukryć niecierpliwość, odczekał chwilę, a potem ciągnął:

- W każdym jednak razie nie jesteśmy w sytuacji przymusowej. Życie Mazariniego dobiega kresu, nie mamy więc czasu i nie możemy się cofać. Jego bliska śmierć zmusza nas nawet do pośpiechu. Nie możemy przepuścić tej okazji - dodał spokojniejszym już głosem. - Nie możemy również obawiać się ewentualnych zamieszek. Ten właśnie powód kazał mi śpiesznie przyjechać tu z Francji i spotkać się z wami. Wybaczcie mi, proszę, że nikogo z was nie pytałem wstępnie o zdanie, ale straciliśmy już zbyt wielu kurierów i skasowaliśmy zbyt wiele szyfrów, żeby raz jeszcze załatwiać tak ważne sprawy przez posłańców.

D'Orbay głębiej wcisnął się w fotel, złączył na chwilę ręce, potem położył je płasko na udach, wciąż wpatrując się w skierowane ku niemu twarze i próbując odgadnąć, co myślą towarzysze. W ciszy uchyliła się nagle część ściany, za którą kryły się dwuskrzydłowe drzwi, i wszedł jeden ze służących. W milczeniu kłaniał się po kolei zebrany, podsuwając tacę z ustawionymi na niej kieliszkami wina. D'Orbay nie spuszczał go z oczu, a gdy służący wyszedł, odwrócił się w stronę siedzących wokół mężczyzn.

Naprzód! - pomyślał, wciągając głęboko powietrze w płuca. Czas działać.

- Bracia! - powiedział. - Przybyłem tu, by zgodnie z tym, co nakazuje nam nasza reguła, uzyskać waszą zgodę na przeniesienie powierzonej nam Tajemnicy na miejsce, gdzie mamy niebawem działać.

Hiszpan znowu mu przerwał.

- Przeniesienie Tajemnicy to jest już coś. Co jednak będzie, jeśli nie odnajdziemy w porę klucza, którego od tylu lat bezskutecznie szukamy, a bez którego nie będziemy mogli jej wyjawić? Anglia pokazała nam, na jakie niebezpieczeństwa może wystawić się ten, co działa, obywając się bez niego. Może warto by jeszcze poczekać?

Na chwilę zrobiło się cicho. Obecni spoglądali na siebie i w ciszy słychać było tylko skwierczenie dogasającej świecy. Jej filujące światło podkreślało głębokie zmarszczki na czole wielkiego mistrza, wzmacniając wrażenie kruchości jego postaci.

D'Orbay patrzył spode łba na otoczenie, ale starał się nie okazywać złego nastroju.

- Bracia - powiedział. - Nasze bractwo już od przeszło pięciuset lat wie o tej Tajemnicy. Jesteśmy w posiadaniu rękopisu, który o niej wspomina. Niestety, piętnaście lat temu wymknął się nam z rąk sposób objawienia jej światu i od tej pory wciąż się nam wymyka. Gdybyśmy potrafili ją osiąść, moglibyśmy przekonać króla o legalności naszych poczynań. Tak więc aż do ostatniej chwili będziemy musieli starać się o odnalezienie klucza. Przewiezienie zaszyfrowanego manuskryptu z Rzymu do Francji jest nieuchronną koniecznością.

W głosie mówcy wzrastało wzburzenie.

- Sądzę jednak, że nawet w przypadku, gdy los nie okaże się dla nas łaskawy, nie powinniśmy się cofać. Powiedziałem już wam, że sytuacja taka jak obecnie może się już nie powtórzyć. Król jest jeszcze młody i podatny na wpływy, a do tego załamany zbliżającą się utratą swojego mentora. Ufa człowiekowi, którego wybraliśmy na obrońcę naszej sprawy.

Przerwał na chwilę, czekając na efekt swoich słów.

- Bracia, przez wszystkie te lata krok po kroku rozbudowywaliśmy nasz potencjał wojenny. Teraz zwłoka byłaby szaleństwem. Wierzcie mi, że nasz brat, Nicolas Fouquet, potrafi doprowadzić do zwycięstwa Prawdy.

W głębokiej ciszy, jaka zapadła po ostatnich słowach tego wystąpienia, mówca uroczyście wypowiedział rytualne pytanie:

- Czy mam waszą zgodę, bracia?

Jakby na rozkaz znowu pojawił się służący. Tym razem niósł czarną

drewnianą urnę z okrągłym otworem. Postawił ją na stole i otworzył ukrytą w jej podstawie szufladę. Ze środka urny wydobył skórzany woreczek, rozwiązał owijające jego wylot rzemyki, następnie wysypał zawartość na srebrną tackę. Z głuchym odgłosem potoczyły się po metalu drewniane kule, białe i czarne.

Służący obszedł całe zgromadzenie, każdy z obecnych brał z tacki jedną kulę czarną i jedną białą, potem podchodził do urny i wrzucał do niej jedną z trzymanyh w dłoni kul. Po zakończeniu tych czynności Giacomo kazał podać sobie urnę, otworzył ją i bez pośpiechu zaczął kolejno wybierać kulę po kuli. Na koniec zwrócił się do braci, by spojrzeli na wynik. Na rysunku słońca leżało rzędem siedem kul i wszystkie były białe.

- Niech więc tak będzie - szepnął d'Orbay. - Kości zostały rzucone.

2

Paryż, pałac Mazariniego - niedziela, 6 lutego rano

Toussaint Rozę, osobisty sekretarz Giulia Mazariniego, od przeszło dwóch godzin ślęczał nad rozłożonymi przed nim dokumentami. Siedząc w prywatnym gabinecie pierwszego ministra, w fotelu podarowanym mu przez królową matkę Annę Austriaczkę, rozłożył ozdobiony delikatną mozaiką blat wspaniałego sekretarzyka, ustawionego pod ścianą, tyłem do okna. Następnie z nieukrywaną przyjemnością wydobył z tego mebla, służącego do przechowywania tajnych dokumentów, a wykonanego przed kilku laty na specjalne zamówienie w Mediolanie, wielki granatowy portfel z herbem kardynała. Z podziwem patrzył na piękny safian i zmyślnie skonstruowany stalowy zamek. Dlaczego Jego Eminencja kazał mi niezwłocznie przynieść mu te papiery? - zastanawiał się, przesuwając dłonią po gładkim grzbiecie wspaniałego portfela. Wprawdzie Rozę był starym współpracownikiem kardynała, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał dostęp do tego mebla. Pogłoski o chorobie pierwszego ministra wciąż krążyły mu w głowie i nie dawały spokoju.

Tego chłodnego poranka w prywatnych apartamentach Mazariniego panowała cisza, chyba jeszcze większa niż zwykle. Właściciel tych pomieszczeń wolał w tym czasie przebywać w swoim gabinecie w Luwrze, służba była więc w większości nieobecna, miała wolny dzień albo pozostawała tam, gdzie przebywał zwierzchnik. Tu nawet ogień w kominkach zdążył już wygasnąć. Przed powrotem do zajęć Toussaint Rozę zadrżał. Czy tak bardzo dokuczył mu chłód pierwszych dni lutego, czy był to skutek przemęczenia nielubianą pracą?

Pocziwy sekretarz, trochę przygłuchy po tylu latach pracy, tak bardzo włąbił się w lekturę pergaminów, że nie usłyszał ludzi, którzy wdarli się właśnie do przedpokoju.

Było ich pięciu. Wszyscy mieli na sobie luźne czarne płaszcze, a twarze zasłaniały im maseczki z brązowej skóry. Szli w milczeniu jeden za drugim, minęli przedpokój, otworzyli po cichutku podwójne dębowe drzwi i weszli po szerokich schodach do biblioteki.

Na dole przebywał młody Etienne Baluze, osobisty bibliotekarz Jego Eminencji. Siedział w swoim pokoju i pisał sprawozdanie z pierwszych tygodni własnej działalności. Miał je przedłożyć chlebodawcy. Hałasy ludzi wchodzących do mieszczącej się obok biblioteki wielokrotnie przerywały mu pracę. Baluze nie był jeszcze przyzwyczajony do obecności w bibliotece większej liczby osób, nie rozumiał zresztą, dlaczego kardynał zapragnął raz w tygodniu udostępniać zbiory swoich książek uczonym. Nerwowym ruchem zanurzył dłoń w swoją gęstą jasną czuprynę, zapewniającą mu powodzenie u młodych kobiet i nadającą twarzy wygląd anioła, jakiego nie powstydzilby się żaden z włoskich mistrzów, a w kolekcji kardynała dzieła włoskiego malarstwa zajmowały niemało miejsca.

- Na pomoc! Pali się! Alarm!

Z krzykami mieszał się dochodzący zza ściany trzask przewracanych krzeseł i tupot szybkich kroków. Baluze ledwie zdążył wstać, a do jego pokoju przez szczelinę pod drzwiami natychmiast zaczął się wciskać gęsty dym.

Bibliotekarz, wchodząc do wielkiej czytelni, od razu mógł ocenić rozległość pożaru. Dym praktycznie uniemożliwił dostrzeżenie przeciwnego końca sali. Baluze ze zdumieniem ujrzał, że płomienie liżą już całą ścianę pólek z książkami.

- Szybko, wody... Trzeba znaleźć wodę! - wykrzyknął młody człowiek, jakby w ogóle nie widział tłoczących się do wyjścia, uciekających przed pożarem ludzi.

Nagle ze straszliwym hukiem zwała się na czytelną całą ściana z książkami, jeszcze bardziej zwiększając przerażenie uciekających. Od tej chwili Baluze myślał już tylko o ocaleniu wspaniałej biblioteki.

Starał się nie stracić przytomności. W pewnej chwili uświadomił sobie, że mógłby uratować od zagłady przynajmniej część najcenniejszych dzieł, organizując łańcuch ludzki między studnią na podwórzu a biblioteką, gdzie ogień trzeszczał coraz mocniej.

- Wiader! Zabierzcie wszystkie wiadra, jakie tylko znajdziecie! - krzyknął do gwardzistów kardynała, którzy przybiegli pod drzwi czytelni i zaszokowani, patrzyli na wydobywający się przez nie dym.

W tejże chwili zdziwiony hałasem Toussaint Rozę podniósł głowę znad pisma. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle, gdyż jeden z ubranych na czarno ludzi wcisnął mu knebel w usta.

- Związać mi go porządnie! - rozkazał człowiek znacznie górujący wzrostem nad nieszczęsnym sekretarzem kardynała. - W razie potrzeby ogłuszyć go! I przeszukać pomieszczenie, bo może tu być ktoś jeszcze. Szybko, nie mamy czasu!

Przerażony Toussaint Rozę spojrział na tego człowieka i poczuł, że krew ścina mu się w żyłach - napastnik miał jedno oko zielone, a drugie piwne.

Jego wspólnicy rozbiegli się po całym piętrze, a przywódca spróbował włamać się do szuflad wspaniałego włoskiego sekretarzyka. Walił w niego żelaznym łomem i niewiele go obchodziło, że niszczy w ten sposób cenną drewnianą okleinę mebla. Jak automat wrzucał do ukrytej pod płaszczem torby wszystkie papiery umieszczone tam rano przez

Toussainta. Ten zaś z przerażeniem ujrzał, że szparą pod drzwiami do apartamentów kardynała wciska się dym z niższego piętra.

Dopiero wtedy otworzyły się drzwi do gabinetu i jeden z gwardzistów kardynała mógł wejść do środka. Chciał jak najszybciej ostrzec sekretarza, ale na widok poprzewracanych mebli i wobec groźnej postawy intruzów stał przez chwilę jak skamieniały. Napastnicy zaś, też zaskoczeni tym nieoczekiwanym wtargnięciem gwardzistów, znieruchomieli i przerwali poszukiwania.

- Do mnie, gwardziści, do mnie! - zdążył wykrzyknąć żołnierz i w tejże chwili osunął się ciężko na wspaniały dywan zdobiący środek pokoju. Z tyłu, między łopatkami, tkwił w nim sztylet. Morderca - a był nim najmłodszy z napastników - stał dumnie w drzwiach na szeroko rozstawionych nogach i z rękami na biodrach.

- Dziękuję ci, Młodziaku - powiedział mu różnooki mężczyzna, włamując się do kolejnej szuflady sekretarzyka i wrzucając jej zawartość do swojej wielkiej płóciennej torby.

- Nie ma za co, Wszechmogący Bóg nas osłania. To On kierował moją ręką - odpowiedział dziecięcym głosem chłopiec, który z tak wielką wprawą dokonał zabójstwa.

Usłyszawszy te słowa, Toussaint Rozę zemdlał.

- Ruszamy! - zarządził przywódca bandy do ludzi, którzy znowu zebrali się w gabinecie Mazariniego. - Wykorzystamy zamieszanie i wymkniemy się tą samą drogą, którą przyszliśmy. Nie zapomnijcie tylko o zdjęciu masek i podciągnięciu płaszczy, żebyście nie za bardzo rzucali się w oczy w tym rozgardiaszu, jaki powstał na dole.

Ubrani na czarno ludzie nawet nie spojrzeli na bladego i wciąż nieprzytomnego Roze'a, wbiegli na schody i wymknęli się z prywatnych apartamentów Mazariniego. Na dole natknęli się jednak na gwardzistów kardynała, którzy zdążyli już utworzyć łańcuch i teraz podawali sobie z rąk do rąk wiadra z wodą. Dowódca gwardzistów uświadomił sobie, że ci idący z naprzeciwka nieproszeni goście wychodzą z niedostępnych apartamentów Jego Eminencji. Odstawił wiadro, odruchowo sięgnął po szpadę i dobył ją z pochwy.

- W tył zwrot! - zakomenderował herszt bandy, szybko wbiegając

z powrotem na schody i pociągając za sobą czterech swoich podwładnych.

- Gwardziści do mnie! - wrzasnął dowodzący oficer, szykując się do pościgu za uciekającymi.

- Nie ruszajcie się! Nie ruszajcie się, mówię! Trzeba najpierw ugasić ogień - dyszał Baluze. - Błagam was, róbcie swoje! Kardynał nigdy by nam tego nie wybaczył!

Na korytarzu panowało ogromne zamieszanie. Gwardziści wymachiwali rękami i nie wiedzieli, kogo słuchać.

- Trzech pójdzie ze mną! Reszta ma zostać tutaj, zgasicie ten diabelski ogień! - rozkazał oficer, rozumiejąc, że nie może zostawić bibliotekarza jego własnemu losowi.

Te wykluczające się wzajemnie rozkazy dały ubranym na czarno ludziom poważną przewagę czasową. Nie tracąc ani chwili, popędzili na wyższe piętra. Chcieli się dostać na dach.

Gdy na dzwonnicy odległego o kilka zaledwie przecznic nowo zbudowanego kościoła Świętego Rocha biła północ, uciekający znajdowali się już na dachu pałacu Mazariniego.

- Młodziak? Gdzie Młodziak? - zaniepokoił się nagle herszt, pędząc za swymi ludźmi, którzy dość szybko biegli przed siebie, choć z dachu łatwo było spaść.

Chłopiec został w tyle. Zauważyli jego dziecięcą twarz i zwolnili, by mógł ich dogonić. On zaś, nic nie mówiąc, pokazał im wypchany portfelik, który zabrał sekretarzowi kardynała z kieszeni.

- Znalazłem jeszcze i to - chwalił się, wymachując safianowym granatowym portfelem. - Leżał staremu koło nóg.

Herszt, zadowolony ze śmiałości Młodziaka, dał znak swoim ludziom, żeby natychmiast ruszali za nim.

- Musimy działać szybko. Uważać mi na szron, dach jest śliski. Przejdziemy po teatrze Pałacu Królewskiego, zejdziemy nad Sekwanę i znikniemy. Szybko! - dodał, odwracając się w stronę odległego o rzut kamieniem świetlika, przez który wydostali się na dach. - Słyszę gwardzistów.

W tejże chwili w świetliku pojawiła się potężna postać kapitana, a za nim dość niezdarnie gramoliło się w górę trzech gwardzistów. Ludzie

w czerni byli już jednak na dachu teatru, dość daleko od ścigających ich gwardzistów, i zaczęli właśnie szukać przejścia do wnętrza budynku. W pewnej chwili zatrzymał ich głośny brzęk tłuczonego szkła, a jednocześnie zniknął gdzieś Młodziak - czy to przez nieostrożność, czy w wyniku poślizgnięcia się na oblodzonym dachu stąpnął na oszklone okienko dachowe. Herszt bandy pochylił się nad ziejącą dziurą i ujrzał daleko w dole porozbijane ciało chłopca, leżące dokładnie na środku wielkiej sceny nowego teatru Jego Królewskiej Mości.

- Spieszmy się, jemu już w niczym nie możemy pomóc, niech Bóg ma go w swej opiece! Szybko, naprzód! - dorzucił, żegnając się. - On jest teraz w prawdziwym królestwie.

Bez żadnej już modlitwy człowiek o dziwnym wzroku skinął na swoich ludzi, pokazując im jednocześnie przejście. Na oczach goniących ich gwardzistów rozplynęli się w ciemnościach.

Napastnikom udało się więc uciec, a tymczasem Młodziak, jęcząc z bólu, czołgał się w stronę brzegu sceny. Potłuczony był strasznie, ale wykrzesał z siebie jeszcze tyle sił, by wyciągnąć zza koszuli skradziony przed kilku minutami portfel z granatowego safianu. Ciężko dysząc i skręcając się z bólu, zepchnął go do budki suflera. Bezsilnie opuścił głowę w kałużę krwi, rozlewającą się już na drewnianą posadzkę sceny i tworzącą jak gdyby ponure przedłużenie purpurowej, zwiniętej częściowo kurtyny.

W tejże chwili wszedł do teatru zwabiony hałasem dozorca i ujrzał tylko wysuwającą się na proscenium skurczoną dłoń chłopaka. Przerażony staruszek wbiegł za kulisy i zaczął wzywać pomocy.

- Panie Molier! - krzyczał. - Panie Molier, na pomoc!

3

Luwr - niedziela, 6 lutego, godzina druga po południu

Zasłony na oknach były zaciągnięte, a świece prawie wszystkie pogaszone - paliły się tylko dwa ustawione u wezłowania chorego ogarki,

po jednym z każdej strony łóżka. Za masywną kratą ledwie można było dostrzec żarzące się węgle w kominku, a meble z ciemnego drewna i całe urządzenie pokoju kardynała Mazariniego wyraźnie przypominały rzadko zjawiającym się tu przybyszom, że obok umiera człowiek i że bardzo wielka była jego potęga. Wśród uroczystej ciszy usłyszeć można było tylko nierówny oddech chorego i delikatne kroki poko-jowca, który w regularnych odstępach czasu zjawiał się tu i stwierdzał, że Jego Eminencja niczego nie potrzebuje.

Największy we Francji potentat, minister mający nieograniczoną niczym władzę i będący chrzestnym ojcem króla - siedział teraz nieruchomo, wciśnięty w stertę poduszek, i zdawał się drzemać. Widać było tylko jego wychudłe oblicze w kolorze wosku, głowę nakrytą czerwonym czepkiem kardynalskim, z kępkami siwych włosów dookoła, oraz wyciągnięte na pościeli ręce, a na nich koronki nieskazitelnie białej koszuli.

- Moje książki - szepnął. - Moje książki, moje papiery... Kto by pomyślał, że padną pastwą okrutnego ognia - ciągnął osłabionym głosem, w którym pobrzmiwało jakieś dziwne wzruszenie. Jego ręka wykonywała trwożny ruch w powietrzu. - A moje obrazy, *Madonna* Belliniego, jedno płótno Rafaela sprowadzone tu przed miesiącem z Rzymu... Czy chociaż sporządzono spis?

Wśród ciszy odpowiedział mu szept:

- Jeszcze niecałkowicie, Eminencjo, ale ja nad tym czuwam.

Ten szept wydawała jakaś postać siedząca na krześle wciśniętym między dwie wielkie skrzynie, po prawej stronie łoża z baldachimem, gdzie leżał chory. Postać ta tak znakomicie wtapiała się w obraz miejsca, że trudno ją było zauważyć. Ot siedzi sobie gdzieś tam niski, drobny, krót-koręki człowieczek, jego cienkie palce przypominają szpony drapieżnego ptaka. Ubrany w dziwaczny, jakby kościelny strój, cerę ma bladą, wysokie kości policzkowe, pod ustami o cienkich wargach wysunięty podbródek, twarz wykrzywia mu pełen pogardy grymas. Siedzi i trzyma w dłoniach stertę dokumentów. Jego wylupiaste oczy natarczywie wpatrują się w Mazariniego, jak gdyby całe tkwiące w człowieczku napięcie bez reszty skupiło się na kardynale.

- Obrazy ocalały, Eminencjo, ogień uszkodził jedną z ram, ale płótna nie naruszył.

- Podejdź tu, panie Colbert.

Niski człowieczek błyskawicznie się poderwał i stanął kornie pochylony przed chorym. Lekko przechylił głowę i milczał.

- Czy długo leżałem bez przytomności?

- Nie, Monsignore - odpowiedział człowieczek będący teraz doradcą cienia kardynała. - Wiadomość o pożarze przysłała zaledwie kilka godzin temu i Wasza Eminencja oświadczył wtedy, że chce sobie odpocząć.

- Co się mówi o moim stanie?

- Prawdę, Monsignore. Ze odpoczywasz. Pierwszy minister króla Francji skrzywił się nerwowo.

- Nie dam się nabrać ani na pełne obłudy miny dworzan, ani na wielkie słowa lekarzy.

Umilkł na chwilę, przymknął oczy, a potem znowu zaczął mówić, łagodniejszym już głosem.

- Ci pierwsi już od dawna myślą o pogrzebaniu mnie, a ci drudzy boją się powiedzieć prawdę. Przyrowadź mi tu, panie Colbert, mojego astrologa Simoniego. Nie mam złudzeń, chcę wiedzieć, ile jeszcze zostało mi życia. Mówią, że jestem chory, ładna sprawa! Piszą to w ulotkach, układają piosenki o mnie i przepowiadają bzdury, jedna większa od drugiej. Wszystko to dziecinada. Ważne jest tylko, żebyśmy zachowali kontrolę nad czasem. Czytałeś może tę bajeczkę La Fontaine'a o mleczarce i garnku mleka? Pokazał mi ją kilka dni temu Fouquet, czyżby po to, by mnie rozweselić? Po zapoznaniu się z tą powiastką moi wrogowie powinni się zreflektować. Czy masz ją, panie Colbert? Nie pamiętam już ostatnich wierszy, a może pan je pamiętasz, panie Colbert?

Na dźwięk tych dwóch nazwisk Colbert poczuł, że zbiera w nim złość. Niczego jednak po sobie nie pokazał, przez chwilę grzebał jeszcze w papierach, a potem odpowiedział tonem całkowicie obojętnym:

- Tak jest, Monsignore, to rzeczywiście bardzo mądry wiersz.

Któż nie marzy tak trzy po trzy? Nie stawia zamków na lodzie? I król w pałacu, i chłopek w zagrodzie, I mędrzec, i szaleniec (...). Czy jednak pozwolisz mi, Eminencjo, wyrazić żal, że pan La Fontaine nie uznał za stosowne ograniczyć swojej ironii w utworach, które jego protektor, Nicolas Fouquet, raczy kierować w stronę Eminencji? Mazarini ruszył brwią na znak, że żąda wyjaśnień.*

- Mam tu, Monsignore, kilka brukowych pisemek, o których wspomniałeś i w których można dostrzec sporo werwy, tak charakterystycznej dla pana La Fontaine'a.

Kardynał uśmiechnął się.

- Ej, panie Colbert, spójrzże pan łaskawym okiem na tę dziecinadę i nie przesadzaj z policją. Co może nam zrobić La Fontaine? On po prostu ma talent i szuka natchnienia. Czyżbyś sądził, że Nicolas Fouquet, naczelny intendent finansów Jego Królewskiej Mości, bawi się w takie gierki?

Colbert zmieszał się i w milczeniu zaczął porządkować papiery.

- Wróćmy do spraw istotnych, panie Colbert. Co pan wiesz po przeprowadzeniu tego śledztwa?

- Wydaje się, Monsignore, że przypadek należy tu wykluczyć. Tak przynajmniej sądzę, ale nikomu nic o tym nie powiedziałem i paryżanie niezłomnie wierzą, że pożar wybuchł z powodu nagromadzenia papierów. Pospółstwo nieszczerze ceni książki, Monsignore. Takie wytłumaczenie łatwo się da obronić i nasi przyjaciele starają się je rozgłaszać. Opierają się na częściowym spisie dzieł, które uległy zniszczeniu...

Na te słowa Mazarini aż jęknął.

- Dante, Herodot, część zbioru map, książki medyczne, dzieła ojców Kościoła, astrologia...

Podniósł rękę, chcąc przerwać tę litanie. Jego głowa kiwała się to

* Jean de La Fontaine, *Bajki*, przeł. Stanisław Komar, Wrocław 1954 (*wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza*).

w lewo, to w prawo, z ust wychodziły mu niezrozumiałe zdania włoskie i Colbert, przekonany, że są to modlitwy, odezwał się ostrożnie:

- Jest jeszcze jedna sprawa, Monsignore, i to chyba ważniejsza, obawiam się. Wydaje się, że ten pożar miał na celu tylko odwrócenie uwagi, by ukryć kradzież. Ogień ktoś umyślnie podłożył, zginął przy tym jeden z gwardzistów. Sekretarz Waszej Eminencji, pan Rozę, został pobity i tylko cudem się uratował.

Mazarini kiwnął głową i nerwowo zacisnął wargi. Colbert uznał, że kardynała coś zabolalo, gdy jednak go usłyszał, zmienił zdanie.

- Kto, panie Colbert?

- Tego nie wiem, Monsignore, i nie wiem, dlaczego. Zrobiłem jednak w tej sprawie wiele i skierowałem do niej najlepszych swoich ludzi.

Podszedł jeszcze bliżej i zniżył głos:

- Nie pragnę bynajmniej przysparzać kłopotów Waszej Eminencji, ale jeśli wymieniłem nazwisko Nicolasa Fouqueta, to tylko dlatego, że wyszły na jaw pewne niepokojące okoliczności, dotyczące bezpośrednio Waszej Eminencji.

Głos Mazariniego osłabł i stawał się coraz cichszy.

- I co jeszcze? Do rzeczy, panie Colbert, do rzeczy!

- Zgubiliśmy ślad napastników w nowym teatrze Pałacu Królewskiego, zajmuje go pan Molier, jego zespół przyjął piękną nazwę Teatru Jego Wysokości Księcia Pana*, czyli królewskiego brata, ale w rzeczywistości cały ten teatr należy do Nicolasa Fouqueta.

Mazarini złożył swoje białe dłonie o długich, cienkich palcach, zasłonił sobie nimi twarz i zaczął mówić, starannie cedząc słowo po słowie:

- Podejrzenia to mało, panie Colbert, chcę mieć wyraźne ślady i nazwiska. Szybko! Co mówią świadkowie?

- Twierdzą, że wszyscy napastnicy wciąż rozmawiali o naszym Zbawicielu, aby miał dla nas litość. Nikogo nie aresztowaliśmy, więc dysponujemy tylko tym. Jedyne człowiek, którego ci nędznicy zostawili na miejscu, też nic nam nie powie. Zmarł, zanim zdążyliśmy go dopaść, i to na samym środku sceny, w miejscu, gdzie pan Molier prowadzi

* Czyli brata Ludwika XIV

próby. Ze zmarłego nic już nie wydobędziemy, zresztą był to mały chłopiec, prawdopodobnie żebrak należący do Dworu Cudów albo do Bractwa Psiego Pyska. Miał krzyż na piersi i przepasany był różańcem z oliwkowego drewna, co nie jest zjawiskiem pospolitym wśród tych żebraków, bo oni nie mają religii, ale czarowników. Mazarini westchnął.

- Wydaje mi się, że to coś więcej. Może fanatyk gotów zginąć na stosie. Tak, to możliwe. Czy w tych rozwiązanych przez nas sektach mamy szpiegów?

Colbert potakująco kiwnął głową.

- Wykorzystaj ich, panie Colbert. Janseniści zachowują się spokojnie, ale ci... Trudno, wszyscy zapłacą solidarnie. Pomyśl pan o przekazaniu tej sprawy zgromadzeniu duchowieństwa, tak by oficjalnie ją załatwić i oczyścić kościoły z ukrywających się tam sekciarzy. Najpierw jednak popchnijcie śledztwo. Daję panu swobodę działania, panie Colbert - oświadczył twardo Mazarini.

Potem, widząc złośliwy uśmiech Colberta, dodał:

- W tej sprawie masz pan wolną rękę. Dobrze, przejdźmy teraz do sprawy tej kradzieży. Chcę wiedzieć wszystko. Muszę dokładnie znać szczegóły, żeby mieć jasną wizję tych niecnych działań.

Colbert nie odpowiedział i tylko głęboko westchnął.

- Więc co, panie Colbert? - niecierpliwił się Mazarini.

- To, Monsignore, że jest coś jeszcze ważniejszego niż pożar, a przestępczy charakter tego czegoś...

Kardynał zbladł.

- Ci złoczyńcy, Monsignore, nie szukali biblioteki, ale prywatnych apartamentów Waszej Eminencji. I dostali się do nich - dodał, widząc niedowierzanie na twarzy pierwszego ministra.

Mazariniego ogarniał stopniowo coraz większy gniew, w miarę jak uświadamiał sobie, co wyrabiali napastnicy w jego prywatnym mieszkaniu, jak dotykali rękami jego cennych mebli, wybieranych i zwożonych tu przez całe lata.

- W moim mieszkaniu! - jęczał. - Dokąd weszli? Może przynajmniej nie wdarli się do mojej sypialni?

Colbert opuścił oczy.

- Niestety, wdarli się, Eminencjo, i do sypialni, i do gabinetu. Był tam właśnie Rozę, więc rzucili się na niego.

Błąda dotychczas twarz Mazariniego przybrała nagle kolor ziemi. Colbertowi wydało się, że kardynał nagle zasłabł, wstał więc i chciał wzywać pomocy. Chory kazał mu jednak usiąść i wnet doszedł do siebie.

- Mów pan. Zabrali jakieś papiery? Colbert odpowiedział twierdząco.

- Jakże, gdzie?! Mazarini prawie krzyczał.

- Tam jest teraz straszny nieporządek, Eminencjo, nie o wszystkim jeszcze wiemy, zwłaszcza że Rozę układał papiery zgodnie z instrukcjami Waszej Eminencji. Wzięli jednak wiele rachunków, znajdowały się w dwóch skrzyniach przymocowanych do ściany, tego Toussaint Rozę jest pewien. Widział również, jak rozbijali łomem sekretarzyk, dopiero potem stracił przytomność.

Mazarini ciężko westchnął i Colbert zamilkł.

- Powiedział mi również o jakimś portfelu, czy raczej portfelach - dodał po chwili. - Dwa były zrobione z płowej skóry, a jeden miał kolor granatu...

Ciałem kardynała wstrząsnął dreszcz.

- ...a do tego kilka teczek z zaszyfrowanymi aktami. Kazałem mu przygotować dokładny spis, gdy tylko będzie to możliwe.

Mazarini nie ruszał się i dłuższą chwilę milczał. Potem uniósł się trochę i spokojnie pokiwał głową.

- Kto ma dokładne wiadomości o zabitych i o kradzieży?

- Rozę, czterech gwardzistów Waszej Eminencji, tych najwierniejszych, Molier i kilku jego aktorów. Z ich strony nic nam nie grozi. Tym pierwszym można zaufać, a tych komediantów wystarczająco nastraszyliśmy, mówiąc im o racji stanu i o spacerku do Bastylji. Premiera sztuki zapowiedziana jest na jutro, będą więc woleli milczeć niż położyć przedstawienie, tego się nie boję. Kiedyś wszystko wyjdzie na jaw, ale na razie mamy jeszcze trochę czasu.

- Dobrze. Podniesiesz pan w moim imieniu wynagrodzenie tym lu-

dziom. Tym pewniej nie puszcza pary z ust. Co do reszty, niczego nie lekceważ, panie Colbert, trzeba przyspieszyć to śledztwo. Chcę dostać te papiery. Nieprzyjaciół mamy wielu, wiem o tym. Są potężni, zwłaszcza że nie znamy wszystkich z wyglądu. Niczego nie wolno nam zaniedbać, o niczym, co ukradli, nie możemy zapomnieć. Chwila jest zbyt poważna, wiadomość o mojej chorobie, a choćby i sama ta kradzież świadczą, że nie jesteśmy już bezpieczni. Od operatywności naszych wywiadowców zależą moje sprawy, a więc i twoje, panie Colbert. A oprócz nich może i coś jeszcze - szepnął kardynał, wpatrując się w rozmówcę.

Colbert wstał w milczeniu i nisko się uklonił. Potem spokojnie ruszył ku drzwiom. W pokoju było już zupełnie cicho, gdy nagle usłyszał głos kardynała:

- Panie Colbert!

- Słucham, Eminencjo.

- Odbierzesz pan od Roze'a papiery z mojego gabinetu. Znajdziesz pan jakieś całkowicie pewne miejsce i przeniesiesz je tam. Potem wrócisz pan tutaj. Musimy jeszcze pomówić o moim testamencie.

Colbert raz jeszcze się skłonił i wyszedł, cofając się tyłem. Gdy wreszcie się odwrócił, na jego twarzy można było ujrzeć niepokój, ale i skrajne wzburzenie.

4

Las Fausse-Repose - niedziela, 6 lutego, godzina druga po południu

- Goń! Goń!

Młody król dźgnął wierzchowca ostrogami i poczuł, jaką radość sprawiają mu te ostatnie chwile polowania. Krótко ściągnął cugle i popędził na swoim białym koniu za wielkim łowczym, który cwałował właśnie po pochyłości parowu, gdzie schronił się dzik zapędzony tu przez psy. Cała ich wyczerpana wielogodzinnym pościgiem sfora obskoczyła teraz osaczonego zwierza, opartego o urwisko skalne, z którego wystawały

korzenie drzew. Dwa, zbyt odważne psy, uderzone przez rozszalałego dzika, leżały teraz z rozprutymi brzuchami o kilka kroków obok, poszarpane przez ostre szable broniącego się zwierza. Wyły, ale ich wycia nie było nawet słychać, zagłuszały je bowiem ochryple szczekania pozostałych psów, rozjuszonych zapachem krwi. Ludwik XIV błyskawicznie zeskoczył z konia i odepchnął go klapssem w pierś. Trzej towarzysze króla czekali na niego z niepokojem, chcieli zobaczyć, na jakie to niebezpieczeństwa król będzie gotów się narazić. Dołączył do nich królewski łowczy. Król uśmiechnął się do niego i tylko wyciągnął rękę. Łowczy skłonił się i położył królowi na dłoni swój nóż myśliwski, trzymając go za ostrze. Potem nisko pochylił głowę i cofnął się, przejęty laską, jaką okazał mu władca, dobijając zwierzę jego bronią.

Król rozpiął płaszcz, odsłaniając skórzany pendent zakrywający mu pierś.

- Śmiało, panowie! - odezwał się do otaczających go myśliwych.

-Zobaczmy, co ta świnia ma w brzuchu.

Z nożem w dłoni, osłaniany przez dwóch muszkieterów i kilku myśliwych z oszczepami, monarcha postąpił kilka kroków do przodu i wszedł w gąszcz oszronionych gałęzi.

- Ostrożnie, Wasza Królewska Mość, grunt jest śliski. Król uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie bój się, panie d'Artagnan, nie mam nóg marynarza, ale lasek wersalski nie ma dla mnie tajemnic.

Dzik ledwie się trzymał na nogach, był osłabiony ciągłymi atakami psów, których kły zdążyły już mocno poszarpać mu szczecinę i zostawić na niej czerwone szramy.

Monarcha stanął na chwilę i wykonał głęboki oddech, wciągając w płuca chłodne powietrze, które tym mocniej zdawało się przez to trzymać zapach wilgotnych liści i krwi. Król Francji, zabłocony do pasa, w ciężkich butach, skórzanych rękawicach i takiej samej odzieży, z gołą głową i włosami związanymi na karku tasiemką z grubego aksamitu, ze spoconą i umazaną błotem twarzą, mimo niewysokiego wzrostu trzymał się prosto i mocno, a jego twarz wyrażała napięcie i dumę.

Przypominał sobie scenkę z innego polowania. Był wtedy czteroletnim chłopcem, wymykał się spod opieki pilnującego go muszkietera i z zachwytem na twarzy biegł do ojca. Jasne włosy malca powiewały w chłodnym powietrzu poranka, a oczy były jeszcze podkrążone z niewyspania. W sercu odczuwał bojaźń, ale i radość, przyglądając się ojcu wycierającemu o pierś jelenia swój nóż umazany ciemną, prawie czarną posoką. Tamta polana była bardzo podobna do tych, przez które król dzisiaj przejeżdżał, drzewa były te same, tyle że o piętnaście lat młodsze.

Wracali wówczas stępa, on siedział na koniu obok ojca, twarz wciskał w jego rękawicę, z której bił mocny zapach zwierzęcia, potu i posoki. Spał, a obudził się na ławeczce w pawilonie myśliwskim wśród wrzasków i śmiechów, i pamięta, że głos diuka d'Epernona grzmiał między nimi jak bęben. Po powrocie opiekunka wymyła go pod bieżącą wodą, wydając głośne okrzyki na widok czerwonych plam na jego włosach oraz na kubraczku i chuście opasującej mu pierś. On zaś śmiał się, patrząc, jak woda spływa po fajansowej wannie, czerwona na tle tej nieskazitelnej bieli.

Wciąż był tu Wersal, w tych pachnących laskach, w tym domu, gdzie nieustannie przebywała dusza jego ojca, z dala od gniewnego miasta, od nienawistnego Paryża i jego pospólstwa. Wersal wciąż tu był, niby obietnica, która ma się spełnić.

- Wasza Królewska Mość, wiadomość z Luwru.

Wyrwany z marzeń król zerknął na niebieski mundur muszkietera, który pojawił się nagle obok niego. Popatrzył potem na plik papierów, które posłaniec wyciągał do monarchy, przyklękawszy na jedno kolano. Ze złości król zacisnął zęby i nic nie mówiąc, pokazał gestem muszkieterowi, że ma odebrać przesyłkę.

D'Artagnan spojrział gniewnie na posłańca, ten zaś zniknął tak szybko, jak się zjawiał.

- Wasza Królewska Mość, to pismo wyszło z domu pana kardynała, a doręczyciel znał hasło dające mu natychmiastowy dostęp do Waszej Królewskiej Mości - usprawiedliwiał się pełniący tego dnia służbę wielki łowczy, gdyż to on właśnie przyjął posłańca.

- Rozumiem to - odparł oschle monarcha - ale chciałbym, żeby nadawca nie nadużywał tego przywileju.

Król spojrzął jeszcze na konającego dzika, a potem zwrócił się do kapitana swojej gwardii:

- No i co, panie d'Artagnan, co pan powiesz o takich nagłych przesyłkach?

Ironia zgasła w jego głosie wobec postawy d'Artagnana.

- Najjaśniejszy Panie - odparł oficer, wkładając swój nóż myśliwski do wiszącej mu przy boku pochwy - obawiam się, że...

- Niczego się nie bój, panie d'Artagnan.

- Był pożar i zniszczył pałac Mazariniego. Dym osmolił nawet okna Luwru. Są ranni, a może i zabici.

Król zbladł.

- A pan kardynał?

- Ma się na tyle dobrze, na ile pozwala mu ostatnio zmęczenie. Jego Eminencja jeszcze tam nie był.

Król ruchem ręki nakazał oficerowi milczenie i przywołał służącego, który trzymał jego płaszcz. Potem rzucił nóż myśliwski na ziemię, pod pełnym rozpaczy spojrzeniem łowczego, który widział, jak ginie jego sława.

- W drogę, panowie! - zawołał król. - Przygotować karety! Jak najszybciej.

Król i jego ludzie wskoczyli na konie i pogalopowali w miejsce, gdzie zostawiono karety i przygotowano wieczerzę. Osłaniani przez trzydziestu muszkieterów jeźdźcy pędzili w milczeniu. Zjechali z pagórka i skierowali się w wysadzaną topolami alejkę. W oddali widać było różowe mury wersalskiego pawilonu myśliwskiego. Kryte łupkiem dachy połyskiwały w promieniach zimowego słońca.

Luwr - niedziela, 6 lutego, godzina trzecia po południu

Kardynał Mazarini siedział w łóżku i rozmyślał o różnych sprawach. Od wielu już lat, na długo przed dniem, gdy choroba zmusiła go do wypoczynku, cenił sobie te chwile spokoju, kiedy to jego myśl sama z siebie przeskakiwała z tematu na temat i ukazywała mu ukryte dotychczas perspektywy. Z przykrością musiał jednak przyznać, że mimo wszelkich starań wciąż ma kłopoty z jasnym określeniem tematu głównego.

Te wykradzione kwity to poważny kłopot - pomyślał - a niektóre z nich w ogóle nie powinny wpaść w ręce wroga. Poważniejszą wszelako sprawą będzie...

Na bladym czole kardynała pojawił się zimny pot.

Nie, byłoby to zbyt niebezpieczne - skonstatował w duchu.

Usłyszawszy szybki tupot stóp w przedpokoju oraz strzępy jakiejś rozmowy, otworzył oczy. Uświadomił sobie, że ktoś wyraźnie się zbliża, potem z trzaskiem otworzyły się dwuskrzydłe drzwi wejściowe i w pokoju zrobiło się jasno. Przymrużył oczy, dłonią zasłonił się przed światłem i chwilę się wahał.

- Hej, co się tam dzieje?

Przerwał, gdy w postaci, która weszła do pokoju, poznał królową matkę.

Uśmiechnął się, próbując na powrót opanować bicie serca.

- Jakże miłe odwiedziny, Dostojna Pani - powiedział, chwytając rękę siedzącej u jego wezglowia królowej. - Wydałaś mi się, Pani, widmem.

Królowa uśmiechnęła się z bólem. Bładość na twarzy, czarne, zaczesane do tyłu włosy, obcisła suknia - z każdej jej części wycierał lęk, nadając ostrości jej rysom, niegdyś tak pięknym i łagodnym.

- Ależ, Pani, za bardzo się niepokoisz. To nie ogień sprawił, że położyłem się do łóżka, powodem było coś całkiem przeciwnego, a mianowicie zabrakło mi ognia... wewnętrznego - zażartował pierwszy minister.

Królowa matka potrząsnęła głową, ale smutek wciąż nie schodził jej z twarzy.

- Nie śmieć się, przyjacielu, proszę cię. Przyprowadziłam tu swojego osobistego medyka, jest w przedpokoju. Czy nie sądzisz, że może ci być potrzebny?

Mazarini, wciąż trzymając królową za rękę, dał znak, że nie.

- Nie lękaj się, Pani. Sił mi ubywa, ale ostatniego słowa wciąż jeszcze nie powiedziałem, nadal czuwam nad Francją, a więc i nad tobą, Pani, a także nad królem, swoim chrześniakiem.

Widząc, że w oczach królowej pojawiają się łzy, jeszcze mocniej uściskał jej dłoń, potem trochę się podniósł i rzekł pewniejszym już głosem:

- Nie smuć się, Pani, pomyśl o tym, cośmy już zrobili. Byliśmy Francją, Pani. Najważniejsze jest to, że nasi wrogowie nie mogą teraz wykorzystać mojej słabości i nie są w stanie nas zniszczyć. Nikt nie ma prawa niczego żądać od Francji, jej rządu i jej króla, nikomu nie wolno ich osądzać. Wszystkie swoje siły powinnaś teraz, Pani, skupić na królu. Jest twoim synem i potrzebuje cię, żeby zapewnić sobie tron.

Królowa kiwnęła potakująco głową. Wpatrzyła się w ministra, z którym przeżyła tyle smutków i radości, dzieląc tyle zwycięstw i porażek, i ujrzała, jak na twarzy kardynała odbija się całe jej dziwne życie, życie królowej niechcianego kraju, który przez wiele lat tak ją przerażał. Została żoną króla, którego przedtem nigdy nie widziała, a potem zawsze się bała. Była oblężona we własnym pałacu, podejrzewana, szpiegowana, obmawiana, a potem, po śmierci męża, musiała ratować nagle tron dla swojego syna, zmieniła się więc w wodza i przywódcę partii politycznej, umiejącego łamać losy ludzi i wielkich rodów.

- Giulio - szepnęła przyjacielskim tonem tego wzajemnego zrozumienia, bez którego nigdy nie potrafiłaby wykrzesać z siebie siły. Powstrzymał ją, przykładając palce do jej ust.

- Uspokój się, Pani, nie chciałbym ci się pokazywać, będąc tak zmęczonym.

Królowa gwałtownie drgnęła.

- Odpocznij sobie, przyjacielu - powiedziała słabnącym głosem.
-Będę tu obok.

Kardynał patrzył spod przymrużonych powiek na tę majestatyczną postać francuskiej królowej, aż doszła do drzwi i zniknęła w jego prywatnym gabinecie.

6

Luwr - niedziela, 6 lutego, godzina czwarta po południu

- Król!

Ludwik XIV wszedł energicznym krokiem do sypialni, gdzie leżał kardynał Mazarini. Wzburzony król nie chciał tracić czasu na przebranie się, toteż miał na sobie strój myśliwski, zabłocone buty, rękawice przy pasie i ubrudzoną koszulę, kiedy podszedł do łóżka, w którym drzemał oparty o poduszki jego wszechpotężny pierwszy minister. Raz jeszcze uderzył go żółtawy odcień twarzy chorego i jego przezroczyście, dziwnie zabarwione oczy. Serce królowi się ścisnęło na widok tak zniszczonego organizmu kardynała. Usiadł na krześle, które w pośpiechu podsunął mu pokojowiec, i patrząc na grubą warstwę bar-wiczki pokrywającej twarz chorego, próbował dokładnie określić stan jego zdrowia. Wsłuchiwał się w świszczący oddech starca i nie mógł odpędzić od siebie myśli o małym chłopcu, jakim był dla Ludwika XIII w przeddzień jego zgonu. Tak jak obecnie Mazarini, tak wtedy król był milczącym i prawie przezroczystym widmem. Z tą tylko różnicą, że człowiek, który leżał teraz tu na łóżku, stał wtedy obok króla i trzymał za rękę małego, wystraszonego chłopca, a potem popchnął malca w stronę chorego, który tak źle wyglądał i rozsiewał dokoła słodkawą, mdłą zapach. Ludwik przypomniał sobie dzień, kiedy to wczesnym rankiem trzeba było uciekać z Paryża i szukać schronienia w Saint-Germain. Ach, jakże się wtedy bał i uspokoił się dopiero wtedy, gdy z rozpaczyci chwycił kardynała za rękę i przez całą drogę mocno się jej trzymał.

Słabo oświetlony pokój, mimo kończącego się dnia, był pusty. Król zrozumiał, że jego pierwszy minister pragnął rozmawiać z nim bez świadków.

- Przybyłem tu, żeby zapewnić cię o moim przywiązaniu, drogi ojcze chrzestny. Gdy doniesiono mi o pożarze, byłem na polowaniu w okolicach Wersalu.

Słowo to wywołało lekki uśmiech na twarzy Mazariniego. Polowanie, Wersal... Poznawał zamiłowania chrześniaka.

- Czy masz, ojcze, jakieś dokładniejsze wiadomości? - podjął młody król. - Czy twoja biblioteka bardzo ucierpiała? Czy ogień objął twoje zbiory obrazów? Co wiemy o ofiarach pożaru?

Mazarini wyciągnął po ojcowsku rękę, chcąc powstrzymać wreszcie ten zalew pytań. Czuł się zbyt słaby, by dorównać młodemu władcy w jego zapale i uniesieniu. Nabrał powietrza w płuca i odpowiedział:

- Obecność Waszej Królewskiej Mości to dla mnie zaszczyt i pociecha. Zdarzyło się to, co najgorsze, i ten dzień nie zwiastuje niczego dobrego dla Francji. Przed chwilą wyszedł stąd Colbert i szczegółowo opowiedział mi o tym napadzie.

- Napadzie?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Pożar wzniciła banda zamaskowanych łajdaków. Bez wątpienia chodziło im o wywołanie zamętu. Wdarli się do moich prywatnych apartamentów, przewrócili do góry nogami gabinet i zabrali niektóre bardzo ważne dokumenty. Przechowywałem je w tym włoskim sekretarzyku, którym Wasza Królewska Mość tak bardzo lubił się bawić jako mały chłopiec. Zginął jeden z żołnierzy mojej gwardii, a Rożę, mój osobisty sekretarz, został pobity.

- Tego nie przepuszczę! Znajdziemy tych morderców i każę ich ukarać! - zawołał w uniesieniu król, rozeźlony wiadomością o tych smutnych wydarzeniach.

Nie mogąc się opanować, odepchnął gwałtownie krzesło i zaczął wielkimi krokami przemierzać pokój.

- Jakim cudem gwardziści z twojego pałacu mogli do tego dopuścić? Każę surowo ukarać ich dowódcę i...

- Za pozwoleniem, zapomnijmy o tym, Ludwiku - odezwał się sta-

rzec, raz jeszcze tak ciepło i łagodnie zwracając się do króla, zupełnie jak w czasach, gdy łagodził wybuchy gniewu młodego następcy tronu. - Przysięgam Waszej Królewskiej Mości, że mamy coś lepszego do zrobienia. Błagam o wysłuchanie mnie. Nikt, dosłownie nikt nie powinien wiedzieć, że naprawdę doszło do kradzieży, a zwłaszcza że zginęły dokumenty, na których tak bardzo mi zależało.

W uniesieniu kardynał aż się podniósł. Swoim przenikliwym spojrzeniem, którym potrafił dostrzegać najgłębiej ukryte myśli rozmówców, uparcie wpatrywał się w oczy króla Francji.

W tejże chwili lekko uchyliła się tapeta na ścianie za kardynałem i do pokoju weszła Anna Austriaczka.

- Szczęśliwa jestem, że cię widzę, mój synu - powiedziała, kłaniając się królowi.

- Jesteś tu, matko!

Ludwik ze zdziwieniem spoglądał na królową matkę. Ubrana była w prostą czarną suknię, na szyi miała naszyjnik ze wspaniałych pereł, kontrastujących z jej zmęczoną twarzą. Króлева matka od osiemnastu lat była wdową, na jej twarzy widniały ślady trudów mających zapewnić władzę synowi. Zamieniła z Mazarinim spojrzenie pełne współczucia i tkliwości. Ludwik, mając obok siebie dwie najbliższe mu istoty, poczuł się pewniej. Tyle już wspólnie dokonali i królowi wydawało się, że dopóki trzymają się razem, nic złego nie może się im przydarzyć.

- Musimy podjąć kilka trudnych decyzji, być może brzemiennych w skutki, mój synu.

- Jestem twoim zwierzchnikiem, chrzestny ojciec, i powinienem wiedzieć, co było w tych zaginionych papierach. Czy choć trochę domyślasz się, kto mógł się porwać na czyn tak szalony i dlaczego?

Mazarini przymknął oczy, głęboko westchnął i dopiero potem odpowiedział słabym, urywanym głosem:

- Wasza Królewska Mość, masz prawo żądać prawdy. Oboje dobrze wiecie, że przez całe życie walczyłem w obronie królestwa i chciałem przekazać królowi spokojne rządy nad krajem powszechnej zgody. Niestety, wciąż mamy mnóstwo wrogów i obawiam się, że powstają już

różne koalicje, a każda chciałaby skorzystać z mojego chwilowego osłabienia. Śmierć krąży wokół mnie, a jej bliskość wyzwała siły zła. Naszym wrogom, jak mi doniesiono, udało się przeniknąć do wszystkich organów władzy, nie wykluczając tego pałacu.

Kardynał znowu wciągnął powietrze w płuca, potem głęboko westchnął i zaczął mówić:

- Przechowywałem w swoim prywatnym archiwum wiele dokumentów, które bardzo pomogą mojemu następcy we właściwym sprawowaniu władzy i poświadczają zarazem pochodzenie mojego majątku. Schowałem tam również kilka starych pergaminów zawierających, jak się wydaje, niektóre ważne tajemnice. Według sprawozdania, jakie złożył mi Colbert, mordercy nie zabrali z moich apartamentów żadnych cennych przedmiotów, z czego wnoszę, że chodziło im wyłącznie o zawładnięcie tymi dokumentami.

Na chwilę przerwał, odzyskał nieco sił i mówił dalej:

- Toussaint Rozę słyszał, jak człowiek, który zabił gwardzistę, dziękował Wszechmocnemu Bogu. Mówiono mi, że ten biedny Rozę cały dygotał i chyba myślał, że ma do czynienia z jakimiś fanatykami religijnymi.

- Jeśli istotnie tak jest, panie kardynale, to musimy zapewnić ci osłonę. Nie mamy żadnej gwarancji, że i pana nie wzięto na cel w tej bezrozumnej akcji. W każdym jednak razie nie możesz pan, kardynale, powrócić do swojego pałacu. Pożar z pewnością całkowicie zniszczył twoje mieszkanie. Zostaniesz tu, a ja każę wzmocnić posterunki.

- Nie jestem pewna, Ludwiku, czy będzie to właściwe rozwiązanie - szepnęła królowa matka, podchodząc bliżej do syna. Chciała rozmawiać z nim tak, by Mazarini, który - jak się wydawało - znowu przysnął, nie mógł niczego usłyszeć.

- Zdaniem Colberta nasi wrogowie wcisnęli się podobno nawet do Luwru. Myślę więc, że w tej sytuacji lepsze byłoby Vincennes. Zwłaszcza że, jak ci wiadomo, mam tam swoje apartamenty. Dla kardynała też będzie tam bezpieczniej. Najbliższe tygodnie mogą okazać się dla niego bardzo ciężkie.

- Zgoda! Tak na pewno będzie lepiej. Zaraz rozkażę d'Artagna-

nowi, żeby przerzucił swoich muszkieterów do Vincennes. Wzmocni w ten sposób gwardię kardynała strzegącą i twoich apartamentów, Pani, i sypialni Jego Eminencji. Powinnaś wyruszyć jak najszybciej. Ja w najbliższych dniach postaram się dowiedzieć czegoś więcej o tej sprawie. Za godzinę mam przyjąć Fouqueta - dodał król, gotowy już do odjazdu.

Usłyszawszy to nazwisko, Mazarini aż się poderwał. Otworzył oczy i ujrzał, że drzwi zamykają się za rozdygotanym młodym królem.

7

Teatr w Pałacu Królewskim - niedziela, 6 lutego, późnym popołudniem

Wierzę, książę, że zdołasz, stając w naszej sprawie, Czynów się blaskiem okryć w wojennej kurzawie; Lecz to nie dość, gdy walczysz dla takiej zdobyczy, Czy Stany me cię poprą i czy brat mój życzy"..." - Nie, nie i nie!

Molier znowu zerwał się z fotela i po raz trzeci przerwał popołudniową próbę. Panna Bejart spojrzała na niego ze zdziwieniem. Z wrażenia wypuściła z dłoni rękę don Garcji, którą niedawno schwyciła, by tym lepiej zinterpretować grany właśnie fragment sceny trzeciej. Pozostali aktorzy znieruchomieli, jak gdyby zachowanie reżysera całkowicie zbiło ich z tropu. Inna sprawa, że Molier był tej niedzieli szczególnie rozdrażniony, może w wyniku makabrycznego odkrycia, jakim było znalezienie małego chłopca, który przed kilku godzinami rozbił świetlik, a może przypomniał sobie bardzo burzliwą próbę generalną sprzed dwóch dni. Wyglądał na jeszcze chudsze, niż był w rzeczywistości, wystąpił w śmiesznej płóciennej czapeczce, spod której na twarzy pojawiały mu się nerwowe tiki, mówił ochrypłym głosem. Wy-

* Molier, *Don Garcja z Nawary*, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), *Dziela*, t. I, Warszawa 1988.

machiwał na wszystkie strony swoimi długimi rękami, jak gdyby chciał w ten sposób uzupełnić wydane głosem, nie całkiem zrozumiałe polecenia.

- Ależ, moja droga, zmuszasz mnie do jeszcze jednej poprawki! Ileż to razy będę musiał powtarzać, że doña Elwira w żaden sposób nie powinna pokazywać swojej miłości do don Garcji? Przecież to oczywiste! Na tym opiera się cały mój utwór, a ty świadomie to lekceważysz! Po cóż wtedy byłoby zdobywać serce Garcji? Popraw się - rzekł autor, pieniać się z gniewu.

- Ależ, mój drogi...

- Proszę, nie sprzeczasz się ze mną. Doskonale wiesz, jak bardzo chciałbym zapewnić powodzenie tej sztuce. Nie po to dniami i nocami ślecziałem nad tym *Don Garcją z Nawary* i wygładzałem jego tekst, żeby teraz tak spokojnie pozwolić na całkowite przeinaczanie głębokiego sensu utworu. Jutro zjawi się tu brat królewski, przyjdą również wszyscy paryscy miłośnicy teatru i nie wyobrażam sobie, co się stanie, jeśli znowu wypadniemy tak blado. Zarządziłem dzisiaj tę dodatkową próbę tylko ze względu na twoje potknięcia i na błędy twoich towarzyszy. Nie jesteśmy, u diabła, w Pézenas! Musimy wznieść się na poziom stolicy, czy pojmujesz to, na wysokość tych, co nam płacą.

Potraktowana tak okrutnie aktorka rozplakała się i wybiegła za kulisy. Nie była w stanie pokazać się towarzyszom, tak ostro i tak niesłusznie skrytykowana przez człowieka, którego bezgranicznie kochała.

- Powtarzamy! - krzyknął Molier, niezbyt przejmując się bólem, jaki zadał Madeleine.

Widząc zamieszanie aktorów po odejściu doñi Elwiry, zwrócił się w stronę młodego człowieka, redagującego właśnie pisma, które niedawno mu podyktował.

- Raduj się, mój młody przyjacielu. Wybiła twoja godzina. Czy odważysz się i zechcesz wystąpić w tej komedii? Myślisz zapewne, że spłynęła na ciebie łaska boska i osiągnąłeś już szczyty sztuki aktorskiej? No to rusz się z tej ławki, mój panie sekretarzu, wejdź na scenę i pokaż nam wreszcie swój talent, zastępując tę biedną Madeleine. Przynajmniej do chwili, gdy wytrze łzy. Nie mamy czasu na babskie humory.

Gabriel wziął do ręki podany mu przez zwierzchnika rękopis i aż zadrżał, widząc otwierającą się przed nim szansę.

Ten zaledwie dwudziestoletni młodzieniec był przystojnym, wysokim brunetem i miał przepiękne zielone oczy. Przed miesiącem zaczął pracować u Moliere, choć nie miał żadnej szczególnej rekomendacji. Mistrz serdecznie się wtedy ubawił, widząc entuzjazm i szczerść tego tak młodego chłopaka, który podszedł do niego przed teatrem i bez żadnych wstępów opowiedział mu o swoim najgorętszym pragnieniu, tym mianowicie, że chce zaciągnąć się do jego trupy. Mówił i mówił, wspominał o pewnym granym w prowincji Anjou przedstawieniu, które oglądał przed kilku laty. Był wtedy małym chłopcem, ale teatr tak go zachwyił, że poczuł do niego powołanie. Minęło już sporo lat, ale ten zachwyit wciąż go nie opuszczał.

Molier uznał, że trafia mu się okazja zdobycia osobistego i taniego sekretarza. Gabriel szybko zżył się z renomowanym zespołem, w którym panowała atmosfera radosnego bałaganu. Kobiety zachwycały się jego potężną posturą i miłym uśmiechem, mężczyźni byli urzeczeni, widząc w nim usłużnego i spokojnego towarzysza. Molier zaś doceniał niezmienną powagę chłopaka, jego talent do pióra i gruntowne wykształcenie, choć niewiele o nim wiedział, poza tym, że pochodzi z prowincji. Miał tylko poważne wątpliwości co do uzdolnień aktorskich Gabriela i podejrzewał, że pochodzi on z dobrego rodu, ale z rodziną zerwał.

Gabriel, szybko wchodząc na scenę, czuł, że serce wali mu w piersiach. To, o czym marzył od wczesnego dzieciństwa, miało się ziścić. Pochodził ze szlacheckiej, zamożnej rodziny z Amboise, wykształcił go wuj zastępujący mu ojca, który gdzieś przepadł, gdy chłopak był jeszcze małym dzieckiem, i którego prawie nie pamiętał. Gabriel de Pont-briand otrzymał staranne wykształcenie, bywał przyjmowany przez najlepsze rodziny w Turenii, wzrastał w beztróscie swojego wieku, obficie karmiony lekturą nader romantycznych powieści. Tak było aż do (ego przedstawienia, kiedy to uświadomił sobie, że istnieje inne, nieprzetarte jeszcze życie, nie takie jak to, do którego przeznaczała go rodzina. Uciekając z Amboise przed gniewem opiekującego się nim wuja

i wstępując na służbę autora *Pociesznych wykwintnis*, uniknął więzienia, gdzie gotowi byli umieścić go krewni, w nadziei, że zamknięty tam, zmądrzeje i wyleczy się z marzeń, które wystarczały, by wuj na samą wzmiankę o nich zgrzytał zębami i miotał przekleństwa na „te zwariowane łby, takie jak łeb jego ojca”. Dzięki swojej odwadze Gabriel przekonał się również, ile uporu musi mieć ten, kto, mając dwadzieścia lat, chce pokonać los, a w roku 1661 Gabriel miał ich właśnie tyle. On, sierota bez ojca, wychowany przez surowego wuja, przeznaczony do funkcji wysokiego urzędnika, liczącego wpływające do jego kas podatki i wysyłającego do więzienia niesolidnych płatników, miał wreszcie osiągnąć to, o czym marzył jako małe dziecko.

Będę grał - pomyślał, zajmując miejsce Madeleine Bejart. Będę wreszcie grał.

*Wierzę, książę, że zdołasz, stając w naszej sprawie,
Czynów się blaskiem okryć w wojennej kurzawie...*

W kilka chwil później pojawiła się Madeleine Bejart, z oczyma wciąż jeszcze zaczerwienionymi od płaczu, i próba mogła się już toczyć normalnie. Gabriel był wprawdzie świadom, że przynajmniej wywiązał się z zadania, ale czuł się trochę zawiedziony krótkością występu. Wśliznął się więc do budki suflera, aby bez przeszkód obserwować ciąg dalszy akcji w wykonaniu czterech aktorów.

- *Kiedy mnie będziesz kochać, jak kochać przystało* - wyszeptała doña Elwira.

- *Ach, czyliż jest na świecie coś takiego, pani, na co by wraz mój płomień nie był gotów dla niej?* - odpowiedział królewicz królestwa Nawary, ustami Lagrange'a.

Od tej pory Moliere wydawał się już nieobecny. Wpatrzył się w malowidła na suficie pięknie odnowionego teatru, którym z woli króla mógł rozporządzać, w wyniku czego czuł teraz nocami zimny pot występujący mu na czoło. Czy rzeczywiście zasłużył sobie na taki zaszczyt? Mimo sukcesu *Zakochanego lekarza*, która to sztuka zapewniła mu poparcie i Ludwika XIV, i jego brata, Moliere obawiał się następstw ewentualnego niepowodzenia *Don Garcji z Nawary*. Przed dwoma dniami odbyła się premiera i publiczność wygwizdała przedstawienie, ale autor

miał dziwne wrażenie, że reakcja ta była zorganizowana przez wrogich mu widzów, zresztą rozsadzonych na widowni. Któż mógł w ten sposób wyrażać swoje niezadowolenie? Może ten ktoś, uderzając we mnie, chce uderzyć w kogoś innego - pomyślał Moliere, przypominając sobie Nicolasa Fouquet'a, hojnego i wiernego mecenasa. Teraz należałoby może pozyskać sobie innych opiekunów? - rozważał Moliere, przysłuchując się zakończeniu pierwszego aktu.

Gabriel stał w swojej, przeznaczonej dla suflera, norze, skrzyżowane ramiona ułożył na brzegu sceny, oparł się na nich podbródkiem i szeroko otwartymi oczyma przyglądał się przedstawieniu i też marzył. Patrząc na aktorów, zapamiętywał wypowiedziane przez nich zdania, tworzące delikatną mieszankę wzruszenia i nostalgii. Spodziewał się, że Moliere przy pierwszej sposobności znowu pozwoli mu wejść na scenę, i nagle poczuł pod butem jakiś płaski przedmiot. W ciasnej norze udało mu się jakoś przykleknąć i wyciągnął spod nóg granatowy skórzany portfel.

- Dziwne miejsce na dokumenty - pomyślał, podnosząc znaleziony przedmiot. W świetle sceny z zaciekawieniem skrycie go obejrzał i zdziwił się, ujrawszy wytłoczony na skórze herb kardynała Mazariniego.

Głos Moliere'a oderwał go od oględzin portfela:

- Działki, czas ucieka! Jeśli chcemy być na wieczór gotowi, nie możemy się grzebać!

Gabriel odruchowo wetknął skórzany portfel za swoją grubą białą koszulę. Postanowił, że otworzy go później i spokojnie sprawdzi zawartość.

- Zaczynamy - odezwał się Moliere do aktorów, którzy z przejęciem i niepokojem czekali na jego wypowiedź po obejrzeniu pierwszego aktu. - No, już lepiej! Moje słowa wreszcie do was dotarły i trochę weszliście w role moich postaci. Spróbujcie teraz okazać ich rzeczywiste odczucia. Za godzinę wznawiamy próbę. Publiczność już i tak się na nas skarży, nie możemy więc pogarszać sytuacji. A teraz musimy ustąpić miejsca robotnikom, którzy przyjdą tu naprawiać ten przeklęty świetlik - powiedział, wygrażając pięścią w stronę potłuczonego sklepienia.

Aktorzy, zadowoleni, że autorowi sztuki złość już przeszła, zeszli ze sceny i rozsiedli się w łóżach na krótki, dobrze zasłużony wypoczynek.

- Pan tu zostaniesz. Musimy jeszcze popracować - odezwał się Molier do Gabriela, który zręcznie wyłaził właśnie ze swojej nory. - Musimy jak najszybciej podliczyć rachunki zespołu. Jutro mam je wysłać do pana naczelnego intendenta finansów. Zapowiadają się niespokojne czasy, więc lepszy będzie wróbel w ręku niż dzięcioł na sęku.

8

Teatr w Pałacu Królewskim - niedziela, 6 lutego, godzina szósta wieczorem

Na placu przed teatrem kłębił się pstry i rozradowany tłum. Zgromadzili się tam wielcy i mali kupcy, drobni przekupnie i uliczni kuglarze - wszyscy chcieli ujrzeć przedstawienie. Ludzie prości czekali na ogół na inne widowisko. Pragnęli zobaczyć przybywających tu dostojników i dworzan. Ich nadejście dawało powód do wzajemnych potrażeń, gdyż każdy chciał się przyjrzeć strojom i twarzom. Wielu spodziewało się w duszy pokazów hojności w postaci rzuconych w tłum monet. Od strony Sekwany rozległy się szepty, a potem głośne okrzyki:

- Kondeusz, Kondeusz!

Krzyki te wydobywały się z piersi niewielkiej grupki łachmaniarzy, którzy już na moście koło Luwru poznali na karcie herby księcia, a teraz biegli wokół niej. Tłum zafalował, jego pierwsze szeregi uderzyły na kolumnadę i na perystyl, gdzie stała straż miejska, której zadaniem było nikogo dalej nie wpuścić. Zaczęła się bijatyka, strażnicy pięściami i kopniakami odepchnęli nieszczęsnych ludzi i nagle - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - nastąpił spokój. W tłumie utworzył się korytarz, osłaniany przez dwa szeregi halabardników, którzy, posługując się swoją bronią, ustawili barierki i powstrzymali napierającą masę ciekawskich. Kilku małych chłopców wdrapało się na cokoły kolumn i stamtąd zobaczyli, że kareta

zatrzymała się, wyszedł z niej olbrzym o grubych rysach i potężnym karku, prawie o głowę wyższy od zwykłych ludzi. Zbuntowany książę, ten sam, który przed piętnastu laty odważył się rzucić wyzwanie władzy królewskiej, ruszył teraz wielkimi krokami przed siebie, z wyniosłą miną wszedł do teatru i nawet nie spojrzął na tłum skandujący jego nazwisko.

- Pal go licho - szepnęła pełnym bojaźni głosem jakaś staruszka, stojąca w pierwszym rzędzie gapiów. - Jest Kondeuszem, więc nigdy nie zniży się do paryżan... Zawsze daleko od nich, zawsze z boku...

Szybko jednak uwaga skupiła się na innych osobach. Plac ożywał się. Sznur pojazdów, które zostawiały tu pasażerów, a potem zatrzymywały się na uboczu, coraz bardziej się wydłużał. Okrzyki podziwu mieszały się z żartami, a wybuchy śmiechu z głośnymi okrzykami.

- Motłoch - westchnął Mazarini słabym głosem, opuszczając zasłonę na drzwiczkach swojej karety, która, „nieoznaczona, wmieszała się w podjeżdżające pod teatr pojazdy. - Tylko spojrzeć, jak się zabawiają. Wielka mi rzecz, spektakl trefnisiów...

- Jedźmy - szepnął do ucha kardynałowi siedzący przy nim Colbert. - Śpieszmy się, Eminencjo. Im szybciej dotrzemy do Vincennes, tym prędzej będziesz uwolniony od trudów tej jazdy i od hałasu. Mazarini, który każdy wstrząs na wyboistej drodze odczuwał bardzo boleśnie, zgodził się bez słowa. Wyciągnął ręce do przodu i usiłował uśmiechnąć się do siedzących naprzeciwko trzech panien.

- Żegnajcie, ślicznotki, poswawolcie sobie. Swoboda przystoi waszemu wiekowi, a wasz stary wuj nie ma prawa marnować wam życia pod pretekstem, że sam już się z nim rozstaje.

Trzy siostrzenice kardynała wydały głośny okrzyk i pochyliły głowy, by przyjąć błogosławieństwa starca. Ich złączone głowy tworzyły pod jego dłońmi las czarnych jak węgiel włosów, uczesanych z przedziałkiem, co jeszcze bardziej podkreślało ogromną gęstość owłosienia panienek. Potem Mazarini cofnął ręce, a Colbert zastukał o oparcie, zawiadamiając woźnicę, że ma się zatrzymać. Drzwiczki otworzyły się i do karety wdarły się krzyki tłumu, a na zewnątrz, w świetle zapalonych już pochodni, można było ujrzeć kolorowe stroje gapiów. Oślepiiony światłami Mazarini zamrugał powiekami. Siedząca najgłębiej

Hortensja uścisnęła przelotnie rękę wuja i przycisnęła ją do ust. Potem, opierając się na ręce woźnicy, zeskoczyła szybko na ziemię i zniknęła wśród tłumu.

Poprzedzona przez kilku gwardzistów karetą znowu ruszyła. W ciszy słychać było tylko stukot kopyt.

- Cztery miesiące, panie Colbert, dali mi jeszcze cztery miesiące. A ja mówię, że najwyżej cztery tygodnie. Znam lekarzy. Astrolog powiedział mi w tym miesiącu, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo, a w następnym miesiącu jeszcze większe. Wolę jego półkłamstwa niż dworność tych rzeźników, którzy coraz bardziej mnie wykrwawiają. Za bardzo się boją, że mogą mnie wykończyć.

Ku zaskoczeniu Colberta Mazarini złapał go za ramię i mocno je ścisnął.

- Nie mamy już czasu. Muszę pomyśleć o swojej sławie i o przyszłości. Gdy tylko znajdziemy się w Vincennes, pójdiesz pan po Roze'a. Musimy przelać naszą pracę na papier.

Starzec rozluźnił chwyt i wydawało się, że przysypia w kołyszącym się pojeździe. Colbert też przymrużył oczy i uśmiechnął się w głębi duszy na myśl o tych płochych i niemądrych istotach, tłoczących się w dusznym teatrze. Biedni głupcy - pomyślał. Żeby tyle czasu tracić na obejrzenie widowiska, które utrzyma się najwyżej osiem dni na afiszu.

Przy tych gorzkich myślach usnął.

Dwie spośród trzech siostrzenic kardynała przez kilka dni nosiły jeszcze nazwisko Mancini. Wszystkie miały na sobie podobne sukienki, różniące się jedynie dominującym na nich kolorem - Maria ubrana była na zielono, Hortensja na czerwono, Olimpia występowała w sukni złotej. Włosy miały zaplecione w warkocze, które owijały im się wokół pociągłych twarzy i schodziły się na karku. Siostry na pierwszy rzut oka wyglądały jak figurki odlane w tej samej formie. Dopiero po starannym przyjrzeniu się im można było dostrzec dzielące je różnice. Najmłodsza, Maria, rysy miała łagodne, a o jej odwzajemnionym uczuciu do młodego króla, Ludwika XIV, mówił cały Paryż. Elegancka, ale

chłodna Hortensja nie dorównywała siostrze w urodzie, ale i tak była ulubienicą kardynała. Bladej, zimnej i stąpającej pewnym krokiem Olimpii cały dwór nauczył się już bać. Na kogo by spojrzała, ten już nie zapominał ciemnego błysku w jej źrenicach, bez ustanku śledzących postawy, spojrzenia i uśmiechy otaczających ją ludzi, oraz żaru, który spływał na siostry z jej oczu, nie wiadomo, czy groźnych, czy raczej opiekuńczych. Gdy siostry zbliżyły się do wejścia, rozległy się pełne podziwu szepty, a potem zapanowało niespokojne milczenie, wymownie przypominające o ich bliskim spokrewnieniu z pierwszym ministrem. Z wysoko podniesionymi głowami wkroczyły do teatru, idąc, klaniały się znajomym i najkrótszą drogą doszły do łoży, którego wuj nigdy nie zajmował. Widownia była prawie pełna i wyczuwało się napięcie. W łożach toczyły się ciche rozmowy, podtrzymujące szmer tła, a jednocześnie na wypełnionym przez prosty lud parterze rozlegały się żywiołowe okrzyki.

- Spójrz, Olimpio - zwróciła się Hortensja do starszej siostry.
- Kim jest ta młoda blondyneczka ubrana w niebieską suknię francuską? Ta, która właśnie weszła do łoży - dodała, pokazując wachlarzem kierunek.

- Zauważyłam - odpowiedziała oschle Olimpia.

Siostrzenica kardynała okazała się szybsza niż ludzie z parteru, ci bowiem dopiero po chwili rozpoznali nową osobę w łoży brata królewskiego. Przez widownię przeszedł szmer, jak gdyby nagły dreszcz, odwracając nawet uwagę od czerwonej kurtyny opuszczonej na proscenium.

Młoda blondyneczka nie reagowała na spojrzenia widowni. Lekko schyliła głowę, palcami jeła przebierać po ciemnym aksamicie swojej sukni i wydawała się pogrążona w myślach. Jej jasna cera ostro kontrastowała z karminem warg. Przy każdym oddechu drżała cała jej postać, poczynając od szyi i kształtnych ramion opasanych lamówką sukni. Wysokie kości policzkowe na zapadniętych policzkach dziewczyny, która zapewne zbyt szybko wyrosła, zdradzały jej młody wiek. Światło srebrnych kandelabrow umocowanych na ściankach między łożami podkreślało jej urodę i żywotność. Jasne włosy zwinięte w długi

kok odsłaniały kark i uwydatniały jego delikatność. Czując, że wpatrują się w nią setki oczu, prawie zerwała się z miejsca i lekko się zarumieniła. Potem, chcąc zejść publiczności z oczu, wstała i szybko opuściła ложе, choć wydało się, że dość niechętnie.

Po jej wyjściu napięcie na widowni nieco opadło.

Olimpia Mancini, patrząc na wychodzącą, wyniośle się skrzywiła.

- To mała gaska, którą przypadek związał z rodziną przyszłej małżonki Księcia Pana.

- Jest bardzo piękna - zauważyła z uśmiechem Maria. Starsza siostra spojrzała na nią spode łba.

- Wiesz może, jak się nazywa? - zapytała Hortensja.

Rozległy się trzy uderzenia w gong i Olimpia skrzywiła się z rozgoryczeniem. Służba pośpiesznie przycinała knoty w wielkich kandelabrach.

- Powiedziano mi, że to Luiza de La Valliere - raczyła odpowiedzieć Olimpia.

Czerwona kurtyna drgnęła i zaczęła się podnosić.

9

Teatr w Pałacu Królewskim - niedziela, 6 lutego, godzina dziewiąta wieczorem

Niebo nad Paryżem pokrywała zasłona niskich chmur. Zapowiadała śnieg. Wychodzących z teatru widzów atakował ostry chłód, przyśpieszali więc kroku i pędzili do podjeżdżających przed wejście powozów. Pojedyncze grupki ludzi, dygocząc z zimna, stały jeszcze pod kolumnadą, ale szybko zegnały się i rozchodziły. Tylko wśród przechodniów można było ujrzeć kilkunastu zuchów, wyglądających tak, jakby zupełnie nie bali się chłodu i wcale nie śpieszyło się im do domów. Wybuchy ich śmiechu głośno odbijały się od kolumn, wszyscy powtarzali ruchy i słowa jakiegoś niskiego, grubego człowieka o jajowatej głowie nakrytej kędzierzawą peruką i niebieskich, świńskich oczkach wciśniętych

w głąb twarzy nad śmiesznym, zadartym nosem. Jego jedwabny, kolorowy strój i buty z klamrami wyraźnie odcinały się od pospolitych ubiorów, butów i żołnierskich płaszczy otaczających go ludzi.

- Za zdrowie pana Moliera! - zawołał z wyraźną złośliwością w głosie i podniósł trzymaną w dłoni butelkę wina.

Stuknął nią o dwie inne butelki krążące wśród uczestników pijatyki, po czym wytarł usta rękawem swojego jedwabnego kubraczka.

- Do diabła z tym kuglarzem! - krzyknął. - Przynajmniej nie będzie nas już długo zanudzał tą swoją sztuką! - zawołał jakby do siebie. - Ruszamy, moi panowie, zarobiliście na ten wieczór - dodał, wając w dłoni przywiązaną u pasa sakiewkę i wzbudzając w ten sposób zachwyt swoich krzykaczy, mających gwizdać i wywoływać harmider w czasie przedstawienia.

Teraz z głośnym śmiechem weszli między kolumny i bezczelnie zaczepiali śpieszących się przechodniów. Zatrzymali się przy rogu teatru, odrzucili puste butelki, a potem zaczęli ciskać zgniłymi jabłkami we wznoszący się przed nimi mur.

Mężczyzna w peruce spojrzął z pewnego oddalenia na swoich ludzi i w dalszym ciągu uważnie rozglądał się na wszystkie strony, jak gdyby szukał nowego ujścia dla swojej żądz niszczenia.

- Masz, paniusiu, czelność jeszcze się tu pokazywać? - drwiąco zaczepił kobietę, która wyszła zza budynku przez ukryte drzwi, przeznaczone wyłącznie dla aktorów.

Światło zawieszanej na karecie latarni oświetliło przelotnie twarz zaczepionej dziewczyny oraz tłustą, lubieżną gębę napastującego ją mężczyzny.

- Chyba że masz jeszcze inne talenty, malutka - dodał, podchodząc do aktorki.

Na widok zbliżającej się groźnej bandy dziewczyna stanęła jak wryta, narzuciła szal na ramiona i trwożnie rozglądała się dookoła.

- Nie nadajesz się do tego teatru! Jak chcesz, pokażemy ci innego rodzaju widowisko!

Pełne okrucieństwa uśmiechy mężczyzn, którzy już prawie otoczyli dziewczynę, sprawiły, że w jej oczach pojawił się błysk przerażenia.

- Nikt nie mógł cię odprowadzić, biedulko? - ciągnął słodziutkim głosem grubas, zacierając tłuste łapy. - Och, jakże się trzęsie, biedactwo! Zimno ci, ślicznotko?

- Nie, panie, to tylko reakcja na pańskie grubiaństwo. Mężczyzna w peruce aż się zatrząsał. Zmarszczył oczy, chcąc lepiej

ujrzeć, któż to taki stoi teraz w drzwiach przeznaczonych dla aktorów, a przed chwilą wypowiedział te słowa.

- Gdzie się tu wpychasz?! - krzyknął groźnie.

- Chodź, Julie - powiedział Gabriel, podchodząc do dziewczyny. - Musimy natychmiast wracać.

Mężczyzna zagroził mu przejście i swoją laskę z gałką skierował prosto w jego pierś.

- Stój, ty hultaju, cóż to, nie wiesz, że nie wypada nikomu przerywać rozmowy, a taki łyk jak ty nie powinien się nawet do mnie odzywać?

Gabriel zacisnął zęby, chwycił dziewczynę za ramię i pociągnął za sobą. Przechodzący obok ludzie wahali się, a służba prosiła panów, żeby odeszli z tego miejsca.

- Nie było tu żadnej rozmowy, słyszałem tylko pijacki bełkot - szydził młody sekretarz. - To właśnie było przyczyną pańskiego ordynarnego zachowania, które łaskawie... mogę zapomnieć.

Mężczyzna zbladł, odwrócił się i zaczął machać na towarzyszących mu pijaczków.

- Kije ci się należą, łobuzie! - warknął, znowu odwracając się w stronę Gabriela.

Ten zaś złapał za podniesioną wysoko laskę i wyrwał ją z rąk właściciela. Z rozmachem trzasnął go na odlew w głowę. Ogluszony mężczyzna runął na wznak na ziemię i wylądował na zabłoconym bruku. Jęcząc, trzymał się za ucho, z którego ciekła krew na przekrzywioną teraz perukę.

Jego ludzie wahali się przez chwilę, ale w końcu go podnieśli, wyraźnie zaniepokojeni, czy aby upadek ten nie wpłynie na jego hojność. Gabriel wykorzystał to i schronił się z Julie za drzwiami. Zamiast słów pożegnania - rzucił tylko laskę. Upadła na brzuch leżącego na ziemi grubasa.

Drzwi zatrzasnęły się. Przeciwnik Gabriela z trudem się podniósł, odepchnął towarzyszy i zaczął im wymyślać.

Gabriel obserwował go przez wizjer i widział, jak grubas, przykładając sobie do ucha chusteczkę, kuśtykał w stronę stojącego na uboczu pojazdu.

- Spasiony wieprz - powiedział do trzęsącej się jeszcze dziewczyny. Uśmiechnęła się do niego.

- Cóż to za straszny wieczór! Dziękuję ci, Gabrielu, ale myślę, że oszalałeś. Czy wiesz, kim jest ten człowiek?

- Wiem tylko, że jest to ordynus i zasługiwał na taką nauczkę. Wzięła go za rękę.

- Chłopczyku z prowincji, po co udajesz rycerza? Jeśli chcesz zostać aktorem, będziesz musiał zachowywać się rozsądniej.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ten człowiek to sam móć Berryer, kreatura Colberta, czyli sekretarza kardynała Mazariniego. Tego człowieka trzeba się bać, bo jest on potężnym wrogiem dla byle aktora.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Berryer, pobiłeś się z Berryerem? - Przed Gabrielem stanął nagle Molier. Był w koszuli, oczy miał zaczerwienione, wyglądał na zmęczonego.

Złapał swojego sekretarza za kark i mocno nim potrząsnął.

- Biedny szaleńcze! - rzekł tonem, w którym było trochę gniewu i trochę śmiechu. - Czy wiesz, komu się naraziłeś? Przywódcy bandy odpowiedzialnej za dzisiejsze gwizdy. Jednemu z tych, którzy postanowili, że musimy zrobić klapę, bo ich zdaniem nie należymy do właściwego obozu.

Westchnął i puścił Gabriela, po czym udzielił mu ostatnich pouczeń.

- Tak to wszystko wygląda. Wiem, że przyjaciele pana Colberta niespecjalnie mnie lubią. Nie dlatego, że nie podoba się im mój teatr, ale dlatego, że żal im pieniędzy, za które się utrzymujemy. A zatem, moi drodzy - odezwał się już spokojnie - pomyślimy jutro o tym wszystkim. A ciebie, mój panie sekretarzu, błagam tylko o jedno: mniej rycerskości, a więcej buchalterii.

W jednej z karek, stojących jeszcze na placu, siedząca tam dziewczyna pochyliła się w stronę sąsiadki.

- O czym myślisz, Luizo?

Luiza de La Valliere opuściła zasłonkę na drzwiczkach i oderwała wzrok od wąskich drzwi dla aktorów. W ciągu całej tej awantury nie spuszczała ich z oczu, uważnie śledząc zachowanie Gabriela.

- O niczym - powiedziała, potrząsając swoją śliczną główką. - O niczym nie myślałam.

10

Mont-Louis - niedziela, 6 lutego, godzina dziesiąta wieczorem

Czterech mężczyzn owiniętych w czarne płaszcze od co najmniej godziny szło od strony Sekwany w kierunku murów wyznaczających granicę między miastem a otaczającymi je polami. Śnieg padał wielkimi płatami, mężczyźni trzęśli się z zimna, ale milczeli i idąc jeden za drugim, kierowali się na północ. Prowadził ich wysoki dryblas, przyciskając do piersi ogromną torbę płócienną.

- Ej, Eminencjo, dokąd tak pędzisz? Jeśli chcesz, to mogę cię rozgrzać - rozległ się drżący od zimna głos.

Wydawało się, że należy on do dziewczyny, która wysunęła owiniętą w zdarte koronki rękę, chwyciła za torbę i nie chciała jej puścić, byle tylko zatrzymać człowieka, który tę torbę niósł.

Nie padło ani jedno słowo, ale ostry sztylet cichutko wszedł w cień i ugodził dziewczynę, która zatrzymywała marsz grupy. Głuchy odgłos padającego na bruk ciała powiadomił zabójcę, że dobrze wymierzył. Nieszczęsna dziewczyna publiczna nie zdążyła nawet zauważyć, że człowiek, który odebrał jej życie, miał jedno oko piwne, a drugie zielone. Jej ciało przysypie śnieg. Morderca wiedział, że w Paryżu jest bardzo wiele dziewcząt zmuszonych nędzą do sprzedawania swojego

ciała pierwszemu lepszemu, nikt więc nie będzie płakał ani nawet domagał się wydania mu wychudłego ciała zwiniętego w kłębek i leżącego na bruku. Mężczyźni w milczeniu ruszyli w dalszą drogę i idąc wielkimi krokami, dotarli wkrótce do bramy Saint-Antoine, gdzie tłoczyło się mnóstwo chłopów. Popychając ręczne wózki, starali się wyjść poza Paryż, póki jeszcze śnieg nie uniemożliwi im powrotu do rodzin. Na przysypanych białymi płatkami polach było dość widno, co sprzyjało ludziom wychodzącym ze słabo oświetlonych uliczek miasta.

- Szybko! - ponaglił wciąż idący przodem człowiek z torbą. - Nie powinniśmy zmuszać tych panów do czekania.

W miarę jak na ziemi przybywało śniegu, iść było coraz trudniej. W oddali dostrzegli już wzgórze Champ-l'Evêque, znane również jako Mont-aux-Vignes. Na horyzoncie coraz lepiej widoczny był ostateczny cel ich nocnego marszu.

- Pałacyk Regnaulta. To tutaj! - powiedział przywódca bandy, pokazując wznoszącą się przed nim wspaniałą budowlę.

Przed trzydziestu pięciu laty dawna posiadłość bogatego kupca korzennego, Regnaulta de Wandonne, po wielu przeróbkach stała się domem wypoczynku i rozrywki dla jezuitów. Przybywali tu tłumnie, by odpocząć na starość i spokojnie przeżyć resztę życia. Ogród warzywny i sady dawały w pełni sezonu liczące się dochody i były miejscem pracy dla co zdrowszych pensjonariuszy. W ogrodzie rosły rzadkie gatunki warzyw, ojcowie jezuitów znajdowali w nim spokój i szybciej wracali do zdrowia. Tą spokojną i miłą posiadłością kierował ojciec La Chaise. To tu właśnie, w szczytowym okresie Frondy, kiedy to uzbrojone przez zbuntowanych wielmożów wojska sięgały po władzę, kardynał Mazarini przywiózł młodego czternastoletniego Ludwika XIV. Z tego miejsca, górującego nad częścią Paryża, jezuita mogli oglądać gwałtowne walki na przedmieściu Saint-Antoine. Dopiero potem dostali zezwolenie od króla na nadanie wzgórzu nazwy Mont-Louis.

Nocni przybysze stanęli przed główną bramą i nie tracili czasu na przyglądanie się okolicy, choć rozciągał się stąd wspaniały widok za-

śnieżonej stolicy. Poszli wzdłuż otaczającego posesję muru i wyszli wreszcie na tyły budowli, tam gdzie wznosiła się kaplica pod wezwaniem Świętego Kośmy.

- Poczekajmy - zarządził przywódca, coraz bardziej zajęty osłanianiem torby przed śniegiem i deszczem.

Czterech kompanów zatrzymało się więc pod murem, dającym osłonę przed wirującymi płatkami śniegu. Pomimo zimna i zmęczenia stali w całkowitym bezruchu i tylko ledwie dostrzegalne drżenie warg wskazywało, że przyłączyli się do modlitw.

- *Kyrie elejson, Christe elejson, Kyrie elejson...*

Mocne glosy uczestniczących w mszy jezuitów wznosiły się aż pod sklepienie kaplicy. Mszę, tak jak co dzień, odprawiał ojciec La Chaise. W nabożeństwie uczestniczyli przedstawiciele różnych klas społecznych. Oprócz przebywających tu na stałe ojców stali zatrudnieni w majątku chłopci ze swoimi rodzinami, a w głębi kaplicy, w pobliżu figury Świętego Kośmy, oświetlonej przez migające płomyki świec z kilku świeczników, można było ujrzeć kilkunastu pogrążonych w modlitwie i skupieniu mężczyzn. Na pozór nikt nie zwracał na nich uwagi.

- *Salve, Regina, Mater misericordiae, Vitae dulcedo et spes nostra, salve...*

W chwili, gdy obecni intonowali tę pobożną pieśń do Maryi Panny, jeden z jezuitów wyszedł bocznymi drzwiami kaplicy i zbliżył się do pięciu mężczyzn opartych z zewnątrz o ścianę.

- Chodźcie ze mną, już pora.

Za kaplicą mężczyźni zeszli trzy stopnie w dół i znaleźli się w podziemnej wnęce poniżej chóru. Pomieszczenie było rozległe, a oświetlały je wielkie pochodnie, mające tę dodatkową zaletę, że ogrzewały wnękę. Umeblowanie jej ograniczało się do stojącego pośrodku ogromnego stołu w kształcie krzyża i ustawionych przy nim wysokich krzesel. Na ścianie wisiał prosty krucyfiks z drewna oliwkowego. Mężczyźni, którzy niedawno stali w głębi kaplicy, weszli tutaj i zajęli miejsca przy stole.

- Krzyż Jezusa jedyną naszą dumą.

Zdanie to, wypowiedziane chóralnie i głośno, oznaczało początek

zebrania i teraz każdy mógł usiąść. Nie usiadło tylko pięciu przybywających z Paryża mężczyzn. Przywódca bandy z niezwykłą ostrożnością wyłożył na stół zawartość swojej torby. Na widok tego, co udało mu się zgarnąć w czasie włamania, na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

- Nasz Zbawca pomógł nam wypełnić świętą misję, panowie, a oto dokumenty, które zabraliśmy przed kilkoma godzinami z gabinetu Jego Eminencji.

- Dziękuję - powiedział najstarszy z obecnych. Jego twarz w dużej części zasłaniał kapelusz z czarnego filcu. - Wiem jednak, że dopuściłeś do rozlewu krwi i że straciłeś jednego człowieka. Jestem pewien, że Nasz Pan posadził go na swojej prawicy i przyjął jako męczennika, ale przez twój brak dyskrecji będziemy mieli kłopoty. Już dzisiaj po południu w Luwrze podejrzenie padło na nas, a to z powodu twojej niezręczności.

Człowiek z różnokolorowymi oczami zbladł i zwiesił głowę. Nie spodziewał się takich zarzutów.

- Ja... Ja... - wybełkotał, cofając się.

- Dość tego, o tym jeszcze pogadamy - uciał oschle człowiek w kapeluszu. - Szymonie Piotrze, odprowadź ich.

Jezuita, który uprzednio stał przed pięcioma mężczyznami, kiwnął potakująco głową, otworzył drzwi i dał znak do wyjścia.

- Bracia, nasza walka przyjmie wkrótce inną postać - odezwał się dziekan, uznając, że od tej pory obrady będą mogły się toczyć w całkowitej dyskrecji. - Mazarini boi się i mam wrażenie, że te dokumenty potwierdzą moje wątpliwości. Pieniądze to jedyny jego oręż. Czuje, że wkrótce stanie przed sądem ostatecznym. Ten łobuz będzie chciał ukryć swoje łajdactwa i zrobi w tym celu wszystko. Wszechmogący Bóg bardziej niż kiedykolwiek wzywa nas do oczyszczenia królestwa. Tuż przed wyjazdem z Luwru dowiedziałem się, że pan Giulio Mazarini uda się tego wieczoru do Vincennes. A królowa matka wyruszy za nim.

- Czy wciąż jeszcze musimy tolerować to, z czego natrzęsa się cały Paryż?! - wykrzyknął jeden ze spiskowców, wymachując ulotką, przyniesioną niedawno z Ile de la Cite.

Ulotka ta, podobnie jak wiele innych, od kilku dni informowała z okrutną bezwzględnością o intymnych związkach Giulia Mazariniego z Anną Austriaczką.

- Ależ wcale nie musimy, to oczywiste! - zawołał przywódca Pobożnych. - A celem naszej porannej wyprawy było znalezienie nieodpartego dowodu tej sromoty. Umowa o ich zawartym potajemnie małżeństwie jest nam potrzebna, bo dopiero wtedy ludziom otworzą się oczy i zrobi się taki skandal, że usunięcie Włocha okaże się konieczne.

- A ten Włoch staje się tymczasem coraz większym despota - podjął człowiek w kapeluszu. - Zwołuje do swojej sypialni radę ministrów, a jednocześnie wzywa do siebie golibrodę i każe się golić.

- Musimy działać, tak każe nam Bóg - odezwał się ktoś inny.

Zebrani kiwali potakująco głowami, a wokół wspaniałego stołu rozległy się szept, świadczące o coraz większym oburzeniu tych, których kardynał nie znał wprawdzie, ale których jeszcze tego popołudnia określił jako fanatyków gotowych iść na stos.

- Powinniśmy poruszyć umysły - podjął ostatni mówca. - Proponuję osądzić Mazariniego na podstawie moralności chrześcijańskiej. Musi zapłacić za swoje zbrodnie. Wykażemy w ten sposób całemu królestwu, że ramię sprawiedliwości boskiej może uderzyć nawet w największych mocarzy. Bracia, bierzmy przykład z naszych przodków, którzy potrafili włożyć sztylet w rękę Ravailacowi*.

- Uwzględnić trzeba wszystko - odezwał się dziekan, szybko przejrząwszy skradzione dokumenty. - Z grubsza zapoznałem się z tym, co wpadło nam w ręce, ale niestety, obawiam się, że brakuje pewnego ważnego dokumentu, bez którego nie możemy rozpocząć tego procesu. Nie znalazłem żadnego śladu umowy ślubnej między Mazarinim a Anną Austriaczką. Okazuje się, że nasi ludzie nader niezdarnie wykonali swoją świętą misję.

Zacisnął zęby i z powrotem rzucił na stół stertę dokumentów.

- Przejrzyj je jeszcze raz, Szymonie Piotrze - rozkazał.

* Ravailac zasztyletował Henryka IV (1610).

W pomieszczeniu zapanowała głucha cisza, spiskowcy czekali na powrót zbirów. Wreszcie drzwi znowu skrzypnęły i pojawił się w nich człowiek o różnokolorowych oczach. Podeszedł bliżej i stanął kilka kroków od stołu.

- Poszperaj no w pamięci i spróbuj odpowiedzieć nam zgodnie z prawdą - nakazał mu tajemniczy przywódca. - Czy tak naprawdę starałeś się zabrać wszystkie dokumenty znajdujące się w tej włoskiej sekreterze? Czy przejrzałeś ukryte szufladki?

- Nie pominęliśmy żadnej skrytki - odparł bez wahania zapytany. W jego oczach widać teraz było zadziorność, prawie gniew. Człowiek w kapeluszu uspokoił się.

- Sprawa jest poważna, gdyż brakuje nam jednego ważnego ogniwa. Czy naprawdę jesteś pewien, że niczego nie zapomniałeś, a w swoim raporcie nie opuściłeś żadnego faktu, który by mógł wyjaśnić tę lukę?

Człowiek o różnokolorowych oczach znowu jak gdyby stracił pewność siebie. Przez chwilę szperał w pamięci, potem podniósł rękę i szukał słów.

- To możliwe, tak, wtedy, gdy Młodziak się przewrócił. On już nie żyje, zabił się, spadając. Miał w ręku dokumenty, w skórzanym portfelu. Tak, teraz jestem pewien, miał je w ręku, w chwili gdy wbiegł na świetlik.

Urwał, widząc, że zwierzchnik nakazuje mu milczenie.

- Ruszaj - powiedział mu przełożony. - Odszukaj swoich braci i czekaj na wiadomości ode mnie. A przede wszystkim ani mru-mru, ani jednego zbędnego ruchu, po którym można by cię rozpoznać. I uważaj, żebyś nie oberwał - dokończył groźnie.

Człowiek o różnokolorowych oczach wyszedł.

- Nie mamy ani chwili do stracenia. - Zwierzchnik zwrócił się do towarzyszy. - Musimy kontynuować poszukiwania i odnaleźć te zgubione dziś papiery. Mazariniego zostawiamy w spokoju, przyjdzie czas i na niego, a wtedy za wszystko zapłaci. Wcześniej czy później i on, i jego zbójcka rodzina będą się tłumaczyli ze sposobu, w jaki zdobyli swój majątek i uzyskali tak fatalny wpływ na dwór i królestwo. My zaś nadal musimy działać w imieniu naszej wiary i kształtować nowe czasy.

Wypowiedziawszy te słowa, starszy człowiek wstał i dał znak, że to już koniec zebrania.

- Módlmy się - powiedział, składając ręce. - *Pater noster qui es in coelis.*

Pobożni kontynuowali modlitwę, a Szymon Piotr, który zdążył tymczasem odprowadzić czterech włamywaczy z przywódcą aż do bramy posiadłości Mont-Louis, zgasił wszystkie pochodnie i sala pogrążyła się w ciemnościach. Otworzył potem drzwi i wpuścił do środka podmuch zimnego wiatru. Śnieg już nie padał.

- ...*sed libera nos a malo.*

Najstarszy z obecnych, czyli ten, który wciąż ukrywał twarz pod swoim dziwnym kapeluszem, życzył braciom spokojnego powrotu. A oni, wrogowie kardynała, wspólnie powtórzyli swoje hasło:

- Krzyż Jezusa jedyną naszą dumą!

11

Ulica Lions Saint-Paul - poniedziałek, 7 lutego, godzina jedenasta rano

- Czy możesz mi wskazać, gdzie mieszka pan Pontbriand? Chłopak siedzący w podartych spodniach na progu domu przy ulicy

Lions Saint-Paul podniósł głowę i ogromnie się zdziwił. W rzeczy samej pojawienie się tu późnym rankiem takiej ładnej dziewczyny było czymś niezwykłym. Zuchwale przyjrzał się sukni młodej damy, która samotnie i pieszo zapuściła się w ten skromny zakątek, ograniczony od północy ulicą Saint-Antoine, a od południa Sekwaną. Zarumienił się, patrząc w twarz dziewczyny, która wpatrywała się w niego i tak ślicznie się uśmiechała.

- Nie znam! Idź, paniusiu, w stronę pałacyku Saint-Paul, bo szlachta tam właśnie mieszka. Na tej ulicy, księżniczko, znajdziesz co najwyżej kamieniarzy, cieśli, stolarzy, a nie tego Pont - jakże mu tam.

- Ale przecież jestem pewna adresu - podjęła łagodnie dziewczyna. - To dla mnie bardzo ważna sprawa. Czy jesteś pewien, że nie znasz Gabriela de Pontbrianda?

- A... rzeczywiście... - odparł chłopak, ciesząc się, że odgadł.
- Och, tak, Gabriela wszyscy tu znają. To aktor z zespołu wielkiego Moliera. Teraz na pewno zastaniesz go, pani, w domu. Zajmuje pokój na poddaszu. Wejdź, pani, po schodach na samą górę, są tam tylko jedne drzwi. Nie można się pomylić.

- Dziękuję ci, miły chłopcze - powiedziała dziewczyna, zapuszczając się w głąb kamienicy, podczas gdy chłopak stał w milczeniu i dziwił się, że w taki właśnie sposób poznał rodowe nazwisko swego przyjaciela, Gabriela.

On zaś siedział przy ciemnym drewnianym stole i kończył właśnie przeglądać papiery wydobyte ze znalezionej w przeddzień granatowego portfela. Czytał i niczego nie rozumiał. Miał z pewnością przed sobą teksty zaszyfrowane, niezrozumiałe. Odwrócił portfel, chcąc sprawdzić inkrustowany na skórze herb, i zbladł, uświadomiwszy sobie, że papiery, które miał w rękach, były kiedyś własnością kardynała Ma-/ariniego; poznawał jego znaki. Oszołomiony, przeglądał pergamin po pergaminie, próbując znaleźć w przeglądanych dokumentach jakąś wskazówkę. Jedynym zrozumiałym fragmentem był podpis złożony pod każdym plikiem. Nazwiska redaktorów pojawiały się jasno w pełnym brzmieniu, po to zapewne - pomyślał Gabriel - żeby czytelnik znający podpisującego nie mógł zbyt łatwo złamać całego szyfru.

I wtedy nagle znieruchomiał. Z wrażenia otworzył usta i jednym kłiem wypowiedział, jak gdyby chciał ogłosić światu swoje odkrycie:

- Mój ojciec!

W dolnej części trzymanego w prawej ręce arkusza odczytał podpis: „Ilrother André de Pontbriand”.

W tejże chwili rozległo się stukanie do drzwi i Gabriel oprzytomniał.

Czym prędzej wsunął dokumenty pod łóżko i wziął do ręki tekst komedii, chcąc odzyskać w ten sposób pewność siebie.

- Proszę - powiedział wreszcie.

W drzwiach pojawiła się jakaś nieznana mu postać, dwie białe ręce zrzuciły z głowy kaptur i Gabriel, patrząc na odsłoniętą twarz, aż krzyknął z osłupienia.

- Luiza!

- Uspokój się, mój drogi, bo zrobiłeś się blady jak ściana - odparła z lekką drwiną w głosie Luiza de La Valliere, uradowana jednak serdecznością chłopaka, którego nie widziała od siedmiu miesięcy.

- Luiza de La Valliere! Cóż za niespodzianka! - podjął Gabriel, odzyskując stopniowo rumieńce na twarzy i chcąc pokazać się swojej przyjaciółce z jak najlepszej strony. - Ależ nie stój! Usiądź tu, na tym fotelu - dodał, pokazując dziewczynie najlepszy swój mebel do siedzenia.

Pokój był skromny i raczej bez ozdób, ale dość duży. Ściany w pruski mur były czyste. W jednym z kątów stało żelazne łóżko, obok dwa krzesła i niewielki stół. Umeblowanie uzupełniała szafa, a godności dodawał pokojowi zniszczony, pokryty aksamitem fotel ze złamaną nogą, ale podparty kilkoma starymi książkami. Brakowało półek na książki, więc poniewierały się po trosze wszędzie, a było ich sporo. Gabriel zamieszkał tu zaraz po przybyciu do stolicy, czyli jesienią roku 1660, kiedy to uciekł z domu. Był z natury optymistą, wiedział, czego chce, i ciągnęła go przygoda. Z dnia na dzień urządził się w tym niezbyt luksusowym i mało komfortowym pokoju, opłacając czynsz ze skromnych przychodów za swoją pracę przy Moliere. Na szczęście wrodzona serdeczność i łatwość w nawiązywaniu kontaktów sprawiły, że znalazł sobie wielu przyjaciół, zwłaszcza tutaj, w tej robotniczej dzielnicy, którą tak bardzo polubił. Miał w sobie naturalny czar, cecha ta otwierała przed nim wszystkie drzwi tego nowego dlań świata i ułatwiała zdobywanie serc niewieścich. Jako urodzony aktor, lubił popisywać się swoim talentem i czarować jedyną dostępną mu chwilowo publiczność, czyli dziewczęta, których oczy błyszczały na jego widok...

- Najpierw to ja byłam zaskoczona, kiedy ujrzałam cię wczoraj wieczorem przed teatrem Pałacu Królewskiego w towarzystwie aktorów

z zespołu pana Moliera - wyjaśniła Luiza. - Nie wiedziałam, że jesteś w stolicy, i nie wyobrażałam sobie, że żyjesz w takim niedostatku - powiedziała, rozglądając się smutno po nędznym pokoiku. - Nie wiedziałam również, że jesteś taki rycerski i waleczny - dodała ze śmiechem.

Gabriel też się uśmiechnął na te słowa, a prócz tego ogromnie ucieszyło go to nieoczekiwane spotkanie. Luiza de La Valliere, Luiza znana mu od dzieciństwa... Tak często w towarzystwie dobrze urodzonej młodzieży z Amboise biegali razem po polnych drogach Turenii... Dzięki Luizie wydało mu się nagle, że znowu znalazł się w swoich rodzinnych stronach i odżyły w nim wspomnienia dzieciństwa.

Wciąż oszołomiony tą niespodzianką, przyglądał się szczegółom jej stroju, błyszczącej tkaninie sukni i narzutki, którą niedbale zarzuciła sobie na ramiona. Dostrzegał połysk jej cery, głębię spojrzenia, odbicia świetlne mieniające się na jej włosach w rytm wdzięcznych poruszeń szyi.

- Dziś rano udałam się więc do teatru - ciągnęła Luiza, nie zwracając uwagi na wpatrzone w nią oczy Gabriela - i rozpoczęłam poszukiwania. W zamian za dwa uśmiechy i kilka monet udzieliła mi informacji zacna dozorczyń z teatru. Oto jakim sposobem cię odnalazłam, ty jednak też musisz mi to i owo wyjaśnić. Dlaczego w ubiegłym roku tak nagle zniknąłeś? Wydaje mi się, że tutaj wszyscy znają cię tylko jako Gabriela. Dlaczego ukrywasz się w tym pokoju, gdzie nawet zakonnik nie chciałby mieszkać?

Gabriel siadł naprzeciwko przyjaciółki i przedstawił jej szczegółowo dzieje ostatnich miesięcy. Odpowiedział na wszystkie pytania, niczego nie ukrywając. Te zwierzenia uspokoiły dziewczynę. On zaś dowiedział się, że Luiza przybyła w styczniu na dwór królewski i miała na nim zostać jako dama do towarzystwa przyszłej małżonki Księcia Pana. Z okazji przedstawienia *Don Garcji z Nawary* mogła po raz pierwszy wyjść z pałacu i pozostawało jej tylko niecierpliwie czekać na tę bliską już chwilę, kiedy zostanie oficjalnie przedstawiona Ludwikowi XIV i królowej. Teraz oboje odczuwali prawdziwą radość z odnalezienia się, choć tak daleko od stron rodzinnych... Długo gwarzyli, wspomi-

nając radosne chwile młodości. Była to młodość dwojga sierot, które właściwie nawet nie znały swoich ojców. Gabriela wychowywał wuj, a dziewczyną zajmował się ojczym, czyniąc to pod czujnym i gorącym spojrzeniem brata króla Ludwika XIII, Gastona Orleańskiego, który jako chrzestny zaopiekował się nią po śmierci ojczyma. On również otworzył jej drzwi na dwór królewski.

- Opowiedz mi, proszę - zapalił się Gabriel - kogo tu widziałaś i jak żyje się na dworze?

Luiza cierpliwie opowiedziała o przepychu i nudzie swojego nowego życia, o chwilach bezczynności i o uciążliwej etykietce. Opisywała dni pełne i nadziei, i niepewności, wielkości i podłostek.

- Wczoraj przez całe cztery godziny szyłyśmy i prułyśmy przybrania wchodzące w skład wyprawy ślubnej Henryki Angielskiej, podobno dlatego, że użyte pierwotnie kolory były zbyt podobne do barw angielskich stronników republiki i mogłyby się nie spodobać na dworze londyńskim.

- Czy jesteś szczęśliwa? - przerwał nagle Gabriel, biorąc dziewczynę za rękę.

Spuściła oczy, jak gdyby chciała szukać swoich cieniutkich paluszków, ukrytych w szerokich dłoniach Gabriela. Potem podniosła głowę i spojrzała chłopakowi w oczy.

- Nie wiem, czy jestem szczęśliwa - odpowiedziała. - Znowu mam jednak gorące serce, idę od niespodzianki do niespodzianki i wydaje mi się, że wszystko jest możliwe. Wiesz, dziwna sprawa, nocą śnią mi się tutaj niekiedy łąki, po których tyleśmy się nachodzili. Brakuje mi ich teraz, a przecież ostatnio przed przybyciem na dwór strasznie mnie nudziły.

Gabriel nie spuszczał dziewczyny z oczu, ona zaś nagle wstała i widać było, że się rozmarzyła.

- Kochałam te łąki tak samo jak ty, w czasach gdy pole za dworkiem twojego wuja wydawało się nam Ameryką i opowiadaliśmy sobie historie o jednoroźcach ukrywających się w laskach koło zamku, gdzie mieszkałam. Pamiętasz to? Kiedy zniknąłeś, jednoroźców od dawna już nie było. Widzisz, odkąd jestem na dworze, to tak jakbym znalazła

się w nowym, nieznanym mi świecie. A on jest taki piękny! Robi wrażenie, czasami przeraża, ale jest cudowny, nie sądzisz?

- Moja sytuacja jest całkiem inna, markizo - rzekł żartobliwie Gabriel. - Ty mieszkasz w pałacu, a ja w tej ruderze.

Luiza wyszła dopiero koło drugiej. Gabriel odprowadził ją aż na ulicę i uzyskał od niej przyrzeczenie, że znowu się spotkają, gdy tylko będzie to możliwe. Ze wzruszeniem patrzył na oddalającą się dziewczynę i znowu pomyślał o tym nieprawdopodobnym wręcz odkryciu, jakim był podpis jego ojca na zaszyfrowanych papierach kardynała, wszystko mieszało mu się w głowie, jakby zawirował cały świat.

Był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył mężczyzny, który stał ukryty w bramie wejściowej, po drugiej stronie ulicy Lions Saint-Paul, i nie spuszczał go z oczu.

12

Rzym - wtorek, 8 lutego, godzina jedenasta przed południem

François d'Orbay poszedł ulicą Via Giulia i na umówione miejsce dotarł przed czasem. Zaczął więc przyglądać się willi, gdzie miał się spotkać z arcybiskupem Paryża. W ten piękny, słoneczny poranek d'Orbay, paryski architekt, nie trudził się podziwianiem drugiego piętra i gzymsu budowli, chociaż jedno i drugie projektował sam Michał Anioł. D'Orbay stanął przed budynkiem i wpatrzył się na chwilę w tę szczególną harmonię fasady, zbudowanej podobno z materiałów wziętych z ruin starożytnego miasta. Największa prywatna willa rzymska wyglądała surowo, a zarazem wspaniale, przypominając pod tym względem swojego pierwszego właściciela, papieża Juliusza III - pomyślał d'Orbay.

- Zawiadam, proszę, Jego Ekscelencję, że przyszedł pan François d'Orbay - powiedział do odzianego w czerwoną liberię człowieka, który otworzył mu drzwi willi Farnese.

- Jego Ekscelencja czeka na dostojnego pana - odparł służący po francusku, ale z wyraźnie włoskim akcentem. - Zechcesz pan pójść ze mną.

Po wejściu do gmachu d'Orbay mógł jeszcze podziwiać wewnętrzny ogród, który już sam w sobie był arcydziełem. W wielkiej galerii nie mógł się powstrzymać, by nie przystanąć na chwilę i nie zachwycić się przepięknymi barwami wspaniałego sklepienia, malowanego przed stuleciem przez Carraccięgo. Barokowy fresk, przedstawiający scenę wziętą z mitologii greckiej, promieniował i wprost urzekał pełnią kolorów. Przed wejściem do gabinetu Paula de Gondiego d'Orbay zapanował wreszcie nad sobą - przecież nie przyszedł tu po to, by od rana podziwiać piękno willi zajmowanej przez arcybiskupa Paryża.

- Pan François d'Orbay - zaanonsował służący i odsunął się, dając przejście gościowi.

D'Orbay skłonił się nisko. Gdy podniósł oczy, był urzeczony - tak jak przy każdym spotkaniu z arcybiskupem - jego energiczną, prawie młodzieńczą postawą. Gospodarz, ubrany w zwykłą sutannę, wstał na przywitanie gościa i podszedł do niego. Jego czarne, przenikliwe oczy zaczęły świdrować d'Orbaya, a na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech.

I pomyśleć, że ten człowiek zmusił Mazariniego do ucieczki z Paryża, stał na czele największych spisków stulecia, napędził strachu królowi i był bliski przejęcia władzy w państwie, a potem, będąc już więźniem, potrafił uciec z zamku w Nantes! - uświadomił sobie nie bez podziwu d'Orbay. Nikt by nie uwierzył, że ma dopiero czterdzieści osiem lat.

Po upadku Frondy de Gondi przeniósł się do Rzymu i mimo swoich licznych i męczących wędrówek zachował w ostatnich latach dumną postawę człowieka, który lubi błyszczeć w otoczeniu. Wyróżnił się niegdyś, studiując teologię, i z tych pracowicie spędzonych czasów zachował - można by powiedzieć - pełną namaszczenia postawę człowieka wielkiej wiary, dzięki czemu wzbudzał jeszcze więcej uznania i szacunku. Arcybiskup i jego gość poznali się przed rokiem, w czasie pobytu d'Orbaya w Rzymie.

- Jakże się cieszę, znowu widząc cię w Rzymie, drogi panie d'Orbay! Kiedy tu przyjechałeś? Jak ci się jechało? Jakie wieści przywozisz mi ze stolicy?

Arcybiskup mocno uściskał dłonie gościa, ten zaś, nieco oszołomiony wylewnością gospodarza i zaskoczony dość nieoczekiwanym przejawem jego serdeczności, nie wiedział, na które pytanie ma najpierw odpowiedzieć.

- Po tysiącokroć dziękuję ci, Monsignore, za to poranne przyjęcie. Miło mi, że znowu spotykamy się w tym mieście, zwłaszcza że widzę cię w doskonałym zdrowiu.

- Ależ siadaj, drogi panie - rzekł de Gondi, wskazując gościowi fotel.

- Przybyłem tu, Monsignore, tak jak uzgodniliśmy. Pragnąłbym pokazać ci szkice malunków na parawanach, które chciałbyś mieć u siebie - powiedział architekt, wydobywając z torby rulon papierów i podając go arcybiskupowi.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - orzekł de Gondi, zachwycony wykonanymi węglem szkicami, przedstawiającymi ulubionych przezeń herosów starożytnej Grecji. - Kiedy będziesz mógł wciągnąć do pracy tych swoich towarzyszy, których talenty tak bardzo mi wychwalałeś? Jestem człowiekiem niecierpliwym i teraz, gdy już ujrzałem te szkice, chciałbym jak najszybciej podziwiać końcowy wyrób i mieć to już tutaj.

- Twoja niecierpliwość, Monsignore, mile mnie łechce i myślę, że będę mógł sprostać twoim oczekiwaniom już tego lata.

- Bardzo dobrze, cieszę się. Podobno Mazarini już ledwo dyszy - rzekł arcybiskup, zmieniając nagle temat rozmowy. - Czy rzeczywiście można mieć nadzieję, że królestwo Francji pozbędzie się niebawem lego łotra?

- Monsignore, już od kilku dni pierwszy minister nie wychodzi z sypialni i kazał sekretarzom uporządkować swoje papiery...

- Zeby tym lepiej ukryć nieuczciwe pochodzenie majątku! - wybuchnął nagle de Gondi. - Dzięki Bogu zostaną wreszcie pomszczony za wszystkie te lata prześladowań. Twoje słowa, panie d'Orbay, po-

twierdzą to, co już było mi wiadome. Jak wiesz, wciąż mam wiernych przyjaciół, nawet w otoczeniu króla.

D'Orbay pomyślał, że dobrze zrobił, prosząc o tę audiencję. Człowiek, który w roku 1648 był jednym z głównych przywódców Frondy, nawet teraz, przebywając na wygnaniu, wciąż jeszcze miał w całym Paryżu swoje oczy i uszy.

Należałoby tylko wiedzieć, czy arcybiskup Paryża potrafi zmontować nowy spis, wciągając do niego ludzi, którzy tylko tęsknią za nową Froncą, ale do niczego się nie nadają - pomyślał d'Orbay.

- Niestety, obawiam się, że Mazariniemu raz jeszcze może się udać jakaś sztuczka - podjął arcybiskup, a na jego twarzy pojawił się nagle niepokój. - Ten nicpoń zrobi wszystko, by opróżnić kasy państwowe. Zobaczysz, panie d'Orbay, że swój ogromny majątek w części, a może i w całości rozdzieli pomiędzy krewnych. Już teraz musi niszczyć kompromitujące go papiery.

Gospodarz przerwał na chwilę, jak gdyby myśląc o jakiejś zagmatwanej sprawie, a potem znowu zmienił temat.

- Moi przyjaciele paryscy są przeświadczeni, że najmocniej wmieszane w sprawę organizacje kościelne wznowią działalność. Czy masz pan jakieś wieści na ten temat?

D'Orbay przez ostrożność nie odpowiedział natychmiast.

- Burzy się cały Paryż, Monsignore. W ostatnich latach Mazarini skrzywdził bardzo wielu ludzi. Trudno określić, czy jakiś obóz może wziąć górę nad innym. Dwór zastanawia się, czy młody król potrafi sobie poradzić, nie mając już przy sobie swojego chrzestnego. W salonach wiele się mówi o ludziach, którzy po śmierci Włocha uzyskają wpływ na nowego króla.

- No, a zwykli ludzie? - pytał de Gondi. - O czym gadają? Co mówią? Na co narzekają?

- Nastroje ludzi trudno określić. Myślę, że nawet Mazarini przestał tak dokładnie jak kiedyś dostrzegać, co myślą obecnie poddani króla Francji. Zupełnie jakby kończyła się cała epoka i powstawały nowe kierunki. Przez ostatnie dwadzieścia lat mieliśmy w Europie więcej wielkich rewolucji, niż było ich kiedyś w ciągu całego wieku. Nie dało

się ich przewidzieć, bo przecież nie było ani głodu, ani nawet zbyt wielkich podatków. Mnie osobiście wydaje się, że przyszłość królestwa zależeć będzie po części od tego, czy kolejni następcy Mazariniego potrafią zrozumieć zachodzące w kraju przemiany.

- A jak się miewa ten zacny pan Colbert?

- Tak jak zwykle, i całą swoją wiedzę służy królowi - odpowiedział d'Orbay.

Arcybiskup kiwnął głową i znowu sprawiał wrażenie człowieka zatopionego w myślach.

- Słusznie waść mówisz. Śmierć Mazariniego wywoła gwałtowne wstrząsy. Wszystko zależy od tego, kto dobierze się do władzy - ciągnął d'Orbay. - Już jutro stanowisko pierwszego ministra będzie nieobsadzone, ale chętnych na nie może się znaleźć bardzo wielu.

Arcybiskup ściszył głos.

- Na przykład Nicolas Fouquet. Doszły mnie wieści, że szykuje właśnie wojska w swoich posiadłościach na Belle-Île. Pan jednak, drogi panie d'Orbay, budujesz zamek, który naczelny intendent finansów stawia sobie w Vaux-le-Vicomte, więc z pewnością wiesz o tym więcej niż ja.

Słyszac tę wypowiedź, d'Orbay zrozumiał, że rozmowa o przyszłości królestwa już się skończyła.

- Obawiam się, Monsignore, że nie będę miał żadnych wiadomości na ten temat.

De Gondi wyraźnie nie chciał narażać się Fouquetowi, nie zamierzał również ujawniać swoich zamiarów na przyszłość. Rozmowa zeszła na lżejsze tematy i architekt pomyślał, że gospodarz, wierny swojej legendzie, wciąż chce uchodzić za człowieka ostrożnego, doskonale o wszystkim poinformowanego, a przede wszystkim dumnego.

D'Orbay wyszedł z willi Farnese dokładnie w chwili, gdy dzwony z kościoła Świętej Beaty wydzwaniały południe. Był pewien, że dawni Irondyści nie mają żadnego jeszcze planu. Włoch, ich stary wróg umiera, a oni nie wiedzą, co robić. Z pewnością ułatwi to nam zadanie - pomyślał, a potem odwrócił się, by ostatni już raz spojrzeć z podziwem na fasadę budynku.

Vaux-le-Vicomte - niedziela, 13 lutego, godzina dziesiąta rano

Eskortę tworzyło dwudziestu szwoleżerów, a kopyta ich wierzchowców wzbijały takie kłęby kurzu, że niebieskie stroje jeźdźców stawały się prawie niewidoczne. Niewiele widzieli również pasażerowie karety, pędzącej co tchu w koniach drogą do Fontainebleau. Jednakże siedzący w karecie na honorowym miejscu i obuty w czarne skórzane buty kawalerskie mężczyzna usiłował rozpoznać niektóre szczegóły krajobrazu, wciąż rozgrzewając sobie gołe ręce nad ustawionym na środku podłogi koszem z żarem.

Siedzący po prawej ręce Fouqueta François d'Orbay cały dygotał, czując, że ostry chłód poranka zaczyna docierać do niego i przez buty, i przez odzież.

- Dojeżdżamy - szepnął, pochylając się w stronę sąsiada. - O, proszę, już widać kamienie graniczne dawnej wioski Vaux, na prawo mamy Les Jumeaux, a na lewo Maison-Rouge i pagórek, gdzie kiedyś wznosił się stary zamek. Kamienie, z których był zbudowany, wykorzystaliśmy na budowę fundamentów. Do folwarku jest już całkiem blisko.

Nicolas Fouquet spokojnie wciągnął rękawiczki, przebierając palcami, by dobrze leżały.

- Dajże spokój, panie d'Orbay, wcale nie jest aż tak zimno, a w dodatku taka podróż to dla mnie wypoczynek, bo w miejsce codziennych kłopotów będę miał przed sobą miły widok.

Jeszcze przez chwilę Fouquet sprawiał wrażenie człowieka zatopionego w swoich myślach. Na jego kształtnej twarzy widać było odprężenie, a zielone oczy miał półotwarte.

Ciszę przerwał siedzący na przeciwległej ławeczce jego młody sekretarz.

- Robillard, Le Vau i Le Brun są już na miejscu i czekają na nas. Nie ma Pugeta, bo wyjechał po zamówione marmury, o których już mówiliśmy.

- To dobrze, to dobrze - przerwał naczelny intendent finansów. -

Obejdziemy ogrody i wszystko na miejscu sprawdzimy. Nie ma jakichś wiadomości od Jego Eminencji?

- W Vaux powinien dogonić nas posłaniec. Prosiłem, żeby raport sporządzono o świcie i niezwłocznie nam dostarczono. Nakazałem również, by do przesyłki dołączono korespondencję z domu królewskiego, o ile coś przyszło.

Fouquet mrugnął oczyma na znak aprobaty, potem zadygotał i odwrócił się ze śmiechem w stronę skulonego obok architekta.

- No to co, panie d'Orbay, daleko jest ten pański śnieżny pałac? Pana teść, Le Vau, zamarznie, czekając na nasz powrót.

Uśmiechnął się czwarty pasażer.

- Tak, tak, Nicolas, cóż to za pomysł był z tym Vaux - powiedział takim tonem, jakby się skarżył. - Byleby tylko pan d'Orbay nie pojechał budować zamków Jego Ekscelencji gdzieś w Nowej Francji*, w Quebecu albo na Sainte-Louise.

Teraz z kolei uśmiechnął się Fouquet.

- Dajmy temu spokój. Jeśli pan, panie d'Orbay, szukasz rady, to unikaj poetów albo zrezygnuj z wszelkich poważnych rozmów. Co do mnie, gdyby pan La Fontaine nie zostawiał mi niekiedy trochę czasu, to nie wiem, jak bym się wywiązywał ze swoich obowiązków.

- Przejazd dla pana naczelnego intendenta! Rozstąpić się! Kawalkada gwałtownie zwolniła, a jednocześnie zrobiło się głośno.

Ktoś kogoś potracił, zarżał czyjs koń. Fouquet podniósł firankę, która zasłaniała wnętrze karety i trochę chroniła przed podmuchami lodowatego powietrza, rozejrzał się dookoła i smętnym okiem popatrzył na jeźdźców, głośno pokrzykujących na zagradzających drogę ludzi.

- Dostojny panie, to kamieniarze, obrabiają bloki na dokończenie portalu - wyjaśnił sprawę d'Orbay.

- To po co się tak wydzierać, można przecież chwilę poczekać, aż się rozstąpią - burknął Fouquet, opuszczając firankę. - Czy aż tak nam się śpieszy, że musimy zachowywać się ordynarnie? Słowo daję, mógłbym pomyśleć, że chcą odebrać mi popularność.

* Tak nazywano francuskie posiadłości w Ameryce Północnej.

Kareta przejechała powoli środkiem drogi, obok pomstujących półgłosem robotników. Posuwała się teraz wzdłuż alejki wysadzonej młodymi kasztanowcami, kopyta stukały o świeżo położony bruk.

- Znowu podrosły - zauważył z zadowoleniem Fouquet. - Nawet zły sezon im nie zaszkodził.

Siedzący naprzeciwko ministra sekretarz chciał wykorzystać chwilę milczenia i zabrać głos. La Fontaine miłosiernie położył mu dłoń na ramieniu w chwili, gdy sekretarz właśnie zamierzał otworzyć usta. Teraz ze zdziwieniem spojrzał na poetę, który zaciskając wargi i lekko się uśmiechając, dawał mu do zrozumienia, że byłby to wielki nietakt. La Fontaine bowiem od lat bywał u naczelnego intendenta, poznał jego zachowanie i nauczył się rozpoznawać objawy świadczące o tym, że gospodarz czuwa, oraz takie, które sygnalizowały, że za nic w świecie nie należy mu przerywać wypoczynku, zwłaszcza że na wypoczynek Fouquet rzadko sobie pozwalał. Poeta wybrał jedną z tych oznak, bardzo ważną, i określił ją jako „Marzenie w drodze do Vaux”. Nieraz już widział, jak człowiek, który był dla niego raczej przyjacielem niż protektorem, pogrąża się w myślach w czasie swych regularnych podróży między rezydencją w Saint-Mandé a Vaux, gdzie Fouquet śledził postępy w budowie zamku. Takie rozmarzenia zdarzały mu się prawie zawsze w chwilach, gdy kareta zwalniała przed skretem w prawo, a wkrótce potem zatrzymywała się przed wielką żelazną bramą z wykutym w niej herbem właściciela.

Do karety wdarło się światło - woźnica otworzył drzwiczki i rozkładał schodki. Oślepieni pasażerowie jeszcze przez chwilę nie ruszali się z miejsc, potem Fouquet wstał i zaczął gramolić się z pojazdu. Po kolei wyszli wszyscy. Ostatni opuścił karete La Fontaine i od razu poczuł, że mróz szczypie go w twarz, ale widząc, że Fouquet wciąż stoi nieruchomo, sam też stanął i wpatrzył się w majestatyczną bryłę zamku. Grube pręty ogrodzenia, przez które przybysze mogli przyjrzeć się zamkowi, tylko podkreślały lekkość jego budowy. Promienie słoneczne odbijały się od rzeźb na fasadzie i tworzyły złociste halo nad ogrodami. La Fontaine, niczemu się nie dziwiąc, stwierdził, że ten widok ciągle się zmienia, ale i tak ma swój czar. Czuł, że coś łapie go

za serce, gdy patrzy na te przeobrażenia i widzi, ile przybyło na budowie szczegółów już po jego ostatniej tu bytności. Nieoczekiwanie złapały go dreszcze. Czy było to z zimna, czy ze wzruszenia? Oblany zimnym światłem zamek wydał mu się jeszcze piękniejszy niż we wspomnieniu.

Pojawiła się służba zamkowa, ludziom śpieszyło się i chcieli jak najszybciej otworzyć bramę. Ich zachowanie kontrastowało z wolnym krokiem Fouqueta. On, tak bardzo przywykły do życia w pośpiechu, wciąż zabiegany, zameczający swoich podwładnych pytaniami i nowymi pomysłami, wydawał się nagle cieszyć spokojem i pogodą. Upłynęło już pięć lat od dnia, gdy wbrew wszelkim oczekiwaniom postanowił wybudować w tym miejscu zamek. Przez pięć lat ściągał tu najwyższej klasy fachowców, najznakomitszych ogrodników, najbardziej utalentowanych architektów, w tym młodego, a już wybijającego się d'Orbaya. Zgodnie ze swoim zwyczajem patrzył, jak urzeczywistnia się jego marzenie, przyglądał się ludziom sztuki, ale jednocześnie dawał im swobodę działania. Zerwał z klasyczną koncepcją głównego bloku i dwóch przylegających do niego skrzydeł, zmienił układ ogrodów i nawet ukończonej przed kilkoma dniami kopule, wznoszącej się w samym środku zamku, nadał dziwny kształt. W oczach La Fontaine'a wyraźna radość Fouqueta była tym większa, im bardziej się cieszył, że projekt spełnia jego życzenia, a jednocześnie wciąż go zaskakuje.

Głos d'Orbaya jakby z żalem przypomniał Fouquetowi o rzeczywistości.

- Wjedziemy środkową bramą. O, proszę, kolumny można by już stawiać, o tu... ojej, uwaga, bo można sobie skrócić nogę w kostce, te deski na ziemi już wkrótce stąd znikną, gdy tylko przywieziemy te zielone i białe marmury, po które jeździłem do Włoch.

- Tych chałup chyba tu nie było - zauważył Fouquet, wskazując po lewej stronie dwa rzędy baraków ciągnące się obok zabudowań gospodarczych.

- To tymczasowa oranżeria - wyjaśnił d'Orbay. - Drzewa otrzymaliśmy niedawno, ale sama oranżeria nie jest jeszcze gotowa i będą zno-

siły chłód jeszcze gorzej niż my. Tutaj zaś są osłonięte, przez okna przechodzi potrzebne im światło.

- Pomysłowe - mruknął Fouquet. - Czy to w tej oranżerii trzyma się wszystkie rośliny? - dodał, ściszej głos i biorąc d'Orbaya pod rękę.

Architekt kiwnął potakująco głową.

- Tylko po to, żeby wyrosły, a potem je przesadzimy - odpowiedział tak samo ściszym głosem. - Mogłem również sprawdzić, że wszystkie zamówione przez nas odmiany przysłano tu w dobrym stanie.

Minęli przedsionek, przeszli przez wytworne salony i skierowali się w stronę tarasu położonego od strony ogrodu. Fouquet szedł już szybciej, ale teraz przystanął.

- Coś tu się chyba zmieniło? - zapytał La Fontaine.

- Tak, panie La Fontaine - odpowiedział d'Orbay. - Po ostatnim pobycie Jego Ekscelencji zmieniłem plany środkowej części sklepienia. To zaokrąglenie, które pan widziałeś dokładnie nad głową, kryje szkielet budowy. Właściwie mamy tu dwie kopuły nakładające się jedna na drugą, a pomysł ten przyszedł mi do głowy ubiegłego roku w Rzymie, gdy przyglądałem się dziełom wielkich mistrzów.

- Chętnie poznałbym szczegóły - zauważył, podnosząc głowę, La Fontaine.

W górze, na wysokości dziesięciu metrów nad posadzką, ujrzał eleganckie zaokrąglenie wsparte na czternastu posągach. Widać już było na nim wykonane ołówkiem szkice fresków mających je pokrywać, a ono samo wydawało się wisieć w powietrzu.

14

Mieszkanie Jeana Babtiste'a Colberta - niedziela, 13 lutego, godzina piąta wieczorem

Colbert już od przeszło dwóch godzin siedział w swoim gabinecie. Westchnął ze zmęczenia i przetarł oczy. Z charakterystyczną dla siebie skrupulatnością przeglądał kwity, które przed wyjazdem do Yincennes

zostawił mu kardynał. Pokój, w którym pracował Colbert, był duży i jasny, a dwa wielkie okna z widokiem na wspaniałą ogród przepuszczały aż nadto światła. Teraz jednak był koniec lutego i mrok zapadał dość wcześnie, więc Colbert, chcąc mieć dobre oświetlenie, poprosił o dodatkowe świeczniki. W kominku z tyłu trzaskał ogień i Colbert czuł na plecach miłe ciepło. Był zmarzluchem i jeśli tylko nie mógł się poruszać, kostniał z zimna. Wiernością i pracowitością uzyskał tyle, że kardynał już po kilku latach nie potrafił się bez niego obejść, Eminencja jednak dobrze wiedział, że jego dni są już policzone. A co gorsza, dzień w dzień miał nieprzyjemne odczucie, że na jego ramieniu coraz mocniej zaciska się czyjaś chłodna i groźna ręka. Wszystko spada na mnie - myślał niekiedy, odczuwając strach i zarazem wzburzenie.

Gdy Mazarini uznał, że przed śmiercią należy uporządkować swoje sprawy, Colbert raz jeszcze zgłosił gotowość do wykonania tej morderczej harówki, licząc, że wyciągnie z tego wiele korzyści.

Rozsadzała go ambicja, choć nikt jej nie dostrzegął, i Colbert śmiało wkroczył na drogę, która miała go doprowadzić do najwyższych stanowisk państwowych. Najważniejszy etap tej wspinaczki miał przebiegać u wezłowania pierwszego ministra i Colbert wiedział o tym. Postępował jak szachista, z góry przewidując każdy ruch. Był oddany kardynałowi, ale w rzeczywistości spoglądał na młodego króla.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść - powiedział Colbert, nie podnosząc głowy. W drzwiach stanął pokojowiec.

- Pan Charles Perrault prosi o przyjęcie go - zaanonsował.

- Niech wejdzie - odpowiedział Colbert, z niecierpliwością oczekując na wiadomości o śledztwie, które zarządził po pożarze w bibliotece kardynała.

Do pokoju wszedł Charles Perrault, nisko gnąc się w ukłonach. Człowiek ten zawsze zachowywał się nader ulegle mimo kłótliwego charakteru, ani trochę niepasującego do jego talentów pisarskich, uznanych właściwie dopiero w przyszłości. Przychodził złożyć sprawozdanie z powierzonej mu misji policyjnej, w której chodziło o jak najszybsze załatwienie sprawy tajemniczego napadu i kradzieży sprzed dwóch dni.

- No i co, panie Perrault, co pan przynosisz? - z niecierpliwością zapytał Colbert.

- Sprawa jest dość mętna, ale w niektórych punktach zrobiliśmy postępy. Przede wszystkim wiemy już, kim był ten chłopak, który leżał martwy w samym środku teatru Pałacu Królewskiego. Przezywano go Młodziakiem, nieborak nie miał rodziny, był w jakimś, tam stopniu związany ze środowiskiem złodziejasków i uchodził za mistrza w rzućaniu nożami. Sądząc po jego dziwnym stroju i świętych wisiorach, skłonny jestem przypuszczać, że należał do jakiejś sekty.

- Jesteś pan tego pewien czy tylko tak przypuszczasz? - przerwał mówiącemu Colbert, rozdrażniony brakiem ścisłości w jego relacji.

- Jestem przekonany, że tak właśnie jest, a Toussaint Roze dodatkowo to potwierdza.

A więc znowu mamy tych Pobożnych - z zaciekawieniem pomyślał Colbert.

- Obejrzeliśmy również teatr w Pałacu Królewskim, bo ci włamywacze tamtędy właśnie się wymknęli. Spenetrowałem go wzdłuż i wszerz, ale jak dotychczas bez skutku.

- Przyciśnij pan pracowników teatru i tych nicponiów aktorów! -krzyknął coraz mocniej rozeźlony Colbert.

- Już od dwóch dni przesłuchujemy ich wszystkich. W szczególności niejakiego Gabriela, który pełni tam obowiązki sekretarza. Wstąpił niedawno do zespołu Moliere i jego zachowanie wydało mi się podejrzane. Wychodząc wczoraj wieczorem z teatru, pobił się z błahej przyczyny z panem Berryerem i wszyscy to widzieli.

Usłyszawszy to nazwisko, Colbert szerzej otworzył oczy. Znał doskonale Berryera, gdyż służył mu on jako figurant przy załatwianiu różnych transakcji tyleż delikatnych, co dochodowych. Poprzedniego dnia Colbert w największej tajemnicy polecił Barryerowi, by wybrał się wieczorem na premierę nowej sztuki Moliere, zabierając ze sobą kilku ludzi mających wygwizdać przedstawienie. Tym sposobem zamierzał Colbert z miejsca przekreślić ambicje Moliere, uważając go za kreaturę. To nagłe wykrycie jego zbirów w trakcie śledztwa dotyczącego włamania do prywatnych apartamentów kardynała nie wróżyło mu nic dobrego.

- Chcę wiedzieć wszystko o tym Gabrielu! Czy ma jakieś nazwisko? Skąd pochodzi? Z kim jest związany w Paryżu? Rozumiesz, panie Perrault?! - wykrzykiwał Colbert. - Chcę wiedzieć wszystko!

- Ten smarkacz - podjął Perrault, ani trochę nie bojąc się gniewu rozmówcy - przyjął w swoim mieszkaniu przy ulicy Lions Saint-Paul pewną bardzo ładną osobkę, mam na myśli Luizę de La Valliere, nową pannę do towarzystwa Henryki Angielskiej. W ciągu najbliższych dwóch tygodni ma być przedstawiona królowi. Spędziła u szanownego pana Gabriela ponad dwie godziny. Tyle czasu w tak niepewnej dzielnicy, a w dodatku w mieszkaniu człowieka nieznanego... Wydaje się to dziwne jak na dziewczynę dobrze urodzoną i od bardzo niedawna przebywającą w Paryżu.

Wiadomość ta okazała się na tyle cenna, że Colbert odzyskał nagle cały swój spokój. Śledztwo posuwało się, a wysłany przez niego ogar spisał się całkiem nieźle.

- Dobrze - skwitował Colbert. - Rób pan swoje. Mam wrażenie, że jesteś na dobrej drodze. Chciałbym również wiedzieć, co mówią nasi przyjaciele zakonnicy. Nie żałuj pan pieniędzy dla wywiadowców, bo muszą znać ploteczki na temat Pobożnych. Spróbuj pan również zdobyć jakieś szczegóły dotyczące powiązań ich świątka z dworem, a w szczególności z naczelnym intendentem, wszak wiemy, że ma wpływy w tych środowiskach. A tego Gabriela nie spuszcza pan z oczu i jak najszybciej złóż mi o nim raport.

Perrault wyszedł, cofając się tyłem i wykonując kilka mocno służalczych ukłonów.

Colbert zamyślił się i zaczął dygotać. Wstał, żeby poprawić polano w ogromnym kominku, a potem otworzył stojącą na stoliku kryształową buteleczkę. Nalał sobie nieco wina Porto i pomyślał, że dobrze zrobił, powierzając sprawę młodemu Perraultowi, gdyż wykonał ją znakomicie.

Jakiż to dziwny człowiek - pomyślał. Usłużny i posłuszny każdej władzy i gotów zrobić wszystko dla wydobycia prawdy z błota. Autor mrocznych poematów oraz nudnych i pozbawionych wyrazu baśni. Na przyszłość będąc musiał nauczyć się rozumienia tych jego dwuznacznych wypowiedzi.

Potem Colbert znowu usiadł przy stole i zaczął rozmyślać o następstwach tego, czego się właśnie dowiedział. Przy odrobinie szczęścia, jeśli wszystko toczyć się będzie zgodnie z jego przewidywaniami, Fouquet już się nie wywinie. Colbert uśmiechnął się i znowu przystąpił do pracy, mrużąc:

- No to naprzód, będzie tego na całą noc!

15

Zamek w Vincennes - wtorek, 15 lutego, godzina dziesiąta rano

Śnieg padał całą noc i pokrył dach baszty w Vincennes oraz dziedziniec zamkowy warstwą bieli, wśród której ledwie można było dostrzec kępki roślinności i ukochane przez Annę Austriaczkę bukszpany. Kardynał Mazarini, ubrany w kaftan obsyty purpurowym futrem, stał w oknie swojego pokoju i w milczeniu przyglądał się przyjeżdżającym do zamku gościom. O trzy kroki za nim siedział Colbert i przeglądał zawartość skózanego portfela, gdzie znajdowały się pisma, które rada ministrów miała rozpatrywać tego ranka.

- Dobrze, panie Colbert, widzę, że biegnie właśnie Lionne, jak zwykle się spóźnia! Le Tellier już przyszedł.

- Brakuje już tylko pana Fouqueta - zauważył Colbert, nie odrywając się od swoich papierów.

- W rzeczy samej - odparł Mazarini, z dziwnym uśmiechem wyrywając się z zamyślenia. - Naprzód, przyjacielu. Zajmuj się tylko naszymi sprawami - dodał, krzywiąc się i szukając ręką fotela, na którym mógłby się oprzeć, i zatrzymując jednocześnie rzucającego mu się na pomoc Colberta.

- Wystarczy, zejdź pan raczej na dół. Czy przyszły już skrzynie do biblioteki? Przyszły? No to mamy przed sobą pracę ważniejszą od tej, która sprowadza tu dzisiaj tych panów.

Widząc, że Colbert jakby z żalem podaje mu portfel, Mazarini wziął swojego sekretarza pod rękę.

- Rozprawiamy tu o problemach bieżących, codziennych. Na dole pomożesz mi pan w sprawie trudniejszej, bo chodzi w niej o coś, co dla naszego królestwa ma znacznie większe znaczenie.

Ubrany na czarno człowieczek poczuł coraz mocniejszy nacisk na swoje ramię.

- Dużo zrobiłeś, panie Colbert. Albo raczej powinienem powiedzieć: dużośmy razem zrobili, o czym zresztą pan wiesz. Teraz trzeba tylko wpisać to wszystko do Historii dla upewnienia się, że żaden nicpoń nie zdoła zniszczyć tego, o cośmy walczyli, i zbrukać w ten sposób pamięci o mnie. Stawka jest o wiele większa, niż pan sądzisz - powtórzył kardynał i ciężko westchnął, co oznaczało, że nie zamierza już dłużej towarzyszyć swemu sekretarzowi. - Ufam ci, panie Colbert - dodał, wzdychając. - Pomówimy o tym wszystkim. Będziesz pan musiał wezwać do mnie kilka osób. Na razie jednak zajmiesz się pan porządkiem rachunków. Potrzebuję spokoju, tak, panie Colbert, spokoju. Podaj mi, proszę, to lekarstwo, a nie pożałujesz.

Colbert skłonił się przy tych słowach i poczuł lekkie drzenie.

Wyraźnie wyczerpany Mazarini opadł na szeroki, pokryty zielono-czerwonym aksamitem fotel, który niemal wchłonął jego pochyloną postać.

Raz jeszcze skinął na Colberta, w chwili gdy wychodził on z pokoju, potem przymknął oczy i jeszcze mocniej zapadł się w fotel.

Jeden po drugim wchodzili do niego ministrowie i serdecznie go pozdrawiali, on zaś odpowiadał im jakimś niedosłyszalnym słowem i lekkim ruchem ręki.

Było ich teraz czterech, siedzieli wokół stolika do gry. Lionne, sekretarz stanu do spraw wojskowych, minę miał poważną i uroczystą. Le Tellier, kanclerz koronny, patrzył na wszystkich z góry, co wynikało - jak sądzono - z jego sędziwego wieku. Nicolas Fouquet, najmłodszy i najpotężniejszy, zajęty głównie sprawami finansowymi, z trudem hamował chęć dorwania się do odpowiednich dokumentów i sprawdzenia ich. Mazarini, pełen dostojeństwa, narzucał obecnym ciężkie milczenie, którego żaden z ministrów nie odważał się przerwać. Nałożona na twarz gruba warstwa kremu nie mogła nikogo zwieść

zmęczenie pierwszego ministra rzucało się w oczy. Mrugnął wreszcie w stronę Le Telliera, prosząc go o zabranie głosu. Zaczęło się omawianie poszczególnych pism.

- A wy tylko: Anglia i Anglia! Powtarzacie w kółko to samo! Upłynęło ledwie dwadzieścia minut, a Mazarini podniósł nagle głos, przerywając rozmowy na temat postawy, jaką należy przyjąć wobec Anglii, gdzie przywrócono właśnie monarchię i na tronie znowu zasiadł król.

- Chodzi o to, żeby nasze statki miały prawo wpływać do ich portów, sprzedawać nasze towary i zaopatrywać się w żywność. No i przypilnujmy, żeby Holendrzy nie zyskali zbyt wielkich wpływów na dworze angielskim, przypominając królowi, że to Holandia udzieliła mu gościny, gdy był tylko zbiegiem. Cała reszta to przelewanie z pustego w próżne. Anglia jest nam wroga. Ma nowego władcę, Bóg z nią! Nikczemnicy, którzy ucieli głowę ojcu, potrafią ją uciąć i synowi. Módlmy się tylko, żeby w ich ślady nie poszli na tym świecie inni. Będzie jak z psem myśliwskim: choćby był najspokojniejszy, to gdy raz spróbuje krwi, zaczyna mu ona smakować i od tej pory zawsze będzie do niej wracał. Narody, panowie, coraz mniej boją się swoich władców, tracą przy tym wszelki rozsądek. Gdyby nie strach, że za swoje postęпки będą smażyli się w piekle, chętnie poobalaliby trony. Pomyślcie o takich ludziach jak Ravailiac i Clément*.

Mazarini przerwał, nie zauważając na pozór drżenia, które jego słowa wywołały na obliczu Fouqueta.

- Nie rozdzielajmy sił - podjął po chwili. - Nie prowadzimy już wojny, panowie, i szukamy takich sojuszy, które ożywią nasz handel.

Znowu wzbierał w nim gniew i znowu głos mu sposepniał.

- Wrogowie, z którymi walczymy, żyją w naszym kraju, są w naszych przedpokojach. Minęły już te piękne czasy, kiedy to monarchie walczyły ze sobą na równych prawach. Dziś nasi wrogowie mają urojenia,

* Clément zasztyletował Henryka III (znanego w Polsce jako Henryk Walezy - 1589).

powstają przeciwko nam i chcieliby zniszczyć samą myśl o monarchii. Libertyni sądzą, że jesteśmy zbyt zdewociali, a dewoci zarzucają nam nadmierny libertynizm, przy czym i jedni, i drudzy wciąż spiskują. Straszny to ciężar, mój Boże, straszny ciężar!

Wyczerpany tą tyradą Mazarini zwinął się w fotelu, wciąż z takim samym zmęczeniem na twarzy.

- Czy potrafimy przynajmniej znaleźć gdzieś dobry kredyt w Anglii? - zapytał Fouquet, wysuwając się do przodu, jakby po to, żeby Mazarini lepiej go słyszał. - Nasze kasy nie bardzo chcą się wypełniać, panie kardynale, a uzyskalibyśmy wtedy możliwość wywierania nacisku na naszych włoskich bankierów, pokazalibyśmy im, że możemy się bez nich obejść.

- Wystarczy, panie naczelny intendencie. Aż trudno uwierzyć, że w czasie pokoju trudniej nam będzie o kredyt, niż było w czasie wojny.

Kardynał z błyskiem w oku znowu odwrócił się w stronę Fouqueta.

- Może pan wynajdziesz jakieś sprytne sposoby na zaspokojenie potrzeb Korony, a przyznaję, że są one niemałe. Przyznaję również, że bieżące zajęcia nie zawsze zostawiają mi dość czasu, bym mógł należycie się nimi zająć. Muszę zresztą niezwłocznie porozmawiać z panem -tu kardynał zwrócił się do Le Telliera - o pewnych decyzjach, które należy pilnie podjąć, by opanować szal tego rygoryzmu w niektórych środowiskach religijnych. Toż to prawie herezja, a może i bunt. Gdy jednak chodzi o operacje finansowe, znam pańską zręczność - tym razem Mazarini zwrócił się do Fouqueta, mówił ciszej i pilnie wpatrywał się w rozmówcę. - Oczekuję tylko, że wszystko to, co najlepsze, zostanie wykorzystane dla dobra publicznego.

Ku ogólnemu zdziwieniu naczelny intendent znowu zabrał głos.

- Czy w sprawie oszczędności Wasza Eminencja zechciał zapoznać się z raportami, które mu przekazałem, a które dotyczą handlu przedmiotami sztuki i ostatnich zamówień dla wojska? Wydaje mi się, że w tym przypadku obejdziemy się bez pośrednictwa banków i możemy liczyć na zyski, które skarb państwa natychmiast odczuje. Jestem przekonany, że pieniądze te Jego Królewska Mość będzie mógł wykorzystać na potrzeby swojej polityki, ograniczając jednocześnie po-

datki płacone przez ludność i ściągane z góry. Jeśli ludzie nie potrafią już bać się swoich władców, to może na początek nauczą się ich kochać?

Kardynał skrzywił się z powątpiewaniem, choć jednocześnie potakująco kiwał głową.

- Tak, tak...

Potem zwrócił się do Le Telliera:

- Panie kanclerzu, będę musiał zapoznać cię z poglądami pana Fouqueta na temat sztuk pięknych, a potem pomówimy o broni. Tu, panie intendencie, wojna, ale po cóż, u diabła, tak ostro? - zaklął kardynał, udając ironię. - Czyżby wiewiórka z pańskiego herbu zmieniła się w lwa, że trzeba budować umocnienia na Belle-Ile? Wydawało mi się, że ta pańska Kompania Indyjska prowadzi handel w sposób pokojowy.

- To prawda, panie kardynale - odpowiedział Fouquet bezdźwięcznym głosem, nie najlepiej maskując swoje wzruszenie. - A te umocnienia, z taką lubością opisywane przez moich wrogów, to zwyczajne magazyny. Zresztą są to moje prywatne sprawy, więc niewiele znaczą, gdy mam zaszczyt rozmawiać o interesach Korony.

Mazarini, wciąż nieodgadniony, nie odpowiedział i tylko się uśmiechał. W jego oczach znów pojawiła się łaskawość. Odwrócił się do kanclerza Le Telliera, jak gdyby chciał zaznaczyć, że narada raz jeszcze będzie skrócona.

- No to co, panie kanclerzu, jak idą przygotowania do ślubu pańskiego syna, pana Louvois? Bo ja mam pewne kłopoty i nie mogę zajmować się tak, jak bym chciał, weselami swoich siostrzenic, Hortensji i Marii... Biedne aniołki... - jęknął, spoglądając ku niebu, a w kącikach oczu pojawiły mu się łzy.

Złączył dłonie i wymamrotał kilka słów po włosku, przeżegnał się, potem szeroko rozłożył ręce, by oprzeć się na ciemnych drewnianych poręczach fotela, i odprawił ministrów, zapewniając ich, że jeśli ma nakłaniać swoich lekarzy do kłamstw, to musi jeszcze trochę odpocząć.

Ministrowie wyszli, Mazarini siedział nieruchomo jeszcze kilkanaście minut, rozkoszując się ciszą. Otworzył oczy i potrząsnął swoim

nieodłącznym złotym dzwoneczkiem, mającym trzonek z drzewa oliwkowego. Podłoga zaskrzypiała i do pokoju wszedł pokojowiec. Kardynał, wciąż o czymś marząc, nawet na niego nie spojrzał.

- Proszę powiedzieć Colbertowi, żeby tu do mnie przyszedł - powiedział.

Służący oddalił się bezgłośnie, a pierwszy minister odezwał się sam do siebie:

- Jakie to dziwne, że po tylu latach wciąż mam czasami trudności z odróżnieniem oszusta od uczciwego człowieka. Wyglądają tak podobnie!

Potem westchnął i podniósł się.

- Ciamajdy, głupi dworzanie... i on... a ja nigdy nie wiem, czy jego porywczosć... Cóż, nie mam już czasu na marzenia i na półśrodki. Trudno... Nie zdążę...

16

Teatr w Pałacu Królewskim - wtorek, 15 lutego, godzina jedenasta rano

- Morderca! Morderca! Na pomoc! Ratunku!

Był to głos Julie. Usłyszawszy go, Gabriel wbiegł pędem w korytarz, skąd dochodziły te krzyki, i ujrzał leżącego na posadzce dozorcę, broniącego się rozpaczliwie przed atakami dwóch dryblasów, którzy wczepili się w niego na oczach przerażonej i zapłakanej aktoreczki. Dozorca, starszy już człowiek, leżał zwinięty na ziemi, głowę objął rękami i tak, jak mógł, zasłaniał się przed ciosami napastników. Gabriel złapał jednego z nich za kołnierz, podniósł go i z całej siły, na jaką stać młodego mężczyznę, wyrzwał pięścią w sam środek twarzy. Uderzenie było tak potężne, że zbójowi natychmiast z rozbitego nosa popłynęła krew i ochlapała mu białą koszulę, a on sam padł jak długi na posadzkę.

- Wiejemy! - wrzasnął drugi zbój.

Błyskawicznie otworzył okno i wyskoczył, a za nim rzucił się Gabriel, chcąc go dopaść. Parterowe okno wychodziło wprost na jedną

z wąskich uliczek przylegających do teatru. Było tam tłoczno, ludzie szli do pobliskiego warzywniaka. Napastnik biegł między ręcznymi wózkami, a sprzedawcy pomstowali na biegnących. Gabriel na każdym skrzyżowaniu bał się, że mężczyzna, który napadł na dozorcę, ucieknie mu i zniknie w tłumie. Po kilku minutach szaleńczej gonitwy po wąskich i śliskich uliczkach zziębnięty Gabriel znalazł się nad brzegiem Sekwany. Niestety, zbój zdążył już wskoczyć do zacumowanej tu łodzi, pozostawionej zapewne przez jakiegoś rybaka sprzedającego ryby na targu, i teraz myślał już tylko o znalezieniu się po drugiej stronie rzeki. Gabriel, nie widząc niczego, na czym mógłby popłynąć, zrozumiał, że tym razem przegrał. Zawrócił więc, w nadziei, że wycisnie coś ze zbója, którego zostawił w teatrze leżącego na posadzce. Szybkim biegiem dotarł na miejsce, wciąż czując, jak krew pulsuje mu w skroniach.

- Gdzie byłeś, Gabrielu? A ja już umierałam z niepokoju! - zawołała Julie na widok powracającego przyjaciela.

- Gdzie jest ten łotr, zaraz wszystko z niego wycisnę! - wrzasnął Gabriel, rozeźlony ucieczką pierwszego zbója.

- Wyrwał się nam i nie byliśmy w stanie go zatrzymać - odparł dozorca. - Dziękuję ci, Gabrielu, gdyby nie ty, już bym nie żył - dodał, ciężko dysząc i ze łzami w oczach.

Przerażenie na twarzy tego zacnego człowieka wyraźnie świadczyło, jak bardzo się bał.

Przybiegło kilku aktorów, chwalili Gabriela za jego odwagę, a dozorca przesiadł się tymczasem na krzesło i już dochodził do siebie. Poprosił o szklaneczkę wódki dla uspokojenia się i na sam widok przezroczyściego trunku nabrał kolorów.

- No to co się właściwie wydarzyło? - zwrócił się Gabriel do dozorca, wyraźnie pokrzepionego zawartością szklaneczki.

- Zobaczyłem na scenie tego porozbijanego łobuza i od razu zaczęły się na nas walić nieszczęścia - odparł z jękiem. - Najpierw były gwizdy i wyzwiska, takie że nasz zacny pan Molier aż się pochorował, potem

zjawiała się policja pana kardynała i przez cały przedwczorajszy dzień przetrząsała teatr, od piwnic aż po dach, w poszukiwaniu niewiadomo czego.

- Policja pana kardynała?! - z niedowierzaniem i niepokojem wykrzyknął Gabriel.

- Tak, właśnie ona! Ci panowie przez trzy godziny przesłuchiwali mnie i wypytywali o każdego z was - ciągnął dozorca. - Obawiałem się nawet, że za chwilę zaaresztują mnie i zamkną w tych strasznych lochach więzienia La Conciergerie. Można by pomyśleć, że aktorzy stali się nagle wrogami króla! Chcieli wiedzieć wszystko o naszym zespole, a w szczególności, gdzie kto mieszka i z kim się spotyka. Powiedziałem im, co wiedziałem, tak jakbym mógł znać życie prywatne ludzi, którzy tu bywają. A potem, ledwie zabrałem się do zamykania widowni, a od razu natknąłem się na tych dwóch zbójców. Nie wiem nawet, jak się tam dostali.

- No, ale czego właściwie wszyscy ci ludzie tu szukają? - zapytała Julie.

- Albo ja wiem? - odparł dozorca. - Ci dwaj powiedzieli mi, że chcą mieć „swoje papiery”. Nie zdążyłem się nawet zdziwić, a już rzucili się na mnie i zaczęli gwałtownie szarpać za ramiona. Jakimś cudem udało mi się wyrwać z ich łap. Niestety, moje stare nogi nie są już sprawne - rzekł, uderzając się po udach. - Akurat w chwili, gdy przyszedł do mnie, panienko, dopadli mnie. Im dłużej tłumaczyłem im, że nic nie wiem o ich kłopotach z jakimiś papierami, tym mocniej mnie tłukli. Zabiliby mnie ci obwiesie, gdyby nie zjawił się Gabriel - powtórzył dozorca, nalewając sobie drugą szklaneczkę wódki.

Gabriel, spokojny już o losy dozorca, zaczął analizować sytuację. Cały otaczający go światek szukał dokumentów, które on wprawdzie znalazł, ale nie potrafił ich rozszyfrować. Pojawienie się w teatrze policji pana kardynała, a potem całej gromady tajemniczych napastników nie wróżyło Gabrielowi niczego dobrego.

Nikomu nie mogę nic powiedzieć - pomyślał. Do pioruna, nawet diabłu nie oddam tych dokumentów, o ile by po nie tu przyszedł, najpierw musiałbym wyciągnąć od niego tę tajemnicę i dowiedzieć się,

jakim sposobem podpis mojego ojca znalazł się w posiadaniu pana kardynała.

- Wyglądasz, jakby cię coś trapiło, o czym myślisz, mój drogi? - zapytała Julie, ujmując go pod ramię i prowadząc do pozostałych aktorów.

- O swoim ojcu.

- O swoim ojcu? Wydawało mi się, że już od dawna nie żyje.

- Mnie też się wydawało - odparł Gabriel, ściskając ją i pociągając na widownię, gdzie zbierał się właśnie cały zespół.

17

Zamek w Fontainebleau - czwartek, 17 lutego, godzina czwarta po południu

- Król!

Tłumnie zebrani w sali audiencyjnej zamku w Fontainebleau dworzanie pochylili się i złożyli głęboki ukłon. Mężczyźni zdejmowali kapelusze, kobiety przyklękały, z szelestem rozkładając swoje szerokie suknie. Król wolnym krokiem szedł przez pogrążoną w milczeniu salę i uśmiechał się, choć jego uśmiech nie był skierowany do nikogo z obecnych, nawet nie do królewskiej małżonki, myślącej w tej chwili tylko o tym, żeby iść równo z mężem. Błada, delikatna królowna hiszpańska, która przed sześciu miesiącami z woli potężnych władców została królową Francji, wciąż z niepokojem patrzyła na tę obcą i sprawowaną w nieznanym jej języku etykietę, nie rozumiejąc ani jej rzekomej prostoty, ani dziwacznych kaprysów. Para królewska doszła do tronu i król ruchem ręki pokazał zebrany, że mogą się podnieść. Potem spojrzał pytająco na swego sekretarza trzymającego w rękach program audiencji. Jeden z ambasadorów zrobił krok do przodu, wyciągając jednocześnie listy uwierzytelniające. Naprzeciwko wyszedł mu Lionne i odebrał je w imieniu króla. Monarcha z zastygłym na twarzy

uśmiechem wysłuchał oficjalnego wystąpienia, wygłoszonego z wyraźnie obcym akcentem przez wysłannika któregoś z krajów Północy. Myślami król był daleko od tej sali i tych ludzi, bardzo niepewnych i aż za dobrze mu znanych. Teraz znowu pędził na koniu przez lasy Wersalu, ucztował, przedłużał ideał rycerskiej wojny, którą tak bardzo sobie upodobał w przeciwieństwie do strasznej wojny domowej. Niestety, nie mógł odpędzić od siebie tych myśli, toteż uśmiech zniknął mu z twarzy. Królowa zaniepokoiła się, sądząc, że jej mąż źle przyjął coś, czego nie zrozumiała, a czego od niej oczekiwał. Natomiast ojciec, który wystąpił właśnie do przodu, by oficjalnie przedstawić dworowi córkę, uznał, że wybiła dla niego godzina niełaski. W sali zrobiło się cicho i wszyscy wstrzymali oddech. A tymczasem król się rozchmurzył, lekko uśmiechnął i kiwnął głową na znak, że ceremonia ma przebiegać normalnie. - Panna d'Epernoy! Panna de Luynes!

Głośne wyczytywanie tych nazwisk oznaczało, że w regularnych odstępach czasu przesuwać się będą u stóp tronu tak samo sztywne i tak samo wystraszone twarze. Wciąż te same mądrale, najczęściej brzydkie - pomyślał król, raz jeszcze popuszczając wodze swoim myślom.

Jakże nienawidził tych ludzi i jakże wstrętne mu były ich aspiracje! Wydawało mu się, że dobrze zna ich gierki. Monarcha, choć młody, widział, co robią jawnie, a jeśli czegoś nie widział, potrafił to odgadnąć, gdyż kardynał przez wiele lat cierpliwie go tego uczył. Na myśl, że może już wkrótce stracić opiekuna, bo przecież chrzestny ojciec jest poważnie chory, a przy tym niektórzy ludzie mogą wykorzystać kardynała i ośmielią się spiskować przeciwko władzy, w młodym królu wzbierała złość i czuł zamęt w głowie. Być królem i rządzić samodzielnie - myśl ta przerażała go, a jednocześnie pociągała. Czuł prawie gorącą krew krążącą mu w piersiach i ramionach. Miał tę krew w sobie, podczas gdy Mazarini wyglądał tak, jak gdyby codziennie mu jej ubywało. Ta krew kipiała w nim, podczas gdy cień opiekuna stopniowo się zacierał, a jego uwagi były tylko szeptaniem bezsilnego już człowieka. Czy władza jest fluidem życia? - pomyślał

król w nagłym oszołomieniu, a chcąc odzyskać spokój, przymknął oczy.

- Panna de La Valliere.

W chwili, gdy Luiza podnosiła się z przykłąku, spojrzenie króla skrzyżowało się z jej wzrokiem.

- Wiem, panno de La Valliere, jak wiele ma pani zalet. Pani de Choisy nie szczędzi pani pochwał, a mój stryj, oby Bóg miał go w swojej boskiej pieczy, z najwyższym uznaniem wyraża się o pani rodzinie.

Luiza, słysząc, że król odzywa się do niej, wręcz osłupiała i swymi niebieskimi oczyma wpatrzyła się w monarchę. Uśmiechnął się, gdy Luiza, zrozumiałwszy, jak niestosowne było jej zachowanie, zarumieniła się i spuściła oczy.

Pomocy udzieliła jej królowa.

- Pochodzisz, pani, z Turenii? - zapytała łagodnie. Powiedziała to powoli, w jej głosie można było wyczuć wpływ ojczyznanego języka.

- Tak, Najjaśniejsza Pani, korzystając z łaskowości księcia Orleanu, wychowywałam się na zamku Amboise.

- Wyraźnie widać, że na dworze francuskim są sami wygnańcy, którym odebrano marzenia dzieciństwa - zażartowała królowa, zwracając się do męża. Król wysłuchał wprawdzie tę uwagę, ale się nie uśmiechnął.

Potem zwróciła się do Luizy:

- Jej Wysokość Henryka Angielska, przyszła żona Księcia Pana, ma to szczęście, że może włączyć cię, pani, do grona swoich przyjaciółek, które pomogą jej w poznawaniu tego nowego świata.

Luiza skłoniła się tylko i zeszła na bok. Wszyscy odprowadzali ją wzrokiem, a jej wydawało się, że wciąż jeszcze czuje gorący ślad spojrzenia królewskiego.

Niski, ubrany na czarno człowieczek o wylupiastych oczach usunął się przed nią w drzwiach, schodząc jej z drogi. Luiza prawie biegła do matki, która słysząc miłe słowa pary królewskiej, nie mogła powstrzymać łez i uciekła z sali, by ukryć wzruszenie.

Colbert wciąż stał na progu i podejrzliwie wpatrywał się w Luizę.

Saint-Mandé - piątek, 18 lutego, godzina ósma wieczorem

- Charles! Armand! Louis! Chodźcie tu, ucałujecie tatę i pójdziecie do łóżeczek.

Synowie naczelnego intendenta finansów - pięciolatek, czterolatek i ośmiolatek - jeden po drugim podchodzili do ojca, on zaś każdego całował w czoło. Potem rozeszli się, każdy do swojego pokoju.

Nicolas Fouquet przestrzegał tego zwyczaju. Dziś ceremonia ów miał się odbyć w wielkiej galerii, gdzie mieściła się biblioteka i gdzie pan domu przebywał już od godziny. Chłopcy przyszedli wraz z opiekunką, by jeszcze przez chwilę pobawić się u boku ojca. Fouquet lubił przychodzić do tego wspaniale urządzonego j?omieszczenia i cieszyć się tu widokiem dwudziestu siedmiu tysięcy dzieł, zebranych osobiście przez niego, w większości oprawionych w cielecącą skórę koloru płowego z inicjałami w kształcie splecionych liter NF. Część zbiorów tej biblioteki można było znaleźć też w innych pomieszczeniach i Fouquet był z niej bardzo dumny. Traktował ją jako zbiornicę powszechnej wiedzy i myślał o udostępnieniu jej publiczności, tak jak uczynił to sam Mazarini. Tego wieczoru podziwiał zbiór rękopisów arabskich, które niedawno kupił na wagę złota, usłuchawszy cennych rad swego przyjaciela, La Fontaine'a.

- Podano do stołu - oznajmił szwajcar w białych rękawiczkach, który specjalnie w tym celu przyszedł do biblioteki.

Naczelny intendent finansów wstał jakby niechętnie i karnie ruszył krok w krok za służącym, niosącym wspaniały kandelabr do oświetlenia drogi przez długie korytarze. Dom Fouqueta, położony w samym środku miasteczka Saint-Mandé, które gospodarz tak sobie upodobał, był ogromny, miał aż sześć podwórek i składał się właściwie z kilku budynków. Z zewnątrz wyglądał bardzo skromnie, natomiast wewnątrz sprawiało wrażenie eleganckiego pałacu. Minęli przedpokój, gdzie siały posągi Merkurego i Apollona, i weszli do jadalni, gdzie rzucała się w oczy fontanna z białego marmuru z figurką dziecka na szczycie.

- A gdzie pani? - zapytał gospodarz, posmutniawszy nagle na widok obficie zastawionego stołu, ale jednego tylko nakrycia.

- Pani już przed dwiema godzinami położyła się do łóżka i prosi pana o wybaczenie, ale przyczyną jej nieobecności jest... jej stan - odpowiedział zakłopotany nieco służący, choć spodziewał się takiego pytania.

Nicolas Fouquet westchnął. Marie-Madeleine znowu jest w ciąży, będzie więc musiał spożywać wieczerzę w samotności, czego bardzo nie lubił. Ożywił się w chwili, gdy szwajcar szykował się już do wyjścia z pokoju.

- Czy pan Molier tak jak zwykle czeka na mnie w galerii?

- Tak jest, wielmożny panie, kazałem mu powiedzieć, że przyjmie go pan po wieczerzy. Jest ze swoim sekretarzem.

- Idź po nich i przynieś nam kieliszki. Ci wesołkowie przynajmniej mnie rozerwą swoją gadaniną. Jestem pewien, że poczują się dumni, mogąc napić się ze mną wina z moich winnic z Thomery.

Galeria, w której znajdowali się dwaj goście, wychodziła na ogród i zdobiły ją marmurowe posągi bogów olimpijskich. Dekorację uzupełniały dwa olbrzymie sarkofagi egipskie, jeden z bazaltu, drugi z wapienia, ustawione po przeciwległych stronach galerii. Przychodzący tu goście zawsze byli pod wielkim wrażeniem tych wspaniałych trumien, zakupionych przez gospodarza w Marsylii.

Molier, przyzwyczajony do długiego czekania, do którego Fouquet zmuszał petentów, i niezbyt wrażliwy na urok starożytności egipskich, już od prawie godziny wiódł ożywioną rozmowę z Gabrielem. Chciał mieć przy sobie sekretarza, jak gdyby miało mu to pomóc w odzyskaniu pewności siebie po nieudanej premierze swojej nowej sztuki. Widmo niepowodzenia *Don Garcji z Nawary* niepokoiło go, wiedział bowiem, że choroba kardynała Mazariniego odbijała się na sytuacji królestwa, a więc szczodrość mecenasów stawała się nader niepewna.

- Widzisz, drogi panie Gabrielu, jak bardzo nam, artystom, szkodzą te okresy intryg politycznych. Nierzadko stajemy się zakładnikami zależnymi od wpływowych osób, które nie doceniają naszego talentu, bo dla nich liczą się tylko zyski. Na szczęście wierzę, że pan naczelny in-

tendent mnie nie zwodzi. Robi wszystko, żeby zapewnić sobie przyszłość na dworze - rzekł, zniżając nagle głos na widok wchodzącego szwajcara.

- Dostojny pan zaraz panów przyjmie. Proszę za mną.

Molier, zdziwiony tak nagłym skróceniem oczekiwania na audiencję, wstał, to samo zrobił Gabriel, przejęty, że oto niebawem znajdzie się w samym środku apartamentów pierwszego finansisty Francji.

- Siadajcie, panowie - odezwał się Fouquet, wskazując na ustawione przed nim dwa fotele, a szwajcar nalewał w tym czasie nowo przybyłym słynne wino w kieliszkach z czeskiego kryształu.

- Jak panowie widzicie - podjął Fouquet, pokazując gościom ociekające tłuszczem palce - próbuję właśnie tych słynnych szparagów, za którymi Ludwik XIV tak bardzo przepada. Warzywo to jest obecnie w modzie, a mój drogi Vatel bardzo mi je wychwalał. Przyznaję, że bardzo je lubię, ale, na honor, mógłbym zjeść ich całą furę, a jeszcze bym się nie nasycił. Myślę jednak, drogi panie Molier, że przychodzi pan do mnie nie z przyczyn gastronomicznych.

Molier, wyraźnie zakłopotany rolą widza obecnego przy wieczerzy ministra, odkaszlnął, wypił łyk wina i dopiero wtedy się odezwał.

- Przybyłem tu, by opowiedzieć Waszej Ekscelencji o sposobie, w jaki przejąłem w styczniu teatr Pałacu Królewskiego. Pragnąłbym wyrazić również swoją wdzięczność za zaufanie, jakie Wasza Ekscelencja raczył mi okazać przy tej sposobności.

- Słyszałem - wtrącił delikatnie Fouquet - że pańskie ostatnie przedstawienie nie cieszy się takim powodzeniem, jak oczekiwano na początku sezonu. Czy jest to złośliwa plotka, czy raczej stepiło się panu pióro, któremu zawdzięcza pan triumf *Pociesznych wykwintnisi*

Pozbywa się mnie - pomyślał natychmiast Molier, tak zaszokowany, że nie potrafił udzielić żadnej sensownej odpowiedzi na ten zarzut. Gabriel, widząc rozpacz w oczach zwierchnika, odważył się na coś niewyobrażalnego.

- Dostojny panie, niech mi wolno będzie zauważyć, że miałeś rację, i pan Molier, tak jak i pan, rzeczywiście boi się, że mogła to być poły kto wana nienawiścią intryga.

Fouquet, zaskoczony zuchwałą wypowiedzią Gabriela, choć wyrażoną w bardzo grzecznej formie, przerwał żucie kurzego udka. Molier zaś, przerażony śmiałością swego młodego sekretarza, poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami.

- Ten godny pożałowania pan Berryer - podjął Gabriel, tym razem naprawdę pewny siebie - tylko po to zjawił się ze swoimi zbirami na premierze sztuki, żeby wywołać burdy na widowni. Czy przypadkiem nie działa on w interesie pewnych wysoko postawionych osobistości, które korzystając z chwilowej słabości Jego Eminencji kardynała, podsycają tę intrygę? Przed chwilą tu, w pańskiej galerii, mój zwierzchnik mówił mi jeszcze, jak bardzo czuje się zaszczycony, widząc w panu swoją niezawodną podporę oraz tarczę, którą wrogowie Waszej Dostojności tak zawzięcie atakują.

Molier, tym razem wręcz zachwycony zręcznością Gabriela, spoglądał kątem oka na Fouqueta, czekając na jego reakcję. Naczelny intendent tymczasem przyczerniał sobie cienkie wąsiki, po to, by nadać swojemu dość dużemu nosowi bardziej harmonijne kształty. Ten chłopak ma głowę - pomyślał.

- Wiesz, Wasza Dostojność, że w każdej sytuacji możesz na mnie liczyć - podjął Molier, obudzony z letargu i uspokojony brakiem reakcji gospodarza.

- A ja - odparł naczelny intendent, otrząsając się z zamyślenia - raz jeszcze dam panu dowody swego zaufania. Wiesz, panie Molier, jak wysoko cenię wartość poznawczą pańskich utworów. W tej materii niewielu współczesnych podziela moje poglądy, a wśród podobnych mi jest ich jeszcze mniej. Czegóż pan chcesz, marzy mi się świat, gdzie teatr w wielu przypadkach uzupełniać będzie brak wykształcenia, bez czego królestwo nie może się bogacić. Nadal więc jestem gotów pomagać panu w pokonywaniu wszelakich trudności. Przede wszystkim podwyższam panu wynagrodzenie do wysokości dwóch tysięcy liwrów. Udasz się pan jutro do pana de Gourville'a, a on wypłaci ci tę sumę. Chcę również prosić pana o napisanie dla mnie nowej sztuki, dla godnego uczczenia końca prac, które podjąłem przed kilku laty na swoich włościach w Vaux. Chciałbym mieć jakąś wesołą komedyjkę, która rozba-

wiłaby latem dwór królewski. Masz pan na to sześć miesięcy! - zakończył minister, napoczynając z wielkim apetytem następne kurcze udko.

Molier odetchnął z ulgą, dyskretnie skinął na Gabriela, po czym obaj skłonili się i wyszli.

Kończąc posiłek, Nicolas Fouquet nie czuł się pewnie. Szczerłość tego nieznanego mu nawet z nazwiska chłopaka o szlachetnym spojrzeniu obudziła w nim teraz głęboko ukryte i nurtujące go podejrzenia. On, najpotężniejszy i z pewnością najbogatszy po Mazarinim człowiek w królestwie, on, wierny sługa króla i ulubieniec Anny Austriaczki, on, z którym każda wpływowa osobistość tego kraju powinna by się liczyć, on, Nicolas Fouquet, byłżeby celem spisku ukutego przez tego drobnego, nędznego buchaltera, Colberta? Nie - pomyślał, dopijając wino -to niemożliwe i do tego nigdy nie dojdzie.

Wracali już do Paryża, wyjechali właśnie z miasteczka Saint-Mande. Molier westchnął, spojrzął na Gabriela i uśmiechnął się smutno, ale z uczuciem.

- Dziękuję - powiedział tylko.

Chłopak milczał. Wpatrywał się w zaśnieżony krajobraz wiejski, oddzielający ich od stolicy, i pomyślał, przeżywając raz jeszcze ten niezwykle wieczór, że chyba podoba mu się ta przemyślana gra o władzę.

19

Kościół feliantów - sobota, 19 lutego, popołudnie

Colbert przyspieszył kroku. Chciał zdążyć na nabożeństwo. Cały się trząsał pod uderzeniami mroźnego wiatru. W powietrzu czuć było przejmujący chłód, a lód pokrywał już większość stołecznych uliczek, w wyniku czego jezdnie stawały się jeszcze bardziej zdradliwe.

Jacques Bénigne Bossuet, wchodząc na ambonę, myślał nie tyle o swoich nogach, ile o rękach. Chłód panujący w zakrystii kościoła feliantów sprawił, że gdy rozmyślał i czekał na rozpoczęcie kazania, dłonie całkowicie mu zgrabiwały i teraz nie był w stanie ich rozgrzać. Przypomniawszy sobie zimowy dzień roku 1659, kiedy to z okazji poświęcenia kościoła po raz pierwszy wszedł na tę właśnie ambonę. Jakże odległy w czasie był ten pierwszy dzień jego chwały w Paryżu, a jeszcze odleglejsze były lata, kiedy pobierał nauki w Metz! Zaciskając zęby, spojrzawszy na milczące rzędy słuchaczy. Tu i ówdzie dostrzegał znajome postaci, gdzieś zauważał sławne. Odwrócił się, wykonał głęboki wdech, położył przed sobą cienkie karteluski z notatkami i rozpoczął...

- Trzeba, moi bracia, by przyszła tu sama z własnej woli, przyciągnięta przez wielkość rzeczy, i po to, by objaśnić nam słowa mądrości.

Colbert aż drgnął, uświadamiając sobie, że stracił wątek wystąpienia. Ogarnęła go nieufność i poczuł się nieswojo. Spojrzawszy z ukosa na sąsiadów i zauważył, że uważnie wsłuchiwali się w czysty głos małego, drobnego kaznodziei.

- Zbyt wyszukane - mruknął do siebie - zbyt subtelne w rozumowaniu i zbyt anielskie...

W głowie miał tylko podwójną księgowość i kręte ścieżki, po których w systemie Mazariniego krążył pieniądź, myślenie o tym stało się już jego obsesją. Gwałtownym ruchem wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął notatnik i małym ołówkiem zapisał gorączkowo trzy nazwiska, które trzeba będzie sprawdzić. W rozdrażnieniu zauważył, że nie potrafi przypomnieć sobie tematu kazania, które głośno i rytmicznie wygłaszał właśnie Bossuet.

- Jakaż to jednak mądrość? - ciągnął kaznodzieja. - Jakimże sposobem umysł boski otwiera się na inteligencję ludzką? Wymowa jest przyjaciółką sztuk, polityki i poezji, czyli tych dziedzin działalności ludzkiej, gdzie inspiracja jest niedoskonała. W czymże wymowa ta, mająca ukrywać słabości naszego niedoskonałego rozumu, mogłaby uznać, że przydaje się trochę w wyrażaniu samej prawdy i doskonałego objawienia? Czyżby dzieło Naszego Pana było ludzkie, żeby trzeba je było ozdabiać? Odpowiedź na to pytanie znajdziecie, bracia, w prze-

mianie, jakiej musimy dokonać, opierając się już nie na słowie bożym, ale na uchu i oku, do których słowo to się zwraca. Zaprawdę powiadam wam, słowo boże nie potrzebuje ozdób, by się ozdobić, ale osłon, by jego blask nie przeraził biednych ślepców, którym raczy się ono objawić. A jakaż to przyczyna, dla której trzeba objaśniać Pismo Święte? Taka, że olśniewa nas ono swoją niewzruszalną i bezwzględną dokładnością i jest kamieniem węgielnym, na którym wszystko zostało zbudowane. To na nim opiera się nauczanie Kościoła Świętego, Matki Naszej, i promieniuje z niego władza królewska, to ono jest fundamentem i prawem.

Colbert z zadowoleniem uporządkował swoje zapiski. Przypomniał sobie nagle temat - ten nędzny intrygant Bossuet mówi nam o wymowie i słowie bożym. Kogo zamierza oszukać? - pomyślał z uśmiechem, nie mogąc powstrzymać się od przypisywania bliźnim swoich ambicji. - A poza tym czy przemawia do Ducha Świętego, czy do siedzącej w pierwszym rzędzie królowej matki?

Colbert rozgrzewał się w ciszy, zdradzały go tylko niekontrolowane ruchy nóg. Do licha, mów, mów, szanowny księżu kaznodziejo, bardzo mnie to cieszy. A ja sobie liczę. I zobaczymy...

Przymrużył oczy i już całkiem się uspokoił. Znowu zaczął śledzić rytm słów.

Kosmyk wysuwających się spod mantylki jasnych włosów nie pozwolił mu jednak skupić uwagi. Znowu poczuł, że coś się w nim gotuje. Błada dłoń, która zaczęła poprawiać niesforny kosmyk, i lekki ruch głowy, który odsłonił uroczy profil, potwierdziły jego spostrzeżenie -rzeczywiście była to Luiza de La Valliere. Siedziała na jednej z ławek ustawionych na lewo od chóru, na wprost ambony. Gąska - pomyślał Colbert, niczego nie zapominając ze słów króla. - Wygląda tak, jakby była gotowa na wszystko, a oni... - Tu urwał mu się tok myśli. Spojrzał spode łba na Bossueta. Drobiazg, Perrault mi to wyjaśni. Ta intrygantka i ten drobny aktorzyzna...

Zmartwiał, czując, że czyjaś ręka chwyta go za ramię.

- Perrault! - powiedział, zaskoczony. - Co cię tu sprowadza?

- Są nowe wieści, panie.

Colbert skrzywił się, a oczy postawił w słup, pokazując w ten sposób, że sytuacja wydaje mu się niezbyt stosowna. Perrault udał, że nie rozumie tych min.

- Fouquet - szepnął prawie niedosłyszalnie. - To pan Fouquet, panie...

Colbert natychmiast znieruchomiał i kiwnął tylko głową w stronę przedsionka świątyni.

Gdy znaleźli się na schodach przed kościołem, zmroził ich podmuch ostrego wiatru.

- No i co z tym Fouquetem? - spytał nerwowo Colbert.

- Dziś wieczorem przyjął u siebie w Saint-Mandé tego młodego człowieka, o którym mówiliśmy.

Colbert uśmiechnął się złowrogo.

- Długo dyskutowali niby to o mecenacie i teatrze. Niestety, nie udało mi się wszystkiego dokładnie zrozumieć.

Colbert pokazał ruchem ręki, że niespecjalnie go to obchodzi.

- A ten chłopak to kto?

- Jeszcze to sprawdzam, Ekscelencjo - odpowiedział Perrault, schylając głowę.

Colbert słuchał go, a jednocześnie zaczynał się zastanawiać. Intuicja go nie zawiodła! Fouquet o coś zabiegał, chciał się czegoś dowiedzieć...

- Ale czego... - syknął między zębami. - Muszę wiedzieć, czego. Zacisnął pięści i nawet nie zauważył, że mówi już głośno.

- Ukrywają coś przede mną.

Perrault zaniepokoił się, a zrozumiałwszy tylko niektóre słowa, nie wiedział, co ma powiedzieć.

Colbert dość oschle go odprawił.

- Chodzi mi o tego chłopaka, nie spuszczaaj go pan z oka. Zegnam. Popatrzył za oddalającym się szybko Perraultem, który starał się nie poślizgnąć na stopniach i wkrótce zniknął za rogiem. Colbert odwrócił się i ujrzał, że drzwi kościoła się otwierają.

- Amen - powiedział, żegnając się machinalnie.

Potem szybko ruszył przed siebie, nie czekając, aż pierwsi wierni zaczną wychodzić.

Ulica Saint-Antoine - poniedziałek, 21 lutego, godzina piąta rano

Przed świtem zrobiło się mroźno. W oczach człowieka, który przemykał się ulicą Saint-Antoine wzdłuż zamkniętych o tej porze kramów, pojawiały się gorączkowe błyski. Od czasu do czasu, nie mogąc opanować niepokoju i podniecenia, rozglądał się dookoła i sprawdzał, czy jest sam wśród tych pokrytych lodem ulic. W ręce trzymał drewniany młotek, a pod płaszczem ukrywał płócienną torbę. Ten poranny przechodzień co kilkanaście kroków zatrzymywał się - na ogół przed drzwiami jednego z kościołów albo przed drewnianą okiennicą -i przybijał tam wyjętą z torby ulotkę. Autorem wszystkich tych pisemek był człowiek o różnobarwnych oczach, a po napisaniu ich uznał, że osobiście powinien rozlepić je tej nocy na terenie Paryża.

Od kilku już dni odczuwał wyrzuty, że nie wywiązał się z obowiązków i nie dostarczył tego, czego oczekiwał jego zwierzchnik. Martwił się również, stwierdzając, że zwierzchnik ten jest przeciwnikiem rozwiązań radykalnych i nie myśli o zamordowaniu kardynała. Nie mogąc odzyskać zagubionych dokumentów, człowiek o różnobarwnych oczach zaczął wspominać swój nieosiągnięty cel. Nie zrozumiał wtedy wszystkiego, ale przeglądając dokumenty przed ich oddaniem, zdołał dostrzec w nich fragmenty zdolne rozbudzić w nim gniew i coraz silniejszą chęć działania.

Król będzie musiał ulec, jeśli Paryż zbuntuje się i odstąpi szwindle lego Włocha. A oto tekst, który zmusi tych panów do działania - pomyślał, jednym gniewnym ruchem przybijając na drzwiach do zakładu szewskiego ostatni egzemplarz ulotki. Nie odwracając się, cisnął pustą torbę na bruk, ostro ruszył przed siebie i wkrótce zniknął za zakrętem wąskiej uliczki.

W kilka godzin później, a więc wczesnym rankiem, Gabriel de Pont-briand wyszedł ze swojego mieszkania przy ulicy Lions Saint-Paul i po-

czuł, że rozpiesza go radość. W niemałym stopniu przyczyniały się do tego regularne odwiedziny Luizy. Przyjaciółka z czasów dzieciństwa nie poprzestała na jednym spotkaniu. Była już u niego wiele razy, dzielili się wspomnieniami, opowiadała mu również o tym, co zobaczyła na dworze. Gabriel był zachwycony zbliżeniem i do głębi wzruszony jako jej powiernik. Okazji do radości dostarczył mu także Molier. Gabriel ujrzał w nim swojego dobroczyńcę, otrzymując rolę w sztuce zamówionej przez naczelnego intendenta finansów na uroczystość zakończenia prac nad zamkiem w Vaux-le-Vicomte. A zatem - pomyślał Gabriel, wychodząc z mieszkania - już wkrótce zostanę aktorem, będę grywał przed królem i spełnią się moje marzenia. Myśl ta wywołała na jego twarzy uśmiech.

- Jaki pan dzisiaj wesoły, panie Gabrielu - powiedziała mu młoda praczka, dzień w dzień niecierpliwie czekająca na jego wyjście, tak bardzo podobał się jej ten śliczny chłopak. - A tymczasem w Paryżu mamy smutek, w mieście mówi się o rychłej śmierci kardynała Mazariniego i o dworskich intrygach. No, ale pan z pewnością wiesz o tym więcej niż ja, masz pan przecież tyle znajomości - dorzuciła nieco przewrotnie dziewczyna, czyniąc aluzję do częstych odwiedzin Luizy.

- Mylisz się, droga Ninon, niczego nie wiem, a król nigdy mi się nie zwierza. Jestem wesół, bo miło mi panią ujrzeć - odparł uroczy Gabriel, klepiąc praczkę po jej rumianym policzku.

Wybierał się właśnie do szewca, u którego zostawił parę starych butów, licząc, że po naprawie jeszcze przez kilka miesięcy w nich pochodzi. Lubił towarzystwo tych prostych ludzi i chętnie spacerował po gwarnych i pełnych życia ulicach stolicy. Kontrast między dworem, oglądanym wieczorami w teatrze, a ulicą, na której czuł się tak swobodnie, wyraźnie go ekscytował. Czuł upajający zapach Paryża. Wchodząc do szewca z ulicy Saint-Antoine, głęboko wciągnął w nozdrza wyczuwalną w całym warsztacie woń wyprawianej skóry. Warsztat mistrza Louveta był duży i doskonale urządzone, pracowało tu wielu czeladników i uczniów. Na widok wchodzącego Gabriela właściciel, ceniony rzemieślnik, mający bardzo wielu klientów wśród szlachty paryskiej, przerwał pracę.

- O, pan Gabriel, jak miło ujrzyć pana tak rano! Pańskie buty gotowe, ale nie mogę dać gwarancji, że wytrzymają dłużej niż do wiosny. Zdarły się tak jak gardło pana kardynała.

- Mimo wszystko dziękuję - odparł Gabriel, odbierając podawaną mu przez majstra paczkę.

- O właśnie, a widział pan tę ulotkę? - zapytał majster, podając Gabrielowi zapisaną kartkę papieru. - Znalazłem ją dziś rano na drzwiach tego warsztatu, zna ją już cała stolica.

Gabriel wiedział, że tego rodzaju pisemka były szeroko rozpowszechnione w czasie Frondy, czyli przed kilku laty. Autorzy tych pamfletów, znanych jako mazarinady, mogli w ten sposób z mniejszym czy większym talentem wyrazić swoje poglądy i zaatakować ludzi sprawujących chwilowo władzę. Gabriel nigdy jeszcze nie widział tych świstków, był więc ciekaw ich treści.

Połączmy przeto nasze głosy, tak by dotarły aż do Nieba, i niech siła naszych okrzyków rozpruje powietrze, niech martwe ptaki spadną na rozstawione wzdłuż ulic stoły, niech na wszystkich skrzyżowaniach wytrysną strumienie wina z Grave, malmazji i hipokrasu. Słońce nie oświetla jedynie przestrzeni powietrznej, a ciepłem swoich promieni ogrzewa nie tylko powierzchnię naszego globu, tak by rozwijały się rośliny i cieszyły się zwierzęta. Ono sięga swoim wpływem aż do wnętrza ziemi i ukazuje swoją moc, tworząc metale, minerały i szlachetne kamienie, a my tego nie potrafimy. Raduj się, Paryżu, i ciesz się, bo oto wraca do ciebie twój Mesjasz, jego nieobecność nappełniła cię smutkiem i żalobą, jego obecność przyniesie ci radość, wzbogaci cię również wszelkimi wspaniałościami i chwałą. Nadchodząca potem obfitość dostarczy ci więcej, niż kiedykolwiek, materiału na twoje rozkosze, a towarzysząca jej sprawiedliwość sprawi, że odzyskasz należne ci dobra. Siła, która ją otacza, wzmocni bardziej, niż kiedykolwiek, kolumny twojego spokoju. A wreszcie spokój spełni najmocniej oczekiwane życzenia i zapewni ci radość z zaspokojenia najgorętszych twoich pragnień.

Ciąg dalszy dokumentu w podobnie zawiłym stylu zapowiadał nadejście Mesjasza, mającego „ukarać możnych, którzy zdradzili swojego Pana”.

Ten długi tekst ujawniał przede wszystkim „niesłychane” wzbogacenie się kardynała i króla. Jako dowody autor przytoczył liczby i daty dotyczące w szczególności zakupionej przez państwo broni dostarczonej przez dostojnego kupca Maximiliena Pitona. Transakcja ta, poświadczona przez niepodpisane pokwitowanie, umożliwiła podwójną buchalterię i przelew kwot, których wysokość znacznie przekroczyła wystawiony rachunek.

W ulotce dziwnym trafem było również wiele szczegółów oskarżających Mazariniego o to, że działając przez podstawione osoby i podpisując sporo listów rozrachunkowych inkasowanych w całej Europie, przywłaszczył sobie kilkaset tysięcy liwów. Nadto w ulotce była mowa o podejrzanym sprawie położonych w Paryżu nieruchomości, zakupionych za psie pieniądze od skarbu królewskiego, bo przecież w Paryżu wszystkie wolne tereny były własnością króla, i odsprzedanych w niezmiennym stanie z ogromnym zyskiem.

- Przez tę samą bandę - szepnął szewc. - Przez Berryera, czyli przez Colberta, a zatem i przez Mazariniego... Mamy tu potwierdzenie tego, co lud przeczuwał. Autor był zapewne dobrze poinformowany, ale na jego miejscu wystrzegałbym się policji kardynała. Zabawa w taką literaturę grozi utratą głowy.

Na dźwięk nazwiska Berryera Gabriel drgnął, zachował jednak milczenie. Zapłacił za usługę i wyszedł. Minę miał ponurą. W trakcie czytania ulotki przyszła mu do głowy pewna myśl. Zniknięcie ojca, zaszyfrowane dokumenty schowane w jego pokoju, policja przeszukująca teatr, napad na starego dozorcę i ta oskarżycielska ulotka - wszystkie te wydarzenia mieszały się w jego umyśle, a nie potrafił dokładnie określić łączącego je związku, choć czuł, że takowy istnieje. Stanął przed otwartym oknem, na brzegu którego mały kotek bawił się kłębkami wełny. Wziął zwierzątko w ręce i pogłaskał je.

- A ty co o tym myślisz? - zwrócił się do kociaka, który znalazł sobie teraz zabawę w wyginaniu się we wszystkie strony.

W zamyśleniu wypuścił kota z rąk i patrzył z roztargnieniem, jak zwierzątko ucieka co sił w łapach, ciągnąc za sobą rozwinięty kłębek wełny.

- Nie warto było ciągnąć za nitkę - mruknął do siebie. - Kłębek, który mnie interesuje, wcale nie jest mniej pogmatwany.

21

Ulica Saint-Merry - piątek, 25 lutego, godzina jedenasta rano

Nicolas Fouquet z roztargnieniem spoglądał przez okno swojej karety na brzegi Sekwany i widział skomplikowane ruchy promów i statków. Pływały tak, że prawie się dotykały. Pogrążony w myślach Fouquet nie zauważył nawet zbiegowiska przed kościołem Saint-Germain, wywołanego pogłoską o znalezieniu jeszcze jednego egzemplarza tej dziwacznej ulotki wymierzonej w kardynała, o czym głośno było w całym Paryżu. Otoczony eskortą Fouquet ostrożnie przecisnął się przez tłum gapiów, wjechał w ulicę Saint-Merry i zatrzymał się na rogu ulicy Saint-Martin. Czelaź otworzyła oba skrzydła wspaniałej bramy i kareta wjechała do środka. Podbiegł służący. Pojazd jeszcze przez chwilę się toczył, a Fouquet jakby z żalem budził się z marzeń.

- Panie naczelny intendencie, wielki to splendor dla mojego domu... Mały, drobny człowieczek, który wypowiedział te słowa, wysunął

się do przodu i wciąż nisko się kłaniał gościowi, prawie składając przy tym ręce.

- ...i jestem tyleż zmieszany, co szczęśliwy, mogąc powitać tu pana... Jego ciemna, pomarszczona skóra, zapadnięte policzki, chude ręce i prosty czarny strój nadawały mu wygląd człowieka Wschodu; wrażenie to łagodził tylko jego ciepły głos.

Teraz skłonił się również Fouquet, lekko wysunął się przed gospodarza i poszli razem w stronę podjazdu.

- Chodźmy, panie Jabach, chodźmy. Wie pan, jak bardzo pragnąłem obejrzeć pańskie zbiory. Niech zobaczę, czy istotnie przewyższają wspaniałością zbiory pana kardynała.

Człowieczek zakrył sobie twarz rękami.

- Ależ, panie naczelny intendencie! - wykrzyknął. - To bardzo brzydko tak sobie dworować ze starego człowieka. Ja miałbym rywalizować z Jego Eminencją?

Fouquet zdawał się nie słyszeć tych słów, świadczących o niezwyklej skromności gospodarza.

- Jestem przywalony pracą, panie Jabach. Gdyby nie to, już wiele miesięcy temu odpowiedziałbym na pańskie zaproszenie.

Jabach napuszył się.

- Proszę, zechce pan wejść - rzekł, pokazując na kamienne schody zajmujące część przedsionka, gdzie posadzka wykonana była z białego marmuru wysadzanego czarnymi ćwiekami.

Idąc, krótkonogi gospodarz musiał szybko dreptać i zaczynał już sapać, Fouquet natomiast rozmyślał o życiu tego niskiego człowieczka. Jabach po przyjeździe przed dwudziestu laty z Neapolu dorobił się olbrzymiego majątku, miał bowiem znakomity węż i zawsze potrafił stawiać na tych, którzy wygrywali wojny zarówno na lądzie, jak i na morzu, a ich okręty nigdy nie tonęły i nie padały łupem piratów. Tam, gdzie wielu podobnych mu dawało się wplątać w interesy, które w wykonaniu ludzi nieudolnych stawały się nieopłacalne, Everhard Jabach nie pomylił się nigdy, nigdy również nie starał się wychodzić z cienia, gdzie wiodło mu się całkiem dobrze. W dwadzieścia lat po założeniu swojego pierwszego przedsiębiorstwa i w dziesięć lat po uzyskaniu praw obywatelskich za oddane Koronie usługi był obecnie największym kolekcjonerem dzieł sztuki w Paryżu. I najbardziej tajemniczym - po myślał Fouquet, przechodząc przez ogromną salę balową, gdzie na ścianach wisały dziesiątki obrazów.

- Wspaniałe - powiedział skromnie.

Zagadkowy uśmiezek na wargach Jabacha był znakiem, że wcalinie o to mu teraz chodzi i że nie trzeba się tu zatrzymywać. Potem, z ciekawością oglądając się za siebie, poprowadził oszołomionego Fon-

queta do ukrytych w ścianie drzwi obok oryginalnego kominka, ustawionego na dwóch wykutych z czarnego kamienia olbrzymach.

Gospodarz, uchylając drzwi, uruchomił jednocześnie niewidoczny mechanizm. Zatrzymał się potem i odwrócił, a uśmiech zamarł mu na twarzy.

- Dostojny panie, wstydzę się tak do pana mówić, ale muszę dbać o interesy swojej rodziny. Proszę więc o zachowanie całkowitej dyskrecji na temat tego, co teraz pan ujrzysz, gdyż tylko dyskrecja zapewnia mi bezpieczeństwo. Znasz pan złośliwość ludzką, wiesz, co ludzie mówią i ile podłych oszczerstw wygłaszają, całkowicie bez podstaw, jedynie przez zawiść - mówił, pokazując gościowi wejście do ukrytego pomieszczenia.

Fouquet chłodno, ale uprzejmie odpowiedział:

- Ja niczego nie rozpowiadam, mnie możesz się pan nie bać. Na gadanie nie mam ani czasu, ani chęci, a gdybym nawet kiedyś miał, to przez tyle lat mnie szkalowano, że raz na zawsze oduczyłem się...

Nagle przerwał i stanął jak skamieniały. Miał przed sobą niewyobrażalnie wspaniałą galerię malarstwa i rzeźby, rozjaśnioną jedynie światłem olbrzymich kandelabrow z brązu.

- Wielki Boże!...

Z zachwytu aż krzyknął. Tycjan, Giorgione, Correggio, Rafael, Bellini, Leonardo da Vinci... Fouquet mijał kolejne obrazy i wydawało mu się, że czuje zawrót głowy.

- Rozumiesz pan teraz, panie naczelny intendent, sens moich słów. Widzisz pan również, jak bardzo mu ufam. Niewielu ludzi tu weszło do tego mojego raju. Wielu ogląda moje zbiory, prawie nikomu nie pokazuję tych skarbów. Masz pan przed oczyma całe moje życie, kwintesencję tego, co jest dla mnie przyjemnością. Już od dwudziestu pięciu lat, od dnia, kiedy prowadzony przez van Dycka wszedłem do podobnego pomieszczenia w Londynie, żyję tylko po to, by zdobywać najpiękniejsze dla mnie obrazy. Widzisz pan to *Złożenie do grobu* i tych *Pielgrzymów z Emaus* Tycjana? - mówił, kierując naczelnego intendenta ku dwóm połyskującym w półcieniu płótnom. - Szukałem ich przez całe lata, należały do tego nieszczęśliwego króla Anglii, Karola I,

zdażyłem kupić je od niego, zanim zginął na szafocie. Czy wyobrażasz pan sobie coś piękniejszego?

Fouquet przez chwilę milczał i z zapartym tchem chodził od jednego obrazu do drugiego, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

- Dziękuję, panie Jabach - powiedział, odwracając się w stronę gospodarza. - W tym nagromadzonym tu pięknie można wyczuć rozgrzewającą serce energię. Pański gabinet jest miejscem nadziei dla tych, którzy wierzą w człowieka i wierzą również, że potrafi on nie ulegać bez przerwy ciągnącym go w dół instynktom.

Zakreślił ręką łuk obejmujący wszystkie obrazy.

- Jakże nie wierzyć w prawdę i w jej siłę, mając przed sobą taki widok? Jakiż umysł może się oprzeć przekonaniu, które zawdzięczamy temu absolutowi równowagi i harmonii? Być może wybrałeś pan mądrość, nie chcesz pan nikomu się pokazywać, bo to byłoby szaleństwo, i wolisz pan bez rozgłosu uprawiać tu swój potajemny ogródek.

W czarnych oczach Jabacha pojawił się nagły błysk, zaprzeczający uśmiechowi.

- Widzę, dostojny panie, że naprawdę kochasz sztukę, i myślę, że dobrze zrobiłem, wprowadzając cię tutaj. Niech błogosławione będą miejsca, gdzie wielcy tego świata rozprawiają jak filozofowie. Mam zasadę - ciągnął Jabach - ale dotyczy ona tylko tego pokoju. Prawie zawsze przychodziłem tu sam, przyzwyczailem się więc do całkowitej swobody.

Spojrzał zdziwionemu gościowi prosto w oczy.

- Czy zgodzisz się pan stosować tę zasadę, dopóki znowu nie znajdziemy się za tymi drzwiami? - zapytał bankier, pokazując ciężkie drewniane skrzydło drzwi, które sam zamknął za sobą i Fouquetem.

Fouquet skinął potakująco głową.

- Doskonale. Czy sądzisz zatem, dostojny panie, że ja z własnej woli postanowiłem tak cicho się zachowywać? Wcale nie! Była to konieczność, bez niej nie mógłbym przeżyć. Ludzie nie kochają mnie, panie naczelny intendencie. Potrzebują mnie, moich pieniędzy i umiejętności, ale nie zapraszają mnie do siebie. Spotykają się ze mną wieczorem, gdzieś w ustalonym miejscu. A jednocześnie nic o mnie nie wiedzą. Kto

słyszał, że w Anvers znałem Rubensa i przyjaźniłem się z nim? Nikt. Czegóż pan chcesz? Z Jabachem nie siada się do stołu.

Fouquet starał się nie okazywać zmieszania. Taka więc była słabość tego tajemniczego Jabacha. Człowiek, na którego dyskrecji opierała się potęga mocarzy i któremu tak wielkie przypisywano wpływy, marzył o tym, by wejść do towarzystwa dworzan.

- Pokazałeś mi pan swój ukryty ogród, będę więc szczęśliwy, mogąc pokazać panu swój, znajdujący się pod gołym niebem. Nie przyjechałbyś pan do Vaux? Podam panu dokładną datę, ale gości zamierzam tam przyjmować dopiero wtedy, gdy prace budowlane będą już na ukończeniu.

Jabach skłonił się z uśmiechem, a Fouquet mówił dalej:

- Uznaję również pańską zasadę życiową w tym, co dotyczy tego pomieszczenia. Czy jednak nie zechciałbyś pan porozmawiać ze mną o innych sprawach, tych, które mnie tu sprowadziły?

W oczach Jabacha pojawiła się nieskrywana pożądlivość.

- Skoro, dostojny panie, tak sobie życzysz... Czy jednak rozsądne jest tak otwarte mówienie o interesach?

- Sytuacja jest tak prosta, że ryzyko nie może być duże. Potrzebuję miliona liwrow i muszę je pożyczyć w terminie ośmiu dni.

Jabach chwycił się dłonią za podbródek i westchnął.

- Musisz je pan pożyczyć? - zapytał podejrzliwie. - Pożyczka wymaga jasności, dostojny panie. Czy to pan bierzesz kredyt, czy król? Bo jeden z tych kredytów jest dobry, ale drugi... już mniej. Kredyt to zobowiązanie - dodał, wskazując ściany i drzwi. - A ja już widziałem niespłacone pożyczki, widziałem również, jak papiery wartościowe gwarantowane przez skarb państwa traciły nagle wszelkie gwarancje i stawały się bezwartościowe.

Fouquet poczuł, że wzbiera w nim gniew. Zasady są proste i ten łobuz potrafi się do nich stosować - pomyślał.

- Pożyczkę biorę na swój rachunek, panie Jabach, daję również gwarancję, że zostanie zwrócona z mojego majątku. Jednakże pieniądze te zostaną wykorzystane na potrzeby króla.

Jabach skrzywił się z powątpiewaniem.

- Strasznie się pan narażasz, dostojny panie... Korona bardzo ciąży temu, kto nie jest jej właścicielem... A wdzięczność królów...

Fouquet przerwał mu jednak ruchem ręki.

- Skończmy z tym, panie Jabach. Co do pożyczki, zgoda, ale są obszary, na które lepiej nie wchodzić. Powinieneś pan tylko wiedzieć, że wierność i oddanie w tej czy innej sprawie niekoniecznie idą w parze z zaślepieniem. A co dotyczy reszty, to już sobie poradzę. Dwadzieścia lat praktyki w finansowaniu wojny wiele mnie nauczyło.

Jabach rozchylił dłonie i uśmiechnął się na znak zgody.

- A więc porozumieliśmy się, dostojny panie, ale to pan kierujesz sprawą i niech mnie Bóg strzeże, żebym wiedział coś więcej. Dostaniesz pan swoje pieniądze. No, powiedzmy... pieniądze - poprawił się, wskazując drzwi.

One zaś jakby cudem znowu się obróciły.

Pierwszy wyszedł Fouquet. W chwili gdy przekraczał próg, obejrzał się za siebie, by ostatni raz popatrzeć na *Madonnę* Rafaela.

22

Zamek w Vincennes - niedziela, 27 lutego, godzina dziesiąta rano

Toussaint Rozę umoczył pióro w kałamarzu, starannie wytarł z niego nadmiar atramentu, a potem, wciąż trzymając rękę nad arkuszem pokrytym drobnym, starannym pismem, spojrzął na kardynała. Giulio Mazarini siedział w swoim wygodnym fotelu, obitym tkaniną w czerwone i zielone pasy i z wytłoczonym herbem kardynała. Gorączkowo przerzucił leżące na stole luźne kartki i nie przestawał dyktować.

- Ofiarujemy również Wspólnocie Braci Pokory w Chrystusie... ach, ale gdzież ja ich wsadziłem... - jęknął.

Stojący za kardynałem Colbert bez wahania wyrwał przygnieciony stos papierów arkusz i spokojnie pokazał kardynałowi pokreśloną w wielu miejscach linię.

- Tak, tak - mruknął Mazarini, biorąc do ręki dokument. - Rozę,

proszę zapisać: „Ofiarujemy sumę tysiąca liwrów i prawo do nieograniczonego korzystania z dochodów parafii Saint-Fiacre de...”. Do czorta z twoją wioską! - wybuchnął nagle. Przymknął oczy, padł na oparcie fotela i z trudem łapał oddech.

- ...de Rabastens - podpowiedział Colbert, pokazując Roze'owi, że ma zapisać pełną nazwę wioski.

- O właśnie, Rabastens. A z klasztorami damy sobie spokój, co? Colbert kiwnął potakująco głową i chciał już zabrać ze stołu stertę pokreślonych papierów, gdy nagle Mazarini, jakby czując w sobie gwałtowny przyływ energii, złapał go za rękę. Głos mu stwardniał.

- Nie - rzekł stanowczo. - Nie uwzględniliśmy probostwa w Chatellerault, a przecież przyrzekłem je księdzu Souletowi, co?

Colbert zaciął się i nie odpowiedział.

- Rożę, proszę pisać - rozkazał lodowatym tonem Mazarini. - „Ofiarujemy również jako dowód przyjaźni, tak, tak, przyjaźni, jaką żywimy wobec księdza Souleta, wpływy z parafii Świętego Rocha w Chatellerault i przylegających do niej obszarów, które obejmują...”. Poprosi pan Colberta o podanie powierzchni tych ziem, na pewno wie, ile tego jest... a potem skreślimy tę parafię z listy.

Mazarini nie spojrzał nawet na Colberta, odczekał chwilę i znowu dyktował wciąż tym samym, zimnym tonem.

- Wiem, panie Colbert, jak wiele masz pan mu do zarzucenia, ale to jeszcze nie pora do rozliczeń. W dodatku nie zapominaj pan, że w tym domu nie ma takich rachunków, które można by regulować bez mojej wiedzy.

- Wydawało mi się, że nie warto zawracać głowy Waszej Eminencji - odparł Colbert.

- Dość tego! - uciał Mazarini. - Otepienie starcze jeszcze mnie nie dotknęło i rozmowa o nagrodach i karach nie jest dla mnie zawracaniem głowy. W życiu rzadko miałem okazję do ich rozdzielania - dodał łagodniejszym już tonem. - No to naprzód, panowie, przejdźmy do urzędników królewskich...

Ranek ciągnął się i ciągnął. Rozę już kilkakrotnie wpadał w niepokój, widząc coraz większe zmęczenie kardynała - po czterech godzinach pisaniny bez chwili przerwy był wyraźnie osłabiony.

- Już tylko podpis? - zapytał ledwie dosłyszalnym głosem. - Zrobię to później, ręka mi drży i w archiwach francuskich zostałby brzydki ślad. Ile tego jest? - zwrócił się do Roze'a.

Sekretarz po raz ostatni policzył wszystkie otrzymane tego ranka sumy, dodał do nich sumy z poprzednich dni i zapisał to wszystko na marginesie arkusza z tekstem testamentu.

- Czterdzieści dwa... dodaję trzy, potem siedem i pięć, czyli dwanaście... Czterdzieści siedem milionów sześćset dziewięćdziesiąt cztery tysiące dwieście trzydzieści trzy liwry, rachunek nie obejmuje przedmiotów niewycenionych, a trzeba będzie jeszcze wycenić dzieła sztuki będące w posiadaniu Waszej Eminencji oraz kamienie szlachetne zapisane rodzinie królewskiej. Są wśród nich Róża Anglii, czternastokara-towy diament dla królowej matki, zestaw diamentów dla królowej, trzydzieści jeden szmaragdów dla Księcia Pana...

Mazarini przerwał te wyliczenia.

- Szczegóły nie są ważne. Proszę przeczytać tylko kodycył dotyczący królowej matki i następujący po wstawce o diamentach, chcę być pewien, że dobrze to ująłem.

Rozę od nowa zaczął przeglądać leżącą obok stertę papierów.

- „Ofiarowujemy - sekretarz czytał powoli i wciąż czegoś szukał... -wszystko to, co królowej się spodoba i co znajduje się w naszym pałacu paryskim...". O, jest, Eminencjo.

- Tak, to właśnie to - skomentował Mazarini.

Nastąpiła cisza. Colbert przymrużył oczy, złączył dłonie i wsunął je za pas, a kciukami zaczął kręcić młynka. Kardynał nie ruszał się, jakby pograżył się w swoich myślach.

- Tyle tego - szepnął - i wszystko to opuścić...

Potem, z żalem rozstając się z marzeniami, zwrócił się do Colberta:

- Czy klauzula milczenia jest wystarczająco dokładna?

- Tak, Eminencjo. Prócz wykonawców testamentów nikt nie może jej widzieć, nie było publikacji, dostęp do archiwów ma tylko król.

- Dobrze - oświadczył Mazarini. - Panie Rozę - dodał, odwracając się w stronę sekretarza, który sypał właśnie piasek na ostatni arkusz, by atrament szybciej wysechł. - Napracowaliśmy się. Na dzisiaj zwalniam pana. Pamiętaj pan, że księgi trzeba odczytywać starannie. Przypominam również, że tego egzemplarza nikt nie może widzieć, a oprócz mnie nikt też nie ma prawa dokonywać w nim poprawek.

Rozę skłonił się, złożył pudełko z przyborami do pisania, ostrożnie zamknął walizeczkę z papierami i szybko wyszedł. Mazarini wstał i podszedł do Colberta.

- A co z moimi współpracownikami? Czy jesteś pan pewien, że niczego nie zdradzą?

- Na to mógłbym przysiąc, Eminencjo, zwłaszcza że wiążące ich z nami sprawy także im przyniosły znaczny dochód.

- Jak wielki? - zapytał szeptem kardynał. - Ile w końcu wyniósł, panie Colbert? Czy suma jest wiarygodna?

Colbert westchnął.

- Wieleśmy już uporządkowali. A Wasza Eminencja masz pewne trudności... Sądzę jednak, że w obecnym stanie rzeczy nasz inwentarz jest w pełni wiarygodny.

Usta wykrzywiły mu się, widać było, że o czymś myśli.

- Chyba że oczywiście nasi złodzieje nie zabrali jakichś tajnych papierów, których posiadanie mogłoby okazać się groźne - szepnął. - Szmatławe pisemka na drzwiach kościołów są ostatnio wystarczającym ostrzeżeniem. Wiadomo, skąd się biorą. Piszą je włamywacze, którzy dziś zrobili się dziennikarzami. Sprawa, na szczęście, jest już opanowana i chyba nie dała efektu... jak na razie. Ci, którzy czytali ten bełkot, i tak niczego nie zrozumieli. Maximilien Piton, o którym wzmiankują te ulotki, wyjechał w swoich sprawach na kilka tygodni do Holandii. Gdy wróci, spotkam się z nim, a pana gwardziści wy-zbierali już większość tych pisemek i nadal to robią, gdyż w niektórych dzielnicach stolicy jeszcze dziś rano pojawiło się kilka egzemplarzy.

Kardynał zadrżał, ale szybko się opanował. Colbert nie mógł i nie powinien jeszcze nic wiedzieć.

- No tak, no tak - tłumaczył. - Musimy mieć jednak wyniki. Czy śledztwo się posuwa?

- Posuwa się, Eminencjo. Ale posuwałoby się szybciej, gdybyśmy wiedzieli, czego szukamy.

Mazarini nie zgodził się z tym.

- To nie ma wielkiego znaczenia. Złodzieja musimy znaleźć. Powiedziałeś pan przed chwilą, że to nadal ci sami. Tam, gdzie on będzie, będą i dokumenty. Wróćmy jednak do naszego tematu. Dochód. Jak wielki? Oto nasz problem.

- Wystarczy sprawdzić księgi i uwzględnić operację.

- Nie ma potrzeby! - wykrzyknął Mazarini. - Nie ma potrzeby!

- I nie będzie, Eminencjo.

- A co się stanie, jeśli moi wrogowie postanowią podważyć testament? Można go obalić, wiem coś o tym, bo sam obaliłem testament króla Ludwika XIII. Mogą również wnieść sprawę do parlamentu. Mam tam nie tylko przyjaciół.

Kardynał w milczeniu przechadzał się po pokoju.

- A właściwie mam tam samych wrogów.

- Pan Fouquet jest tam prokuratorem generalnym - mruknął złośliwie Colbert.

Mazarini nie odpowiedział i tylko rzucił mu gniewne spojrzenie. Colbert niepokojąco się uśmiechnął.

- Być może, Eminencjo, wiem, jak można się uwolnić od tej nieszczęsnej wątpliwości, zachowując przy tym nienaruszalność testamentu, nie dopuszczając do żadnego śledztwa w sprawie pochodzenia zapisanych dóbr i zapewniając dzięki temu długowieczność rozporządzeń Waszej Eminencji, a także jego następcom.

Kardynał zadrżał.

- No dobrze, mów pan, panie Colbert.

- Wystarczy, Eminencjo, zapisać komuś wszystkie swoje dobra, bo wtedy spadkodawca niczego już nie ma i niczego nie można mu zabrać, więc sprawę sądow^Tą trzeba wnieść przeciw komuś innemu.

Mazarini zbladł i prawie go zatkało.

- Czyżbyś pan rozum stracił?

Dygocąc, przytrzymał się oparcia fotela. Colbert podał mu rękę i pomógł usiąść. Potem zbliżył swoją wielką, okrągłą głowę do głowy kardynała. Mazarini ciężko dyszał, oddech miał świszczący, na czoło wystąpiły mu krople potu, ale starał się odzyskać spokój.

- Nie ma obawy, Monsignore, rację najczęściej mam wtedy, gdy mój mózg pracuje dla Waszej Eminencji - powiedział przymilnie Colbert. - Już wkrótce ujrzysz, Eminencjo, że ten straszliwy widok może się przemienić w świetlisty pejzaż, zupełnie jak przy zmianie dekoracji we włoskim teatrze. Na początku tej historii natkniemy się na dwie trudności. Po pierwsze, stracisz, Eminencjo, swoje dobra, a po drugie - do procesu może jednak dojść, choć oczywiście pozwanym będzie ktoś inny. Cóż więc wypadnie nam robić, żeby uwolnić się od tych dwóch kłopotów? Trzeba postąpić tak, żeby spadkobiercy nie można było wytoczyć procesu, a jednocześnie żeby musiał on zwrócić spadek. Czyż to nie jest coś wspaniałego?

Oczy Colberta błyszczą teraz dziwnym blaskiem.

- A komu nie można wytoczyć procesu? Oczywiście królowi. A kto nie może przyjąć spadku po swoim poddanym? Choćby był nim jego ojciec chrzestny, a zarazem pierwszy minister? Też król.

Colbert wyprostował się, przeszedł na drugą stronę stołu i opierając się oburącz na obitym skórą fotelu, wpatrzył się w kardynała.

- Trzeba więc, Eminencjo, zapisać cały majątek królowi. Niczego nie będzie mógł przyjąć, a zatem wszystko zwróci. Jednakże ten majątek przejdzie tymczasem przez królewskie ręce, nikt przeto nie będzie mógł po niego sięgnąć.

Ciszę zakłócał już tylko nierówny oddech kardynała. Colbert triumfował, widział, że jego pomysł spotkał się z uznaniem.

Mazarini westchnął. Dotknął leżącej na stole dłoni Colberta.

- Drogi panie Colbert... - powiedział tylko.

Potem otworzył oczy i sam z kolei wpatrzył się w Colberta.

- Czy możemy mieć jednak pewność, że król niczego nie przyjmie? Skarbiec jest pusty.

- Słyszałem, że na najbliższe wydatki pan Fouquet znalazł przed dwoma dniami kredyt. A poza tym król ma w sobie więcej dumy niż chciwości. Chce rządzić, Eminencjo, a to kosztuje.

Zaskoczony śmiałością tych słów Mazarini skrzywił się z powątpiewaniem.

- No dobrze, panie Colbert, niech tak będzie - rzekł z rezygnacją. - Oddaję się w pańskie ręce. Opracujesz pan z panem Roze'em odpowiedni kodycył. Podpiszę go, gdy tylko odpocznie mi ręka.

Colbert szykował się do wyjścia i już złożył ukłon kardynałowi, ten jednak znowu go zatrzymał.

- Nie, to pan go napiszesz, Colbert, nikt nie powinien o nim wiedzieć. Z wyjątkiem królowej, a ona porozmawia już z synem.

- Będzie, jak każesz, Eminencjo - odpowiedział z szacunkiem Colbert.

- Pomówimy jeszcze o umowie przedślubnej Hortensji i Marii. Ach Boże - dodał, jakby do siebie - jak mi to wszystko ciąży, Boże, Boże...

Słyszając odgłos zamykanych drzwi, zrozumiał, że Colbert właśnie wyszedł.

23

Pałac Mazariniego - poniedziałek, 28 lutego, godzina piąta po południu

- A tam kto?

Julie pochyliła głowę w stronę Gabriela.

- Książę Kondeusz - odpowiedziała szeptem, wykonując jednocześnie delikatne ruchy ręką - a obok niego stoi księżna Palatina wciąż zła, od czasu, gdy okazało się, że Olimpia Mancini intryguje, bo chce przejąć po niej zarządzanie dworem królowej. Spójrz na jej obrażoną minę, a rozmawia właśnie z Ludwiką Gonzagą, żoną króla Polski i była kochanką Cinq-Marsa. O, spojrzysz, ten za nią to diuk de Vendôme. A to jest pani de Chevreuse. Jakie to zabawne, wszyscy byli frondyści zebrawi się u kardynała, a swego czasu spiskowali przeciwko niemu.

Gabriel, rozbawiony uwagami dziewczyny, spojrzął na nią i szeroko otworzył oczy.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Dalibóg, panie praktykancie teatralny, my, aktorzy, gramy dla dworu. Rzemieślnik, który nic nie wie o swoim kliencie, nie może go dobrze obsłużyć. Czy poszedłbyś do szewca, który niczego by nie wiedział o twojej stopie?

Gabriel ze śmiechem pokiwał głową. Stali tak obok siebie w cieniu kolumny, oparci o balustradę biegnącą wzdłuż piętra nad wielkim przedsionkiem, i bez przeszkód mogli się przypatrywać gościom, którzy najpierw uczestniczyli w mszy ślubnej w prywatnej kaplicy kardynała, a teraz szli na przyjęcie weselne.

- Na którą godzinę przewidziane są zabawy? - szepnął Gabriel, odzyskując nagle powagę.

- Mamy czas - odpowiedziała ze śmiechem Julie. - Pan Molier chce się pośmiać i cię szuka - dodała.

- Masz rację - zauważył Gabriel - zaraz pójde zobaczyć, czy mnie nie potrzebuje.

I nie dając zaskoczonej Julie czasu na żadne uwagi, wszedł na schody wiodące na parter.

Na dole wszystko wyglądało jeszcze wspanialej, tak wiele było tu uroczystych sukien i strojów. Wszystko, nie wyłączając nawet liberii lokajów, którzy krążyli wśród gości, podając im zimne napoje, mieniło się barwami i było drogie. Gabriel dostrzegł nagle młodą parę i odsunął się w cień pod ścianą. Piętnastoletnia Hortensja Mancini, ubrana we wspaniałą purpurowo-złotą suknię, podkreślającą blask jej młodości, dumnie obnosiła się ze swoją wiecznie omdlewającą miną, uczepiona do ramienia Armanda Charles'a de La Porte de La Meilleraye.

- Umowę ślubną podpisali dziś rano - wyjaśniła Julie. - Przed samym kardynałem, i przyjęli nazwisko Mazarinich. Będą je od tej pory nosili, zachowując jednocześnie tytuły diuka i para, tak by zapewnić kardynałowi ciągłość rodu. Podarował im ponad milion liwrów i zapi-

sal swój zbiór starożytności oraz połowę pałacu - mówiła Julie, a była przy tym tak przejęta, jak gdyby te darowizny zaraziły ją nadzieją na wielki majątek. - Mówi się nawet, że może ich uznać za jedyńych swoich spadkobierców.

Milczenie Gabriela nie ochłodziło entuzjazmu Julie.

- Czy wiesz, że kardynał wołał syna marszałka de La Meilleraye niż Karola Edwarda Sabaudzkiego, a nawet Karola II, obecnego króla Anglii? Chociaż jest prawie dwa razy od niej starszy. A wiesz, dlaczego? Dlatego, że przez swoją matkę, Marie de Cosse, jest cioteczynym wnukiem kardynała de Richelieugo. Kardynał łączy te dwie rodziny i wprowadza je w historię.

Za małżonkami pojawiła się jedna z sióstr Hortensji, Maria, wyraźnie wzruszona tym ślubem, może dlatego, że jej wesele miało się odbyć już za kilka tygodni.

- Spójrz, ona również ma bardzo smutną minę - litowała się Julie. - Mówi się, że oplakuje króla, bo kochała się w nim na zabój, a on w niej też - dodała, wyraźnie wymawiając każdą sylabę. - A teraz ona pojedzie do Włoch i zostanie żoną księcia Neapolu.

Gabriel spojrzął na drzwi wejściowe i zobaczył tylko zwarty kordon wartowników. Gwar licznych rozmów zagłuszał muzykę w wykonaniu orkiestry kameralnej, kierowanej przez małego, żwawego człowieka. Julie przedstawiła go Gabrielowi jako doskonale zapowiadającego się kompozytora włoskiego, przybyłego niedawno do Francji. Ten Włoch nazywał się Lulli.

- Gabrielu!

Na ten okrzyk Gabriel aż się poderwał.

- Luiza! - zawołał radośnie, zauważając przyjaciółkę.

- Nie powiesz mi, żeś mnie szukał.

- Rzeczywiście, nie szukałem cię, bo szukam Moliera, ale teraz jest pewnie zajęty i przygotowuje jakieś zabawne krotchwile na czas wieczery. Znajdę go na widowni.

Luiza pociągnęła chłopaka za rękaw.

- Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem uradowana, że cię widzę. Nic o tym nie wiesz, ale sam król już ze mną rozmawiał. Tak,

to prawda, taka sama jak to, że ty tu jesteś! Rozmawiał ze mną król Francji!

- Dziecino...

Uśmiechnął się i odgarnął jasny lok opadający dziewczynie na policzek i zaraz potem uświadomił sobie całą nieestosowność tego ruchu. Luiza, widząc zmieszanie przyjaciela, wciągnęła go za jedną z kolumn podtrzymujących sklepienie.

- Uważaj, panie aktorze... Źle odgrywasz swoją rolę.

- Nie dworuj sobie ze mnie - z powagą odpowiedział Gabriel.
-Wiesz, co może mi się zdarzyć, jeśli ktoś mnie rozpozna. Na szczęście nikt nie zwraca uwagi na aktorów. Jest to nawet zadziwiający paradoks. Ojej, Luizo, co ci jest? - zapytał, widząc, że dziewczyna go nie słucha.

Wziął ją za ramiona, odwrócił się i zobaczył, co ją tak przyciągało.

- Król - szepnęła, rumieniąc się.

Istotnie, na sali pojawił się właśnie król w towarzystwie małżonki, budząc wśród obecnych poruszenie i wywołując osobliwy szmer. Para królewska dość obojętnie przeszła przez szpaler, który tworzył się przed nimi, by ich przepuścić.

- Idą do apartamentów kardynała. Był w Vincennes, podpisał tam umowy ślubne, a po południu wrócił, bo chciał być w swojej kaplicy, a także tutaj - mówił ktoś obok.

Gabriel podniósł głowę, ale nie zdołał rozpoznać, kto to był. Kątem oka spoglądał na pogrążoną w marzeniach Luizę, gdy nagle od grupki ludzi idących za królem i królową oderwał się jakiś lokaj - służący -sądząc po liberii, na dworze królewskim i podszedł do Luizy.

- Panna de La Valliere? - zapytał tonem świadczącym, że odpowiedź jest mu z góry znana.

Luiza kiwnęła potakująco głową, lokaj wyjął wtedy z lewego rękawa swojej liberii kopertę, podał ją dziewczynie i skłonił się, a potem zniknął bez żadnych wyjaśnień.

Oszołomiona odwróciła się do Gabriela i pokazała mu kopertę.

- To z pewnością patent na księżniczkę - ze śmiechem szepnęła przyjaciółce do ucha Gabriel - albo egzemplarz tej ulotki wymierzonej w kardynała.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie masz się z czego śmiać - powiedziała, otwierając kopertę.

Gabrielowi wydało się, że w głębi sali dostrzega Moliera, stanął więc na palcach i ujrzał znaną mu postać idącą w kierunku jadalni. Odwrócił się do Luizy, chciał jej powiedzieć, że idzie za zwierzchnikiem do teatru, i... zamarł. Dziewczyna była blada i wyglądała na nieprzytomną.

- Luizo! - zawołał po cichu, lekko marszcząc brwi. - Luizo!

Nie reagowała i tylko w rękach mocno ścisnęła list. Chwycił ją za ramię.

- Ej, co ci jest?

Powolutku podniosła głowę i spojrzała na niego swymi niebieskimi oczyma. Ujrzał w nich dziwny błysk, jakby wzburzenie, ale i trochę bojaźni.

- Król, Gabrielu, król...

- Król? - zdziwił się Gabriel, coraz mniej z tego wszystkiego rozumiejąc.

- To on wysłał do mnie ten list. Gabriel szeroko otworzył oczy.

Luiza zarumieniła się nagle i zagryzła wargi.

- Psst, muszę już iść - powiedziała, cofając się o krok.

- Dokąd, u diabła? - zapytał, idąc za nią, Gabriel.

- Nie wiem... Odetchnąć świeżym powietrzem.

Dobiegający z tyłu głos sprawił, że oboje gwałtownie drgnęli. Odwrócili się i ujrzeli pełną ironii minę naczelnego intendenta finansów.

- No to co, panie polityczny aktorze? Panu Molierowi pot wielkimi kroplami spływa z czoła na myśl o zbliżającym się przedstawieniu, a pan się tu zabawiasz? A oto pan La Fontaine, młody człowiek, o którym waści już mówiłem. Powiedziałem, że to nie byle jaka głowa. Zapewne czuwa nad nim Opatrzność, gdyż on też ma szczęście - dodał, zwracając się do towarzysza, a jednocześnie wykonując lekki ukłon przed Luizą de La Yalliere.

Zaskoczona dziewczyna odkloniła mu się. Gabriel coś wymamrotał, a potem przedstawił ją Fouquetowi, nie zauważając, że drwi on sobie z aktora, któremu przyszło właśnie do głowy bawić się w wielkoświatowe konwenanse.

- No, śmiało, idźże pan do pana Moliera, zauważyłem, że gdy ogarnia go niepokój, jesteś mu pan bardzo potrzebny - ciągnął naczelny intendent. - A jeśli chodzi o panią, panno de La Valliere, nasze spotkanie to dla mnie przyjemność, ale i przykrość zarazem. Istotnie słyszałem, mówili mi przyjaciele, jak bardzo pani obecność na dworze podniosła jego prestiż. Jestem zawiedziony, że ich opis tak dalece odstaje od rzeczywistości, i zachwycony, że patrząc na panią, mogę go poprawić.

Potem, nie czekając na odpowiedź, naczelny intendent finansów skłonił się Gabrielowi i znowu zaczął krążyć po sali, wciąż mając przy boku La Fontaine'a.

W drzwiach do apartamentów kardynała pojawił się Colbert. Chciał oszacować liczbę gości. Obojętnym na pozór spojrzeniem objął salę i zatrzymał swój przenikliwy wzrok na trzech postaciach stojących obok kolumny.

- Znowu oni - mruknął - Fouquet, de La Valliere i ten Gabriel. Tym razem są w komplecie. Upewnię się jeszcze w tej sprawie. No, to naprzód - powiedział głośniejszym głosem do towarzyszącego mu zarządcy. - Czas prosić gości do stołu. Zawiadom pan o tym kardynała. Kucharze niech wstawiają pieczeń do pieców, a aktorzy powinni się już szykować do występów.

- Idę - szepnął Gabriel do Luizy. - Jesteś pewna, że ci lepiej?

- Idź, mój drogi, idź - uspokoiła go z lekkim uśmiechem, który ledwie rozjaśniał jej znowu bladą twarz. - Pójdę odpocząć. Prześlę ci wiadomość.

Gabriel z zalem odszedł i udał się do jadalni. Przez otwarte już drzwi widać było ogromne stoły, a między nimi olbrzymie kandelabry, których światła łączyły się z blaskiem dwunastu żyrandoli wiszących pod sufitem. Na każdym stole widać było złotą lub przynajmniej pozłacaną zastawę, a między stołami krążyli lokaje w liberii, roznosząc srebrne

tace ze stosami dziczyzny, mięs i ryb ułożonych w piramidy lub inne formy geometryczne. Luiza stała nieruchomo i wydawała się patrzeć na biesiadników, którzy wychodzili z sali i kierowali się w stronę zastawionych stołów. Zdawać by się mogło, że trzymany przez nią zagadkowy list parzy ją w ręce. Król zaprasza mnie do Wersalu - myślała, czując, że znowu kręci się jej w głowie. W Wersalu, i jest to nasz „sekret”... tak właśnie napisał. - Uśmiechnęła się podświadomie. Jego Królewska Mość i ja mamy wspólny sekret.

I jakby przerażona własnymi myślami, pobiegła do wyjścia.

24

Zamek w Vincennes - wtorek, 1 marca, południe

- Ależ nędza, spójrzcie na tego Mascarille'a*!

- Powóz jest żałosny, a widowisko zabawne - odpowiedział dworzanin, zgięty wpół na znak uszanowania, gdyż mijala go właśnie lektyka, w której niesiono Jego Eminencję.

Tego ranka około jedenastej kardynał kazał się ubrać, przypudrować i uczesać, tak by „pokazać się tym zacnym ludziom”. Oddani mu służący mieli z tym mnóstwo kłopotów, ale w końcu udało się im podnieść i ubrać chorego. Aby ukryć zielonkawy kolor twarzy, natarli mu policzki różem. Kardynał nalegał nawet, żeby utrefiono mu włosy.

Tak przybrany najpotężniejszy człowiek we Francji wędrował od prawie godziny po ogrodach zamku w Vincennes, zmuszając licznych gości i wszelkiego rodzaju petentów do kłaniania mu się przy każdym spotkaniu.

Schorowany starzec przeżywał w lektyce istne męki i pomstował na tych „diabelskich tragarzy, niewydarzonych i głupich”. Przy każdym wstrząsie jęczał z bólu i groził im szubienicą. Nie zdawał sobie sprawy z całej śmieszności tego widowiska i całkiem poważnie sądził, że prze-

suwając się tak po pełnych słońca alejkach i machając ręką w stronę dworzan, wprowadza ich w błąd.

- Dziesięć lat temu - powiedział głośno do siebie - dziesięć lat temu ci sami ludzie, którzy dzisiaj tak nisko mi się kłaniają, wypędzili mnie z królestwa. No, to ten Włoch zaraz im pokaże, że wciąż jeszcze żyje!

Przy tych słowach kardynał wyjął z kieszeni pozłacane pudełeczko, dobył z niego pachnącą pastylkę i włożył ją sobie do ust, by pozbyć się cuchnącego oddechu. Potem poczuł nagle senność i usnął, śniąc, że raz jeszcze przeżywa straszliwe dni lutego roku 1651. Ten tragiczny miesiąc sprzed dziesięciu lat zaczął się od ślubu Nicolasa Fouqueta, który po wieloletnim wdowieństwie ożenił się z młodą i piękną Marią Magdaleną Kastylijską, mającą wtedy ledwie piętnaście lat. Tego samego dnia, czyli 4 lutego, Parlament gorączkowo obradował od szóstej rano aż do dziesiątej wieczorem, zastanawiając się, czy należy wydalić Ma-zariniego z kraju. Kardynał w swoim półśnie znowu słyszał kroki ludzi, którym nocą 9 lutego pozwolono wejść do Luwru. Prosty ludek paryski przechodził z szacunkiem obok Ludwika XIV, chcąc sprawdzić, czy nikt nie zamierza przewieźć króla w inne miejsce. Kardynał przypomniał sobie straszliwe poniżenie młodziutkiego monarchy, na długo porażonego wydarzeniami tej koszmarnej nocy. Widział się następnie na drodze do Havru, skąd miał popłynąć na wygnanie do Niemiec.

- Karty, karty, niech przemówią karty! - krzyknął, budząc się gwałtownie i domagając natychmiastowego przewiezienia go do jego apartamentów.

Gdy tylko wrócił do siebie i znalazł się w swoim pokoju, zajęli się nim medycy. Kardynał od kilku miesięcy cierpiał na zapalenie nerek, zaostrome obrzękiem płuc. Od kilku dni jego stan zdrowia wyraźnie się pogarszał, do czego z pewnością przyczyniła się kuracja przepisana przez lekarzy wydziału lekarskiego.

- *Clysterium donare, postea saignare, potem purgare** - zawyrokował pierwszy lekarz.

* Zrobić lewatywę, potem upuścić krew, następnie dać na przeczyszczenie. W oryginale cztery słowa łacińskie i jedno (*saignare*) ani francuskie, ani łacińskie (francuski temat połączony z łacińską końcówką).

- Koniecznie musi również pić to wino na wymioty - odezwał się drugi, pokazując karafkę zawierającą płyn sporządzony z antymonu i winianu potasu.

Wejście Anny Austriaczki położyło kres dyskusji wszczętej przez uczonych mędrców nad łóżem dostojnego pacjenta. Opuścili z szacunkiem pokój kardynała. Mazarini uśmiechnął się, rad, że pozbywa się tych pijawek, i szczęśliwy, że widzi tę, która przez całe życie dawała mu tyle radości.

- Giulio, powiedziano mi, że jesteś nieostrożny. Podobno wyprawileś się dziś rano do ogrodu.

Starzec nie odpowiedział, lekko się tylko uśmiechnął i wpatrzył w twarz królewskiej matki. Lubił spoglądać na te tak dobrze mu znane rysy i na jej oczy o tak słodkim spojrzeniu. Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza. Przerwał ją wreszcie kardynał.

- Podyktowałem już swój testament. Dowiedz się, Pani, że postanowiłem zapisać cały swój majątek królowi Francji - powiedział słabszym niż zwykle głosem. - Wydaje mi się, że zanim stanę przed Bogiem, powinienem zwrócić wszystkie te dobra, niestety często nabyte niezbyt uczciwie.

- Drogi Giulio, taka decyzja przynosi ci cześć i widzę w niej jeszcze jeden dowód twojej stałości, jak również tego, że naprawdę chcesz być ojcem dla mojego syna - odpowiedziała królowa matka, a oczy jej zaszyły łzami. - Doskonale wiesz jednak, że król Francji nie będzie mógł przyjąć tego zapisu - powiedziała ze szlochem.

Potem, w obawie, że mogła urazić kardynała, dodała jeszcze:

- Osiągnąłeś bardzo wiele. Zmiażdżyłeś Fronde, zaprowadziłeś porządek we wszystkich prowincjach naszego kraju i zawarłeś pokój z Hiszpanią. Doprowadziłeś do małżeństwa Ludwika z infantką Marią Teresą, rozpoczynając w ten sposób nową erę, erę pogody dla królestwa Francji. Na tak podatnym gruncie nasze dziecko będzie mogło okazać swój talent, zbierając owoce twoich podbojów i wykorzystując wszystkie nauki swojego chrzestnego ojca. A jeśli, jak to mówiłeś, „pójdzie dalej niż ktokolwiek inny”, zawdzięczać to będzie wyłącznie tobie.

- W takim razie, jeśli Ludwik nie przyjmie mojego zapisu, to tym lepiej - odpowiedział zagadkowo kardynał.

Trudy dnia wyraźnie wyczerpały starca. Królowa matka postanowiła więc wyjść i dać mu odpocząć. W progu minęła się z magiem, który przychodził tu na wezwanie kardynała. Miał powróżyc mu z kart. To spotkanie, a do tego dość dziwna wypowiedź Mazariniego, sprawiły, że w głowie królowej zrodziło się podejrzenie, czy aby choroba nie odebrała mu rozumu.

25

Kościół Świętego Rocha - sobota, 5 marca, godzina piąta po południu

Pod koniec dnia kościół Świętego Rocha, tak drogi sercu Ludwika XIV, który przed ośmiu laty własną ręką położył tu kamień węgielny, nabity był do granic możliwości. W Paryżu wszyscy modlili się o wyzdrowienie dogorywającego w Vincennes kardynała. Było to coś niezwykłego, gdyż taką czterdziestogodzinną modlitwę odprawiano dotychczas tylko w intencji osób krwi królewskiej. Każdy jednak rozumiał, że król chciał w ten sposób wyrazić hołd człowiekowi, który był jego ojcem chrzestnym.

W Vincennes u wezłowia pierwszego ministra z godziny na godzinę powiększał się tłum petentów, a każdy z nich liczył na ostatnią łaskę Jego Eminencji lub na ładny zapis w ostatnim kodycyłu jego testamentu. W tym wypadku ludność stolicy odpowiedziała na wezwania księży. Mazarini nie był oczywiście ulubieńcem paryżan, w szczególności nie lubili go za jego cudzoziemski rodowód i za dość podejrzaną pochodzenie jego majątku. Francja jednak doceniała trud, jaki włożył dla zjednoczenia kraju, i nie zapomniała, że to on był twórcą pokoju z Hiszpanią.

Gabriel, zaciekawiony tą widoczną wokół żarliwością oraz powszechnym smutkiem, przyłączył się do tłumu w kościele i był w dodatku szczęśliwy, że w ciszy świątynnej znalazł miejsce, gdzie mógł roz-

myślać nad zagadką podpisu swojego ojca. Przed kilkoma godzinami w jego mieszkanku pojawiła się praczka i powiadomiła go o podejrzeniach, jakie wzbudzili w niej jacyś dziwni, nieznani jej ludzie, kręcący się tam i powrotem koło ich domu. Wiadomość ta pogłębiła niepokój Gabriela, starannie ukrył dokumenty i postanowił się przejść, by odetchnąć na świeżym powietrzu.

- Nie mogę tu zostawać i biernie czekać, aż ci złoczyńcy przejmą inicjatywę - mruknął sam do siebie.

Stojąc pod wysokim sklepieniem kościoła i słuchając pieśni religijnych, nie myślał więc o uroku młodej praczki, choć wcale nie była mu obojętna, ale o dokumentach wydobytych z granatowego portfela. Podpis jego ojca czynił z tych papierów cenną więź, łączącą go z tajemniczą przeszłością. Gabriel słabo znał ojca, który według relacji matki zmarł w czasie podróży do Londynu. Jechał tam, by sprzedać wino ze swoich winnic w Turenii. Gabriel miał wtedy pięć lat i zachował w pamięci jedynie luźne strzępki wspomnień o tym człowieku, którego mu tak bardzo brakowało w dzieciństwie i młodości. Oto przyczyna, dla której postanowił za wszelką cenę zatrzymać te papiery, nawet z narażeniem życia. Był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany rozwikłać ten sekret i dowiedzieć się, jakim to sposobem jego ojciec dał się wplątać w tę tajemniczą sprawę, która - jak się wydawało - tak bardzo interesowała wielu ludzi.

Muszę znaleźć sposób, żeby zrozumieć, o co tu chodzi. A potrzebuję... potrzebuję specjalisty od szyfrów - zdecydował. Na próżno jednak łamał sobie głowę, wydawało się, że nic nie jest w stanie mu pomóc. Chyba, że... - pomyślał, wychodząc po zakończeniu nabożeństwa z kościoła.

Na placu przed kościołem też było tłoczno i Gabriel musiał rozpychać się łokciami, by dojść w końcu do schodów. Ledwie znalazł się na ulicy, a od razu czyjaś mocna dłoń schwyciła go za ramię. Odwrócił się i poznał okrytą opatrunkiem twarz człowieka, którego niedawno ogłuszył w teatrze, łamiąc mu przy tym nos, a wszystko po to, żeby ra-

tować życie starego dozorca. Wyrwał się napastnikowi i uciekł. Dobiegające z tyłu odgłosy szybkich kroków świadczyły, że gonilo go przynajmniej dwóch ludzi. Pędząc co sił w nogach, zdołał wpaść w jedną z tych wąskich uliczek paryskich, gdzie sprzedawano nabiał, piasek, stare ubrania i tysiące innych rzeczy.

A dokąd teraz? - zastanawiał się, pędząc z jednej uliczki w drugą. Oczywiście nie do domu, bo tam z pewnością czeka już na mnie policja. Luiza, pójdę do Luizy! U niej będę przynajmniej bezpieczny.

W dziesięć minut później stał, ciężko dysząc, przed drzwiami do jej mieszkania. Mieściło się ono na piętrze prywatnej rezydencji Księcia Pana. Wejście zastrzeżone dla mieszkańców znajdowało się od strony uliczki z cuchnącymi ściekami.

- Luizo, to ja, Gabriel! Otwórz! - wołał, wbiegnąwszy błyskawicznie na piętro.

- Co się stało?! - krzyknęła, otwierając drzwi.

Spod jej jasnych włosów, pośpiesznie spiętych w kok, dobywały się i układały wzdłuż policzków cienkie kosmyki.

- Ubierałam się właśnie do wieczery. A ty tak dyszysz, jakbyś się z kimś pobił.

- Wszystko ci zaraz wytłumaczę - odpowiedział Gabriel. Pokój Luizy, umeblowany w proste sprzęty i obity barwnymi tapetami, był oazą spokoju. Gabriel złapał już oddech i z przyjemnością patrzył, jak urządziła się tu jego przyjaciółka. Opowiedział jej potem o wydarzeniach tego wieczoru, nie wspominając oczywiście o znalezionych w teatrze dokumentach. Dziewczyna uważnie go wysłuchała.

- W końcu jednak - zauważyła - ze strony policji niczego nie musisz się obawiać, bo ona ma na oku wszystkich aktorów zespołu, musi więc kontrolować i ciebie. Ma to z pewnością bezpośredni związek z pożarem w pałacu Mazariniego i znalezieniem zwłok tego dzieciaka, o którym mi już mówiłeś. A ci ludzie... - dodała, nie kończąc zdania.

- Ci ludzie - podjął - prześladują mnie z nieznanym mi przyczyn. Wszystko to wygląda podejrzanie, zwłaszcza że muszę zachowywać dyskrecję, o czym zresztą dobrze wiesz.

- Masz rację - przytaknęła. - A może nasłał ich twój wuj?

- Myślałem o tym, ale po co w takim razie napadli na dozorcę? Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż znowu ktoś zapukał do drzwi. Tym razem jednak były to drzwi łączące jej mieszkanie z apartamentem Henryki Angielskiej, narzeczonej Księcia Pana. Luiza była jej damą do towarzystwa.

- Luizo - dał się słyszeć czyjś jęk, przerywany czkawką. Dziewczyna natychmiast poznała głos Henryki, przybyłej do Paryża i szykującej się już do ślubu, który miał się odbyć w maju. Zdziwiła się, słysząc to dość niezwykle wołanie. Przed otwarciem drzwi wepchnęła Gabriela do swojej gotowalni.

- Czekaj tu na mnie i zachowuj się cicho. Nikt nie powinien wiedzieć, że byłeś u mnie dziś wieczorem.

Otworzyła drzwi i zobaczyła przyszlą bratową króla Francji, zrozpaczoną i tonącą we łzach.

- Uspokój się, pani, proszę. Co ci się stało?! - zawołała, zmieszana tak wielkim zmartwieniem swojej pani.

Objęła ją serdecznie i pomogła wstać.

- Rodzony brat króla, mój przyszły mąż... - łkała Henryka, z trudem łapiąc oddech i nie mogąc skończyć zdania. - Wystawia mnie na pośmiewisko - wykrztusiła z siebie. - Mam na to dowód, przyłapałam go z jakimś mężczyzną!

26

Pałac orleański - sobota, 5 marca, godzina siódma wieczorem

Gabriel, ukryty w gotowalni, dokąd w takim pośpiechu wepchnęła go Luiza, usłyszał odgłos jej oddalających się kroków. Potem drzwi się zamknęły i zapadła cisza. Pomalowana na biało gotowalnia była malutka i pozbawiona wszelkich luksusów, jeśli nie liczyć krótkiej wanny miedzianej oraz fajansowej miseczki, nad którą umieszczono wielkie zwierciadło w drewnianej ramie. Gabriel, zauważywszy krzesło, przystawił je do ściany i wszedł na nie, w wyniku czego jego głowa znalazła

się pod sufitem, naprzeciwko okienka, przez które do pomieszczenia wchodziło trochę światła. Położył na parapecie łokcie i podbródek i ujrzał niebo. Stał potem na palcach, wychylił się nieco i zobaczył wybrukowany podwórzec pałacowy.

No, no - pomyślał - wpakowano mnie tu i nie wiadomo, kiedy stąd wyjdę. Byleby tylko narzeczona Księcia Pana nie została tu na dłużej.

Szykował się już do zejścia ze stanowiska, gdy nagle ujrzał, że do głównej bramy podbiegli dwaj lokaje, otworzyli oba jej skrzydła i wpuścili do środka zaprzężoną w cztery konie karecię. Gabriel dostrzegł, że wychodzi z niej kobieta. Skierowała się w stronę podjazdu i znikła mu z pola widzenia. Zaintrygowany, zeskoczył z krzesła i usiadł na nim, a dla zabicia czasu zaczął sobie powtarzać pierwszy akt *Don Garcji z Nawary*.

Po kilku minutach te ćwiczenia pamięci przerwał czyjś głos, daleki, ale wyraźny. Gabriel nadstawił uszu i rozejrzył się po pokoju, chcąc zlokalizować źródło tego głosu.

- ...niezwłocznie przekazać panu te nowiny - mówiła kobieta. Dały się słyszeć odgłosy kroków i przesuwanych mebli, a potem padło kilka niezrozumiałych zdań. Gabrielowi wydało się tylko, że w pewnej chwili padło nazwisko de La Valliere, więc wyteńczył słuch. A mówił właśnie mężczyzna.

- ...wyobrażasz pan sobie, że czekał na decyzję króla - odparła kobieta.

A potem znowu rozległ się basowy głos mężczyzny.

- Decyzję? Bardzo wielkie słowo. Czy mój brat sądzi, że już się zdecydował?

Gabriel rozpoznał głos Księcia Pana, czyli diuka Orleanu. Pochylił się w stronę narożnika, skąd zdawały się słyszeć głosy. Zauważył wmurowaną w posadzkę niewielką kratę i zrozumiał, że wystąpiło tu zjawisko akustyczne. Przewód wentylacyjny, łączący się piętro niżej z przewodem jednego z kominków, tworzył kanał niedyskrecji.

Mężczyzna nadal gniewnie krzyczał:

- Pani wuj ma za dużo oleju w głowie, żeby dał mu wybierać! Na co mu pozwolił, gdy chodziło o pani siostrę?

Po krótkiej chwili milczenia dał się słyszeć niespokojny głos kobiety.

- To prawda, nie pozwolił, Wasza Wysokość, ale ten spryciarz...

- To Olimpia Mancini - mruknął do siebie Gabriel, przypominając sobie tę dziewczynę, gdyż pokazała mu ją Julia na weselu Hortensji.

- Tak, to na pewno ona, a siostra, o której mówi, to Maria, pierwsza miłość króla. Jednakże... co ona tu robi?

- Pogłoska mówiła prawdę, Wasza Wysokość - ciągnęła Olimpia Mancini. - Kardynał podarował cały swój majątek Koronie. Prawdą jest również, że król odmówił przyjęcia tego zapisu i oddał mojemu drogiemu wujowi jego własność.

W ciszy, która potem nastąpiła, Gabriel usłyszał tylko ciężkie kroki i uznał, że są to kroki królewskiego brata. Ucichły, gdyż Książę Pan znów zaczął mówić.

- No, proszę, jaka śmiała decyzja. Niecodziennie widzimy, żeby ktoś oddawał miliony liwrow, choćby leżąc na łożu śmierci. Pan kardynał zawsze będzie nas zadziwiał.

- A mnie się wydaje, że pan kardynał skorzystał tu z czyjejś rady, i nietrudno odgadnąć, że była to rada pana Colberta. Prawie nie odstępuje on mojego wuja, bez przerwy towarzyszył mu przy redagowaniu dokumentów i niedawno wuj upoważnił go, i tylko jego, do wprowadzania poprawek w tekście. A gdyby ktoś szukał innego dowodu, że stało się to wszystko za radą Colberta, to wymownie świadczyć o tym będzie strach, jaki zdjął mojego wuja dziś rano, zanim poznał odpowiedź króla. Sądziłam, że to choroba jest przyczyną szarej cery wuja, ale zauważyłam, że od razu mu się polepszyło, gdy tylko królowa matka przyniosła mu odpowiedź króla. Zrozumiałam wtedy, że wuj naprawdę się bał, bo przecież król mógł jego decyzję zrozumieć dosłownie.

- Szczerze mówiąc, pan Colbert cudownie to rozegrał, kombinacja się udała i teraz oboje powinniśmy się cieszyć. Do kaduka, jesteś pani spadkobierczynią, ale jeśli pani wieści są prawdziwe, to i ja jestem spadkobiercą. A z łaski mojego brata mamy zapewniony spadek

w należytym wysokości. Trzy dni czekania, trzy dni na udzielenie odpowiedzi.

Głos Księcia Pana brzmiał dość wesoło.

- Prawdę mówiąc, mój brat stanął na wysokości zadania i pokazał, że ma gest iście królewski.

Potem głos Księcia Pana znów spoważniał.

- Tak czy owak pan kardynał musiał się bać, skoro wpadł na taki podstęp. Czy jego majątek jest aż tak wielki? O tak, na pewno!

- Myślę, że zaniepokoił go pożar owego dnia. W dodatku jego ludzie starali się ukryć to wydarzenie, co wydaje mi się podejrzane - odparła Olimpia.

- Wierzysz więc, pani, w te pogłoski o wykradzeniu papierów?

- Jak najbardziej, bo słyszałam, jak któregoś dnia bredził - a był wtedy w łóżku i na pół drzemał - że to wydarzenie zbiegło się ze zgubą lub kradzieżą czegoś, na czym bardzo mu zależało.

- Dodam jeszcze, że jestem ci, pani, wdzięczny za przybycie tu aż z Vincennes z tą wiadomością - podjął brat królewski. - No, a co z tą drugą sprawą, o której chciałaś, pani, ze mną pomówić i która pani zdaniem dotyczy jednej z dam do towarzystwa mojej przyszłej małżonki?

- Tak, Wasza Wysokość, panny de La Valliere.

Słyszając nazwisko Luizy, Gabriel aż zadygotał i podszedł bliżej do kraty, by jeszcze lepiej słyszeć rozmowę.

- To tylko po to, żebyś Wasza Wysokość miał się na baczności. Pannę de La Valliere przedstawiono królowi kilka dni temu.

- No i?...

- Król raczył odezwać się do niej. Powiesz, Wasza Wysokość, że to sprawa całkiem zwykła, ale mniej zwykłe jest, że już do niej pisuje.

- Pisuje do niej? - z zaciekawieniem powtórzył Książę Pan.

- Tak, Wasza Wysokość, i jeśli mnie dobrze poinformowano, a mam wszelkie podstawy, by tak sądzić, robi to tak, jakby pisał do ukochanej.

- Ciekawe, ciekawe... Nie ma w tym nic niezwykłego, choć mój brat niespecjalnie stara się pisać tak, jak by wypadało, wszystko zależy

od dalszego rozwoju wydarzeń i od hartu tej dziewczyny. Ładna jest? - zapytał dość obojętnie, co wskazywało, że niewiele go to obchodzi.

Olimpia Mancini spokojnie odpowiedziała, że panna de La Valliere wygląda świeżo i uroczo.

- Apetyczna? - zagadnął brat królewski.

- Można by tak powiedzieć.

- Musimy więc jej pilnować. Czasy zmieniają się, a otwarty spadek po pani wuju zapewni nam obojgu dobrobyt, ale to jeszcze nie wszystko, bo przetasuje również karty władzy. W tej grze każdy, kto kręci się koło mojego brata, staje się dla nas cenną sprężyną, bo popycha naszą sprawę. A my musimy znać wszystkie jego zamiary; wyraźnie mówię - wszystkie. Będziemy więc mieli oko na tę dziewczynę, ot tak, na wszelki wypadek.

- Dopilnuję tego osobiście, Wasza Wysokość - odparła Olimpia. Gabriel aż się zatrząsł, słysząc ten przerażający chłód w jej wypowiedzi.

- Oby potrafiła również łagodzić wybuchy mojej przyszłej małżonki! Jej bredzenie wprawia mnie w zły nastrój - powiedział książe głosem, w którym wyczuwało się rozdrażnienie.

Oddalili się i Gabriel nie słyszał już, co mówili. Wkrótce ucichły również odgłosy ich kroków i trzasnęły któreś drzwi, a potem znowu zapanowała cisza. Gabrielowi wydała się strasznie długa, czuł pulsowanie krwi w skroniach. Luiza spotyka się z królem i coś jej grozi? Jak ma jej bronić, nie okazując, że coś wie? Poczł, że pot występuje mu na czoło. A co znaczyły te słowa o zaginionych papierach? Po co była wzmianka o safianowym portfelu? Portfel ten kolarzył się Gabrielowi z ojcem, bo też ojciec miał z tego powodu wielu wrogów. Jak rozwiązać tę zagadkę? Jak ją zrozumieć?

- Ech, mój biedny Gabrielu, czym się tak martwisz? Pobladłeś bardziej, niż gdybyś zobaczył ducha.

W uchylonych drzwiach pojawiła się milutka twarzączka Luizy.

Paryż, salon panny de Scudery - niedziela, 6 marca, godzina dziewiąta wieczorem

W kościołach paryskich wciąż rozbrzmiewały modły w intencji kardynała Mazariniego, a jednocześnie w jednym z najbardziej prestiżowych salonów stołecznych szeroko rozprawiano o wydarzeniach. Życie światowe wcale tu nie słabło i nic nie wskazywało, że wkrótce osłabnie. Kto obejmie schedę po pierwszym ministrze? Czy Fouquet i Le Tellier popadną w niełaskę? A jeśli tak, to kto ich zastąpi? Każdy stosownie do swoich powiązań lub interesów miał na tę sprawę własny pogląd.

Pani domu, panna de Scudery, krążyła od grupki do grupki, wyławiając najdrobniejsze ploteczki i ostatnie wieści na temat takiej czy innej osobistości królestwa. Wszyscy wiedzieli, że należy do obozu naczelnego intendenta finansów. Była autorka powieści *Celie, histoire romaine* przedstawiła tam Nicolasa Fouqueta jako protektora sztuk i nowego Richelieugo. W tym przejściowym dla polityki okresie okazała się bardzo aktywna, wychwalając pod niebiosa pana na włościach Vaux-le-Vicomte. W jej salonie, zawsze przepełnionym, można było spotkać przedstawicieli stanu szlacheckiego stęsknionych do odznaczenia się w polityce, mieszczan szukających uznania, ale również artystów polujących na mecenasów lub wielbicieli. Tego wieczoru jedną z atrakcji dnia była obecność Błażeja Pascala. Ten genialny konstruktor maszyny liczącej, wielki uczony, fizyk i matematyk po wypadku w Neuille 24 listopada 1654 roku prawie nie wychodził z domu. Otarłszy się o śmierć, napisał tegoż jeszcze wieczoru płomienny tekst inspirowany spotkaniem z Bogiem. Od tego dnia stał się wybitnym teologiem i rzadziej przychodził na salonowe spotkania. Ten podziwiany przez wszystkich, schorowany człowiek miał znakomite stosunki z Moliere.

- Ja stawiam na Zongę Ondedei. Biskup z Frejus wydaje mi się najwłaściwszym kandydatem na zwolnione przez Jego Eminencję stanowisko.

- Bardzo dużo mówi się również o marszałku de Villeroy - odparł autor *Pociesznych wykwitnis*, zawsze ostrożny i niezamierzający wyraźnie zdradzać Pascalowi natury swoich aktualnych powiązań z naczelnym intendentem.

Uczony uśmiechnął się smętnie i powiedział:

- Prawdą jest, że Paryż interesuje się teraz wyłącznie sprawą tej sukcesji, a przynajmniej tak mi się wydaje. Tymczasem jedyna tak naprawdę ważna sprawa, która rzeczywiście powinna nas obchodzić, jest całkiem inna. Chodzi o stabilizację królestwa. Zauważa pan - ciągnął, nie zwracając uwagi na zdziwioną minę rozmówcy, zastanawiającego się, na jaki to obszar wciąga go Pascal - że naród się wykrwawił. Wojny domowe i religijne, a także wojny z obcymi państwami - wszystko to doprowadziło ludzi do obłędu, nie umieją już powiedzieć, czy wolą słuchać króla Francji, czy raczej miejscowego szlachetki, który potrafi ich tyranizować i znacznie mocniej wpływać na ich losy.

- Z tych właśnie powodów powinniśmy prosić Boga, by zesłał nam silnego pierwszego ministra, umiającego zwalczać takie lokalne odchylenia.

- Wcale nie chodzi o silnego pierwszego ministra - zaproponował spokojnie Pascal - ale o sprawiedliwego króla. Na czym w gruncie rzeczy opiera się siła władcy? Nie na orężu, lecz na naturalnym przywiązaniu poddanych.

- Ale wcale nie o to tu chodzi. Ważne jest, że władza monarchy pochodzi od Boga! - zawołał Molier.

- Miło mi, że słyszę takie słowa - z uśmiechem odpowiedział Pascal. - Jednakże zauważył pan zapewne, że zbrodniarz, który zamordował dziada naszego władcy, Henryka IV, też działał w imię Boga. Jestem przekonany, że na przyszłość trzeba będzie uzupełniać w ludzkich sercach przywiązanie wynikające z posłuszeństwa prawu boskiemu innym, być może bardziej prozaicznym prawem, opartym na poczuciu zadowolenia zarówno jednostek, jak i mas ludzkich. Wiara jest tu konieczna i w wielu sprawach okazuje się ważną siłą napędową. Ja jednak wystrzegam się jej w polityce, i to z dnia na dzień coraz bardziej.

- Uzupełniać - powtórzył po cichu Molier tonem pełnym podziwu dla takiej śmiałości. - Oby niebo sprawiło, żeby nikt nie zrozumiał tego uzupełnienia jako zastępowania, bo mógłby pan tego pożałować, panie Pascal.

Pascal z góry spojrział na aktora.

- To możliwe, ale mogliby tego pożałować ludzie tacy jak my, bez względu na wszystko, i kto wie, nawet bez jasno wyrażonego powodu. A w ogóle skąd u pana takie myśli?

Kilka kroków obok hrabianka Soissons, Olimpia Mancini, ubrana w skromną, obcisłą suknię, zapoznała się z Luizą de La Valliere. Chciała wydobyć z niej szczegóły o kłótni, do której podobno doszło poprzedniego dnia między Henryką Angielską a Księciem Panem, czyli bratem króla.

- Jakże się miewa pani opiekunka? - zapytała Olimpia po wymianie zdawkowych komplementów. - Podobno od wczorajszego wieczoru jest cierpiąca.

- Przyszła bratowa Jego Królewskiej Mości będzie szczęśliwa, dowiadując się, jak bardzo panna hrabianka przejmuje się jej zdrowiem - odpowiedziała wymijająco Luiza.

Zrozumiała wtedy, że o nieszczęściu, jakie spotkało biedną narzeczoną Księcia Pana, wie już z pewnością cały Paryż.

Dziwne obyczaje panują w tej stolicy - pomyślała, raz jeszcze wspominając Ludwika XIV, w którym od pewnego czasu się durzyła.

W sąsiednim pokoju Jean de La Fontaine dał się wciągnąć w spór, w którym zwolennicy Colberta starli się ze stronnikami Fouqueta. Zaprzyjaźniony z Fouquetem bajkopisarz energicznie go bronił.

Gabriel natomiast miał nadzieję, że dowie się czegoś nowego w salonie, do którego wciągnął go Molier. Myśl taka przyszła mu do głowy w chwili, gdy komediopisarz przedstawił mu swego wydawcę, gadatliwego pana Barbina.

- Mam wielką prośbę do pana - odezwał się do niego Gabriel.

- Proś, młody przyjacielu, proś, o co chcesz - odparł wydawca, a poza tym powszechnie znany w stolicy księgarz.

- Pan Molier zlecił mi pewną bardzo skomplikowaną pracę, proszę więc pana o pomoc. Pan Molier chce wzbogacić intrygę swojej kolejnej sztuki i chciałby otrzymać ode mnie zaszyfrowany dokument, który znajdzie się w rękach aktora występującego na scenie jako szpieg. A ja, niestety, nie mam pojęcia o żadnych szyfrach, umiejętność szyfrowania jest mi całkiem obca i obawiam się, że mój wysiłek do niczego się panu Molierowi nie przyda.

- Bardzo ciekawy pomysł - odparł Barbin, zachwycony wiadomością, że jego autor znowu coś pisze. - Radziłbym zwrócić się z tą prośbą do Bertranda Barreme'a. Jest to znany matematyk i pochlebiam sobie, że jestem jego przyjacielem. Wierzę, że zrobi z pana wielkiego znawcę szyfrów. Wpadnij pan jutro do mnie do sklepu, dam panu do niego list polecający.

Wobec takiej perspektywy Gabriel znów mógł się uśmiechnąć. Podziękował panu Barbinowi i skłonił się, prosząc tylko, żeby niczego nie mówił Molierowi o tym tak ważnym niedostatku jego sekretarza.

Widząc jednak Luizę de La Valliere rozmawiającą z Olimpią Mancini, skrzywił się. Już od poprzedniego dnia bał się o swoją przyjaciółkę. Luiza wyraźnie przeczuwała coś złego; naturalna więź, jaka ostatnio znowu ich połączyła, jeszcze bardziej zwiększała niepokój Gabriela. Siostrzenica Jego Eminencji, Olimpia, nie zwlekała i przystąpiła już do dzieła. Zgodnie z daną Księżciu Panu obietnicą zaczęła śledzić Luizę. A tymczasem on, traktowany jako ktoś, kto nic nie wie o treści listów wymienianych między młodym królem a Luizą, nie miał pojęcia, jak powiadomić ją o tym, czego się dowiedział, i jak ostrzec przed zamiarami Olimpji.

W chwili gdy dziewczyna uśmiechała się do niego, wyraźnie szczęśliwa, że go widzi, odwrócił się i wyszedł z salonu, mówiąc sobie, że przecież jego droga Luiza z pewnością prędzej nadstawi ucho na komplementy króla niż na przestrogi początkującego aktora.

Vincennes - poniedziałek, 7 marca, godzina jedenasta przed południem

Ksiądz Claude Joly tak był zajęty kazaniem, że nie rozumiał, czego od niego chce gwałtownie wymachujący rękami kościelny.

Stukolumnowy kościół, długi na dziewięćdziesiąt metrów, miał co prawda dwadzieścia pięć okien, ale i tak było tu nader ciemno. Kończąc przemowę, ksiądz proboszcz parafii Świętego Mikołaja na Polach skorzystał przeto z okoliczności, że była to właśnie pora na przygrywkę organową, wykonywaną z rozmachem na jednym z najwspanialszych instrumentów w Paryżu, i opuścił transept. Przed kaplicą apsydalną czekał na niego żołnierz z gwardii królewskiej.

- Ojciec - powiedział uroczyście - król prosi cię, byś natychmiast udał się do Vincennes do wezłowania Jego Eminencji kardynała Mazariniego i zechciał udzielić mu ostatnich sakramentów.

- Przynies mi tu olej święcony, i to szybko! - odezwał się proboszcz do kościelnego, rozumiejąc, że prośbę króla należy spełnić bezzwłocznie. - Poprosisz również ojca Girardona, żeby skończył za mnie kazanie. Znajdziesz go w zakrystii - dodał, wychodząc z kościoła i nie trując się nawet zdjęciem ornatu.

Idąc za żołnierzem, doszedł do czekającej na niego przed kościołem karety, wsiadł do niej i ruszył w drogę pod osłoną ośmiu konnych gwardzistów.

W tymże czasie kardynał przebywał w swojej sypialni w Vincennes i wyglądał tak, jakby odzyskał trochę sił. Obok siedział zaufany mu człowiek.

- Wezwałem cię tu, panie Colbert, gdyż chcę dopisać do testamentu kodycył - odezwał się pierwszy minister.

Colbert wygodniej sobie usiadł, szykując się do notowania słów Mazariniego, ten zaś z jękiem podciągnął się na łóżku.

- Moja ukochana siostrzenica Olimpia, hrabianka Soissons, otrzy-

muje w zarząd dwór królowej - dyktował starzec, mając świadomość, że przekazuje tu nie tylko ostatnią, ale i ostateczną swoją wolę. - Natomiast księżniczka de Conti zarządzać będzie dworem królowej matki - wyszeptał, dysząc z wysiłku.

- Czy to już wszystko, Eminencjo? - spokojnie zapytał Colbert, rozeźlony tymi nowymi kapryсами siostrzenic kardynała.

Będą go doły do ostatniej chwili - pomyślał.

- Jak pan myślisz, Colbert, czy nie powinienem doradzić królowi, żeby pozbył się pana Fouqueta? - zapytał Mazarini po dłuższym namyśle.

Pytanie to tak bardzo zaskoczyło Colberta, że aż wypuścił z ręki pióro, którym wpisywał poprawki. Przecież poprzedniego dnia pod koniec narady Mazarini w obecności króla wezwał do siebie Le Telliera, Lionne'a oraz Fouqueta i polecił ich Ludwikowi XIV Charakteryzując naczelnego intendenta finansów, powiedział o nim, że „zawsze udzielał mądrych rad we wszystkich sprawach państwowych, bez względu na ich rodzaj”. Teraz Colbert, ciesząc się w duchu z tej zmiany, której zresztą oczekiwał od tygodni, nie dał jednak nic po sobie poznać i tak jak zwykle odpowiedział tonem na pozór obojętnym.

- Uwzględniając liczne nadużycia finansowe naczelnego intendenta, mógłbym zalecić Waszej Eminencji jedynie jak najdalej posuniętą ostrożność. W dodatku przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji w tej sprawie należy wziąć pod uwagę liczbę i siłę zwolenników pana Fouqueta. Na koniec - dodał złośliwie, jako zajadły jego wróg - znaczne siły zgromadzone przez naczelnego intendenta w jego posiadłościach na Belle-Ile mogłyby stanowić zagrożenie dla wewnętrznego spokoju w królestwie i utrudniać rządy Jego Królewskiej Mości.

- Dziękuję ci za szczerość, drogi panie Colbert, jak zwykle działasz zawsze w interesie państwa, a rozumujesz ostrożnie i prawidłowo. Zresztą moje godziny są już policzone i nie będę ukrywał, że poleciłem cię Jego Królewskiej Mości i zapewniłem go, że uporządkujesz sprawy państwowe, jakby to były sprawy prywatne - wyszeptał konający. - Król zgodził się na powołanie trzeciej komisji intendenta finansów, obejmiesz ją pan jako nagrodę za swoje oddanie - powiedział, ledwie

już dysząc. - Zarządziłem również, żeby wszystkie twoje zasługi zostały w tym dokumencie czarno na białym wypisane. Wepchniesz tu pan tylko te linijki - powiedział, podając Colbertowi malutką karteczkę. Kardynał potrafił ją jeszcze napisać, choć ręka trzęsła mu się bardziej niż zwykle.

Colbert bez słowa wziął kartkę i skinął głową na znak wdzięczności. Jednym krótkim spojrzeniem przeczytał pierwsze linijki, a serce biło mu w piersiach, gdy patrzył na ten certyfikat, zaspokajający wszystkie jego ambicje. „Prawość, wierność i inteligencja, o których się przekonałem, wielokrotnie się z nim spotykając (...) obserwując go prawie dwanaście lat i widząc jego przywiązanie i zapał do pracy w mojej służbie, nie znajduję wprost słów dla wyrażenia pochwał, na jakie rzeczony pan Colbert zasługuje. (...) A zatem zatwierdzam wszystko, co rzeczony pan Colbert zrobił, zarówno na mocy swoich ogólnych pełnomocnictw, jak i wykonując polecenia, które wydawałem mu ustnie. (...) Chcę, aby rzeczonemu panu Colbertowi dano wiarę na słowo we wszystkim, co wpłynęło i zostało wydane w okresie jego urzędowania (...) chcę również, aby wszystkie rachunki dotyczące mojego domu pozostawały w rękach rzeczzonego pana Colberta, tak by mógł je zachować, ale nie mógł ich nikomu przekazywać”.

Krew pulsowała mu w skroniach, gdy widział, że w drodze do władzy przekroczył właśnie pierwszy etap i nic go już z tej drogi nie cofnie. On, Colbert, drobny, biedujący i nikomu nieznany buchalterek, dorównywał teraz Fouquetowi.

Najbliższe godziny to rozstrzygną - pomyślał, podchodząc do łoża Mazariniego i podsuwając mu testament do podpisu. I wtedy rozległ się nagle głos, na który Colbert cały się zatrzęsł, tak bardzo napięte miał nerwy.

- Król!

Usłyszawszy to słowo, kardynał znów otworzył oczy, by ujrzeć wchodzącego do pokoju chrześniaka. Te nieoczekiwane odwiedziny naruszały wszelkie zasady etykiety.

- Tym przybyciem, Najjaśniejszy Panie, zaszczytasz mnie i rozgrzewasz mi serce. Z drugiej jednak strony mam świadomość, że wybiła dla mnie godzina straszliwego przejścia. Jak widzisz, Ludwiku, jestem na nie gotowy, miałem właśnie podpisać testament. Gdy królowa matka powiadomiła mnie, że Wasza Królewska Mość odmówiłaś przyjęcia zapisanych przeze mnie dóbr, musiałem zmienić swoją pierwotną decyzję. Pan Colbert opowie ci o niej, jeśli zechcesz.

Król Francji usiadł na krześle stojącym przy łożu ministra. Ogromnie smutny wobec tego, co nieuniknione, uśmiechnął się i wziął starca za rękę.

- Drogi ojciec chrzestny, przybyłem tu z miłości do ciebie. Zgodnie z tym, o co mnie prosiłeś, zabrałem ze sobą księdza Joly'ego, czeka tu obok w przedpokoju. Zaskoczyłeś mnie wszakże swoim wyborem, bo przecież dziesięć lat temu ksiądz Joly pisywał wrogie ci pamflety. Dlaczego więc on?

- Jest to szczerzy i wspaniały duchowny. Nie kocha mnie, wiem o tym. Jestem jednak przynajmniej pewien, że jego rozgrzeszenie, o ile mi go udzieli, nie okaże się nic warte.

Król w milczeniu przytaknął. Potem, widząc, że starzec się trzęsie, wstał, podszedł do kominka i energicznie przegarnął ogień pogrzebaczem, co ogromnie wzruszyło Mazariniego.

Colbert, uzyskawszy podpis zwierzchnika pod zmienioną wersją testamentu, złożył głęboki ukłon i tylko przymrużone jego oczy błyszczały w mroku.

- Drogi Ludwiku, wysłuchaj mojej ostatniej rady - powiedział kardynał, biorąc chrześniaka za rękę. - Od wielu już godzin myślę o sytuacji. Na podstawie posiadanych przeze mnie wiadomości uznałem, że powinienem cię ostrzec przed ambicjami pana naczelnego intendenta finansów. Nie odwołuję oczywiście nic z tego, co ci o nim powiedziałem. Człowiek ten wiele potrafiłby zdziałać, gdyby tylko można mu było wybić z głowy kobiety i architekturę. Na miłość boską, bądź z nim ostrożny!

- Będzie to dla mnie cenna rada, drogi ojciec chrzestny - odparł król, starając się nie pokazywać rumieńców, które pojawiły mu się na policzkach na wzmiankę o nadmiernym pociągu Fouqueta do płci żeń-

skiej - podobnie jak wszystkie te, których mi udzielałeś od czasów, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

- Najjaśniejszy Panie, spełniłem tylko swój obowiązek ministra i człowieka. Dziś mogę ci się przyznać, że bardzo wiele znaczyło dla mnie twoje uczucie, zarówno wtedy, gdy byłeś małym chłopcem, jak i wtedy, gdy zostałeś już królem. Moje życie, całe moje życie - ciągnął Mazarini ze łzami w oczach - byłoby ubogie i puste bez ciebie, mój kochany Ludwiku.

Nastąpiła krótka przerwa. Starzec opanował ogarniające go wzruszenie i znowu mógł mówić.

- Bądź ostrożny przy zawieraniu sojuszków. Wystrzegaj się wojny, bo może ona zawrócić w głowie i przynosić chwałę, ale może również ujarzmić najodważniejsze serca. Uważaj na tych, którzy spiskują po kryjomu przeciwko twojej władzy.

Król zadrżał.

- Groźba jest wszędzie, Najjaśniejszy Panie - ciągnął Mazarini. - Królestwo trzyma się na honorze i strachu, ale zawsze znajdują się marzyciele, którym śni się utopia. Ja zawsze trzymałem ich z daleka od Waszej Królewskiej Mości. Wydaje mi się, że ich pokonałem, bo w ciągu tych lat poszczęściło mi się kilka razy - dodał z lekkim uśmiechem na ustach - ale nigdy nie byłem tak zadufany w siebie, by wierzyć, że ich całkowicie rozbiłem i zniszczyłem.

Oddychał coraz szybciej, zamilknął więc i dopiero po pewnym czasie znowu złapał oddech.

- Wystrzegaj się, Najjaśniejszy Panie, tych marzycieli i ich krętałów. Nie ufaj nikomu, nie bądź zbyt surowy, ale nie okazuj również słabości. Słuchaj wtedy rad pana Colberta, bo mnie nie będzie już na świecie.

Kardynał coraz mocniej ścisnął młodego króla za rękę.

- Jeśli nie uda mi się załatwić tego za życia, powiadomię go o najważniejszych sprawach, tak ważnych, że nigdy i z nikim nie zamierzałem się nimi dzielić, a to z obawy, że źle się przysłużę interesom Waszej Królewskiej Mości. Trzeba go będzie słuchać.

Głos kardynała przeszedł w szept.

- Waszej Królewskiej Mości zawdzięczam wszystko. Nie przyjąłeś,

Ludwiku, mojego majątku, ale myślę, że jakoś się odwdzięczyłem, zostawiając ci Colberta - dodał przyduszonym głosem kardynał.

Ludwik XIV nic nie odpowiedział swemu ministrowi, który zapadł nagle w przedśmiertny sen. Położył na pościeli wychudzoną rękę starca i wyszedł po cichu z pokoju, a następnie poprosił półgłosem proboszcza parafii, by czym prędzej udał się do wezgłowie chorego. Potem zszedł po schodach, odesłał podjeżdżającą do niego karete, skinął na d'Artag-nana, każąc mu zejść z konia i oddać mu go. Wskakując na siodło, prawie potracił wciąż trzymającego lejce oficera i natychmiast popędził galopem. Pochylił się nisko nad szyją zwierzęcia i czuł piekące łzy, spływające mu po policzkach i padające na rozwianą wiatrem grzywę.

W tym samym czasie w przyciemnionym pokoju Mazariniego rozpoczynał się dialog między dwoma niedawnymi wrogami i ksiądz Joly bardzo po bożemu zajął się konającym. Gdy jednak spróbował nakłonić kardynała do powiedzenia mu czegoś o pieniądzach państwowych, Włoch zebrał resztę sił i przypomniał proboszczowi o swojej władzy, dodając mu w ten sposób do zrozumienia, gdzie jest jego miejsce.

- Księżę, po to tylko kazałem cię szukać, żebyś mówił mi o Bogu. Proszę cię więc, byś nie wychodził poza zakres swoich obowiązków - powiedział Mazarini, dowodząc w ten sposób, że nawet w obliczu śmierci potrafi być stanowczy, nie gorzej niż za życia.

Tak więc 7 marca wczesnym popołudniem kardynał Giulio Mazarini przyjął ostatnie sakramenty świętego Kościoła oraz uzyskał rozgrzeszenie.

29

Paryż, la Conciergerie - poniedziałek, 7 marca, godzina szósta wieczorem

- Ostatni raz powtarzam, mów! Przyznaj się! To ty podpaliłeś bibliotekę kardynała! To ty splądrowałeś jego gabinet! To u ciebie znaleźć-

liśmy dziś rano te ulotki, rozwieszane ostatnio w całym Paryżu! - wykrzykiwał Charles Perrault, podtykając więźniowi pęk ulotek.

Przesłuchanie ciągnęło się już od trzech godzin, a przeprowadzono je w wilgotnych i zimnych podziemiach znanego więzienia la Conciergerie. Różnooki człowiek nazywał się Richard Morin, aresztowano go po południu w jego mieszkaniu. Tym razem miał na sobie jedyną swoją koszulę, siedział ze skutymi rękami na kamiennej ławie. Od trzech długich godzin odmawiał odpowiedzi na pytania i albo cytował całe fragmenty z Biblii, albo mamrota! jakieś modlitwy. Znalezione u niego dokumenty świadczyły jednakże, że należy do którejś z sekt, a w dodatku roznosił niedawno ulotki atakujące kardynała. Perrault doskonale wiedział, że ich autorzy wykorzystali kwity zrabowane w czasie pożaru biblioteki pierwszego ministra, chciał więc wyciągnąć z Morina przyznanie się do udziału w tym napadzie, by następnie poznać nazwisko lub nazwiska jego zwierzchników.

- Po raz ostatni, Morin, pozbądź się skrupułów i powiedz mi, dla kogo pracujesz - powiedział spokojniejszym już tonem Perrault. - Coś mi się zdaje, że niektórzy twoi przyjaciele opuścili cię, bo gdyby było inaczej, to nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie mieszkasz. Jak sądzisz, czy to nie dziwne, że wczoraj znalazłem na swoim stole anonimowy list z wiadomością, że autorem tych ulotek, a zarazem hersztem bandy złodziei i podpalaczy jest szanowny pan Richard Morin? - ciągnął słodziutkim głosem naczelnik policji.

- Kłamstwa! Kłamstwa! - zawył przesłuchiwany, potrząsając kajdanami, jak gdyby chciał się od nich uwolnić.

- Sam jesteś kłamcą! - odparował Perrault. - Chcesz dowodu? Dostarczył mi go Toussaint Rożę, którego tak wymęczyłeś w apartamentach kardynała. Potwierdził mi przed godziną, że człowiek, który na niego napadł, miał jedno oko zielone, a drugie piwne. Twój portret, nic dodać, nic ująć.

Do podziemi wszedł tymczasem muszkieter z Luwru z pilnym listem do Perraulta. Colbert prosił naczelnika policji o przyśpieszenie śledztwa, tak aby przesłuchiwany przyznał się do swoich powiązań z Nico-

lasem Fouquetem i dokładnie je wskazał. „W razie potrzeby użyć wszelkich sposobów” - kończył swój list Colbert.

- No to sam tego chciałeś - oznajmił Perrault. - Zajmijcie się nim - rozkazał trzem mężczyznom, którzy od kilku już minut kręcili się koło dziwnych machin w głębi pomieszczenia.

Morina bezlitośnie zaprowadzono do izby tortur. Posadzono na drewnianym siodełku, na którym raz jeszcze przesłuchiowano więźniów przed poddaniem ich właściwym torturom. Morin znowu nic nie powiedział i tylko błagał Boga o litość.

- Poddamy cię sześciu torturom, po trzy za jednym razem - zapowiedział pierwszy kat, mówiący z wyraźnie katalońskim akcentem.

- W każdej chwili będziesz mógł się przyznać, w przeciwnym razie będę przechodził do etapu następnego - dodał Perrault, szukając błysku przerażenia w oczach obwinionego.

W pierwszej kolejności poddano Morina próbie buta hiszpańskiego. Było to coś w rodzaju skrzynki, utworzonej z czterech drewnianych deszczulek, dociskanych do nóg torturowanego przy użyciu sznurów. Perrault usłyszał trzaski miażdżonych kostek, ale mógł tylko stwierdzić, że Morin wciąż nie ustępował i nawet nie krzyknął z bólu. Powieszono go potem na sznurze przywiązany do poprzeczki na wysokości trzech metrów nad ziemią. Ręce miał związane z tyłu, a tortura polegała na tym, że nieszczęśnik wisiał w powietrzu. Najpierw wieszano go dziesięć razy bez dodatkowego obciążenia, potem przywiązywano mu do nóg ciężar dwudziestokilowy, a na koniec - prawie pięćdziesięciokilowy. Torturowany cierpiał tak strasznie, że nie mógł już wytrzymać i wył z bólu, nadal jednak nie ustępował i nie wyjawiał najdrobniejszego nawet szczegółu. Perrault przy każdej próbie wciąż stawiał te same pytania i wciąż bez skutku.

Ostatnią torturą była kobyłka, czyli drewniana konstrukcja w kształcie graniastosłupa, spoczywająca na czterech podpórkach. Posadzono na takiej kobyłce Morina i mocno go do niej przywiązano. Koniec sznura zaczepiony był na podnośniku, którego ruchy rozciągały członki przesłuchiwanego. Krzyczał coraz straszniej, w miarę jak sznur rozrywał mu ciało.

- Jest wyjątkowo wytrzymały - powiedział starszy kat, uwalniając z więzów zakrwawionego i nieprzytomnego wreszcie Morina. - Rzadko zdarzało mi się widzieć, żeby ktoś wytrzymał te wszystkie tortury aż do końca i nic nie powiedział - dodał z odrobiną podziwu w głosie.

Kat odpoczął trochę i znowu zakuł w łańcuchy leżące na kamiennej ławie poszarpane ciało Morina, a tymczasem Perrault wciąż szalał, nie mogąc nic wydobyć z przesłuchiwanego. Wychodząc z podziemi, przyrzekł sobie, że o pierwszej w nocy znowu tu wróci i za wszelką cenę zmusi tego diabła w ludzkiej skórze do mówienia.

Niedługo po ich wyjściu, gdy Morin powoli wracał do przytomności, do izby tortur wślizgnął się jakiś starszy człowiek w czarnym płaszczu.

- Krzyż Jezusa jedyną naszą dumą - szepnął nieszczęśnikowi do ucha.

- Mistrzu - odparł Morin, rozpoznawszy natychmiast głos swojego przełożonego, głos, który tak ostro skarcił go przed miesiącem na Mont-Louis, zarzucając mu zaniedbanie. - Mistrzu, miłość do Boga pomogła mi zachować milczenie, ale ratuj mnie, błagam!

- Po to tu jestem, synu - odparł przybysz, przysuwając się tak blisko, że jego twarz prawie stykała się z twarzą więźnia. - Zawiodłeś nasze zaufanie, podejmując z jakiegoś nieznanego mi powodu inicjatywę i pisząc te ulotki. Z tej właśnie przyczyny postanowiliśmy cię poświęcić, wydając cię. Wiedz, że twoje nędzne życie, tak samo jak moje, niewiele znaczy w porównaniu ze sprawą, gdyż znaczy ona więcej niż my wszyscy. Bóg dał ci siłę, byś oparł się bólowi i zachował milczenie. Bądź pogodny, a wkrótce przyjmie cię do swojego królestwa.

Starzec wlał Morinowi do ust fiolkę silnej trucizny, która natychmiast położyła kres cierpieniom nieszczęśnika.

- Krzyż Jezusa jedyną naszą dumą - powtórzył tajemniczy przybysz, żegnając się i opuszczając izbę tortur tak cicho, jak cicho tu przyszedł.

Vincennes - poniedziałek, 7 marca, godzina siódma wieczorem

Na widok Colberta, przeciskającego się przez uchylone drzwi do apartamentów kardynała, ruszył tłum interesantów czekających w przedpokoju, a nawet na schodach. Rozpychali się łokciami, każdy liczył, że Colbert go zauważy, i podawał mu na wyciągniętej ręce to jakiś papier, to różaniec, to medal... Colbert patrzył spode łba na gęsto stłoczoną przed nim masę ludzką, od której osłaniało go trzech potężnie zbudowanych służących. Był spokojny, nie zważał na krzyki i starał się wypatrzeć w tłumie ludzi znanych mu i użytecznych.

- Mam tu list od kardynała! - wydierał się jakiś spocony ksiądz, wymachując pergaminem.

- Panie Colbert!

- Mój syn, który...

- Miejsce!

Głosy zlały się już w jeden nieopisany wrzask, gdy bystre oczy Colberta skierowały się nagle na drugą stronę pomieszczenia. Ruchem ręki pokazał rozstawionym wzdłuż murów gwardzistom trzy kobiety, które usiłowały przedostać się przez próg. Protesty stały się jeszcze głośniejsze, ponieważ tłum zrozumiał, że żołnierze ich odpychają, chcąc zrobić przejście nowo przybyłym.

- A to jakim prawem? - oburzył się ksiądz, który przyszedł tu, by domagać się swojej należności.

- Prawem krwi - z pogardą w głosie rzuciła Olimpia Mancini, zrzucając z głowy kaptur i odsłaniając włosy oraz czarne oczy.

Dworzanie, którzy zjawili się tu po to, by walczyć choćby o okruchy spadku po kardynale, skapitulowali i przestali na chwilę wygłaszać swoje jeremiady. Patrzyli teraz, jak trzy siostrzenice kardynała przechodzą obok nich, bez czekania zostają wpuszczone do tak upragnionego przez wszystkich obecnych miejsca, po czym drzwi zamykają się za nimi.

- Hortensja, Olimpia, Maria...

Kardynał ze łzami w oczach wyciągnął ręce do siostrzenic. Gdy podeszły bliżej, pobłogosławił je, kreśląc każdej wielkim palcem na czole znak krzyża. Trzy dziewczyny klęczały w milczeniu obok łóżka, a starzec gładził je po opuszczonych nisko twarzach, chwycił za podbródki i podnosił im głowy, żeby po raz ostatni - jak się lękał - spojrzeć w te ukochane przez niego oczy.

- Mario - rzekł, głośno jęcząc - tak bardzo chciałbym być jeszcze na twoim ślubie i wiedzieć, że zaopiekował się tobą ten szlachetny pan Colonna. Ach, aniołeczki, jakże ciężko rozstawać się z ukochanymi istotami!... Pomyślcie czasem o waszym starym wuju i przyznajcie, że chciałem, byście były szczęśliwe. Ale co to, czemu nic nie mówicie? - zapytał ze zdziwieniem.

Odpowiedziała mu Olimpia. Mówiła prawie szeptem.

- Wujku, to smutek zamyka nam usta. Mazarini odwrócił oczy i stłumił szloch.

- W dodatku boimy się jutra. Któż zaopiekuje się nami, któż zatroszczy się o nas i o nasze rodziny, gdy zabraknie nam ciebie, wuju? Byłeś dla nas tak dobry. Bez twojej szczodrej pomocy któż zapewni przyszłość naszym dzieciom, dzieciom twojej krwi?

Stojący w odwodzie Colbert zacisnął zęby.

- A niechże zarazą weźmie taką rodzinę - mruknął. Hałas na zewnątrz gwałtownie się nasilił.

- Niczego nie uszanują! - krzyknął potężnym głosem Colbert, szczęśliwy, że może skierować swój gniew na mniej groźne istoty, a jednocześnie przerwać biadolenia najstarszej siostrzenicy.

- Co się stało, panie Colbert? - szepnął Mazarini, zwracając zmęczone oczy w stronę współpracownika.

- To z pewnością ludzie, którzy z niecierpliwością chcieliby okazać swoje przywiązanie do Waszej Eminencji - nie bez ironii odpowiedział Colbert, ruszając w stronę drzwi.

Kardynał skrzywił się.

- Niech odejdą i modlą się za moją duszę raczej w kościołach, a nie w moim pałacu - powiedział słabym, przerywanym głosem.

Potem odwrócił się w stronę siostrzenic.

- A wy, moje dziatki, idźcie i niczego się nie bójcie. Zadbalem o to, żeby w przyszłości nic złego nie mogło się wam zdarzyć. Niech poświadczy to pan Colbert.

Colbert trzymał już dłoń na klamce. Teraz odwrócił się i nic nie mówiąc, jedynie uśmiechem potwierdził słowa kardynała.

Olimpia cała się trzęsła, ale zdołała jakoś opanować gniew, że jej jęki na nic się nie zdały.

- Idźcie i nie zapominajcie o mnie - szepnął jeszcze Mazarini.

Colbert wszedł z uśmiechem do opustoszałego na powrót pokoju.

- Ten hałas nie będzie już nam przeszkadzał - rzekł. - Kazałem usunąć wszystkich obecnych i poprosiłem ich, by modlili się o zdrowie Waszej Eminencji. Wyjaśniłem im w dodatku, że jeśli chcą okazać swoje przywiązanie do pańskiej osoby, jest to zamiar chwalebny, ale może tylko zmęczyć Waszą Eminencję i opóźnić jej powrót do zdrowia.

Oświadczenie to wywołało pomruki Mazariniego. Kardynał machnął gniewnie ręką, pokazując, że nie wierzy w takie mrzonki.

- Dość tego, panie Colbert! A był wśród nich ktoś, z kim warto by się było zobaczyć?

Colbert pokręcił przecząco głową.

Mazariniego jakby coś tknęło. Uniósł się na łóżku, a swoje zsiniałe, rozdygotane dłonie ułożył na purpurowym okryciu.

- Co z opactwem Prône, panie Colbert? Pomyśleliśmy o nim?

- Eminencja może się nie obawiać, tu wszystko jest w porządku.

Zmęczona twarz kardynała znowu się zasepiła.

- A co z tymi skradzionymi papierami, panie Colbert?

- Niestety, Eminencjo. Aresztowaliśmy jednego z napastników, ale niczego nie miał ani przy sobie, ani u siebie w domu - odpowiedział Colbert. - A teraz milczy - dodał z groźną miną - choć Perrault wychodzi ze skóry, żeby coś z niego wydobyć.

Mazarini znowu opadł na poduszki i pokręcił głową.

- Znaleźliśmy poważny ślad, a nawet dwa ślady, i mam nadzieję, że szybko dojdziemy do celu - zapewnił Colbert.

- Ta właściwie nie mam już czasu - zauważył Mazarini.

Drzwi otworzyły się i do sypialni kardynała wszedł pokojowiec. Zbliżył się do Colberta i szepnął mu do ucha kilka słów. Twarz ministra sposepniała na chwilę, a Colbert pokręcił przecząco głową i zwolnił pokojowca, ten zaś w milczeniu mu się skłonił.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, a Mazarini już pyta, aco podniósł brwi.

- Jest jeszcze jeden interesant, Eminencjo, bardzo prosi o przyjęcie.

Mazarini nie opuszczał podniesionych pytająco brwi.

- Naczelný intendent finansów, Eminencjo. Udzieliłem mu odpowiedzi, że Wasza Eminencja odpoczywa.

Kardynał nie zareagował.

Zapadło milczenie. Colbert powolutku podszedł do okna i odsunął kotarę, która nie wpuszczała do pokoju światła. Jasny promień przebił półmrok i oświetlił zubożnięte oblicze konającego.

- Jeden rok - mrucał Colbert. - Jeden rok...

Przypomniął sobie szczegóły odbytej przed rokiem w cztery oczy rozmowy z naczelnym intendentem. Była to ostatnia przeprowadzona przez kardynała próba pogodzenia tych dwóch ludzi. Colbert na wszystko otrzymał wtedy godzinę. Miał w tym czasie zapoznać się z zarzutami rywala, ułagodzić go, przybierać dobrą minę i nisko się giąć w ukłonach przed tą wiewiórką, która traktowała go jak byle pachółka, ośmielała się robić złośliwe aluzje do widniejącego w jego herbie za-skrońca i jakby od niechcienia podawać w wątpliwość arystokratyczne pochodzenie jego szkockich przodków. Teraz wzbierał w nim gniew w miarę jak przypominał sobie te słowa i te zachowania. Przez cały rok po każdym raporcie złożonym Jego Eminencji był poniżany, musiał bronić się przed bezpośrednimi oskarżeniami i odpierać oszczerstwa. Przymknął oczy i odegnał od siebie te piekące wspomnienia. Godzina goryczy i cierpliwości dobiega końca - pomyślał.

Gdy znów otworzył oczy, Fouquet szybkim krokiem schodził już po schodach wyjściowych.

Patrzył, jak zdymisjonowany naczelny intendent samotnie idzie pieszo przez ogród, oddzielający go od jego domu, i na twarzy tego niskiego, ubranego na czarno człowieczka pojawił się lekki uśmiech.

31

Saint-Mandé - wtorek, 8 marca, godzina czwarta po południu

François d'Orbay pobladł, widząc, że do wielkiej galerii wchodzi młody chłopak. Te rysy, ta twarz, ta postawa - wszystko to było mu tak znane, że nie dowierzał własnym oczom. A przecież nie znał tego chłopaka, tego był pewien. Nowo przybyły, tak jak wiele innych osób, zjawił się tu w pełni dnia i teraz czekał na rozmowę z naczelnym intendentem finansów. D'Orbay, niezwykle zaciekawiony tym spotkaniem, przedstawił się.

- Nazywam się d'Orbay, jestem architektem zamku w Vaux-le-Vicomte - odezwał się z lekkim uśmiechem.

- Miło mi pana poznać, panie architekcie. Jestem pełen podziwu dla pańskiego talentu. Ja natomiast jestem osobistym sekretarzem pana Moliera - odpowiedział nowo przybyły.

D'Orbay szybko się rozgadał, próbując dyskretnie dowiedzieć się czegoś więcej o swoim rozmówcy. Jednakże wydarzenia ostatnich dni wyostrzyły czujność Gabriela i skłoniły go do trzymania języka za zębami. Umiał już bardzo grzecznie się zachowywać, niczego o sobie nie mówiąc.

- Pan d'Orbay - poważnym i uroczystym głosem odezwał się szwajcar, mający wprowadzić architekta do gabinetu Nicolasa Fouqueta.

- Niestety, muszę się z panem pożegnać, panie sekretarzu - zakończył rozmowę d'Orbay, przyrzekając sobie, że szybko przeprowadzi śledztwo i dowie się wreszcie, kim jest ten chłopak.

Architekt wyszedł, a Gabriel zaczął przyglądać się galerii. Długo wpatrywał się w słynne sarkofagi, które już raz go zadziwiły, gdy był tu niedawno z Molierem. To Luiza przekonała go, by poprosił o to spotkanie w cztery oczy z Fouquetem. Próbowano go już uprowadzić, sam więc doszedł do wniosku, że powinien znaleźć sobie protektora i powierzyć swoje losy jakiejś wysoko postawionej w królestwie osobie, która potrafi go wesprzeć. Do naczelnego intendenta finansów żywił uczucie podziwu. Pretekstem do złożenia prośby o przyjęcie była sprawa pewnych dokumentów, które dotyczyły finansów teatru i wymagały podpisu intendenta. Gabriel nie wiedział dokładnie, jak daleko będzie mógł posunąć się w swoich zwierzeniach, ale ufał Fouquetowi. Po godzinie doczekał się wreszcie chwili, gdy szwajcar wymówił jego nazwisko. Wstał, szczęśliwy, że może się już ruszyć po tym długim siedzeniu, i podążył za szwajcarem. Idąc, przyglądał się wspaniałym stiukom Pietra Sassiego i wpadł w podziw przed wiszącym na zakręcie korytarza płótnem Vero-nesego *Dawid i Batszeba*. Stojąc przed drzwiami do gabinetu ministra, zaczął się trochę bać. Jak przyjmie moje zwierzenia? - pytał samego siebie, zastanawiając się zarazem, czy warto było zabiegać o tę rozmowę.

- Proszę wejść, panie sekretarzu - odezwał się uprzejmie siedzący za biurkiem Fouquet.

Gabinet nie był zbyt przestronny, ale za to starannie urządzony. Drewniane meble słynnego Jeana Lepautre'a nadawały pomieszczeniu niepowtarzalny wygląd.

- Dostojny panie, przychodzę tu na prośbę pana Moliera. Przesyła on panu pełne szacunku pozdrowienia i prosi, by zechciał pan przejrzeć i parafować te oto dokumenty - oznajmił Gabriel, wręczając Fouquetowi gruby plik papierów.

Fouquet nie odpowiedział, ale uśmiechnął się przyjaźnie do Gabriela, przejrział papiery i przystąpił do ich parafowania.

- Wie pan może, czy pan Molier znalazł już pomysł i zaczął wreszcie pisać tę zabawną komedyjkę, którą obiecał mi na lato? - zapytał.

- Mogę potwierdzić, że z zapałem nad nią pracuje. Wolno mi chyba nawet dodać, że ta nowa sztuka odniesie nie mniejszy sukces niż *Pocieszne wykwintnisie* przed rokiem.

- No to dobrze się składa - odpowiedział intendent, nie odrywając się od podpisywania dokumentów. - Wydaje mi się, że przed chwilą zapoznałeś się pan z d'Orbayem, architektem i budowniczym tego mojego cudnego zamku w Vaux. Wasz zespół powinien doskonale wypaść na tle przygotowanych przez niego dekoracji, które zresztą obmyślaliśmy razem. Chciałbym, żeby całe królestwo doceniło talenty naszych artystów.

- Tak właśnie będzie, dostojny panie, a ja będę miał zaszczyt osobiście wystąpić w tej komedyjce - odparł Gabriel, zachęcony ciepłym tonem gospodarza.

- Jest mi nad wyraz miło - rzekł Fouquet, podnosząc głowę i wpatrując się w Gabriela. - Powiedz mi jednak, młody przyjacielu, czy to prawda, że policja kardynała ma oko na wasz zespół. Czyżby podejrzewano was o jakieś malwersacje?

Gabriel, szczęśliwy, że Fouquet umożliwia mu w ten sposób przejście do sedna sprawy, a jednocześnie niezmiernie zdziwiony, że ma on tak wiele informacji, powiedział wszystko, co było mu wiadome o nadzorze policji. Dokładnie opisał napad na starego dozorcę teatru, na wszelki jednak wypadek nie wspomniał o zaszyfrowanych dokumentach.

- Trzy dni temu mnie też chciano porwać, a napadu dokonali ci sami ludzie, którzy zaatakowali naszego dozorcę - powiedział. - Jestem w niewesołej sytuacji i niech mi wolno będzie poprosić Ekscelencję o radę.

Naczelny intendent finansów pogładził swoje cienkie wąsiki, co czynił zawsze, ilekroć się zastanawiał. Ta przedziwna historia zaintrygowała go, ale i rozbawiła. Odczuwał teraz sympatię dla tego młodego aktora. Już przy pierwszym spotkaniu uświadomił sobie, że zachowanie Gabriela świadczy o jego szlacheckim pochodzeniu, a teraz pomyślał, że dobrze by było, gdyby w przyszłości jego synowie stali się podobni do tego młodzieńca.

- Ekscelencjo, mam jeszcze jedną sprawę - podjął Gabriel, uznając, że przed człowiekiem, który będzie mógł mu pomóc w poszukiwaniu ojca, nie powinien ukrywać swoich spraw osobistych.

Opowiedział więc coraz uważniej słuchającemu ministrowi o swoim pochodzeniu, o ucieczce z Amboise i o próbach dowiedzenia się, czy uganijący się za nim ludzie nie byli przypadkiem nasłani przez jego rodzinę. Fouquet słuchał go coraz uważniej i lekko się przy tym uśmiechał, wiedział bowiem, że cała ta awantura zaczęła się od pożaru w bibliotece Mazariniego i zniknięcia niektórych dokumentów, co, jak się wydaje, przerażało tego zacnego Colberta. Isaac Bartet, agent kardynała, ale od wielu lat grający na dwa fronty, zdążył już powiadomić o całej sprawie Fouqueta, a przed kilkoma minutami tenże Bartet doniósł mu o popołudniowym aresztowaniu Morina.

- Rodzina albo i nie rodzina, w każdym razie trzeba zachować ostrożność. Musimy pana osłaniać - oświadczył intendent, chcąc sprawić przyjemność młodemu aktorowi, ale przede wszystkim zapewnić sobie jedną lub dwie najsilniejsze figury w tej partii szachów, w której od tej pory każdy wydawał się grać swoimi figurkami.

Tu Fouquet zrobił minę, jakby się zastanawiał, ale po chwili znowu zaczął mówić.

- Proponowałbym panu przenieść się na kilka dni do Vaux-le-Vicomte, bo to bezpieczne miejsce. Przyjmie cię pan La Fontaine, wyjechał tam, żeby pisać. Ja dojadę do pana później. W tym czasie wiele spraw się wydarzy, a ja będę mógł spokojnie zająć się rozwiązaniem tej zagadki.

Gabriel, uszczęśliwiony tą propozycją, która wydawała się prawie rozkazem, skłonił się i podziękował ministrowi za zaufanie.

- Zabierzesz pan te papiery, ja już je podpisałem, i jeszcze dziś zawiadomisz pan Moliera, że ze względu na żalobę musi pan wyjechać na kilka dni z Paryża - podjął Fouquet. - Nie wolno tylko panu mówić, dokąd. Jutro rano prześlę panu powóz, który zawiezie pana do Vaux-le-Vicomte. A teraz ruszaj stąd, młody człowieku - rzekł intendent, odzyskując nagle całą swoją powagę. - Zmykaj! To, co się w tej chwili dzieje, nie jest farsą, napisaną przez waszego zacnego Moliera, ale może nawet tragedią.

Gdy Gabriel, wielokrotnie skłoniwszy się gospodarzowi, wychodził z gabinetu, Fouquet wciąż siedział na swoim miejscu i nadal gładził sobie wąsy.

- Ten miody diabeł z pewnością wie więcej, niż mi powiedział -mruczał. - Muszę się dowiedzieć, dlaczego ugania się za nim cały Paryż, a przede wszystkim, co jeszcze kombinuje ten Colbert.

32

Saint-Mandé - wtorek, 8 marca, godzina szósta wieczorem

Fouquet już czwarty raz oderwał oczy od parafowanych dokumentów, spojrzął w okno i tępo wpatrzył się w cienie kończącego się dnia. "westchnął, wziął stertę papierów, położył je przed sobą na małym stoliku, zajęтым w połowie przez trójramienny świecznik oświetlający mu miejsce pracy, i przymknął powieki. Czyżby to zmęczenie przeszkadzało mu pracować tak jak zwykle?

- Ekscelencjo, pan d'Orbay prosi o przyjęcie go.

Fouquet otworzył oczy i ujrzał przed sobą pokojowca, który wszedł tu bezszelestnie. Popatrzył na niego przez chwilę, a potem kiwnął głową na znak przyzwolenia.

Pokojowiec wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Fouquet z pewnym wahaniem zakrył kałamarz. Znowu ten d'Orbay?

Ledwie zdążył wstać, a drzwi się otworzyły. Służący odsunął się i przepuścił architekta. Gość zrzucił płaszcz i zdjął kapelusz, a Fouquet wskazał mu jeden z dwóch foteli w kącie obok kominka.

- No i co, François, znowu wróciłeś? - zapytał, siadając. - Przestań się wiercić jak wariat i natychmiast powiedz mi, o co ci chodzi.

D'Orbay z wyraźnym wysiłkiem uspokoił się i też wreszcie usiadł.

- Ten chłopak, którego widziałeś dziś po południu, ten, którego przyjąłeś po mnie i z którym minąłem się w przedpokoju...

Fouquet skrzywił się, pokazując w ten sposób, że niczego nie rozumie.

- Ten sekretarz Moliera?

- On, we własnej osobie.

- Cóż zrobił tak strasznego, że znowu tu jesteś?

Zdanie to Fouquet wypowiedział z ironią, ale natychmiast spoważniał, spojrzawszy na kamienną twarz rozmówcy.

- Czy znasz przynajmniej jego nazwisko, Nicolas? Fouquet wzruszył ramionami na znak, że tego nie wie.

- Nazywa się Gabriel... Gabriel jakiś tam... - odpowiedział.

- Gabriel de Pontbriand, Nicolas, Pontbriand! Nic ci nie mówi to nazwisko?

Fouquet raz jeszcze pokazał, że o niczym nie ma pojęcia.

- Dlaczego powinienem je znać?

- A co będzie, jeśli ci powiem, że takie samo nazwisko ma człowiek, który występuje jako Charles Saint John, a ten Gabriel jest zadziwiająco do niego podobny i właśnie dlatego go rozpoznałem.

Fouquet aż zerwał się z fotela.

- Co?! Co powiadasz?! - krzyknął. - Czy jesteś tego pewien? - dodał spokojniejszym już tonem.

- Całkowicie pewien - odparł d'Orbay. - Byłem po prostu wstrząśnięty, gdy zobaczyłem go u ciebie w przedpokoju. Ten twój Gabriel to syn naszego brata, Andrego de Pontbrianda, znanego ci jako Charles Saint John.

Zapadło milczenie i trwało przez dobrą minutę.

- Gabriel de Pontbriand... - mruknął Fouquet.

- Zbieżność jest istotnie zaskakująca - podjął d'Orbay, patrząc na skwaśniałą nagle minę Fouqueta - i przyznaję, że wstrząs, jakiego dziś po południu doznałem, zmroził mi krew w żyłach. Nasz projekt jest zbyt niepewny, a jego ważność zbyt istotna, żebyśmy mogli zlekceważyć takie zbieżności. Oto dlaczego chciałem natychmiast cię ostrzec, choćbym nawet pierwszy miał przyznać, że nie należy przywiązywać do tego szczególnej wagi. I tak mamy już sporo do zrobienia i czasu na rozrywki nie wystarcza. A zresztą rodzinne powiązania tego chłopaka nie są zapewne bez znaczenia w sprawach, które wziął na swoje barki...

- Masz z pewnością rację, ale mimo wszystko trzeba uważać. Musimy być czujni. W każdym razie dobrze zrobiłeś, ostrzegając mnie. I pomyśleć, że obiecałem mu opiekę i kwaterę, niczego o nim nie wiedząc... Tak - ciągnął Fouquet ku zaskoczeniu d'Orbaya - mówił mi

o napadzie i groźbach, a opowiedział tak szczerze i tak barwnie historię swojego wyjazdu incognito do Paryża, dokąd się przeniósł, żeby uciec od szarego i nudnego życia u opiekuna w Amboise, że zaproponowałem mu ukrycie się w Vaux aż do czasu, gdy sytuacja się wyjaśni.

- No to znakomicie! - zawołał architekt. - W Vaux będziemy mieli go w rękach, a jednocześnie łatwiej nam będzie czuwać nad nim i pilnować, żeby nie spłatał nam jakiegoś głupiego figla. Skorzystajmy z tej przerwy, wydobądźmy na światło dzienne jego tajemnicę i odkryjmy, dlaczego ma tylu wrogów. W ten sposób najłatwiej nam będzie uwolnić się od tego niemiłego, a prześladowającego nas obu wrażenia nieuchronności.

- A co ten chłopak właściwie wie? Jak myślisz? D'Orbay skrzywił się z powątpiewaniem.

- Nie ma żadnego powodu, żeby cokolwiek wiedział. Z pewnością nie może napuścić wrogów na nasze ślady, nie może im również nas wskazać. O swoim ojcu nic nie wie, nie widział go od piętnastu lat, co do tego możemy być pewni.

Fouquet znowu zamilkł na dłuższą chwilę.

- Działalność agentów Mazariniego, Colberta i jego policji, to włamanie... teraz wchodzi nam jeszcze w drogę ten upiór... Wszystko to może niepokoić.

Przez chwilę jakby gubił się w myślach, potem zwrócił się do architekta:

- Jak powiedziałaś, kiedy ma być dostawa?

- Tajemnica opuści Rzym za miesiąc. - D'Orbay mówił ściszym głosem. - Dotrze tu w miesiąc później. Droga do Vaux zajmie jeszcze kilka dni. Wszystko będzie gotowe na lato.

Fouquet zakrył twarz dłońmi.

- Oby niebo pomogło nam odnaleźć do tego czasu formułę. W przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie będziemy działali bez niej - uciał d'Orbay. Fouquet wyrzwał przez okno.

- Wiem, co myślisz, François. Rozumiem twoją niecierpliwość.

Myślę, że wykonaliśmy dobrą pracę, i sędzę, że Vaux może stać się świątynią w nowym układzie politycznym, który przywróci wreszcie prawdę rzeczom zgodnie z rzeczywistym nauczaniem Chrystusa. Nie chcę jednak przeceniać naszych sił.

Wpatrzył się w architekta i uśmiechnął się do niego.

- A zwłaszcza swoich, François.

D'Orbay zabrał płaszcz z fotela i zarzucił sobie na ramiona.

- No tak - powiedział. - W stosownej chwili jeszcze sobie o tym porozmawiamy.

Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Fouqueta.

- Nie bój się, przekonasz go - zapewnił, wkładając rękawiczki.

-Przekonasz go, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Dałby to Bóg - szepnął Fouquet w chwili, gdy architekt zamykał już drzwi. - Dałby Bóg...

33

Zamek w Vincennes - wtorek, 8 marca, godzina siódma wieczorem

- Musimy się więc rozstać, Pani...

Królowa aż zadrżała, słysząc słabiutki głosik, w którym ledwie można było jeszcze dosłyszeć śpiewną i melodyjną mowę, tak bardzo jej drogą. Zatopiona w modlitwie, od wielu już minut siedziała w fotelu u wezglowia kardynała i wydawało jej się, że Mazarini śpi. Starając się uśmiechać, patrzyła na przymknięte oczy, wynędzniałą twarz i pożółkłą skórę chorego, wyglądającego tak, jakby życie prawie już z niego uleciało. W milczeniu ujęła go tylko za rękę, bojąc się, że słowa mogą zdradzić jej wzruszenie, i łagodnie głaskała zimne, nieruchome już palce pierwszego ministra.

- Jakże ciężko rozstawać się z tym światem i przenosić do lepszego - odezwał się Mazarini tym samym, zgaszonym głosem. - A przecież nie będzie tam kłopotów, nie myślę już ani o swoich obrazach, ani o książkach. Nawet sprawy państwowe niewiele mnie obchodzą, ale do tego

tylko tobie, Pani, mogę się przyznać... Jakże jednak ciężko rozstać się z ukochanymi istotami! Nie, nie płacz, Pani - ciągnął kardynał, mrużąc w półcieniu swoje zmęczone oczy, by tym lepiej widzieć twarz królowej, której coraz trudniej było powstrzymać się od płaczu. - Ufam w rozsądek króla i w jego dojrzałość, czuję się w dodatku spokojny, wiedząc, że zawsze będziesz mu, Pani, towarzyszyła. Jakiegoż to lepszego wsparcia może oczekiwać syn, mając u swego boku uważną i doświadczoną matkę?

Królowa nie mogła się już powstrzymać od szlochu.

- Wsparcia ojca - odpowiedziała z najwyższym trudem i prawie szeptem.

Mazarini znowu przymknął oczy. Uwolnił rękę i dotknął nią łagodnie ust królowej, jak gdyby chciał nakazać jej milczenie.

- Są słowa, których nigdy nie wolno nam wymawiać, Pani, gdyż ściany mogą mieć uszy. Tylko nasze serca, twoje, Pani, i moje, potrafią zachować te słowa w sekrecie - powiedział powoli, ale stanowczo.

Potem odprężył się, jak gdyby wypowiedzenie tych kilku zdań było dla niego zbyt wielkim wysiłkiem.

Zapadła cisza. Anna Austriaczka siedziała nieruchomo, raz jeszcze urzeczona tym jednym słowem, które przez całe lata kierowało jej życiem, gdy jako kobieta zmuszona była pełnić obowiązki wynikające z jej stanowiska królowej. Powoli, jedna po drugiej, stawały jej przed oczami sceny z przeszłości, przypominała sobie, jak to uczyła się sztuki udawania, a jednocześnie coraz mocniej czuła, że coś nieodparcie ją ciągnie do młodego Mazariniego. Upłynęło ponad trzydzieści lat i ten młody, ambitny człowiek z okrągłą twarzą i błyskiem w oczach przemienił się w kamiennego sfinksa, miał zapadnięte policzki, zgasłe spojrzenie i już umierał. Wciąż jednak pozostawała iskierka, która łączyła królową Francji i ministra niewidzialną i skrytą, ale nierozzerwalną więzią. Teraz Anna Austriaczka znowu przeżywała chwile rozpacz, która ją ogarnęła - najpierw, gdy wystąpili przeciwko niej Francuzi, widząc w niej tylko cudzoziemkę, a potem, gdy zaczął podejrzewać ją mąż, król Ludwik XIII, a wraz z nim jego pierwszy minister, kardynał Richelieu. Gdy oskarżyli ją o spisek przeciwko przybranej ojczyźnie na

rzecz kraju pochodzenia, któż stanął w jej obronie? Tylko ten cudzoziemski doradca, ten Włoch, którego akcent wywoływał tyle uśmieszków. To on zrozumiał ją i pokochał... Nigdy nie osłabł i nigdy nie zostawił jej samej. A milczenie, do którego byli zmuszeni, w niczym im nie zaszkodziło i nie osłabiło ich związku, umacniał się on bowiem dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku, w miarę jak wzrastał chłopczyk mający zostać królem Francji.

Teraz z kolei kardynał chwycił królową za rękę i przywarł ustami do jej ucha.

- Tej tajemnicy, Pani, nie jesteśmy w stanie ogarnąć, posiadliśmy ją, ale musimy mieć pewność, że zniknie wraz z nami. Byłem zbyt zarozumiały, gdy w czasach, kiedy nie brakowało mi jeszcze sił, nie zniszczyłem wszystkich poszlak, które mogłyby naprowadzić kogoś na ten ślad. Zachowałem wszystkie twoje listy, Pani, które wysłałaś do mnie po porodzie, mam również spisana przez nas umowę, poświadczającą, że nie popełniliśmy żadnej winy, której miłosierny Bóg nie mógłby nam odpuścić. Wiedziałem, że powinienem je zniszczyć, ale nie potrafiłem się na to zdobyć.

Głos kardynałowi się załamał, przez chwilę milczał, ale potem znowu zaczął mówić.

- Wydałem swojemu sekretarzowi polecenie, by wydobył te dokumenty ze schowka w moim mieszkaniu.

Królowa zrozumiała i zatrzęsła się z przerażenia.

- Była kradzież? Kardynał skinął głową.

- Tak, Pani. Wykradzono również te papiery, gdyż nie wierzę, żeby padły pastwą płomieni. Musimy więc jak najszybciej je odzyskać. Myślałem, że zdążę załatwić tę sprawę, muszę jednak pogodzić się z rzeczywistością. Tak więc tobie, Pani, wypadnie to uczynić w imieniu własnym i moim. Dzięki Bogu dokumenty te są zaszyfrowane i myślę, że rozszyfrowanie ich nie jest możliwe.

Mazarini z ogromnym wysiłkiem uniósł się na łokciu i teraz znów prawie dotykał wargami ucha królowej.

- Nikt jednak nie może o tym wiedzieć. Colbert będzie ci, Pani, bar-

dzo pomocny, ale nie może znać ich treści. Sekret ten musisz, Pani, trzymać przy sobie, bo nawet król, a przede wszystkim król - poprawił się kardynał - nie powinien go znać. Odszukaj te papiery i je zniszcz.

- Cóż za nieostrożność, Giulio - szepnęła z przygnębieniem królowa głosem, w którym nie czuć było wymówki.

A potem bardziej stanowczym już tonem dodała:

- Będę opiekowała się królestwem, nie obawiaj się. Możesz odłożyć swój ciężar, ja poniosę i to, co twoje, i to, co moje - powiedziała, głaszcząc delikatnie spocone czoło konającego.

Na twarzy kardynała pojawił się pełen bólu uśmiech. Rozwarł usta, ale tym razem to ona położyła mu palec na wargach.

- Ciiiicho! Nic nie mów, jesteś zmęczony. Nie potrzebujemy już słów, prawda? - dodała drżącym głosem. - Zresztą słowa nigdy nie były nam potrzebne, przyjacielu.

- Niestety, Pani, to wcale nie wszystko, co chciałem ci przekazać. Nie mamy wiele czasu, więc słuchaj uważnie, co ci zaraz powiem. Te papiery znajdowały się w safianowym portfelu wraz z całym plikiem innych kartek, też zaszyfrowanych, ale nie przeze mnie i nieznanym mi szyfrem. Papiery te kryją tajemnicę, dla której dokonywano już zabójstw, tajemnicę chyba jeszcze straszniejszą niż nasza, bo może ona całkowicie odmienić losy Francji.

Królowa zadrżała przy tych słowach.

- Papiery te, Pani, stały się moją własnością przed laty, w czasach, gdy Fronda rozpętała w kraju wojnę, a spiskowcom wydawało się, że już zwyciężyli. Moje służby aresztowały człowieka, który je przechowywał, ale udało mu się wymknąć. Dokumenty zostawił, ale niestety, nikomu nie udało się przeniknąć ich tajemnicy. Po pewnym czasie ja też postanowiłem je zniszczyć w przekonaniu, że ze zniknięciem dokumentów zniknie również ich sekret. Nie trzeba się zachwycać pięknnością diabła. Powtórz, proszę, te słowa Colbertowi, podkreśl, że te papiery mogą zaszkodzić i nam, i monarchii. Niech nie cofa się przed żadną przeszkodą. Ktokolwiek zechce utrudniać mu działanie, musi zniknąć. Ktokolwiek mógłby je zdobyć, tego trzeba unieszkodliwić. Colbert musi odnaleźć je i zniszczyć, dopilnuj tego, Pani. Wtedy znik-

nie i nasz sekret. A teraz idź już, Pani - zakończył i pociągnął za sznurek, wzywając pokojowca.

Gdy sługa wszedł, białe dłonie królowej ostatni już raz uściśniły ręce konającego. Monarchini wstała.

- Powiedz panu Colbertowi, że królowa czeka na niego w swoich apartamentach i jak najszybciej chce się z nim widzieć.

34

Paryż, mieszkanie Bertranda Barreme'a - wtorek, 8 marca, godzina dziewiąta wieczorem

Bertrand Barreme, matematyk, gwałtownym ruchem zerwał ze swojego ogromnego nosa binokle. Drugą ręką złapał leżące przed nim cztery kartki papieru, potem jak oparzony odsunął się od stołu. Z bi-noklami w ręce, wycelował wskazującym palcem w siedzącego naprzeciwko Gabriela.

- Gdzież to, u diabła, znalazłeś, młody człowieku?

Gabriel nie odpowiedział, zdołał tylko coś wymamrotać. Zniecierpliwiony gruby gospodarz, ubrany w obcisły jedwabny szlafrok, kiwał się w przód i w tył i coraz bardziej się zbliżał. Twarz prawie już przytknął do twarzy Gabriela, tak że chłopak mógł widzieć malutkie zmarszczki w kącikach jego oczu i prawie zupełnie łysą czaszkę. Jedynie młody głos zdradzał wiek tego trzydziestolatka o wyglądzie starego człowieka.

- Kto ci dał te papiery? - powtórzył.

- Czy coś panu mówią? - odpowiedział Gabriel.

Na twarzy matematyka pojawił się wyraz nieufności; mrużąc coś pod nosem, wrócił do stołu.

- Być może tak, ale tu nie ma wszystkiego.

Załoczył okulary i znowu pochylił się nad kartkami, przyglądając się im ostrożnie i z niepokojem.

- Czy znasz się pan na matematyce?

- Niewiele - nieśmiało odparł Gabriel. - Poznałem trochę geometrię i algebrę...

- Szyfry to gra matematyczna - uciał Barrême. - Mogą być również podpisami. Są ich setki, ale tworzą rodziny, a tych nie jest już tak wiele, bo nowe pomysły w tej dziedzinie pojawiają się bardzo rzadko. Pracuję nad nimi już od lat i nieczęsto zdarzały mi się niespodzianki.

- A teraz też się coś zdarzyło? Coś, czego pan nie znał?

Gabriel natychmiast pożałował swoich słów, gdy zobaczył gniewną minę matematyka. Zacisnął pięści i starał się panować nad niecierpliwością.

- Och nie, młody człowieku, nie śpiesz się tak, bo wygadujesz głupstwa. Oczywiście, że nie, nie widzę tu niczego, czego bym nie znał, ale coś, co znam z drugiej strony, albo raczej poznaję. A znam to coś od bardzo dawna.

Widząc zniecierpliwienie na twarzy Gabriela, Barrême zamilkł na chwilę, jak gdyby zastanawiał się nad ceną swojej pracy.

- Zapytałem cię, młody człowieku, skąd masz te dokumenty, bo już od prawie piętnastu lat ich nie widziałem. Byłem wtedy bardzo młody i ojciec wysłał mnie na pewien czas do Toskanii i Rzymu, żebym nauczył się od mistrzów włoskich sztuki liczenia i poznał matematykę. Czy zwróciłem na siebie uwagę poziomem swoich prac? - zapytał ze źle ukrywaną próżnością gospodarz. - W każdym razie pewnego wieczoru wezwano mnie w tajemnicy do jednego z rzymskich pałaców. Chodziło o to, żebym spróbował odszyfrować jakieś dokumenty... ten oto dokument - poprawił się, wyciągając jedną z czterech kartek.

- Więc znasz pan ten szyfr?! - zawołał Gabriel, nie mogąc zapanować nad sobą.

Posepne spojrzenie grubasa osadziło go na miejscu.

- Czy nie potrafisz pan słuchać? Barbin powiedział mi, że jesteś pan porywczy, ale żeby aż tak? Pan Molier jest na szczęście artystą, a nie geometrą, bo jakoś wytrzymuje pana przy sobie.

Gabriel zwiesił głowę i zrobił minę człowieka proszącego o wybaczenie, na co Barrême odpowiedział gestem, który miał wyrazić, że jego uwagi zostały zbyt gwałtownie przerwane.

- No nie, nie znam owego szyfru i może właśnie dlatego pamiętam ten dokument. Zaszzyfrowałem go, ale właściwie nie czytałem.

Bezradność malująca się na twarzy Gabriela sprawiła, że Barreme się uspokoił.

- Tak, tak, nie czytałem, ściślej zaś mówiąc, czytałem tylko odcięty skraj dokumentu, a sens całości był dla mnie całkowicie niezrozumiały. Myślę, że inni specjaliści od szyfrów zajmowali się innymi częściami dokumentu.

Na twarzy Gabriela pojawiło się rozczarowanie.

- Tak więc niewiele ci mogę pomóc, młody człowieku, w odszyfrowaniu tego tekstu. Posłuchaj jednak, co ci powiem. Skończyłem pracę i jeszcze przez kilka godzin byłem w tym pałacu i czekałem, aż wreszcie przyniesiono mi ten dokument do powtórnego zaszyfrowania. Podwójne szyfrowanie to taka typowa włoska specjalność. Tym razem jednak było w niej coś mniej typowego, a mianowicie sposób pierwszego szyfrowania, wtedy, kiedy czekałem. Tego nigdy już nie widziałem, ani wtedy, ani później. Jak mam ci to prosto wytłumaczyć, młody człowieku? - ciągnął, znowu przyjmując minę osoby zadowolonej. - Nie był to szyfr matematyczny, można by raczej nazwać go szyfrem harmonicznym lub estetycznym. Oznacza to, że opierał się, a jestem tego pewien, nie na obiektywnej logice matematycznej, ale na subiektywnym postrzeganiu. Był to piękny szyfr, młody człowieku, ale tak piękny jak katedra, a nie jak równanie.

Gabriel, wciąż niczego nie rozumiejąc, spojrzał z kolei na kartki. Nic mu nie mówiły i widział na nich tylko gąszcz kabalistycznych znaków i niezrozumiałych liczb.

Patrzył tak i wciąż niczego nie zauważał, a tymczasem Barreme podszedł do niego z tyłu. Już tylko kilka kropel potu zdradzało jego chwilowe podniecenie. Z oczu znowu wзираła mu ta sama niepewność co do zamiarów młodego aktora.

- Przypominam sobie jeszcze jeden szczegół. Pamiętam, jak wyglądał człowiek, który owego wieczoru przyniósł mi te dokumenty i bardzo dobrze zapłacił za mój wysiłek.

Gabriel aż drgnął, gdy uświadomił sobie, że rozmówca wciąż uparcie się w niego wpatruje.

- Był dokładnie tego samego wzrostu i miał twoje ruchy, włosy podobne do twoich, a jego rysy... tak, tak, pamiętam, że były bardzo podobne do twoich, młody człowieku.

Błady jak kreda Gabriel gorączkowo zgarnął dokumenty, wymamrotał kilka słów podziękowania i zaprosił matematyka na następne przedstawienie.

Barrême nie spuszczał go z oczu, a po jego wyjściu wzruszył ramionami i zdjął okulary. Dlaczego perspektywa powrotu do pracy nad zamówionym przez służby kardynała nowym systemem księgowania wydawała mu się tak nieciekawa? Czy przyczyną było to dziwne wspomnienie, które nagle znowu stanęło mu przed oczyma? A może na twarzy tego młodego człowieka dostrzegł znane mu niegdyś rysy?

Wstał, ubrał się pośpiesznie i wyszedł z mieszkania, tracąc tyle tylko czasu, ile potrzebował, by zamknąć drzwi na klucz.

W dwadzieścia minut później pukał do drzwi prywatnej willi na ulicy de la Verrerie. Gdy tylko się uchyliły, pchnął je, wszedł wzburzony do środka i na nic już nie czekając, głośno krzyknął:

- Muszę widzieć się z panem d'Orbayem! Proszę zaanonsować mnie panu d'Orbayowi!

35

Zamek w Vincennes - środa, 9 marca, godzina druga w nocy

Nikt nie spał tej nocy, kiedy to śmierć krążyła wokół pokoju Giulia Mazariniego. Służba, a także bliscy kardynałowi dworzanie wciąż czuwali i czekali. Takie zachowanie - niezwykle o tak późnej porze - stwarzało w zamku dziwną atmosferę. Każdy chodził na palcach i mówił ściszym głosem, jakby nie chciał ściągać nieszczęścia.

Ósmego marca późnym popołudniem sędziwy kardynał stracił przytomność. Nikogo już nie poznawał i majaczył. Oczy miał szeroko

otwarte i przywoływał po włosku swoją matkę. Głośno rozmawiał z Hortensją Bufalini, „sua Mamma”, tak jak zapewne robił to jako małe dziecko w Abruzji. Z zapadnięciem nocy jego oddech stawał się coraz krótszy. Pierwszy minister Francji leżał teraz pośrodku łoża, zbyt wielkiego na jego wychudłe ciało. Nieskazitelnie białe prześcieradła, pieczołowicie zmieniane przez starych służących, spowijały go niby całun. Na policzki nałożono mu trochę kremu, by ukryć przerażającą bladość twarzy. Uczesano przerzedzone przez chorobę włosy. W kominku trzeszczał ogień i oświetlał pokój, gdzie oprócz pogrążonego w modlitwie spowiednika Jego Eminencji przebywali także lekarze. Przy łożu konającego aż do północy siedziała królowa matka, Anna Austriaczka, potem, wyczerpana długim czuwaniem w dniach poprzednich, przeszła do swoich apartamentów, żądając, by zawiadomiono ją „w razie jakiegokolwiek oznaki przyspieszenia losu”. Król poprzedniego dnia wrócił do Luwru do swojej niedawno poślubionej małżonki. W pokoju przyległym do sypialni kardynała czuwał Colbert, a razem z nim Lionne i Le Tellier.

Dochodzący zza ściany oddech konającego stał się nagle cięższy, przy każdym wdechu pojawiał się ochrypły świst. Życie uchodziło z ciała człowieka, którego dzieje miały stać się częścią historii Francji. Lekarze nie zdążyli zawiadomić Anny Austriaczki, że kardynał umiera. Stojący na kominku szwajcarski zegar zatrzymano w chwili, gdy spowiednik Jego Eminencji na wieczność zamykał mu oczy. Był 9 marca roku 1661, godzina druga czterdzieści w nocy.

36

Luwr - środa, 9 marca, godzina czwarta rano

Posłaniec z Vincennes wyparł ostatni dech z konia, ale wreszcie przybył na miejsce. Oficerowi dowodzącemu gwardią pałacową wręczył plik papierów i przekazał mu wiadomość, którą w Vincennes znali już wszyscy ludzie pierwszego ministra. Oficer czym prędzej pobiegł do

zarządcy siedziby królewskiej, obudził go i powtórzył mu otrzymaną wiadomość oraz wręczył pismo. Zarządca ubrał się i wyszedł, zabierając ze sobą dwóch ludzi ze służby, których zaspane oczy świadczyły, że obudzono ich bardzo gwałtownie. Nieśli świeczniki i mieli oświetlać zarządcy drogę przez labirynt ciemnych korytarzy Luwru.

Tej nocy Jego Królewska Mość był razem z królową. Przed rokiem Ludwik XIV zdecydował się poślubić hiszpańską infantkę, z powodów oczywiście czysto politycznych. Ten tak upragniony przez Mazariniego związek był majstersztykiem starego kardynała i miał położyć kres niekończącym się konfliktom między dwoma królestwami oraz amorom króla z siostrzenicą kardynała, Marią Mancini.

Młodzi małżonkowie byli rówieśnikami. Po raz pierwszy spotkali się na Wyspie Bażantów na granicy francusko-hiszpańskiej trzy dni przed ślubem. W czasie uroczystości ślubnej, która odbyła się w Saint-Jean--de-Luz 9 czerwca 1660 roku, król Francji zachowywał się tak dworsko wobec Marii Teresy, że infantka uwierzyła w jego szczerą miłość. Jednakże po powrocie do Paryża w sierpniu tegoż roku młody żonkoś znowu przejawiał zainteresowanie Marią. Królowa matka przez ostrożność i czując odwzajemnioną sympatię do młodej synowej, wysłała piękną Marię daleko od młodego króla. Zresztą Ludwik XIV po kilku miesiącach zainteresowania Hiszpanką tym energiczniej rzucił się na nowe podboje...

Wszelako noc z dziewiątego na dziesiąty marca monarcha zapragnął spędzić z małżonką. Czyżby to bliski zgon drogiego jego sercu kardynała spowodował ten przypływ czułości i miłosnego żaru? A może w chwili, gdy los lada chwila miał zabrać królowi chrzestnego ojca, monarcha po prostu poczuł chęć zostania ojcem? Po tej nocy miłosnych zmagania Ludwik XIV mimo spóźnionej pory wciąż jeszcze nie spał i marzył, patrząc szeroko otwartymi oczyma na śpiącą obok królową.

Jest niska, pulchniutka i nie grzeszy mądrością - pomyślał - ale jestem pewien, że da mi śliczne dzieci.

Na odgłos kroków zbliżających się do sypialni król lekko się podniósł. Ujrawszy zarządcę zginającego się przed nim w pół, poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Wzruszenie schwyciło go nagle za gardło. Wręczony mu liścik podpisany był przez Colberta i zawierał niewiele słów: „Dziś, czyli dziewiątego marca, Jego Eminencja Kardynał Mazarini pobożnie zasnął w Panu...”.

Człowiek, który dla króla Francji był przedmiotem najwyższego uwielbienia, który po zgonie Ludwika XIII kierował jego wychowaniem, a wraz z królową matką Anną Austriaczką tworzył opiekującą się nim rodzinę, nigdy już nie wesprze go radą i nie będzie go uczył sztuki rządzenia. Po raz pierwszy w życiu na barki królewskie spadł tak olbrzymi ciężar odpowiedzialności. W tej właśnie chwili Ludwik XIV był przedziwnie rozdarty między bólem po odejściu ukochanego chrzestnego ojca a wybuchem radości na myśl, że jest wreszcie jedynym władcą w swoim królestwie.

- Pani - odezwał się król do obudzonej właśnie Marii Teresy - wielki ból spadł na nasz naród. Straciliśmy naszego pierwszego ministra. Natychmiast jadę do Vincennes i wydam stosowne rozporządzenia. Za chwilę wyruszam i wiozę królowej matce swoje synowskie wsparcie i królewską miłość w tej próbie.

Młoda królowa rozplakała się na tę wiadomość, co głęboko wzruszyło Ludwika. Zobaczył bowiem, jak jego małżonka wyraża swoje uczucia, gdy tymczasem on, król Francji, musi je ukrywać. Nie chcąc okazać ogarniającego go zakłopotania, kazał sobie podać ubranie i wydał pierwsze rozkazy.

- Panie zarządczo, wyślij pan w skok posłańca do Vincennes, niech ogłosi, że wkrótce się tam zjawię. Zawiadomi pan również Colberta, że zamierzam zwołać ścisłą radę. Kareta i ochrona mają być za godzinę gotowe do wyjazdu.

Noc była chłodna, konie mknęły po bruku i król, ukołyszany stukotem ich kopyt, myślał o zbliżających się godzinach i o sposobie, w jaki będzie od tej pory sprawował rządy w królestwie.

Buty zastukały o bruk podwórza i był to znak dla pełniących służbę w Vincennes muszkieterów. Król śpieszył się. Chciał jak najprędzej uściskać królową matkę, wyobrażał sobie ogrom jej smutku. Pilno mu było również pokazać wszystkim, do czego jest zdolny, chociaż w gruncie rzeczy był mniej pewny siebie, niż chciał to pokazać. Wchodząc do pałacu, zauważył, że gwardziści kardynała na znak żałoby nosili broń lufami w dół. W czasie jazdy z Paryża dołączyli do króla marszałkowie Villeroy, Gramont i Noailles i szli teraz obok monarchy. Annie Austriaczce towarzyszyli obecni w Vincennes ministrowie oraz Colbert, królowa czekała na syna w komnacie przylegającej do sypialni, gdzie spoczywało martwe już ciało Mazariniego.

- Król! - głośno krzyknął odźwierny, otwierając gwałtownie drzwi. Wejście władcy o takiej porze i w takich okolicznościach stwarzało

niezwykłą sytuację: sztywność dworskiego ceremoniału mieszała się ze szczerym smutkiem pogrążonej w żałobie rodziny. Królowa matka siedziała w fotelu koło kominka i rozgrzewała się filiżanką kawy z wanilią, a Lionne rozmawiał półgłosem z Le Tellierem, Brienne'em i Col-bertem. Na widok wchodzącego króla Francji wszyscy wstali. Monarcha podbiegł do matki, która zdążyła się już podnieść, żeby ucałować syna. Natychmiast zauważył jej oczy podkrążone od zmęczenia i wylanych łez.

- Pani, wiedz, że podzielam twój ból - powiedział ze współczuciem, ściskając matkę w ramionach. - Zdaję sobie sprawę, jak bardzo twoja obecność przy moim chrzestnym ojcu złagodziła mu ostatnie dni życia.

- Wasza Królewska Mość - odparła królowa matka, nie mogąc powstrzymać łez - królestwo traci najwierniejszego swego sługę. Obecność Waszej Królewskiej Mości wzmacnia nas i pociesza. Twój chrzestny, synu, do ostatniego tchu myślał o tobie - dodała Anna Austriaczka głosem zduszonym przez szloch.

- Chcę go zobaczyć - powiedział król.

Rozkaz ten wszystkich zaskoczył, bo trudno było sobie wyobrazić,

żeby król Francji miał zetknąć się ze śmiercią. Zapadło ciężkie milczenie i Ludwik XIV powtórzył swój rozkaz:

- Chcę go widzieć.

Odźwierny otworzył drzwi oddzielające pokój, gdzie znajdował się władca, od sypialni, gdzie leżał zmarły.

Ludwik stanął nieruchomo i poczuł nagle ogromną rozpacz na widok bezwładnego już ciała swojego chrzestnego ojca. Stał jak urzeczony i zahipnotyzowany widokiem łoża, w migającym świetle kilku zaledwie ustawionych w koło świeczników. Łzy popłynęły mu po policzkach, przypomniały mu się najpiękniejsze chwile dzieciństwa spędzone przy boku chrzestnego ojca. Słyszał jego charakterystyczny, zabarwiony obcym akcentem głos, który nauczył go tak wielu rzeczy, i zrozumiał, że głosu tego już nie usłyszy i sam będzie musiał zmierzyć się z rzeczywistością.

Nie chcąc publicznie pokazywać swojego bólu, kazał zamknąć za sobą drzwi.

- Panowie - uroczyście odezwał się król do osób stojących obok Lionne'a i Le Telliera - czas pomyśleć o modlitwie. Poprosiłem wszelako pana Colberta, by wezwał do mojego gabinetu obecnych tu ministrów stanu. Proszę was więc o przejście tam.

Michel Le Tellier, domyślając się, że Ludwik XIV chce przez chwilę być sam na sam z matką, wyszedł z pokoju i pociągnął za sobą resztę obecnych.

- Pani - powiedział król - w tych bolesnych chwilach chciałbym oszczędzić ci męczącego wysiłku przy omawianiu spraw publicznych, postanowiłem więc wezwać na to zebranie wyłącznie ministrów.

Oszołomiona tym oświadczeniem królowa matka nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Takie odsunięcie jej od władzy było dla niej całkowitą niespodzianką. Nagle poczuła się samotna i słaba. Wszak od śmierci Ludwika XIII brała na siebie więcej władzy, niżby się jej należało, zwłaszcza w straszliwych starciach z Frondą. Cóż mógł zarzucić jej syn? - zastanowiła się, tym bardziej zirytowana, że decyzyja ta

uderzała w nią ledwie w kilka godzin po zgonie jej troskliwego towarzysza.

Król nie tracił czasu i nie był ciekaw reakcji matki. Ucałował ją w czoło i wyszedł z pokoju. Oburzona Anna Austriaczka obróciła się na pięcie i wróciła do swoich apartamentów.

- Przewidywałam to. Przewidywałam, że okaże się niewdzięczny i zacznie się popisywać - szeptała, wychodząc.

37

Vincennes - środa, 9 marca, godzina jedenasta przed południem

Nicolas Fouquet szedł spieszenie przez swój ogród w stronę placu przed zamkiem Vincennes i nawet nie zwracał uwagi na przepiękny widok gałęzi pokrytych jeszcze cienką warstwą szronu. Nerwowo zaciskał pięści w kieszeniach swojego szerokiego płaszcza, zaciskał również zęby.

- Niech diabli wezmą tych moich szpiegów i moich ludzi! - syczał przez zęby. - O niczym mnie nie uprzedzili, dumnie, i dlaczego nikt nie powiedział mi o tym zebraniu i o przybyciu króla? Z pewnością przez zapomnienie - starał się pocieszyć.

Jednakże ponure przeczucia nie pozwalały mu zrzucić ciężaru z serca.

- Pani - powiedział naczelny intendent, składając ukłon królowej matce, przechadzającej się po rozległym przedpokoju przed apartamentami króla - dopiero co otrzymałem tę smutną wiadomość.

Królowa uśmiechnęła się do Fouqueta, szczęśliwa, że widzi kogoś, kto przyszedł ją pocieszyć w tym bolesnym dla niej dniu.

- Dzień dobry, panie naczelny intendent. Król z pewnością kazał pana szukać? - powiedziała, wymawiając te słowa z niezwykłym przejęciem.

- Nie, Pani, nikt mi nie kazał tu przychodzić. Przyszedłem, by stanąć w skupieniu przed zwłokami pana kardynała. Powiedziano mi jednak, że król zwołał naradę.

- Zwołał ścisłą radę królewską, o czym oboje już wiemy.

Tuż obok, w swoim niewielkim prywatnym gabinecie, król stał przed oknem i spoglądał na brukowany dziedziniec. Z tyłu stali Lionne, Sé-guier, Le Tellier i Colbert, wszyscy milczeli i wsłuchiwali się w suche, luźno rzucane zdania, poprzedzielane długimi odstępami milczenia.

- Sprawą pogrzebu zajmiemy się później. A co dotyczy majątku kardynała, to musimy uszanować jego testament, ale bez potrzeby niczego nie będziemy rozgłaszali. Panie Colbert, przejrzyj pan archiwa kardynała, a potem złożysz mi sprawozdanie, mnie i nikomu więcej, o tym, co zawierają. Zrobisz to pan ustnie, niczego nie zapisując. Jeśli chodzi o zakres kompetencji kardynała, z tym zapoznam panów jutro o godzinie dziewiątej na naradzie. To pan ją zwołasz, panie kanclerzu, musimy powołać do życia nowe ciało.

Król okręcił się i stanął przed znieruchomiałymi ministrami.

- Dziękuję panom. Do jutra.

Czterej mężczyźni, wciąż milcząc, nisko ukłonili się królowi i ruszyli do wyjścia.

- Panie Colbert, mam jeszcze kilka słów do pana - rzekł król. Colbert, tłumiąc uśmiech, zatrzymał się i przepuścił trzech pozostałych uczestników spotkania. Wyszli, nawet na niego nie spoglądając.

- Wasza Królewska Mość?

Ludwik XIV siadł i zrobił sobie krótki odpoczynek po ostatnich, pełnych napięcia chwilach.

- Mój ojciec chrzestny, oby Bóg przyjął jego duszę, powiedział mi, że mogę panu całkowicie zaufać.

Jednym ruchem ręki król powstrzymał próbę protestu ze strony Col-berta.

- Opowiedział mi o tym, co pan zdołałeś. Dowiedziałem się, jaki ciężar wzięłeś pan na swoje barki, by bronić nas przed oszczercami

i buntownikami. Wiedz pan, że pamiętam o tych sprawach. Chciałbym więc usłyszeć, co pana niepokoi, o ile masz pan jakieś powody do niepokoju, i dowiedzieć się czegoś o poufnych aktach, którymi pan się zajmujesz. Mój ojciec chrzestny wyglądał ostatnio na człowieka, który się czegoś boi, zwłaszcza po tym pożarze i tym wypadku z rabusiami. Czyżby coś przewidywał i czy miał po temu podstawy?

- Wasza Królewska Mość, nie chciałbym mówić o groźbach, nie mając do tego podstaw - odparł Colbert. - Zagrożenia mogą oczywiście istnieć, a niektóre bliskie władzy osoby można podejrzewać o nadmierne ambicje. Pozwól mi jednak, Wasza Królewska Mość, mówić o tym dopiero wtedy, gdy uzyskam pewność, a dowody mieć będę w ręku. Osoby i fakty. A właśnie je zbieram.

- To dobrze. Myślę, że stanowisko intendenta przy naczelnym intendencie wkrótce pan otrzymasz, o czym zresztą pan kardynał z pewnością panu mówił, i ułatwi ono panu to zadanie - powiedział król jakimś dziwnym tonem.

W oczach Colberta błysnęła radość i pochylił się przed królem na znak wdzięczności.

- Niech pan już idzie, wygląda pan na zmęczonego. Powinien pan trochę wypocząć. W najbliższych tygodniach będzie mi potrzebna cała pańska energia.

- Chwała Waszej Królewskiej Mości nie potrzebuje niczego - odpowiedział Colbert, wycofując się tyłem i wielokrotnie się kłaniając.

Będąc już w drzwiach, podniósł głowę i ujrzał swoimi wyłupiastymi oczyma, jak przechodzące przez szybę promienie słońca oświetlają włosy młodego króla, tworząc wokół jego głowy świetlistą aureolę.

Szedł długimi korytarzami do drugiego skrzydła gmachu i do apartamentów kardynała, a serce biło mu jak oszalałe. Był tak zamyślony, że nie zauważył nawet Nicolasa Fouqueta, który złożywszy pokłon przed martwym ciałem Mazariniego, szedł do wyjścia z budynku. Na widok ubranego na czarno człowieczka naczelnego intendent znowu poczuł mdłości.

Mont-Louis - czwartek, 10 marca, godzina piąta rano

Ukryty w zaroślach, Colbert cierpliwie wpatrywał się w postaci, które jedna po drugiej przemykały się ukradkiem przez pole oddzielające zabudowania Mont-Louis od położonej opodal kaplicy pod wezwaniem Świętego Kośmy. Ilekroć otwierały się jej niewielkie drzwi wejściowe, pojawiała się w nich światło, dzięki czemu Colbert mógł policzyć wchodzących. Stał się nerwowy, gdy przez kilka minut nikt nie przychodził, ale natychmiast się rozchmurzył, ujrzawszy wchodzącego do kaplicy mężczyznę, wyraźnie bardzo poruszonego i prowadzącego ze sobą dwóch ludzi z pochodniami. Colbert uśmiechnął się lekko, trochę mocniej nasadził sobie na głowę kaptur zasłaniający mu twarz i odwrócił się do przycupniętego obok podoficera.

- Rachunek się zgadza. Pamiętaj, masz czekać na mój znak i tylko na mój. Na razie żołnierze mają milczeć i nie wolno im się ruszać. Mają tylko obstawić z bliska budynek.

Potem zadziwiająco żwawo jak na wynędzniałego cherlaka wstał i drząc od podmuchów wiatru, ruszył w stronę kaplicy, która znowu znalazła się w cieniu.

Prócz świstu wichury żaden odgłos nie wdzierał się w lodowaty chłód nocy. Colbert powolutku przeszedł przez otwartą przestrzeń aż do drzwi kaplicy. Stanął przed nimi i znieruchomiał. Nic się nie działo, uchylił więc ciemne drewniane skrzydło drzwi, gęsto nabite ćwiekami i wślizgnął się do środka.

- Prośmy Boga, by udzielił nam łaski i byśmy wybrali w tym zamieszaniu wskazaną przez Niego drogę.

Usłyszawszy ten głos, Colbert zatrzymał się. Stał teraz za ogromną kolumną i tylko ona oddzielała go od zebranych w kaplicy spiskowców i zasłaniała przed światłem dwóch pochodni. Wstrzymał oddech i nadstawił uszu.

Po chwili ciszy dał się słyszeć jakiś inny głos.

- Nikt nie oplakuje wściekłego psa. Opatrzność, usuwając tego zło-

czyńcę, rozwiała nasze wątpliwości. Żałować możemy tylko tego, że nie wstrząsnęliśmy krajem i sami nie wyprowadziliśmy tego przekłętą kardynała na tamten świat.

- Nasz Pan nie każe się nam gniewać - powiedział pierwszy głos.
- Dowiedziawszy się o śmierci kardynała, uznałem, że powinniśmy się zebrać, ale tylko po to, aby bezzwłocznie ustalić nasze dalsze postępowanie w obliczu tej nagłej zmiany.

Tu mówca podniósł głos.

- Przykład Morina powinien nas skłonić do rozsądniejszego działania, drodzy bracia. Nasz biedny brat działał pod wpływem wzburzenia. Niewiele brakowało, a zgubiłby nas, ściągając na nas uwagę, a do tego i gniew króla. Mazariniego nienawidzimy za to, że odwracał królestwo boże od jedyne go jego zadania, jakim jest głoszenie na ziemi chwały Naszego Pana. Morin, oby Bóg ulitował się nad nim, krytykując władzę królewską i odwołując się do prawa buntu, zapomniał o tym i działał wbrew naszemu posłannictwu. Niewiele znaczyło więc, że nie dostarczył nam papierów świadczących o potwornym związku Mazariniego z królową matką. Wszystko to skończyło się wraz z kardynałem. Teraz musimy tylko pozyskać sobie względy króla. Ja ze swojej strony...

- Panie spowiedniku królewski, dobrześ to pan powiedział! Obecni z osłupieniem spojrzeli na człowieka, który wyłonił się zza kolumny.

- Zdrada!

Jeden z Pobożnych zerwał się z miejsca i wyciągnął z pochwy sztylet, ale zwierzchnik dał mu znak, że ma się uspokoić.

- Oto prawdziwa mądrość, panie spowiedniku królewski - spokojnie zauważył nieoczekiwany gość. - W rzeczy samej radzę panom nie dobywać broni.

Oślupiali Pobożni wciąż milczeli, nie spuszczać z oczu idącego ku nim człowieka.

- Panowie, wasz opór nic wam nie da, chyba że chcecie zginąć śmiercią męczenników. Budynek jest otoczony, dookoła stoją tu dwie

kompanie gwardii i nikogo stąd nie wypuszczą żywego, chyba że będzie miał moją przepustkę.

- Kim pan jesteś? - zapytał spowiednik króla.

- Jestem człowiekiem wystarczająco poinformowanym, by wiedzieć, że śledziliście Morina, by upewnić się, że będzie milczał. Wystarczająco poinformowanym, by znać nazwisko i tożsamość każdego z was. Wystarczająco poinformowanym, by nie spuszczać was z oka, gdy już wasze stowarzyszenie Pobożnych zostało rozwiązane, czyli od września ubiegłego roku. Wystarczająco poinformowanym, aby was widzieć, jak wychodzicie z Luwru w chwili, gdy wiadomość o śmierci kardynała dotarła do króla. Śmiało, panowie, dajmy już spokój z tą zabawą w ciuciubabkę - powiedział, zrzucając z głowy kaptur.

- Colbert!

- We własnej osobie, spowiedniku, we własnej osobie. Podsunął sobie krzesło i usiadł na nim.

- No, to spotkaliśmy się i możemy sobie porozmawiać.

- Czego pan chcesz? - zapytał jeden z mężczyzn głosem zdradzającym nieufność.

- Chcę nie dopuścić do zabijania ludzi, gdy nie mam pewności, czy są moimi wrogami. Potrzebny wam dowód? Gdybym chciał inaczej, wszyscy bylibyście już nieżywi albo maszerowalibyście do jakiegoś niezbyt miłego więzienia. Nie chciałem jednak inaczej, a wasze słowa, które słyszałem, zanim się tu zjawiłem, przekonały mnie, że mam rację, a to dlatego, że moim zdaniem wcale nie trzeba was wybijać.

Widząc pytające miny spiskowców, zamilkł na chwilę i potem znów zaczął mówić.

- Nienawidziliście kardynała, niech wam będzie! On i tak już nie żyje. Chcieliście go zgubić, ujawniając tajemnicę jego związku z królową matką. Ten skandal kardynał zabrał ze sobą do grobu. Po cóż więc mamy się bić?

Człowiek, który tak zjadliwie się wyrażał, pochylił się do przodu i zawołał z pogardą:

- Po to, żeby ludzie szanowali świętą sprawę Naszego Zbawiciela. Colbert spojrzał na niego spode łba.

- A któż tutaj jest wrogiem Kościoła? Możecie mi wierzyć, że w otoczeniu króla nikt nawet nie myśli o czymś podobnym. Wręcz przeciwnie, król chce umocnić moralny porządek. Skoro ufamy sobie wzajemnie, to mogę wam powiedzieć to, co przez krótki jeszcze czas będzie tajemnicą. Otóż za kilka dni król zwróci się do zgromadzenia duchownych o ustanowienie kar przeciwko odstępcom wszelkich maści, zmuszając ludzi Kościoła do podpisania oświadczenia, w którym zadeklarują poszanowanie władzy Kościoła świętego, matki naszej i króla, boskiego rycerza na tej ziemi.

Colbert odepchnął krzesło i zaczął się przechadzać, spoglądając obecnym w oczy.

- Czas ludzi takich jak Morin już minął. Nie pomyłcie godziny. Służcie swojej sprawie. Nie pomyłcie wrogów, którzy atakują królestwo, bo nie podoba się im zespalający je moralny porządek. Mam pod tym względem bardzo poważne obawy, a nawet podejrzenia - tu Colbert wolał nie wspomnieć o roli królowej matki - o których sam król zechciał ze mną rozmawiać. To wszystko, i myślę, że sobie z tym poradzimy. Nie pozwólcie, żeby przez wasze zaślepienie Zbawiciel stracił tak mu potrzebnych bojowników - zakończył z miną człowieka całkowicie pewnego siebie.

W miarę jak dostrzegał, że otaczający go ludzie zaczynają się łamać, w jego ciemnych oczach zaczęły pojawiać się błyski i poczuł ogarniające go podniecenie.

- Wybierajcie więc, przyjaciele. Czy lepiej będzie ruszać w drogę bez łańcuchów i kontynuować swoją działalność tym swobodniej, że będziemy ją prowadzili z przyzwoleniem króla i za moim pośrednictwem, czy raczej należy wyjść stąd ze skutymi nogami i znaleźć się dziś wieczorem w Bastylji, a jutro na szafocie? Decyzja należy do was. Nic nie mówicie? Ja w takim razie - powiedział Colbert, kierując się do wyjścia - wyjdę sobie na świeże powietrze. Macie dziesięć minut na zastanowienie się. Potem za nic już nie odpowiadam.

W progu zatrzymał się, jak gdyby o czymś sobie przypomniał.

- O właśnie, ty, ojczy, pójdziesz oczywiście ze mną. Jego Królewska Mość znowu wezwał mnie dzisiaj do Vincennes na naradę i jestem pewien, ojczy, że okażesz się tam wielce użyteczny.

Na nic nie czekając, otworzył drzwi i wyszedł.

Przywódcą Pobożnych przeżegnał się w milczeniu i wymamrotał jakąś niezrozumiałą modlitwę. Potem włożył płaszcz i wyszedł. Colbert, usłyszawszy za sobą skrzypienie drzwi, uśmiechnął się, rozumiejąc, że wygrał ten spór i pozyskał sobie sprzymierzeńców tym wierniejszych, że zawdzięczali mu przeżycie.

39

Vincennes - czwartek, 10 marca, godzina dziewiąta rano

Colbert położył ręce na zielonym marmurowym blacie stołu i rozkoszował się miłym uczuciem emanującego z kamienia chłodu. Kątem oka zerkał na ośmiu pozostałych mężczyzn, zebranych w tym pokoju i czekających na pierwsze po zgonie kardynała zebranie rady ministrów. Oto stary Segurier, kanclerz Francji, nie pokazuje prawej ręki, bo nie chce, żeby ktoś widział jej niekontrolowane drżenie; oto wiecznie zafrasowany Le Tellier, Hugo de Lionne z dumną jak zwykle miną, La Vrilliere, tak bardzo lękający się każdej zmiany, że bez przerwy omiatał oczyma wszystkie zakątki pokoju. Oto dwaj panowie Brien-ne'owie, tak mało znaczący, że coraz trudniej ich rozróżnić; Guene-gaud, czyli wcielenie wielkiego pana, i wreszcie Nicolas Fouquet, wpatrzony w alegoryczny obraz na ścianie.

Drzwi otworzyły się nagle, La Vrilliere zerwał się z miejsca, a dwaj panowie Brienne'owie jednocześnie spojrzeli w ich stronę. Tylko Segurier z opóźnieniem zareagował na to ogólne poruszenie.

Wszyscy powstali i do pokoju szybkim krokiem wszedł król. Miał na sobie jaskrawoniebieski płaszcz, przepasany szarfą z białego jedwabiu, a na głowie szeroki kapelusz z dwoma białymi piórami. Stał, wyciągnął rękę, położył dłoń na kościanej gałce laski i spod opuszczonych powiek wpił się wzrokiem w obecnych.

- Panie kanclerzu - powiedział, nie zdejmując kapelusza i nie siadając - poleciłem panu zwołać tu moich ministrów i sekretarzy stanu, bo

chciałem oznajmić im, że dotychczas zarząd swoimi sprawami powierzałem panu kardynałowi.

Po tych słowach stuknął lekko laską w kamienną posadzkę.

- Nadszedł czas, żebym zarządzał nimi osobiście - ciągnął. - Przystaje więc istnieć stanowisko pierwszego ministra. Wy, panowie, będziecie wspierali mnie swoimi radami, ilekroć was o to poproszę.

Dziwięciu obecnych skłoniło się w milczeniu.

- Panie de Brienne, wszystkie sprawy wojskowe będziesz pan omawiał z panem de Lionne'em. Panu, panie Fouquet, przydzielam do pomocy pana Colberta, nadając mu przy tej okazji tytuł intendenta finansów. Sprawozdanie ze swojej działalności będziecie, panowie, składali bezpośrednio mnie. Spotkamy się w tym celu w najbliższych dniach.

Colbert uśmiechnął się wdzięcznie do naczelnego intendenta, potem skłonił mu się nisko, ale w odpowiedzi Fouquet złośliwie się skrzywił, a w jego wielkich oczach widać było wzburzenie.

- Sytuacja się zmienia, panie kanclerzu. W rządzeniu państwem kierować się będę innymi zasadami, to samo będzie w sprawach finansowych i w pertraktacjach z innymi państwami, a takich pertraktacji pan kardynał nie prowadził. Znacze więc, panowie, moje plany. To wy będziecie je wykonywali.

Król wyszedł i raczył tylko jeszcze porozmawiać chwilę z dworzanami, którzy przybyli tu, by złożyć hołd kardynałowi. Najwyższe wśród nich stanowisko zajmował arcybiskup miasta Rouen, Harlay de Champvallou, był bowiem przewodniczącym zgromadzenia kleru.

- Wasza Królewska Mość kazał mi swego czasu zwracać się we wszystkich sprawach do pana kardynała - przypomniał z uniżonością. - Pan kardynał nie żyje. Do kogo, zdaniem Waszej Królewskiej Mości, mam się teraz zwracać?

Król, choć roztargniony, w lot chwycił ostatnie zdanie, odwrócił się w stronę arcybiskupa i z zainteresowaniem mu się przyjrzał.

- Do mnie, panie arcybiskupie, bezpośrednio do mnie - odparł.

Maincy - czwartek, 10 marca, południe

- Panie de Pontbriand, nie bój się pan, nie zrobię panu żadnej krzywdy.

Człowiek wypowiadający te słowa stał przy drzwiach karety, która chwilowo się zatrzymała. Zręcznie wspiał się w górę po schodkach i otworzył drzwiczki. Wszedł do środka i siadł naprzeciwko Gabriela, całkowicie zaskoczonego, że ktoś zwraca się do niego jego rodzowym nazwiskiem.

- Czego pan ode mnie chcesz?! Kim pan jesteś?! - zawołał w chwili, gdy powóz ruszył i wjechał w wąskie, ale brukowane ulice spokojnego miasteczka Maincy, odległego o kilka mil od zamku w Vaux-le-Vicomte.

- Jesteś pan Gabrielem de Pontbriandem, synem Andrego de Pont-brianda. Miałeś pan pięć lat, gdy twój ojciec wyjechał z Amboise do Anglii i od tej pory nie dał znaku życia. Matka i wuj powiedzieli ci, że zmarł w Londynie. Mieszkasz pan w Paryżu, przy ulicy Lion Saint-Paul - ciągnął przybysz dziwnie spokojnym głosem, podczas gdy zaskoczenie Gabriela nie miało granic. - Wuj chciałby cię odnaleźć i ściga cię policja.

- No to w końcu kim pan jesteś? - zapytał gniewnie Gabriel.

- To nieważne. Jestem przyjacielem pańskiego ojca, zresztą jesteś pan bardzo do niego podobny. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo i przybyłem tu, żeby cię uprzedzić.

- Znasz pan mojego ojca? Dlaczego mówisz pan o nim w czasie teraźniejszym i przed jakim niebezpieczeństwem chcesz mnie pan ostrzec? - zapytał coraz bardziej rozgorączkowany Gabriel.

- Nie o to tu chodzi. Dzisiaj w niebezpieczeństwie jest pańskie życie, panie de Pontbriand - ciągnął lodowatym tonem przybysz - niechże więc pan nie stara się zrozumieć i nie próbuje poznać ani pochodzenia, ani treści dokumentów, które wpadły panu w ręce.

- Jakich dokumentów? - zapytał mocno poirytowany już młody aktor.

- Czas pili, wkrótce będziemy już w Vaux. Czy doprawdy muszę szczegółowo opisywać panu te zaszyfrowane dokumenty pozostające w pańskich rękach? A może nie zna pan również pana Barrême'a? Nie powinien pan już mieszać się w to wszystko. Królestwo ma przed sobą przejścia, które mogą okazać się decydujące i tragiczne. Niechże pan wyplącze się z sieci, do której mimo woli wpadłeś. A o tych dokumentach niechże pan zapomni, błagam, albo przekaże je panu Barrême'owi. Byłoby to rozsądne wyjście. Istnieją tajemnice ważniejsze niż nasze nędzne życie.

Kareta znowu się zatrzymała, tym razem w szczerym polu, na końcu długiej alei wysadzonej dębami, których szpaler ciągnął się wzdłuż posesji naczelnego intendenta. Tę właśnie chwilę wybrał intruz, by wynieść się z powozu tak szybko, jak się zjawiał.

- Zobaczymy się jeszcze, Cherubinku! - zawołał, zeskakując na ziemię i wsiadając na konia, który spokojnie czekał na niego pod drzewem. - A tymczasem dobrze się pan zastanów i zachowuj się ostrożnie!

Gabriel z rozdziawioną gębą patrzył za oddalającym się wierzchowcem.

- Cherubinek... tak właśnie wołał na mnie mój drogi ojciec. Kim jest ten człowiek? Skąd o tym wszystkim wie? Co warte jest to ostrzeżenie?

Gabriel gubił się w powodzi pytań, a tymczasem powóz wjechał we wspaniałą aleję wiodącą do schodów przed zamkiem w Vaux-le-Vicomte.

Tajemniczy pasażer karety, pędząc galopem w stronę Melun, zrzucił maskę na ziemię. Ulżyło mu i był szczęśliwy, że mógł wreszcie porozmawiać z Gabrielem.

Jest tak podobny do swojego ojca, Andrégo, że aż trudno w to uwierzyć - pomyślał François d'Orbay. - Miejmy nadzieję, że po tym pierwszym ostrzeżeniu stanie się przynajmniej ostrożniejszy.

z Melun i nie zważając na chłód, czekał ze stoickim spokojem już od pół godziny.

Pojawiła się wreszcie czterokonna kareta przybywająca z sąsiedniego zamku i zatrzymała się przed budynkiem, który Fouquet odkupił przed trzema laty od zakonników z klasztoru karmelitów. Wysiedli z niej najpierw naczelny intendent finansów, a potem La Fontaine i Gabriel.

- No i co, mój drogi Le Brun, jak idzie robota? - zapytał Fouquet.

- Bardzo dobrze, dostojny panie, nasi robotnicy dokonują wprost cudów. Vaux będzie wyglądało tak pięknie, jak dostojny pan sobie życzył. Mam w dodatku jeszcze jedną dobrą wiadomość. Otóż pracujemy, nie szcędząc sił, dlatego mogę dziś zapewnić dostojnego pana, że terminów dotrzemy. Zresztą zaraz wszystko panu pokażę - zakończył Le Brun.

- Znany już panu pan La Fontaine i ten młody człowiek, który mi towarzyszy, też bardzo chcieliby zobaczyć, jak przebiegają prace. Śmiało, panie Le Brun, otwieraj pan nam swoje pracownie i odsłoń przed nami te cuda.

Czterej panowie weszli na wewnętrzny dziedziniec klasztoru. Gabriel nie mógł wyjść z podziwu, widząc panujący tu ruch i rzucającą się w oczy znakomitą organizację robót. Manufaktura dzieliła się na pracownie i składy.

Zupełnie jak w ulu albo prawie jak w ulu - pomyślał. W kącie dziedzińca leżały pod daszkiem bele niegreplowanej wełny, pochodzącej z różnych stron królestwa i przywiezionej tu po to, żeby tkacze dywanów mieli surowiec najwyższej jakości.

- Potrzeba trzech dni i siedmiu czynności na oczyszczenie wełny i jej przeróbkę - wyjaśnił Le Brun. - Trzeba wiedzieć, dostojny panie, że z funta nieoczyszczonej wełny otrzymujemy trzy tysiące stóp podwójnej włóczki. Pod palcami naszych mistrzów ta magiczna włóczka staje się osnową i wątkiem dywanów.

- Czy nie masz pan kłopotów z zaopatrzeniem? - zapytał Fouquet.

- Początkowo, dostojny panie, nie najlepsza jakość dostarczanej nam wełny zmuszała nas do odsyłania wielu transportów. Muszę jednak przyznać, że ostatnio wszystko jest w porządku, a zawdzięczamy to

pańskim posiadłościom na Belle-Île. Tamtejsi hodowcy starają się dostarczać nam surowiec najwyższej jakości.

Po obejrzeniu farbiarni przeszli do pomieszczenia, gdzie sporządzano wzornice. Malowano negatywy, ale z zachowaniem rozmiarów. Le Brun był bardzo dumny ze sprowadzanych tu w pośpiechu holenderskich mistrzów. Potrafili oni z niewiarygodnym wprost talentem kopiować jego obrazy.

- Spójrz, dostojny panie - odezwał się dumnie malarz przed olbrzymim kartonem ułożonym płasko na stole. - Oto drzewiczki, których szkice już ci pokazywałem.

Fouquet pochylił się nad projektem.

- Podziwiam twój talent, panie. Ta wiewiórka w środku wygląda bardzo wdzięcznie i jestem nią zachwycony. Niecierpliwie czekam, aż pojawi się na jedwabiu albo na wełnie i będę mógł podziwiać gotowy wyrób w Vaux.

Gabriel był wprost urzeczony. Każdy spośród trzystu robotników dokładnie znał ruchy, jakie musiał wykonywać. Wszystko zupełnie jak w balecie wydawało się z góry ustalone, a w szczególności dotyczyło to tkaczy. Pod ich niewiarygodnie zręcznymi palcami na warsztatach tkackich wątek nakładał się na osnowę i powstawały w ten sposób narysowane przez artystę dzieła sztuki. W magazynach Gabriel mógł spokojnie podziwiać gotowe kilimy i dotykać przed przewiezieniem do Vaux. Tę właśnie chwilę wybrał Le Brun, by zwrócić się do swego mecenasa z prośbą o wyjaśnienie pewnej kłopotliwej sprawy.

- Dostojny panie, zebrałem wcześniej spisy, których zażądał pan Colbert, ale...

- Co to znaczy? - przerwał Le Brunowi Fouquet. - O jakich spisach mi pan mówisz?

- Mnie też wydało się to dziwne - ciągnął dyrektor, czując ulgę, że może o tym powiedzieć. - Pan Colbert poprosił o pełną inwentaryzację manufaktury. Zajęło mi to dwa dni, bo musiałem dokładnie spisać wszystko, co mamy w magazynach, sporządzić listę naszych robotników oraz majstrów, podać wynagrodzenia i spisać maszyny. Sądziłem, że powiadomiono dostojnego pana o tej sprawie.

- Ależ ani słówkiem! - uniósł się Fouquet. - Do czego się miesza ten Colbert? Ja tu rządzę i nadal zamierzam rządzić. W żadnym wypadku nie powinien pan być wykonywać tego polecenia, nie pytając mnie o zdanie.

Stojący o kilka kroków dalej Gabriel nie tracił z tej rozmowy ani słówka. Aha, więc Colbert nadal prowadzi swoją gierkę. Chciał zniszczyć teatr Moliera, a teraz zamierza nadzorować ministra. Oto człowiek, który niczego się nie boi i nie ma żadnych skrupułów - pomyślał z niesmakiem.

- Potwierdza to nasze podejrzenia - odezwał się La Fontaine. - Colbert miał działać w imieniu kardynała, ale teraz, gdy Jego Eminencja nie żyje, nie możesz, dostojny panie, tolerować tej działalności. - Pociągnął Fouqueta w najdalszy kąt magazynu. - Kiedyż pan wreszcie zrozumiesz, że Colbert, ten jadowity gad, chce pana zgubić? Jestem całkowicie pewien, że przez ostatnie tygodnie przekonywał umierającego już Mazariniego, że królowi trzeba podsunąć myśl o pozbyciu się ministrów, bo w ten sposób zagrozi się panu drogę do władzy. Jesteś, dostojny panie, zbyt dobry albo - pozwolę sobie powiedzieć - zbyt naiwny. Musimy działać.

Fouquet był wstrząśnięty zuchwałością Colberta. Ten człowiek ośmielał się wydawać rozkazy w jego prywatnym domu! La Fontaine ma rację - pomyślał stojący trochę z boku i milczący Gabriel. Spojrzał przypadkiem na herb Fouqueta.

- Wiewiórka naprzeciwko węża - szepnął z westchnieniem.

- Drogi Jeanie, z pewnością masz rację - odezwał się po dłuższym milczeniu Fouquet, biorąc przyjaciela pod rękę i prowadząc go do Le Bruna stojącego w środku pomieszczenia. - Zaraz poproszę Jego Królewską Mość o audiencję dla wyjaśnienia tej sprawy. Zobaczę się również z królową matką. Wiesz, jak bardzo mnie szanuje. Zresztą jestem jej coś tam winien, będzie to dla mnie pretekst, by o wszystkim jej przypomnieć i prosić o radę.

Le Brun, wciąż wstydząc się, że nic nie wie o tej sprawie, czekał z lekkim niepokojem na naczelnego intendenta.

- Czy nie zechciałby pan być w przyszłości mniejszym artystą w za-

rzządzaniu manufakturą? - z uśmiechem zapytał Fouquet. - Wybaczam panu ze względu na te cuda, które powstały tu pod pana kierunkiem. Wprawiliś nas pan w zachwyt, panie malarzu. Skoro jedna sztuka inwentaryzacji też jest, jak mi się wydaje, pańską muzą, uprzejmie prosiłbym pana o jak najszybsze przedłożenie mi tych wszystkich informacji, które przekazał pan Colbertowi.

Le Brun, szczęśliwy, że udało mu się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji tanim kosztem, skłonił się nisko.

- Wydaje mi się, że pańscy robotnicy są niedożywieni - dodał Fouquet. - Zapewne zamecza ich pan pracą. Dla zademonstrowania im swojej wdzięczności niech pan płaci im od tej pory o jedną dziesiątą więcej. Co jest, Gabrielu? - zapytał, odwracając się do młodego de Pontbrianda.

- Bo... bo pomyślałem, gdzie mieszkają wszyscy ci ludzie... robotnicy, artyści... Czy ktoś zajmuje się ich zakwaterowaniem?

Malarz poczuł się dotknięty. Potem, widząc ukontentowanie Fouqueta i słysząc, że powtarza on postawione przez Gabriela pytanie, ale kieruje je do niego, spiorunował młodego człowieka wzrokiem, mimo to odpowiedział.

- To znaczy... skupiliśmy wysiłki oczywiście na produkcji. Nie wszystkie dodatkowe sprawy zostały przy tym załatwione i...

Fouquet przerwał mu i rzekł chłodno:

- Rzeczywiście, zapomniałem o tym. Dziękuję ci, Gabrielu, za tę słuszną uwagę. Będę mógł teraz naprawić skutki swojego niedopatrzenia i jestem z tego rad. Muszę jednak powtórzyć panom swoje polecenia, a bardzo tego nie lubię - powiedział ze złością. - Dobrze by było przebudować stary dom karmelitów i ulokować tam naszych ludzi w przyzwoitych warunkach - dodał dobitnie. - Nie zniosem, żeby o kilka mil od mojego zamku robotnicy ci mieszkali gorzej niż zwierzęta! Cóż, u diabła, panie Le Brun, ile razy mam panu powtarzać, jak bardzo leżą mi na sercu warunki życia moich pracowników?

Gabriel milczał i tylko wpatrywał się z podziwem w naczelnego intendenta. Le Brun nisko zwiesił głowę.

- Przypilnuję tego, dostojny panie - odpowiedział. - Przypilnuję.

Mieszkanie François d'Orbaya - piątek, 11 marca, godzina jedenasta wieczorem

François d'Orbay stał przed oknem swojego wielkiego gabinetu, długie, żylaste ręce założył do tyłu i patrzył na uderzające o szyby wielkie krople deszczu. Strumyki spływającej wody nie pozwalały mu dobrze widzieć opustoszałego podwórza, oświetlonego jedynie przez dwie lampy burzowe, umocowane po dwóch stronach bramy. Gość spóźniał się, ale - rzecz dziwna - architekt wcale się tym nie przejmował. Westchnął, zrobił kilka kroków i znalazł się w samym środku pokoju. W zawieszonym na ścianie zwierciadle widział swoje odbicie. Uznał, że rysy mu stwardniały, a skóra twarzy zrobiła się sucha. Podeszedł trochę bliżej. Ano, latka lecą - pomyślał ze słodko-kwaśną ironią. Wydało mu się, że panująca w domu cisza, zakłócona tylko odgłosem kropli padających na dach i dzwoniących w okna, działała na niego kojąco. Wyszedł z gabinetu, minął salon oraz przedpokój i skierował się w stronę pokojów dziecięcych. W panującym półmroku szedł na pamięć, dotykając tylko jedną ręką ściany. Odgłosy jego kroków na posadzce obudziły guwernantkę, więc podniosła się na rozstawionym w przedpokoju łóżku. Machnięciem ręki pokazał jej, że może znów się położyć, ruszył dalej i zatrzymał się dopiero w drzwiach pokoju, gdzie spał jego mały synek i córeczka. Smużka światła przechodząca przez szparę w okiennicy od strony ogrodu pomogła mu w orientacji. Zatrzymywał się na chwilę przy wezłowiach łóżeczek, przyklękał i poprawiał dzieciom pościel.

Ileż to razy mogłem tak patrzeć na swoje śpiące dzieci? - rozmyślał. Rok w Rzymie, rok w Londynie, ciągle w podróży, lata mijały tak szybko, a na głowę wciąż zwałało mu się tyle ciężkich obowiązków! Ileż to musiał się natrudzić, na wszystko zważać, ciągle obawiać się zdrady i liczyć się z najgorszym. O Boże, jakże męczyło go wszystko! Ileż to razy w ciągu tych dziesięciu lat udało mu się uniknąć uwięzienia, a nawet śmierci! Jakże często narażał się głupio, niczego nie mówiąc

rodzinie, tak że nawet żona nie wiedziała, o czym rozmyśla jej mąż, gdy tak długo milczy! A przecież i tak miałem szczęście! - pomyślał i zadrżał. Przymknął oczy, żeby nie widzieć znajomych twarzy, podsuwanych mu przez pamięć, potem znów je otworzył. Synek i córeczka spali z zaciśniętymi piąstkami. Wziął ostrożnie do ręki drewnianego konika, którego chłopczyk przyciskał sobie do piersi, lekko odsunął bezwładne ramię dziecka i postawił zabawkę obok łóżka. Odgarnął włoski zasłaniające czoło dziewczynki, a potem, nie bez ociągania, podniósł się z klęczek. Z zamyślenia wyrwał go głos służącego, który stał w drzwiach i szeptał:

- Jaśnie panie, gość przyszedł.

Architekt westchnął, obejrzał się jeszcze w progu i stał tak jakiś czas, po czym zamknął cicho drzwi i ruszył za służącym.

Giacomo Del Sarto siedział przed kominkiem i wyciągał ręce do ognia, żeby się rozgrzać. Światło płomieni odbijało mu się na twarzy, podkreślając bladą cerę skóry. Na jaskrawoczerwonej posadzce kapala woda spływająca z czarnego płaszcza, rozłożonego na poręczu stojącego w pobliżu krzesła. Gość, krzywiąc się, pokazał go wchodzącemu właśnie gospodarzowi.

- Wysiadłem z powozu i zrobiłem ledwie kilka kroków, a od razu przemokłem do suchej nitki. Jesteśmy najwyraźniej skazani na spotkanie się w czasie burzy.

Wstali i serdecznie się uścisnęli. Potem znów usiedli i poczekali w milczeniu, aż zamkną się drzwi za służącym.

- No i co - zaczął Giacomo Del Sarto - co się stało? Wyjechałem z Rzymu zaraz po otrzymaniu twojego listu. Nie myślałem, że spotkamy się tak szybko po naszym ostatnim zebraniu. Zaniepokoiłeś mnie. Nie lubię takiego pośpiechu.

D'Orbay przegarnął węgle w kominku i westchnął.

- Nie miałem wyboru. Potrzebne mi było twoje zdanie, a nie ma czasu na zwołanie braci. Nie sądzę zresztą, żeby było to obecnie rozsądne.

Giacomo zmarszczył brwi i pochylił się.

- Aż tak źle?

- Niestety, tak. W ostatnich dniach dotarły do nas dziwne wieści. Mieszają się w nich przeróżne wpływy, oddziałujące wzajemnie na siebie. Dowiedz się przede wszystkim, że znalazły się te zagubione dokumenty.

Gość zerwał się z miejsca i prawie krzyknął:

- Co?! Gdzie?!

- To ciekawa historia. Wydaje się, że nasz niepokój, ostatnio większy niż kiedykolwiek, był uzasadniony. Dokumenty te, porzucone w znanych ci okolicznościach w czasie ucieczki naszego brata Andrego, były w rękach Mazariniego. Na nasze szczęście nie znalazł szyfru, nie potrafił więc ich odczytać. Z pewnością pomogła nam chorobliwa podejrzliwość tego Włocha, bo bał się tylko jednego, nie chciał rozmawiać o tej sprawie z nikim, kto przed nim znałby ten sekret.

- A jakimże to sposobem dokumenty te mogły się wydostać ze szponów Mazariniego i do kogo teraz należą? - zapytał Del Sarto.

- Właśnie do tego dochodzę. To bardzo ciekawa historia. Grupa mistyków nie cofnęła się przed częściowym spaleniem pałacu kardynała, żeby ukryć włamanie. Nie wiem, czego tak naprawdę szukali, ale teraz jestem przeświadczony, że ci złoczyńcy nieświadomie ukradli nasze dokumenty, ale w czasie ucieczki je zgubili. Znalazł je pewien młody człowiek, którego losy zeszyły się przypadkowo z losami Fouqueta i który został jego protegowanym. Natychmiast go rozpoznałem, choć nie znałem jeszcze nazwiska. Wystarczyło mi raz na niego spojrzeć, tak bardzo jest podobny do swojego ojca.

Całkowicie zaskoczony Giacomo wcisnął się głębiej w fotel i złączył dłonie. D'Orbay wstał.

- Ty też już zgadłeś - powiedział. - To rzeczywiście on, Gabriel de Pontbriand, syn Andrego, wszedł w posiadanie tych dokumentów. Nie sądzisz, że los bywa złośliwy? - zapytał z goryczą w głosie. - Piętnaście lat temu ojciec cudem uszedł śmierci i zgubił te dokumenty. Przez piętnaście lat drżymy, nie wiedząc, gdzie się podziały, a chroni je wyłącznie szyfr. I oto Opatrzność, możesz to zresztą nazwać ina-

czej, jeśli zechcesz, piata nam figla i umieszcza młodego de Pontbrianda w tym kłębowisku żmij, dokładnie w chwili, kiedy jesteśmy już prawie u celu.

- Czy możemy mu je odebrać, o niczym go nie informując?

- Niestety, obawiam się, że nie będzie to takie proste. Według Barrême'a, który jak zwykle za dużo gadał, ale przynajmniej mnie ostrzegł, to niewiniątko przyszło po prostu do niego i poprosiło o przetłumaczenie tych papierów, a podpis widziało, bo nie był zaszyfrowany. Wie zatem, że jest to jedyna nić łącząca go z ojcem. Mógłbym oczywiście uciszyć go raz na zawsze - powiedział groźnie - i przyznaję, że nawet o tym myślałem, ale uznałem, że nie mam do tego prawa. Właśnie dlatego chciałem się z tobą zobaczyć.

- No, a Nicolas? Nie możemy tracić z oczu tego, co najważniejsze. Co mówi o tym Nicolas?

D'Orbay pokiwał głową.

- Jużśmy o tym mówili. Jest to również przyczyna twojego przybycia. Ostatnie wiadomości otrzymane już po śmierci Mazariniego zdają się wskazywać, że młody król postanowił skończyć z zabawami i beczynnością i zamierza przejąć rządy. Nie chce już mieć pierwszego ministra. Nie sprzyja to naszym planom. Wolelibyśmy mieć do czynienia z monarchą bezwolnym. W czasie naszego spotkania w Rzymie spodziewaliśmy się, że tak właśnie będzie, i wszystko byłoby wtedy prostsze. Nie wykręcam się jednak, ale myślę, że w świetle tych wydarzeń musimy działać szybciej. Kazałem już przyspieszyć prace w Vaux i bez trudu uzasadnię to polecenie. Im dłużej będziemy czekali, tym trudniejsza stanie się nasza sytuacja wobec króla. Przy szybkim działaniu może nam sprzyjać okoliczność, że jego postanowienia nie zdążą jeszcze przemienić się w czyny. A widoki na sukces mamy tym większe, że możemy wykorzystać młodego de Pontbrianda, spodziewamy się odzyskać klucz Tajemnicy i rozszyfrować ten rękopis, który przybędzie wkrótce z Rzymu. Nicolas, mając w ręku taką kartę, przekona króla, nie może tu być wątpliwości.

Siadł naprzeciwko gościa i głęboko spojrzał mu w oczy.

- Musimy przystąpić do akcji najpóźniej tego lata, gdy tylko odzys-

kamy rękopis i klucz do jego odczytania. To jednak będzie dość niebezpieczne. Co o tym myślisz?

- To ty powinienes o tym pomyśleć, François - odpowiedział spokojnie Giacomo. - Spróbuj najpierw odzyskać formułę. W pierwszej kolejności, jak sądzę, będziesz musiał wyjechać w tym celu do Londynu. Co dotyczy innych spraw, spotkaj się z Nicolasem, masz moje upoważnienie.

Architektowi jakby ulżyło.

- To właśnie spodziewałem się usłyszeć. Na zakończenie powiem ci tylko, że konie pocztowe są już zarezerwowane aż do Calais. Wyruszam natychmiast. To jeszcze jedno dodatkowe naruszenie naszych zasad bezpieczeństwa, ale stawka jest zbyt duża.

Wielki mistrz uśmiechnął się lekko i wyraził zgodę. Schwycił d'Or-baya za rękę, mocno je uściśnął, a potem wstał i sięgnął po płaszcz.

- Będę tu jeszcze dwa dni. Mam dyskusję w Sorbonie i jedną prywatną konsultację. Nikogo więc nie zdziwi mój przejazd do Paryża.

W sześć godzin później, kiedy jutrzienka nie zdążyła jeszcze rozświetlić lśniącego po nocnej ulewie bruku, François d'Orbay schodził na parter, ubrany i obuty, jak wypadało do podróży. Mijając przedpokój, pomyślał o swoich dwóch maleństwach i przyśpieszył kroku.

43

Wersal, pawilon myśliwski - niedziela, 13 marca, godzina siódma wieczorem

Słońce chowało się już za lasem, barwiąc na różowo grube chmury zasłaniające horyzont. Luiza de La Valliere patrzyła w zamyśleniu na ten widok przez okienko nieoznakowanej żadnym herbem karety, która przyjechała po nią na przedmieście Saint-Germain. Przez całą drogę z Meudon przyglądała się okolicy i choć starała się panować nad

emocjami, ręce się jej trzęsły, nawet wtedy, gdy karetą wjeżdżała w bagnistą dolinę, gdzie wznosił się pawilon wersalski.

Skrzywiła się z rozczarowaniem, zauważając na ostatnim zakręcie prostokątną sylwetkę budynku.

- Myślałam, że jest większy - szepnęła do siebie.

Poczuła wkrótce, że się rumieni z powodu swojej odwagi, a serce znowu zaczyna walić jej w piersiach jak młot. Oczyma wyobraźni ujrzała twarz królewską, cudowne oblicze, które kołysało jej marzenia od chwili, gdy przed piętnastu dniami, znalazłszy się w tłumie dworzan przedstawionych królowi, otrzymała liścik. Nie odważyła się na niego odpowiedzieć, ale potem był drugi liścik i trzeci... aż doszło wreszcie do tego wymuszonego spotkania. „Będę dzisiaj na polowaniu w Wersalu i ośmielam się mieć nadzieję, że zechcesz, Pani, najpierw spotkać się ze mną w tym gniazdku, które odziedziczyłem po ojcu i które szczególnie sobie upodobałem, a potem spożyć ze mną wieczerzę. Jeśli zgodzisz się, Pani, wyświadczyć mi tę łaskę, udaj się w okolice opactwa Saint-Germain, od godziny piątej będzie tam czekał na Panią powóz. Do tego czasu nie oczekuję od Pani odpowiedzi, ale wierzę w Twoją łaskawość”.

Luiza po raz chyba setny powtarzała sobie słowa tego liściku. Wszystko, z brakiem podpisu włącznie, poruszało ją, wzruszało i cieszyło, tworząc nastrój pełnej romantyzmu przygody. Przez chwilę odczuwała wyrzuty sumienia, że nie powiedziała Gabrielowi o tych liścikach. Co prawda zauważała w nim niepokój, przez kilka ostatnich dni boczył się na nią, a gdy pytała go o przyczynę tego milczenia, nie chciał jej odpowiadać.

Karetą zatrzymała się na końcu wysadzanej cyprysami alejki, a towarzyszący temu wstrząs sprowadził Luizę do rzeczywistości. Schodząc na ziemię, zauważyła, że jest już ciemna noc.

- Ostrożnie, dostojna pani, grunt jest nierówny - ostrzegł służący, oświetlając jej drogę.

Trzęsła się z zimna, nasunęła więc sobie etolę na głowę i owinęła ją wokół ramion. W świetle stojącej na końcu alei latarni można było od biedy dostrzec zarysy pawilonu. Schodząc na ziemię, poczuła się tak,

jakby wróciła do swoich dziewczęcych marzeń, kiedy wychodziła, a nawet wybiegała naprzeciw królewiczowi, mogącemu uwolnić ją od życia na prowincji, wywieźć daleko od rodziny i od ciężającej rzeczywistości, którą wytrzymywała tylko w towarzystwie Gabriela, zaufanego towarzysza jej zabaw.

- Jesteś chłopcem - mówiła mu. - Możesz stąd odjechać albo uciec, bić się, zostać korsarzem... A ja niczego nie mogę oczekiwać.

Jakże bardzo się popłakała, gdy któregoś dnia zniknął, nie zostawiając po sobie żadnych śladów!

Budynek był już dobrze widoczny, na jego ścianach warstwy czerwonej cegły przeplatały się z białym kamieniem z sąsiednich kamieniołomów.

- Boże, jak daleko stąd do Amboise - szepnęła Luiza, wchodząc na brukowany taras, a potem na schody wejściowe.

Połowanie nie udało się. Nagonka zajęła cały dzień, a jelonek i tak zadrwił sobie z ludzi i wymknął się im. Padali ze zmęczenia i byli całkiem załamani. Król, wściekły z powodu takiego zakończenia, zszedł przed czasem ze stanowiska i wyładował gniew w ten sposób, że popędził swego wierzchowca pełnym galopem po pochyłościach wiodących ku dolinie. Muszkietierowie z trudem go dopędzili, ale przy ognisku zwolnił ich, kazał wezwać karetę i oświadczył, że chce zostać sam. Karetę wkrótce odjechała wraz z całym orszakiem, ale... bez króla. Monarcha ukrył się dyskretnie w pawilonie w swoim apartamencie na piętrze i jeszcze w godzinę później kipiała w nim złość. Wciąż ubrany był w strój myśliwski, tyle tylko, że przetarł sobie tors zimną wodą, a w miejsce skórzanego pendentu włożył purpurowy jedwabny kubraczek. Przechadzał się teraz po swoim gabinecie, głośno stukając ciężkimi butami o podłogę. Skrzypienie kół karety i rzenie koni zwabiło go do okna. Mógł przez nie widzieć okoliczne lasy oraz alejkę, którą można było niepostrzeżenie dojść do pawilonu. Król przymrużył oczy i zauważył wkrótce jasną plamę. Była to suknia Luizy. Dziewczyna szła szybko naprzód, podnosząc lekko suk-

nią, ale tak, żeby nie odsłaniać stóp. Wyglądało to tak, jakby idąc, w ogóle nie dotykała ziemi. Patrząc na jej wdzięczną, coraz lepiej widoczną postać, król odetchnął z zadowoleniem. Podeszedłszy bliżej, Luiza podniosła oczy, on zaś uśmiechnął się na myśl, że przecież nie może go widzieć. Król stwierdził, że jest pod wrażeniem niewinności i godności emanujących z jej smukłej szyi, wąskiej, prawie trójkątnej twarzy i wielkich, jasnych oczu. Gdy weszła na taras, przerwał swoje rozmyślenia, a wychodząc z pokoju, machinalnie spojrzał na szybę. Ujrzał w niej odbicie młodego dwudziestotrzyletniego człowieka, z resztkami gniewu, ale i odrobiną złośliwego błysku w oczach.

Król wytarł usta, wypił łyk wina i spojrzał na Luizę.

- Czy smakują ci, pani, te przepiórki? A to wino? Pochodzi z winnic w Vougeot. Pan de Conde przysłał mi uprzejmie kilka skrzynek, gdyż w chwili słabości powiedziałem mu, że bardzo mi smakuje. Ale cóż to, pani, nie jesz? - dodał, wskazując ręką stół i sięgając po jeden z półmisek rozstawionych na nieskazitelnie białym obrusie.

- Księżę de Conde? - szepnęła Luiza. Król w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Oto mój krzyż, pani. Każdy stara się tłumaczyć moje słowa, myśli przy tym, że mnie zaskoczył, przypominając fakty, o których wyrażałem się z zadowoleniem, chociaż taka moja reakcja mogła być całkowicie przypadkowa.

Zauważył, że dziewczyna się rumieni.

- Proszę - powiedział, dobywając zza koszuli małego kluczyk przywiązany do zawieszonoego na szyi złotego łańcuszka. - Czy wiesz, pani, co to za klucz?

Widząc zmieszanie na twarzy dziewczyny, ciągnął:

- Podarował mi go pewien wierny przyjaciel, szczęśliwy, że przywozi mi skarb pod postacią kakao sprowadzonego z Indii wraz z ładunkiem korzeni. Kazał sporządzić hermetycznie zamkniętą skrzynkę i wsypał do niej to kakao. Potem podarował mi ją, ale musiałem mu przyrzec, że ten kluczyk zawsze będę nosił przy sobie, aby mi nikt go nie zabrał.

Jestem więc komandorem kakaowym i bez mojej wiedzy nikt nie może mieć do niego dostępu.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Zauważ, pani, że zgodziłem się na to, gdyż ten przyjaciel jest mi bardzo drogi.

Zamilkł na chwilę i spojrzał na rozpromienioną twarz dziewczyny.

- A co pani myślisz? Sądzisz, że powinienem się zatrzymać, zdjęć kluczyk z szyi i przekazać zawartość skrzynki komu innemu? Nie obawiaj się, pani, mów, król prosi cię o radę - powiedział z udawaną irytacją.

Luiza łagodnie spojrzała na niego.

- Ależ nie, Wasza Królewska Mość, myślę, że powinieneś ten kluczyk zatrzymać, ale sporządzić zarazem jego kopię, a może nawet dwie, żeby tym łatwiej można się było dostać do skrzynki.

- Szelmutka z pani - skomentował z uśmiechem król. - No, ale dość na ten temat. Powiedz mi, pani, coś o sobie.

- O sobie?! - wykrzyknęła Luiza. - Ależ, Wasza Królewska Mość, cóż ja mogę powiedzieć o sobie? Urodziłam się siedemnaście lat temu w Amboise i wzrastałam szczęśliwa dzięki hojności stryja Waszej Królewskiej Mości, oby Bóg miał go w swojej opiece. Przy jego poparciu zostałam dworką przyszłej bratowej Waszej Królewskiej Mości. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Nie mam też ładunku kakao, żebyś Wasza Królewska Mość miał co nosić, nie potrafię bawić nikogo rozmową...

Luiza przerwała i wystraszyła się. Król zerwał się od stołu i rzucił gwałtownie serwetę na talerz. Widząc jednak, że monarcha wciąż się uśmiecha, uspokoiła się i sama wstała, zdziwiona, że król obchodzi stół i osobiście odstawia jej krzesło. Skłoniła mu się nisko, on zaś wziął ją za rękę i nic nie mówiąc, pociągnął za sobą do ogrodu. Niebo było bezchmurne, w ciemnościach błyszcząły tylko gwiazdy.

- Lubię takie chłodne i wilgotne powietrze - powiedział król Francji. - Przypomina mi urok dzieciństwa. Tu, w tym miejscu, znajduję odpoczynek i myślę o innych sprawach - rozmarzył się, spoglądając na niebo.

Luiza zaczęła nagle drżeć i wtedy zaniepokoił się, czy nie jest jej zimno. Pokręciła przecząco głową, on jednak bez namysłu wbiegł do pokoju, zostawiając ją samą i osłupiałą, a po chwili był już z powrotem z jedwabnym szalem w ręku.

- Podarował mi go ambasador Wenecji, opowiadając przeróżne androny o wielkich czynach swoich ziomków w Chinach - objaśnił półgłosem król, okrywając szalem ramiona Luizy. - Pomyśl, pani, że tkanina, która okrywa ci plecy, przebyła tysiące mil z Chin aż do Wersalu - dodał, odsuwając się na bok, by przyjrzeć się efektowi jedwabiu.

- Mnie też zimno - podjął, wyciągając otwarte dłonie w stronę dziewczyny.

O kilka kroków obok stała ukryta w cieniu drzew postać ludzka. Widziała całą tę scenę, a teraz zobaczyła, jak król i dziewczyna wracają ramię w ramię do pawilonu. Postać czekała jeszcze kilka chwil, a potem zniknęła w nocnych ciemnościach.

44

Mieszkanie Jeana-Baptiste'a Colberta - poniedziałek, 14 marca, godzina jedenasta przed południem

Colbert stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, wahał się chwilę, a wreszcie powtórzył rozkaz:

- Bardziej na lewo, jeszcze trochę!

Robotnicy dźwigający ciężkie wazy antyczne posłusznie przesunęli je o kilka cali wzdłuż ściany przedsionka naprzeciwko kamiennych schodów, wiodących na pierwsze piętro.

- No, już! - zawołał nowy intendent finansów. - Teraz jest lepiej. Podszedł bliżej i zmierzył stopą odległości między wazami - miały

być równe odstępom między wkładkami z czarnego marmuru rozdzie-

lającymi marmurowe, ale białe płytki posadzki. Twarz mu się rozjaśniła i cofnął się, by tym bardziej nacieszyć oczy widokiem.

- Dobrze - powiedział, zacierając ręce i przeskakując na schodach po dwa stopnie naraz. - A teraz komoda z podestu! - zawołał.

Robotnicy niechętnie ruszyli za nim.

- To już cztery dni - mruknął któryś.

- On chyba nigdy nie śpi - jęknął drugi.

- Dalej, dalej, ruszamy! - z niecierpliwością krzyknął Colbert, kładąc w pośpiechu parafkę na dokumencie, który w biegu podsunął mu sekretarz.

- Ojej! - zawołał, patrząc na jedną ze stron, dołożoną mu przez sekretarza, który odszedł tak szybko, jak się zjawił. - Czas biegnie i spotkania pewnie się już zaczęły. Trudno - westchnął, rzucając okiem na przesuwaną właśnie komodę. - Załatwimy to później.

Zawrócił i poszedł do swojego urzędu, mieszczącego się na parterze od strony ogrodu. Po drodze przystanął na chwilę, by raz jeszcze nacieszyć się widokiem nowego wnętrza, „jego” wnętrza - pomyślał. Przed czterema dniami stał się prawnym właścicielem tego budynku, czekał tylko na zatwierdzenie testamentu przez parlament paryski. Jego pałacyk przylegał do pałacu kardynała, gdzie od lat już mieszkał bezpłatnie. Teraz z przejęciem oglądał każdy pokój i każdy mebel. Jakby wstąpiła w niego nowa energia. Poświęcił trochę i tak już nielicznych godzin snu i bez reszty zajął się przemeblowaniem apartamentów, na co dotychczas nie zwracał wielkiej uwagi.

W uchylonych drzwiach do przedpokoju pojawiła się głowa.

- Dostojny panie, przyszedł pan Lulli - zapowiedział Toussaint Rozę, pracujący obecnie u Colberta jako człowiek do wszystkiego.

Colbert nie odpowiedział, dał tylko znak, żeby mu nie przeszkadzać, gdy o czymś myśli. Przybysz może sobie poczekać - nowy właściciel domu przejął i tę zasadę.

- Na czym to stanąłem? - podjął po cichu, przecierając nabrzmiałe z niewyspania powieki, które teraz wydawały się jeszcze grubsze.

Fouquetowi udało się jakimś cudem wybić z głowy marzenia o stanowisku pierwszego ministra, więc pierwszy etap Colbert miał już za sobą i teraz należało tylko umacniać sukces, podsycając nieufność króla wobec naczelnego intendenta finansów, wzbudzoną jeszcze przez umierającego kardynała. A teraz co dalej? - pomyślał Colbert. Trzeba odciąć Fouqueta tak, jak to możliwe, od jego służb, oto zadanie na dzisiaj -mruknął, raz jeszcze spoglądając na leżącą przed nim listę nazwisk. W następnej kolejności trzeba również wykorzystać wybuchowy charakterek Jego Królewskiej Mości - rozmarzył się - i wyciągnąć na światło dzienne tę dziwną historię ukradzionych dokumentów, o czym mówiła mi królowa matka. Jest coś, co niektórzy przede mną ukrywają, albo coś, co się kupy nie trzyma. Nie wiem, jaką rolę odgrywają tu naczelnik intendent finansów, ten kuglarz i ta intrygantka, ja w końcu i tak zrobię swoje.

Złośliwy uśmiech wykrzywił mu twarz.

- A potem należałoby mimo wszystko pomyśleć i o sobie - mruknął i potrząsnął dzwonkiem, który przez tyle lat służył kardynałowi. Na odgłos znajomego dźwięku pojawił się Toussaint Roze.

- Nie widziałem patentu wiceprotektora Akademii Sztuk Pięknych. Mówiłem już o nim z panem Le Tellierem i miał mi go tu dostarczyć.

- Od rana czekam na tę przesyłkę, dostojny panie.

- Dobrze. Obejrzę ją przy obiedzie. Wprowadzaj pan kolejno osoby czekające na przyjęcie.

W chwili gdy Roze zamykał drzwi, Colbert spojrzął na ogród i pomyślał, że powinien zająć się również przesadzeniem niektórych drzewek.

- Niestety, drzewa rosną tak wolno, że trzeba by na to zbyt wiele czasu - mruknął z rezygnacją.

Widok murów opasających niewielki park wywołał w jego wyobraźni myśl o ogrodach w Vaux - wywiadowcy regularnie dostarczali mu ich opisy, ale on nawet ich nie czytał, tak bardzo go drażniły. Odwrócił oczy od roślinności, która zaczynała dopiero wypuszczać pączki, gdy drzwi znowu się otworzyły.

- Dostojny panie, pan Lulli - zaanonsował Toussaint Roze i natychmiast zniknął.

Włoski muzyk wszedł, zgiął się w ukłonie, złączył ręce i wyciągnął je do Colberta, jakby o coś chciał prosić.

- Ach panie Colbert, jestem zrozpaczony!

- Do rzeczy, panie Lulli, do rzeczy - odpowiedział intendent, zaskoczony takim teatralnym wejściem. - Cóż pana tu sprowadza?

- Z odejściem pana kardynała, panie Colbert, utraciłem coś więcej niż tylko opiekuna, mecenasa i źródło natchnienia. Kardynał, panie Colbert... - jęczał Włoch, a jego niekończące się zdania i zbyt szybka wymowa w połączeniu z wyraźnie obcym akcentem sprawiały, że trudno go było zrozumieć.

Colbert uniósł rękę, chcąc powstrzymać ten potok słów.

- Wystarczy, panie Lulli, doskonale rozumiem pański smutek, jest usprawiedliwiony, podzielam go, tak zresztą jak całe nasze królestwo. A co do reszty, to czego pan, na miłość boską, potrzebuje? Czego panu brakuje? Czego pan chcesz?

Muzyk, zbity z tropu twardym i chłodnym tonem Colberta, na chwilę zamilkł.

- A więc... - zaczął.

Colbert dał mu znak, że może mówić.

Jak strasznie ich nienawidzę, jego i jemu podobnych - myślał, a tymczasem Lulli rozpoczynał serię frazesów mających wykazać, że niczego nie chce dla siebie. Jakże chętnie ich zmiążdżę. Cóż, u diabła, robił ten kardynał, że potrafił z nimi wytrzymać? Cóż ma w sobie ten Fou-quet, że umie z nimi rozmawiać? Przynajmniej handel obrazami pozostanie w moich rękach, Akademia Sztuk Pięknych poprze mnie i będę mógł coś na tym zarobić. Teraz jednak muszę wysłuchać jeremiad tego błazna. No, ale skoro tak prosi...

- Zgadzam się, panie Lulli - przerwał. - Chcesz pan kierować życiem muzycznym? Wysłuchałem pańskiej prośby, gotów jestem pana poprzeć i wstawić się za panem w rozmowie z Jego Królewską Mością.

Lulli chciał uchwycić rękę Colberta, ten jednak, zniesmaczony, zdążył ją cofnąć.

- Zabierze to nam nieco czasu. Objąłem nowe stanowisko, muszę więc złożyć przysięgę. Muszę również uregulować sprawy kardynała

dodał, wypinając dumnie tors - wszystko to zajmie mi wiele dni. Niech się pan jednak nie boi, pamiętam o pańskich sprawach. Lulli otworzył usta, by podziękować, ale Colbert go ubiegł.

- Nie dziękuj mi pan, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Ja o nic pana nie proszę, może mnie pań co najwyżej zapewnić o swojej wierności...

Muzyk przytaknął energicznym kiwnięciem głowy.

- ...wobec mnie - uzupełnił Colbert, patrząc rozmówcy prosto w oczy. - Zrozumieliśmy się, co?

Lulli spuścił oczy i znowu się zgodził.

Lulli wyszedł, a Colbert lekko skrzywił się z zadowoleniem.

- Dobra nasza. Mała rzecz, ale zawsze to coś. Należałoby pomyśleć o następnej - mruknął z wyczuwalną chciwością w głosie. Potem rzekł do Roze'a, który wrócił po odprowadzeniu muzyka: - Pomyślisz pan o powiadomieniu Moliera, gdy tylko stanie się to możliwe. Najlepiej zaraz, przed moim odjazdem do Fontainebleau, gdzie mam się spotkać z królem - dodał, nie mogąc się powstrzymać od przybrania miny zwierzchnika.

Radosny, ale i okrutny błysk, który pojawił mu się w oczach, stał się jeszcze mocniejszy.

- Czy już przyszedł? - zapytał, spoglądając na listę interesantów. Rozę potakująco kiwnął głową.

- Proszę wprowadzić pana Everharda Jabacha! - zarządził Colbert.

45

Fontainebleau - poniedziałek, 14 marca, godzina jedenasta przed południem

Fouquet nie znosił swojego gabinetu, mieszczącego się w budynku naczelnej intendentury finansów. Gmach ten, zbudowany za Ludwika XIII, przylegał do głównego korpusu zamku Fontainebleau. Tego

ranka Fouquet kończył męczącą pracę przeglądania dokumentów, do podpisania został mu już tylko jeden, a dotyczył on decyzji podjętej poprzedniego dnia przez króla. Chodziło o utworzenie przy kościele Świętego Ludwika z Fontainebleau samodzielnej parafii i podporządkowanie jej Bractwu Świętego Łazarza.

Teraz król naprawdę zajmuje się wszystkim - pomyślał naczelny intendent finansów. Zrobiono ze mnie buchaltera parafii.

Słyszając, że zegar umieszczony na frontonie położonego tuż obok pałacu Albret wybija godzinę jedenastą, przerwał pracę. Zbliżała się pora audiencji u Ludwika XIV, musiał więc natychmiast ruszać w drogę.

Gdy król po raz pierwszy przybył do Fontainebleau, miał siedem lat. Potem lubił regularnie tu przyjeżdżać, bo unikał w ten sposób Paryża i męczącej etykiety dworskiej. Tym razem, pragnąc zapewne rozproszyć uczucie smutku po śmierci chrzestnego ojca, przyśpieszył wyjazd. Postanowił się nawet tu zatrzymać, choć duża część sprzętów przewożonych w czasie każdego przejazdu króla była jeszcze w stolicy. Monarcha przybył tu w przeddzień. Teraz, późnym przedpołudniem, zdążył już ubrać się w strój myśliwski. Złożone rękawice wcisnął za wspaniały skórzany pas, spod którego wystawał ulubiony przez króla kordelas. Tym właśnie kordelasek, otrzymanym na trzynaste urodziny od Mazariniego, monarcha dobijał najpiękniejsze jelenie z pobliskiego lasu. Prowadzony przez pokojowca, Fouquet wszedł do pokoju i stanął jak wryty. Naprzeciwko niego, ubrany we wspaniały strój myśliwski król Francji... tańczył.

- Tędy, panie naczelny intendent finansów - powiedział monarcha, ledwie odwracając głowę, żeby nie zgubić kroku w wykonywanej właśnie figurze. - Widzi pan, ćwiczę to wszystko, jakbym był tancerzem. Powtarzam balet *Pór roku*, bo chcę się przygotować na święto wiosny, a to już niebawem.

Fouquet, nie wiedząc, co odpowiedzieć, podziwiał postawę młodego władcy, poruszającego się w rytmie, który podawał mu nauczyciel tańca, uderzając laską o podłogę.

- No, dość już tego - rzekł król, wycierając czoło dobytą z rękawa koronkową chusteczką. - Pora zająć się sprawami państwowymi, a muszę właśnie porozmawiać z panem naczelnym intendentem.

Król jednym ruchem ręki odesłał nauczyciela tańca i obecną w pokoju służbę, a potem rozsiadł się w fotelu.

Fouquet stanął przed monarchą i zgodnie z etykietą wykonał trzy głębokie ukłony, zamiatając przy tym posadzkę piórem kapelusza. Król w odpowiedzi skinął głową i Fouquet wiedział, że może już mówić.

- Wasza Królewska Mość, uważnie wysłuchałem słów Waszej Królewskiej Mości, wypowiedzianych na zebraniu Wielkiej Rady po zgonie Jego Eminencji, i jeśli prosiłem o możliwość dzisiejszej rozmowy, to po to tylko, by poruszyć pewną sprawę dotyczącą zarządzania finansami królestwa, co stanowi przedmiot mojej troski. Czuję się w obowiązku opowiedzieć Waszej Królewskiej Mości o tym, co było prawdą. Pod naciskiem konieczności zdarzyło mi się naruszyć niektóre formy i zasady obowiązujące w zarządzaniu skarbem. Do Waszej Królewskiej Mości dotarły zapewne echa tych działań.

Ludwik XIV, zadziwiony tymi nieoczekiwanymi wyznaniem, mocno wpatrzył się w oczy swemu ministrowi finansów.

- Wasza Królewska Mość powinien wiedzieć - ciągnął Fouquet - że wszystko, co zrobiłem, było ściśle uzgodnione z kardynałem Mazarinim i wykonane dokładnie według jego poleceń. Było to ogromne ryzyko z naszej strony, ale chcieliśmy przywrócić zaufanie w wypłacalność państwa, w szczególności po tym straszliwym kryzysie roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego czwartego, kiedy to skarb nasz utracił płynność finansową. Wasza Królewska Mość o tym nie wiesz, ale często zastawiałem swoje dobra jako rękojmię podpisu króla Francji. Dzisiaj przejmujesz, Wasza Królewska Mość, na swoje barki rządy w kraju. Było więc moim obowiązkiem przedstawić prawdę. Przyszedłem tu pokornie prosić o wybaczenie mi błędów, ale działałem zawsze w interesie finansów królestwa. Moje przestępstwo polega na tym, że zawsze chciałem robić wszystko jak najlepiej, osłaniając swojego króla i ściśle przestrzegając poleceń kardynała, chrzestnego ojca Waszej Królewskiej Mości - zakończył ze spuszczoną głową Fouquet.

Król wyglądał na wzruszonego tym wyznaniem.

- W rzeczy samej - odpowiedział - zdarzało mi się słyszeć trochę plotek o pańskich spekulacjach. Służba dla państwa, tak jak ja ją pojmuję, wymaga najwyższej surowości. Od ministrów oczekuję, by całkowicie zapomnieli o swoich sprawach. Od tej chwili interes królestwa powinien przeważać nad interesami osobistymi i rodzinnymi, panie naczelny intendencie.

- Najjaśniejszy Panie, tak i ja myślę. Ileż to już razy powtarzałem te słowa? Wasza Królewska Mość wiesz, jak bardzo twój chrzestny ojciec kochał swoją rodzinę. Sam Wasza Królewska Mość mogłeś ujrzeć w tych ostatnich jego dniach, jak zgubne następstwa może mieć chciwość najbliższych nam osób, w chwili gdy trzeba dokonać podziału spadku.

Fouquet, robiąc aluzję do testamentu Mazariniego, wiedział, że uderza celnie. Królowi doskonale znane były przekrety jego pierwszego ministra, jak również rola Colberta w ukrywaniu źródeł majątku klanu Włocha. Bez trudu mógł sobie wyobrazić wszystko, co Fouquet wiedział o sprawach Mazariniego. Czyż nie była to dla niego stosowna chwila do pogrzebienia tego wszystkiego razem z drogim mu kardynałem? Król wiedział również, że Fouquet nigdy go nie zawiódł. Wręcz przeciwnie, wiele już razy mógł korzystać z sum zebranych w wyniku działalności swego ministra.

- Panie ministrze - odezwał się król - pańskie słowa przynoszą panu cześć. Zapomnijmy o przeszłości, wszystko panu wybaczam. Jeśli chodzi o przyszłość, proszę pana o stosowanie się do zwykłych zasad. Tak więc nakazuję panu od tej chwili, abyś skończył z pożyczkami na lichwiarskich procentach, zaprzestał praktyki nadmiernych rabatów na weksle i natychmiast zamknął wszystkie transakcje oraz sprawy nadzwyczajne.

- Najjaśniejszy Panie - odparł Fouquet, oddychając z ulgą po odpowiedzi króla - przyrzekam, że nadal będę służył Waszej Królewskiej Mości żarliwie i z wielkim oddaniem.

- Pragnąc dać panu jeszcze jeden dowód zaufania - powiedział już łagodniej młody król - powierzam panu utworzenie Rady Handlu Zagranicznego, tak aby królestwo uzyskało instrument do zwalczania kon-

kurencji ze strony niektórych naszych sąsiadów. Decyzje konieczne dla rozkwitu królestwa podejmować pan będzie wraz z panami Aligre'em, Colbertem i Lefèvre'em d'Ormessonem. Zapomnijmy o przeszłości i postępujmy tak, jak wymaga tego wielkość Francji - zakończył król i wstał z fotela, a Fouquet skłonił mu się aż do ziemi. - Czeka już na mnie pan d'Artagnan i chciałbym jak najszybciej dopaść tego rogacza, którego zuchwałość tak wychwała mi wielki łowczy - dorzucił Ludwik XIV, wybiegając z pokoju, by dołączyć do pozostałych myśliwych.

W korytarzu Fouquet natknął się na Lionne'a, który natychmiast powiedział mu o swoich długach karcianych i prosił po raz kolejny o zwłokę w spłaceniu należnej mu kwoty. Fouquet, wielkoduszny na podobieństwo monarchy, raz jeszcze uwzględnił prośbę Lionne'a. Był to najlepszy sposób uzależnienia od siebie tego potężnego członka Rady Królewskiej. Wracając z lekkim sercem do swego urzędu, Fouquet nadział się na Colberta.

- Jakże jestem rad, że pana widzę, panie Colbert - powiedział pełnym radości głosem. - Jego Królewska Mość powierzył mi utworzenie Rady Handlu Zagranicznego, mam również nią kierować. Znając pańskie zainteresowanie sprawami morza, podsunąłem mu udział pana. Dodam, że król, mimo początkowych zastrzeżeń do pańskiej osoby, a to ze względu na nawał ciężących teraz na panu obowiązków, wyraził zgodę na moją prośbę. Zobaczymy się więc wkrótce w tej sprawie -zakończył Fouquet, ruszając dalej i nie zwracając już uwagi na rozmówcę.

- Bardzo się z tego cieszę - mruknął ponuro Colbert.

46

Londyn, okolice Westminsteru - środa, i 6 marca, godzina dziewiąta rano

François d'Orbay szedł wzdłuż Tamizy, ale potem skręcił, gdy tylko za zakrętem rzeki ujrzał sylwetkę odległej jeszcze Wieży Londyńskiej. Zapuścił się w plątaninę uliczek, ciągnących się od błotnistych nad-

brzeży w stronę śródmieścia, wielokrotnie dziękując Niebu, że pozwoliło mu tak dobrze poznać te okolice. Istotnie, mgła, która przesłaniała horyzont, gdy się przebudził, teraz z minuty na minutę zdawała się gęstnieć. Wśród tych krętych uliczek i wysokich drewnianych domów trudno by mu było znaleźć właściwą drogę bez pomocy kogoś tutejszego, zresztą w tak niespokojnych czasach mogło się to okazać dość niebezpieczne. D'Orbay rozejrzał się wokół, chcąc znaleźć punkt orientacyjny, jakim była dla niego Wieża Londyńska. Niestety, nie wypatrzył jej teraz. Rzadko rozsiane latarnie, oświetlające szyldy szynków, wyglądały jak żółtawe kręgi. Opuścił głowę i przyspieszył kroku.

Od ostatniego ich spotkania upłynęło dziesięć lat. Był wtedy taki młodziutki, prawie jak sztabak. Od tego czasu tak wiele się wydarzyło. Poczuł, że ogarnia go lęk, jak gdyby zdobyte w tym okresie doświadczenia - podróże, spotkania, założona przez niego rodzina - zaciążyły nad tym spotkaniem i mogły podkreślić, jak bardzo ich drogi się rozeszły.

Znowu chciał przystanąć, gdy nagle wyłoniła się przed nim ciemna bryła opactwa. Jego szczyt tonął we mgle, a z nim większa część budowli, François jednak ucieszył się, poznając żelazną bramę.

- Przecież mgła może zrobić się jeszcze gęstsza - pomyślał, podskakując z radości - i będzie teraz moim sprzymierzeńcem.

Wszedł na drogę wiodącą do bramy kościoła, potem skręcił na niebrukowaną ścieżkę, która po kilku krokach zmieniła kierunek i prowadziła w stronę wierzb zarastających cmentarz. Doszedł do nich i zniknął we mgle.

André de Pontbriand zadrżał i poczuł chłód w stopach. Stał ukryty za drzewem i z zadowoleniem zauważył idącego przez zarośla François. Prawie co do minuty - pomyślał. Wpatrywał się w d'Orbaya, gdy przechodził on przez drewnianą kładkę na strumieniu płynącym obok grobów, uważnie patrzył na ruchy, chód i wahania swojego byłego ucznia. Uśmiechnął się, widząc, jak marszcząc brwi, szuka on umówionego drzewa, a potem sam zaczął ostrożnie się za nim skradać.

D'Orbay stanął i zamyślił się na widok płaczącej wierzby. Pochylił się, chcąc odczytać napis na płycie grobowca, gdy nagle usłyszał z tyłu czyjś głos. Odwrócił się.

- W tym grobie spoczywa John Donne. Lubię jego poematy i lubię przyłazić tu od czasu do czasu. Nawet wczesnym rankiem, choć pogoda nie sprzyja wtedy spacerom.

Sposób mówienia był taki sam, intonacja też, choć nieco bardziej przeciągła. D'Orbay zbliżył się, by uścisnąć czekającego nań człowieka.

- Pozwól, że ci się przyjrzę - powiedział de Pontbriand, cofając się, choć dłonie wciąż trzymał na ramionach François. - Wciąż masz oczy dziecka. Przybyło ci jednak trochę drobnych zmarszczek, a z oczu wyziera upór, czego wcześniej nie było.

Wzruszony d'Orbay przez chwilę milczał. Ależ się zestarzał! - pomyślał, spoglądając na siwe włosy de Pontbrianda, prawie przezroczystą skórę i ściągnięte rysy. Nawet niebieskie oczy na tym wyniszczonym obliczu nie lśniły już dotychczasowym blaskiem, jak gdyby całe życie tłące się jeszcze w tym wychudłym ciele schroniło się w nich, by wydać tutaj swoją ostatnią walkę.

Milczenie przerwał de Pontbriand.

- No to co, François, pospacerujmy sobie trochę. Wprawdzie chodzenie mnie męczy, ale nie lubię tkwić w miejscu.

Potem, widząc, że d'Orbay zerka kątem oka na jego oblicze, krzywiące się przy każdym poruszeniu zeszywniałej prawej nogi, dodał smętnym głosem:

- Niestety, to mi się też nie ułożyło.

Nie spiesząc się, przeszli kilka kroków wzdłuż strumienia. Widoczność poprawiła się i d'Orbay odniósł wrażenie, że w przechadzce towarzyszy mu czyjś cień. Jedynie ciężki oddech starca zdradzał jego bliską obecność.

- Znasz ten poemat Johna Donne'a, François. Krew, cierpienie, pot i łzy - to wszystko, co posiada nasza ziemia. Przyznam ci się, że chwilami czuję, jakby słowa te zostały napisane z myślą o mnie.

André de Pontbriand stał teraz na wprost opactwa, był prawie niewidzialny, a jego niebieskie oczy wydawały się przebijać rzednącą już mgłę.

- Piętnaście lat, François, to już piętnaście lat żyję jak szczur, od piętnastu lat nie widziałem się z rodziną, nie uścisnąłem żony, nie wziąłem w ramiona dzieci. Piętnaście już lat wegetuję zamknięty jak mnich w klasztorze, żeby nie kompromitować swoich braci. Od piętnastu lat zarzucam sobie, że stworzyłem zagrożenie dla naszej sprawy i uratowałem życie, nie naprawiwszy wyrządzonej krzywdy.

Odwrócił się i François ujrzał ożywienie w jego oczach.

- Ciekawa sprawa. Życie uratowałem, ale po to tylko, żeby żyć w ukryciu i nikomu nie być potrzebnym. Zupełnie jakbym umarł. Czasami zajmuję się tylko uczeniem dzieci, niekiedy takich jak ty, ale potem już ich nie spotykam. A wszystko po to, żeby nasze plany jeden po drugim się waliły - wybuchnął - tak jak dotychczas działo się to tutaj, w Anglii.

- Okoliczności nie ułożyły się po naszej myśli - ostro przerwał François. - Ludzie nie stanęli na wysokości zadania, byli zbyt podzieleni, za bardzo ambitni.

André de Pontbriand dał znak, że już się zmęczył.

- Zauważ, że mnie to nie dotyczy. Ja znam prawdę; dlaczego ją ukrywać przed samym sobą? Nasi ludzie wierzyli, że wystarczy zabić króla, żeby zwalić gmach tyranii, zmienić bieg spraw i odmienić losy kraju. A tymczasem zabicie króla Anglii nic nie dało, bo miał on syna i stronników, którzy go przeżyli. Gorzej, bo jego śmierć dodała im sił i mogli pokonać rozszerzającą się rewolucję. A czy wiesz, dlaczego to właśnie oni w końcu zwyciężyli, dlaczego nie powiodła się ta próba obalenia despotyzmu? Dlaczego na tronie angielskim znowu zasiada król? Dlatego, że ta rewolucja nie potrafiła przekonać ludzi o czystości swoich zamiarów. Pokazać mogła jedynie odciętą człowiekowi zakrwawioną głowę. Straszny to błąd! Sądzić, że zgładzenie króla może zastąpić racje, dla których należy rozprawić się z monarchią. Och, doskonale rozumiem niecierpliwość tych, którzy wtedy działali. Bardzo trudno jest ukrywać prawdę i nie móc jej odsłonić. Z drugiej jednak strony, choć konieczność czekania, może nawet przez całe wieki, jest nie mniej tragiczna, nie powinniśmy dać się oślepić i nie powinniśmy już wierzyć, że możemy zwyciężyć, nie odnajdując klucza otwierającego dostęp do Tajemnicy.

Rysy starca ściągnęły się.

- Zasadę znam bardzo dobrze. Tak wiele zapłaciłem za nią, że moja wiara w jej sukces końcowy jest, być może, wszystkim, co trzyma mnie jeszcze przy życiu...

D'Orbay skrzywił się z zakłopotaniem i położył dłoń na ramieniu człowieka, który nagle zamilkł.

- Dajmy temu spokój. Powiedz mi o przyczynach swego przybycia. Zmiana miejsca to dla ciebie poważne niebezpieczeństwo, a właśnie wyjechałeś z Francji i przeniosłeś się aż do Londynu. Takim samym niebezpieczeństwem jest wskazanie śladu, który mógłby naprowadzić na mnie, umożliwić wykrycie nas i poznanie, kim naprawdę jestem. Nie chodzi o to, że lubię tę spółkę, ale osłaniając dyskretnie naszych braci, wyświadczyła już ona zbyt wiele usług, by ją lekceważyć. I wszystko to jest pilne, nie wolno nam tracić czasu nawet na podstawowe środki bezpieczeństwa. Takie postępowanie zupełnie do ciebie nie pasuje - zakończył całkiem już spokojnie.

Stali teraz naprzeciwko siebie twarzą w twarz, a starzec przerastał d'Orbaya prawie o pół głowy.

- Dlaczego po dziesięciu latach zjawiasz się tu, François? Czy po to, żeby zobaczyć się ze starym Charles'em Saint-Johnem, szanowanym kupcem prowadzącym handel z Indiami?

D'Orbay przełknął ślinę.

- Po to, żeby pomówić z panem o gorzkich i dawnych wspomnieniach, mistrzu - zaczął łagodnie.

Starzec głęboko westchnął.

- Nie przybyłem tu do Saint-Johna, mistrzu. Przybyłem do Andrégo de Pontbrianda, chcąc prosić go o radę.

Starzec podskoczył, jakby poczuł w sobie nagły przyływ energii.

- Nie ruszaj go!

André de Pontbriand spokojnie wysłuchał szczegółowego opowiadania, w którym d'Orbay przedstawił mu sytuację. Mrużąc oczy, przeanalizował zalety i wady położenia, poznał poglądy rozmówcy, ale

swego zdania nie przedstawił. Dopiero wiadomość o roli, jaką odgrywał jego syn, złamała jego obojętność i chwycił d'Orbaya za poję płaszcza.

- Nie ruszaj go, rozumiesz? Chcę go widzieć, przyprowadź mi go tutaj, a przekonam go. Odtworzę ten szyfr. Zresztą tylko ja potrafię go utożsamić i niezwłocznie odszyfrować. Chcę go widzieć! - zawołał podniesionym głosem.

D'Orbay ostrzegł gestem, że ktoś może ich usłyszeć. De Pontbriand potakująco skinął głową, ale nie puścił płaszcza.

- Sprawa nie jest łatwa - bronił się architekt. - Sam powiedziałeś, mistrzu, że zagrożenie jest poważne, a nasi wrogowie są wszędzie. Mamy przynajmniej to szczęście, że chłopak właściwie nic o nas nie wie.

- Przyprowadź go do mnie - powtórzył de Pontbriand. - Nie chcę zlekceważyć tego znaku. Aż za dużo się naczekałem. Lochy kardynała Mazariniego nie zabiły mnie, ale zwichnięta noga to nie jedyna pamiętka, jaka mi po nich została. Nie po to wymknąłem się temu łajdakowi, żeby po prostu umrzeć, i nie wydarzyło się przy tym nic innego - zasyczał, a w oczach pojawił mu się błysk gniewu. - Piętnaście już lat, François, żyję sam jak pies. Czy nie sądzisz, że mam prawo być użytecznym? A jeśli dzięki temu ujrzę syna, który był wówczas dzieckiem, a w moich wspomnieniach nadal nim pozostaje, czy jest to przestępstwo?

Puścił płaszcza.

- Chciałbym naprawić wyrządzone przez siebie zło, uniemożliwiając naszemu stowarzyszeniu wyjawienie posiadanej przez nie Tajemnicy. Gdyby nie moje błędy, nasi bracia może odnieśliby sukces. Pozwól więc, bym wyjaśnił swemu synowi, dlaczego od piętnastu lat nie ma ojca.

D'Orbay, widząc, że jego rozmówca się ślania, chciał go podtrzymać, ale starzec nie pozwalał się dotknąć.

- Byłeś uczniem, a ja nauczycielem. Nadal tytułujesz mnie mistrzem. Ja jednak jestem już tylko ciężarem, a ty stałeś się jednym z mistrzów.

François znowu wyciągnął rękę w stronę de Pontbrianda. Tym razem starzec pozwolił sobie pomóc.

Ruszyli, idąc między grobami, a tymczasem pokazało się słońce, blade, otoczone białą obwódką i ledwie widoczne za mleczną smugą mgły.

47

Zamek Vaux-le-Vicomte - środa, 16 marca, godzina piąta po południu

Isaac Bartet wiedział wszystko, należało to zresztą do jego obowiązków. Od wielu już lat pozostawał w służbie kardynała Mazariniego i dostarczał mu informacji o niektórych delikatnych sprawach. Od pewnego czasu pracował potajemnie dla naczelnego intendenta finansów, prowadził zatem podwójną grę, opartą na kruchej równowadze między tym, czego się dowiedział, a tym, co przekazał swoim mocodawcom. Siedział właśnie w saloniku oddzielającym dwa skrzydła zamku w Vaux-le-Vicomte i spokojnie czekał na pana domu. Fouquet zlecił mu uprzednio zebranie możliwie pełnych wiadomości o młodym Gabrieli. Isaac z powierzonego mu zadania wywiązał się tak jak zwykle, to znaczy szybko i rzetelnie.

Wiedział już wszystko o pochodzeniu chłopaka i o jego związkach z Luizą de La Vallière, nie miał tylko pewności, czy była kochanką Gabriela. Przede wszystkim jednak odkrył, że policja Colberta, kierowana przez Charles'a Perraulta, śledzi Gabriela i w mniejszym czy większym stopniu podejrzewa go o udział we włamaniu do apartamentów kardynała. Mając informatorów w całym Paryżu, Isaac poznał również tajemnicę ludzi, którzy napadli na Gabriela. Wiedział, że sprawcami pożaru w bibliotece kardynała byli Pobożni poszukujący aktu ślubu Anny Austriaczki i Mazariniego. Uradowany z tak obfitego żniwa, Isaac Bartet postanowił więc udać się do Vaux i złożyć tam sprawozdanie Fou-quetowi, a przy okazji spotkać się z Colbertem i powiadomić go o faktach i ostatnich wydarzeniach.

A tymczasem Gabriel wracał z długiej przechadzki. Obszedł cały majątek, wykorzystując przy tym kilka promieni bladego słońca, które przebiło chmury po dniach prawie ustawicznego deszczu.

W czasie pobytu w Vaux udało mu się co nieco dowiedzieć o wydarzeniach minionego miesiąca. Nie zlekceważył niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, zatrzymując przy sobie papiery schowane w safianowym portfelu, zgubionym zapewne przez ludzi, którzy włamali się do biblioteki kardynała. Znalazł na tych papierach podpis swojego ojca i nie dawało mu to spokoju. Był gotów rozwikłać tajemnicę tych szyfrów w szaleńczej nadziei odnalezienia śladu człowieka, którego od dzieciństwa tak bardzo mu brakowało. Intuicja podpowiadała mu, że André de Pontbriand wcale nie umarł. Syna co prawda zostawił w Am-boise i nie zjawiał się tam przez cały czas jego dzieciństwa, ale sprawa ta wydawała się Gabrielowi dość mętna, podobnie jak postawa wszystkich członków rodziny, ilekroć jako mały chłopiec chciał się czegoś od nich dowiedzieć o zaginionym ojcu.

Tak zamyślony, doszedł aż do przecinającej posiadłość młynówki. Mijając wznoszącego się nad ogrodami kolosa, podniósł przez ciekawość klapę, pod którą znajdowało się urządzenie doprowadzające wodę do poszczególnych zbiorników. Kontynuując poszukiwania, zszedł wąskimi żelaznymi schodkami w dół i szczegółowo obejrzał konstrukcję. Znalazł idealne miejsce do ukrycia tam granatowego portfela, którego nie chciał trzymać w swoim pokoju w zamku. Odsunę ten wielki kamień i znajdzie za nim miejsce na wszystkie te dokumenty - pomyślał, przyglądając się konstrukcji. Postanowił, że wróci tu z nadejściem nocy, w porze, gdy pracujący w różnych miejscach robotnicy zejdą już ze stanowisk. W drodze powrotnej rozmarzył się. Od rana nie przestawał myśleć o Luizie.

Isaac Bartet, nad wyraz szczęśliwy, że los styka go z Gabrielem, postanowił wykorzystać tę okazję, wybadać go i przyjrzeć się jego reakcjom.

- Przyjemnie pochodzić sobie tak po ogrodach, co? - zagadnął.

- Dziękuję, bardzo przyjemnie - odparł Gabriel, zdziwiony, że zaczepia go jakiś nieznany mu człowiek.

- Wydaje mi się, że jesteś pan sekretarzem pana Moliera - wypytywał Bartet.

- To prawda - odpowiedział coraz bardziej zdumiony Gabriel.

- A od kilku dni pan tu mieszka? Nachalność Barteta zaczęła drażnić Gabriela.

- Zechce mi pan wybaczyć, ale mam na głowie inne sprawy, a w dodatku nie lubię takiego indagowania.

- Szkoda - odparł ani trochę niezrażony Bartet. — Z pewnością nie wie pan, że pański zwierzchnik, utalentowany pan Molier, był wczoraj w gabinecie pana Colberta, a od pewnego czasu pracuje właśnie dla niego. Zmusi to pana, młody człowieku, do znalezienia ludzi, którym można będzie zaufać. Pan mnie nie znasz - ciągnął Bartet - ale ja wiem, kim pan jesteś. Zdradzę panu, że pracuję dla naczelnego intendenta. Nazywam się Bartet, Isaac Bartet. Możesz mi więc pan zaufać, gdyż uchodzę za człowieka, o którym powiedzieć można przynajmniej to, że spośród wszystkich ludzi związanych z dworem jest najlepiej poinformowany.

- Molier na służbie Colberta? - powtórzył z niedowierzaniem Gabriel. - Ależ to po prostu niemożliwe, przecież pisze właśnie sztukę dla pana Fouqueta.

- Ani przyjęcie głośnego, ale niepewnego zamówienia, ani złożona w czasach Mazariniego przysięga wierności nie pociągają za sobą, drogi chłopcze, zakazu zmiany konia, stosownie do kierunku ruchów politycznych. Wydajesz mi się wielce naiwny. Colbert to potęga i zachodzi obawa, że jeszcze bardziej będzie się wzmacniał. Tylko wczoraj przekabacił najpierw Lullego, a potem tego pańskiego Moliera. Poszło mu to tak lekko, jakby chodziło o przewrócenie naleśników na patelni.

Gabriel był wstrząśnięty. W tej sprawie chodziło o jego przyszłość jako aktora w prestiżowym zespole. Dziecięce marzenia, w których widział się na scenie, zaczęły się nagle oddalać.

- Jeśli już jesteśmy przy nowinach, czy wie pan, że król Francji ma nową kochankę? - zapytał Isaac Bartet umyślnie wesołym głosem, uda-

jąc, że nie widzi, jak bardzo chłopak się zmieszał. - Ich pierwsze spotkanie już się odbyło wczoraj wieczorem w Wersalu, w największej tajemnicy.

Usłyszawszy to, Gabriel zbladł. Nie uszło to oczywiście uwagi Isaaca, ale mówił dalej:

- Osobiście widziałem, jak dziewczyna wchodziła do naszego pełnego sil monarchy na wspólną z nim wieczerzę w cztery oczy. Ta mała de La Valliere ma niespożyte siły. Ledwie pojawiła się na dworze, a od razu dostała się na szczyty.

- Czy jesteś pan pewien swoich słów? - warknął Gabriel, chwytając ramię informatora, który nie spodziewał się takiej reakcji, ale był nią zachwycony.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie. Jestem całkowicie tego pewny, widziałem to na własne oczy. Czyżbyś był zazdrosny? A może znasz pannę de La Valliere? - dodał Bartet. - Proszę cię w takim razie o wybaczenie, jeśli sądzisz, że w czymś uchybiłem tej pannie.

Gabriel opanował się i puścił ramię rozmówcy. Przybity i załamany tą podwójną zdradą, wszedł w milczeniu do długiego przedsionka i podążył do swojego pokoju. Wciąż myśląc o następstwach uzyskanych właśnie wiadomości, zaczął grzebać w swoich rzeczach, aż wreszcie wymacał safianowy portfel. Spojrzał w okno i zauważył, że na dużej części okalających zamek ogrodów zrobiło się już ciemno. Otworzył portfel i raz jeszcze spojrzął na pergamin, na którym widniał podpis ojca. W oczach pojawiły mu się łzy. Opuścił pokój, wyszedł na dwór i ruszył w stronę znalezionej niedawno skrytki. Kipiała w nim głucha złość.

Schowam tu te przeklęte dokumenty - pomyślał, przyciskając portfel do piersi - a dziś wieczorem wypalę pannie de La Valliere prawdę w oczy, czy będzie tego chciała, czy nie.

Była pełnia księżyca i zamek był oświetlony prawie jak w biały dzień. Drzewa uginające się pod podmuchami wiatru rzucały ruchome cienie na rozległy ogród, którego harmonijny układ powstał w głowie Le

Nótre'a. Gabriel włożył na głowę czarny filcowy kapelusz, przywdział szeroki płaszcz, wyszedł z zamku i długim krokiem ruszył w kierunku stajni. Po kilku minutach wyszedł z niej, mocno trzymając za uzdę wspaniałego, czystej krwi gniadosza. Dla uniknięcia brukowanych alejek, gdzie stukot kopyt wydawał mu się zbyt głośny, wybrał biegnącą obok zabudowań gospodarczych ścieżkę, przez co musiał nałożyć trochę drogi. W tę jasną i chłodną noc najślabszy oddech jeźdźca, a także jego wierzchowca przemieniał się w delikatną chmurkę pary, zostawiając lekki ślad w powietrzu na całej trasie, aż do granicy posiadłości. Znalazłszy się poza ogrodzeniem, Gabriel śmiało wskoczył na konia i ruszył galopem do Paryża.

Chłodne powietrze smagało go teraz w twarz i dzięki temu - pędząc galopem między wysokimi drzewami po obu stronach drogi - trochę się uspokoił. W rzeczy samej od chwili, kiedy dowiedział się o spotkaniu Luizy z królem, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nieznośna mu była myśl o tej schadzce sam na sam podczas przerwy w polowaniu w lasach koło Wersalu. W walce z tym wzburzeniem ostry chłód połączony z myślą, że poczynając od tego wieczoru, trzeba będzie osobiście kierować swoim losem, sprawiał mu prawie przyjemność.

Przecież nie będę siedział w tym zamku jak w klatce, w sytuacji, gdy moja przyszłość wiąże się oczywiście ze stolicą - pomyślał. A w dodatku chyba aż za wielu ludzi wie o tej sprawie więcej niż ja. Może jako aktor będę musiał chwilowo zrezygnować ze swoich ambicji, ale nie uspokoję się, dopóki nie spuszczę kurtyny na to wszystko.

Do Paryża Gabriel dotarł bardzo późno i udał się prosto do mieszkania Luizy. Dziewczyna szykowała się już do spania - większą część wieczoru spędziła przy swojej młodej pani, Henryce Angielskiej, tęskniącej za rozmową i uczuciem. Luiza była już wyraźnie zmęczona trybem życia narzuconym jej przez przyszłą bratową króla. Gabriel ujrzał swoją przyjaciółkę w prostej koszuli nocnej, przybranej jedynie kołnierzykiem z koronkami. Na widok Gabriela okazała zdziwienie, ale i radość, i już w drzwiach rzuciła mu się na szyję.

- Gabrielu, jakże się cieszę, że cię widzę! - zawołała, mocno go ściskając. - Co tu robisz o tej porze? Gdzie byłeś przez tyle dni?

Gabriel nie dał się zbyt rozczulić tym powitaniem i dość brutalnie odepchnął dziewczynę od siebie.

- Niepokoiłem się o ciebie - rzekł z ironią w głosie. - Bałem się, że możesz się przeziębic w lesie wersalskim, chyba że król Francji zaproponował ci rozgrzewkę.

Atak był tak ordynarny, że Luiza wręcz osłupiała. A tymczasem Gabriel kontynuował natarcie:

- No tak, nie odpowiadasz. Czy myślisz, biedna dziewczyno, że Ludwik XIV widzi w tobie coś więcej niż kolejną kurobatewkę na liście swoich trofeów myśliwskich, podobno zresztą już obecnie bardzo długiej ?

Usłyszawszy tę gwałtowną napaść na siebie, Luiza zmieszała się, ale zaraz potem uśmiechnęła się do Gabriela, nieco zdziwionego tą tak niespodziewaną reakcją.

- Czyżby był pan zazdrosny, panie de Pontbriand? - odezwała się z odrobiną ironii, która jednak wcale nie kryła jej wzburzenia. - Bardzo mi tym schlebiasz. Powiedz mi jednak, skoro się tak unosisz, co wiesz o moich spotkaniach z królem.

- Wiem to, o czym w Paryżu wie każdy!

- A mianowicie? - odparła z miną osoby urażonej.

- A mianowicie to, że panna de La Valliere, ledwie zjawiła się na dworze, natychmiast uwiodła króla, po to tylko, żeby zaspokoić swoje ambicje. W szczególności niedawno spotkała się z nim w Wersalu na bardzo eleganckim przyjęciu. Czy ośmielisz się zaprzeczyć?

- Biedny Gabrielu, od razu widać, że nie rozumiesz, po co spotykają się wielcy ludzie królestwa. Czy mówił ci ktoś, że to spotkanie nie wynikało z moich obowiązków względem Henryki Angielskiej? A poza tym nie muszę ci się przecież tłumaczyć - powiedziała gniewnie dziewczyna.

Gabriel poczuł, że złość w jednej chwili mu przeszła. Luiza mówiła drżącym głosem. Z trudem powstrzymywane łzy napływające do jej jasnych oczu, zarumienione policzki - wszystkie te oznaki wyraźnie świadczyły o jej szczerości.-

- Nie znasz go - ciągnęła - i nawet nie wyobrażasz sobie, że wygląda całkiem inaczej niż wtedy, gdy występuje publicznie.

Pokazała, że jest bezsilna, i aż westchnęła z rozpaczy.

- Och, po cóż miałabym to wyjaśniać? Nie wiem, dlaczego myślałam, że ty... Czy to już wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? - zakończyła oschle.

Gabriel przecząco pokręcił głową. Podeszedł do dziewczyny i wziął ją za rękę.

- Spójrz na mnie, Luizo - rzekł łagodnie. - Czy wierzysz, że mówię to tylko z obawy o ciebie? Nie oskarżam cię i nie osądzam. Po prostu zależy mi na tobie.

Nie odwracała już twarzy. Ich spojrzenia skrzyżowały się, przez chwilę milczeli, a potem Gabriel mówił dalej.

- Jest coś jeszcze. Dowiedziałem się dziś wieczorem, jakoby Molier przedłożył swoje usługi Colbertowi. Pomyślałem wtedy, że skoro jesteś tak blisko Księcia Pana, tak hojnego wobec aktorów z teatru Pałacu Królewskiego, to może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej i będę mógł niezwłocznie powiadomić o tym pana Fouqueta.

Teraz z kolei Luiza się uśmiechnęła.

- A więc przyjaciółka, która umie nadstawić uszu w przedpokojach królewskich, może okazać się użytecznym nabytkiem, panie kaznodziejo - odpowiedziała. - Zrzuc płaszcz i siadaj tu.

Narzuciła sobie na ramiona biały wełniany szal i przygotowując grzane wino z cynamonem, opowiedziała Gabrielowi wszystko, co wiedziała o wydarzeniach na dworze. W rzeczy samej w ostatnich dniach wielokrotnie miała sposobność usłyszeć urywki rozmów prowadzonych przez Księcia Pana. Gabriel odetchnął z ulgą, dowiedziawszy się, że Nicolas Fouquet uzyskał w Fontainebleau przebaczenie królewskie i znowu zajmuje wysokie stanowisko we władzach królestwa. Natomiast wiadomość, że Lulli i Molier rzeczywiście przyłączyli się do Colberta, niepokoiła go.

- Moja tułaczka z pewnością nie zakończy się prędko - powiedział Gabriel, świadom, że Molier, bojąc się podejrzeń ze strony policji Colberta, odetnie się od niego.

- Rzeczywiście, ostrożność nakazuje siedzieć cicho i w żadnym wypadku nie rezygnować z poparcia Fouqueta - doradziła mu Luiza.

- Jeśli kiedykolwiek wydarzy mi się coś złego - powiedział na odchodnym - wiedz, że w parku okalającym zamek w Vaux ukryłem niezmiernie ważne dokumenty. Leżą na dnie studni u stóp tego dominującego nad ogrodami olbrzyma. Tylko ty znasz to miejsce i wiesz o tych papierach. Na razie nie mogę ci powiedzieć niczego więcej - dodał. -Musisz mi zaufać.

Dziewczyna czule pogłaskała go po policzku.

- Szczęśliwa jestem, że spotkałam się z panem dziś wieczorem i odzyskałam pańskie zaufanie, panie szpiegu - szepnęła, gdy Gabriel był już na schodach.

W chwilę później znowu pędził galopem po uśpionych ulicach w stronę zmarzniętej drogi do zamku Vaux-le-Vicomte.

48

Paryż, pałac de la Cité - piątek, 18 marca, godzina czwarta po południu

Intendent finansów... Tytuł ten wciąż chodził Colbertowi po głowie na podobieństwo litanii z powtarzаныmi w kółko tymi samymi zwrotami. Kilka minut wcześniej Jean-Baptiste Colbert składał przysięgę i w chwili, gdy przewodniczący Parlamentu wypowiadał te właśnie słowa, poczuł nagle, że serce rozpierają mu duma i radość... Intendent finansów... Teraz protegowany zmarłego kardynała siedział w wielkiej galerii biegnącej wokół chwilowo pustej sali posiedzeń, na czerwonej ławie ze złotym obrzeżem, ubrany w swój nieśmiertelny czarny surdut, ozdobiony na tę okazję jedynie pasem z cienkiej mory, i usiłował choćby na chwilę raz jeszcze przeżyć wzruszenie, jakie go ogarnęło, gdy publicznie wyrażono mu uznanie. Przymknął oczy, starając się wszystko to sobie przypomnieć i znowu ujrzeć twarze obecnych na tej uroczystości

ludzi. Usłyszawszy odgłosy kroków na marmurowej posadzce korytarza, odbijające się echem od kamiennego sklepienia, odwrócił głowę.

- Jesteś tu, dostojny panie?! - zawołał Toussaint Rozę, podnosząc ręce. - Lękałem się, czyś przypadkiem nie wyjechał stąd sam albo może wsiadłeś do innego powozu.

Colbert spojrział na przybysza spode łba.

- Zamyśliłem się na chwilę. No, ale jeśli trzeba, to ruszamy - odparł z gniewem.

- Bo właśnie czeka na dostojnego pana pan Perrault. Stoi obok powozu - tłumaczył się Rozę, idąc z Colbertem do wyjścia. - A pan Le Tellier kazał mi powiedzieć, że dziś wieczorem chciałby widzieć dostojnego pana i pomówić o pewnej sprawie, wiążącej się, jak twierdził, z bezpieczeństwem państwa.

Colbert nie raczył odpowiedzieć, ale w oczach pojawił mu się złowrogi błysk. Co temu Le Tellierowi strzeliło do głowy, że o tej porze wysłał tu swojego wywiadowcę? Na widok Perraulta przypomniały mu się wszystkie złe wiadomości z poprzednich dni i przesłoniły mu tak wspaniałą sukces, jakim był awans.

- Wykryłeś go pan? - zapytał swojego wywiadowcę, nawet nie witając się z nim.

Perrault trzymał drzwiczki i coś bełkotał, a Colbert i Rozę wchodzili tymczasem do powozu.

- Nie, na pewno nie - ciągnął coraz bardziej rozeźlony Colbert. - Przecież, u diabła, nie odfrunął! Ten chłopak musi gdzieś być, niech więc go pan znajdzie! No właśnie, Molier nie zna nawet pełnego nazwiska swojego sekretarza, a pan nie wie, gdzie on się ukrył, więc co ja mam robić? Czy sam mam go szukać?

Colbert, wciąż pochylony w stronę zamkniętych już drzwiczek, umilkł na chwilę, a potem spojrział spode łba na znieruchomiłego Perraulta.

- Potrzebne mi są wyniki, Perrault. Szybko! Znajdź pan tego chłopaka, znajdzie te papiery, ale coś wreszcie znajdzie, do kroćset!

Gwałtownym ruchem opuścił zasłonkę i ostro stuknął w ściankę ka-

rety, dając w ten sposób sygnał do odjazdu. Perrault, patrząc na oddalający się pojazd, poczuł ucisk w gardle.

Colbert głęboko odetchnął. Słowa i ton użyte w celu skarcenia Perraulta sprawiły mu przyjemność, choć nie aż taką, żeby poczuł się odprężony i zadowolony z tego dnia.

Byleby tylko zrozumieć, jakie to myśli przychodzą królowi do głowy - pomyślał. Nie podoba mi się ta audiencja udzielona Fouquetowi ani ta historyjka z Radą Handlu Zagranicznego. Muszę mieć pełniejsze informacje.

Na jego skrzywionej twarzy pojawił się nagle szeroki uśmiech.

Ależ tak! Jest pomysł - ciągnął swoje rozważania - jak poznać zamiary króla, a może również popchnąć jednocześnie tę sprawę, od której Perrault tak obiecująco zaczął swoje poszukiwania.

Z zadowoleniem na twarzy odwrócił się do siedzącego obok Tous-sainta Roze'a.

- Gdy wrócimy, zorganizujesz mi pan spotkanie z siostrzenicą kardynała.

- Ale z którą? - zapytał bojaźliwie Roze. Colbert westchnął.

- Oczywiście z Olimpią.

Colbert wygodniej rozsiadł się na komfortowej ławeczce w karecie, zmrużył oczy i raz jeszcze próbował przeżyć chwile składania przysięgi. Był intendentem finansów!

Roze siedział z dłońmi na kolanach. Nie chciał już pytać, czy to spotkanie to sprawa bardzo pilna.

49

Mont-Louis - niedziela, 3 kwietnia, godzina ósma wieczorem

Colbert poznał drogę do Mont-Louis. Tym jednak razem, w przeciwieństwie do tego, co wydarzyło się w nocy 10 marca, przyjeżdżał

tu otwarcie. Korzystając z pośrednictwa Le Telliera, miał się tu spotkać z arcybiskupem Paryża, który już od prawie dziesięciu lat nie zjawiał się w stolicy. Ten prawie tajny powrót Paula de Gondiego do Francji i perspektywa spotkania się z nim wprawiły Colberta w doskonały humor i od tej pory w swoim obłądnym poszukiwaniu sojuszników starał się nikogo nie lekceważyć.

De Gondi, były frondysta i wróg Mazariniego, na wiadomość o zgonie kardynała rozpoczął przygotowania do tej wyprawy. W obawie przed aresztowaniem poprosił ojca La Chaise'a o udzielenie mu gościny, oczekiwał więc Colberta w prywatnym mieszkaniu zakonnika. Tymczasem Colbert z ciekawością wyobrażał sobie przybysza, jak stoi w oknie i z nostalgią wpatruje się w przedmieścia miasta, którego od tak dawna nie widział.

- Ekszelencjo, dziś po południu wiosna zalała swoim światłem Paryż, ale francuskie słońce nie dorównuje włoskiemu - z lekką ironią rzekł na powitanie Colbert.

De Gondi spokojnie odwrócił się na dźwięk głosu, który przerwał w ten sposób jego marzenia.

- Zima dobiega końca, panie Colbert, a słońce świeci od tej pory dla wszystkich - odpowiedział, całkiem zadowolony z bezpośredniego tonu, w jakim zaczynała się rozmowa.

Po zwyczajowej wymianie grzeczności panowie zasiedli naprzeciwko siebie w fotelach, a były tylko dwa w skromnym mieszkanku przeora.

- Drogi panie Colbert, nie będę kluczył i od razu wyłuszcę ci przyczynę swojego tu przybycia. Śmierć Mazariniego otwiera nową erę w dziejach królestwa. Wydaje mi się, że nastąpiła pora oczyszczenia przeszłości - powiedział stanowczym głosem arcybiskup. - Wielu ludzi chciałoby znowu widzieć mnie w Paryżu i proszą, bym zasiadł wreszcie na stolicy biskupiej, bo mi się to należy.

Bardzo pewny siebie jest ten zuch - pomyślał Colbert, udając jednocześnie, że pilnie zważa na każde słowo de Gondiego.

- Chciałbym wierzyć, że uniemożliwienie mi powrotu do mojej ukochanej ojczyzny wynikało z nieporozumień między królem i Jego Świątobliwością - ciągnął coraz pewniejszym tonem arcybiskup. - Ja osobiście zawsze wiernie służyłem Jego Królewskiej Mości, zresztą właśnie dlatego występowałem przeciwko tym haniebnym małwersacjom kardynała. Wygnanie znoszę bardzo ciężko i gorąco pragnę wrócić do Paryża. Sprawa ta jest dla mnie tak ważna, że gotów jestem dać wiele dowodów swojej dobrej woli względem króla.

Więc o to mu chodzi - domyślił się Colbert, potakująco kiwając głową, by skłonić arcybiskupa do dalszych wynurzeń.

- Krótko mówiąc, panie Colbert, mogę bez zastrzeżeń złożyć u stóp Jego Królewskiej Mości swoje prawa do arcybiskupstwa paryskiego.

Doskonale - pomyślał Colbert, wciąż milcząc, by tym bardziej skłonić de Gondiego do ujawnienia dalszych swoich zamiarów.

- Wypadałoby oczywiście - ciągnął były frondysta - by król, przywracając mi swoje zaufanie, dołączył do niego gwarancję, że były więzień i wygnaniec będzie mógł swobodnie wyjeżdżać i przyjeżdżać, kiedy tylko zechce.

- Rozumiem pana, Ekscelencjo - skromnie zauważył Colbert. - Mówił pan jednak przed chwilą o kilku zapewnieniach.

Zaskoczony taką dość chłodną reakcją, de Gondi zastanowił się i dopiero po chwili odpowiedział:

- W takim razie moi przyjaciele, a wiesz pan, że są to ludzie bardzo wpływowi, będą panu wielce zobowiązani.

A oto coś jeszcze ciekawszego - stwierdził w duchu Colbert, chwytając aluzję do Pobożnych i do ich bezwzględного poparcia dla Fouqueta i jego rodziny.

- I co jeszcze? - napierał, chcąc zwiększyć swoją przewagę.

- Już mówię, panie Colbert. Poszukuje pan dokumentów skradzionych w pałacu kardynała. Niestety, dokumenty te nie są już w posiadaniu ludzi, którzy je zdobyli.

Colbert aż się zatrząsł. Ten arcybiskup to chyba diabeł - pomyślał, zdziwiony relacją de Gondiego. Teraz już wiem, po co się tu zjawiał.

- Z pewnością nie wie pan jednak nic o tym, co było w tych skra-

dzionych papierzyskach. Mam w tej sprawie pewną hipotezę i myślę, że jest ona bardzo bliska prawdy.

- Słucham uważnie, Ekscelencjo - odparł rozbawiony nagle Colbert.

- W więzieniu w Nantes, gdzie zamknął mnie Mazarini, przebywałem w jednej celi z człowiekiem, którego prawdziwe nazwisko wciąż jest mi nieznane - zaczął de Gondi. - Przedstawił mi się jako Naiim. Mieliśmy dość czasu, żeby się poznać, i mogę potwierdzić, że osobnik ten był bardzo wykształcony i godny zaufania. Niejednokrotnie mogłem się przekonać, że potrafi rozumować, a jego relacje są prawdziwe. Naiim był chory. Czując zbliżający się koniec, chciał mi się zwierzyć. Powiedział, że za pośrednictwem pewnej nieznanej mi osoby przekazał Mazariniemu jakieś niezwykle dokumenty i wziął za nie duże pieniądze. Wkrótce potem aresztowano go. Był pewien, że kardynał chce się go pozbyć. Przed śmiercią biedak wskazał mi miejsce, gdzie ukrył swoje pieniądze. Zresztą dzięki temu paktolowi mogłem udać się do Rzymu i żyć tam po ucieczce z Francji - dodał de Gondi, okazując wyraźną radość z tego, że spłatał Mazariniemu takiego figla.

- No, a co było w tych tak niezwykłych dokumentach? - dociekał Colbert.

- Mówił mi, że chodziło o formułę umożliwiającą zrozumienie pisma, którego ujawnienie mogłoby wstrząsnąć fundamentami państwa i Świętego Kościoła. Niewiele wiem więcej. Naiim nie był rozmowny, zwłaszcza że choroba bardzo często odbierała mu świadomość. Nazwisko Naiim z pewnością zauważył pan w rachunkach Jego Eminencji -zauważył, uśmiechając się lekko, de Gondi.

Colbert nie wiedział, co odpowiedzieć. W rzeczy samej pamiętał, że zwrócił kiedyś uwagę na to dziwne nazwisko, przeglądając prywatne archiwum kardynała. Widniało w nagłówku pisma, w którym chodziło o jakieś ogromne sumy. Poprosił wtedy Mazariniego o wyjaśnienie, ale kardynał nie odpowiedział mu ani słówkiem, polecił tylko zaksięgować te pieniądze w rubryce: „Wydatki nadzwyczajne Jego Królewskiej Mości”.

Pomału wszystko rozjaśniało mu się w głowie. Czy przerażenie kardynała na wiadomość o zaginięciu papierów nie wiązało się z ujawnieniem tajemnicy, tak drogo kupionej przed kilku laty u tego Naiima?

Arcybiskup wie znacznie więcej, niż raczył mi powiedzieć - pomyślał Colbert, coraz mocniej przekonany, że de Gondi kierował z Rzymu siatką Pobożnych i z pewnością był jednym z organizatorów włamania do apartamentów kardynała.

- Dzięki panu za zaufanie, Eminencjo - powiedział niezwykle uprzejmym tonem. - Będę pańskim wiernym pośrednikiem przy Jego Królewskiej Mości. Doceniam, jak wiele królestwo mogłoby zyskać, mając człowieka tak wartościowego jak pan. Postaram się, by nasze rozmowy okazały się owocne.

W drzwiach Colbert pożegnał się z wygnańcem i wsiadł do swojej karety. Powóz ruszył, a on tymczasem wpatrywał się w odległe zarysy stolicy i myślał, że marzenia arcybiskupa Paryża o triumfalnym powrocie na dwór mogą w końcu stać się rzeczywistością.

50

Saint-Mandé - pałacyk Nicolasa Fouqueta, niedziela, 10 kwietnia, wieczór

- Widziałaś, Luizoz? Zakwitły już kasztany.

Luiza de La Vallière pochyliła się i przyłgnęła twarzą do okienka w drzwiczkach, chcąc ujrzeć białe kwiaty, których barwa w promieniach zachodzącego słońca wydawała się jeszcze żywsza. Nadchodził wieczór, powóz minął właśnie Vincennes i wjechał na przedmieścia. Do karety wdzierały się podmuchy chłodnego powietrza i siedzące w niej panienki drżały z zimna.

To już wiosna — pomyślała Luiza — moja pierwsza wiosna w Paryżu. Jakimże to sposobem wszystko przypominało jej o królu, choć wcale tego nie chciała? Próbowała wyobrazić sobie, jak będzie od tej pory wyglądał pawilon w Wersalu.

- Śni ci się coś, Luizo?

Ocknęła się tak nagle, że siedząca obok Aude de Saint-Sauveur aż się zaśmiała. Aude, tak samo jak Luiza, była panną z fraucymeru przyszłej małżonki Księcia Pana. Wyciągnęła teraz palec w stronę światła, które pojawiły się na lewo od karety.

- Spójrz, marzycielko, trochę do przodu, to wieżyca zamku w Vincennes. A tam - skierowała palec na lewo - ta rozświetlona pochodniami aleja to droga do zamku pana naczelnego intendenta.

Luiza z rozbawieniem spoglądała na rozgorączkowaną sąsiadkę, ale milczała i puszczała jej słowa mimo uszu.

- Módlmy się, żeby to małżeństwo szybko doszło do skutku i żebyśmy i my miały tu swoje wesela - dodała Aude, jak gdyby ślub Henryki Angielskiej był po trosze jej ślubem.

Powodzenia! - pomyślała Luiza, wpatrując się w pustkę. Przecież ona naprawdę marzy tylko o tym, żeby być panną do towarzystwa.

Poczuła, że się rumieni. Poprawiła sobie naszyjnik, by nabrać większej pewności siebie.

- Dojeżdżamy, dojeżdżamy! - powtarzała z niecierpliwością Aude. Powóz wjechał w alejkę między dwa rzędy hajduków. Wszyscy ubrani byli w niebiesko-złotą liberię i każdy trzymał w ręku pochodnię, tak że alejkę widać było z drogi lepiej niż pobliską basztę.

Nicolas Fouquet patrzył z okien swego gabinetu na przybywających gości i myślał, że powinien był przełożyć to przyjęcie na późniejszy termin. Od śmierci kardynała i dnia, w którym król wprowadził swoje zmiany, upłynął zaledwie miesiąc i do organizowania takiej imprezy był tylko jeden powód, a mianowicie kaprys żony, tym dziwniejszy, że małżonka pana domu była w ciąży i bardzo źle ją znosiła, nie mogłaby więc uczestniczyć we wspólnej zabawie z gośćmi. A Fouquetowi przyjęcie to wydawało się czystą stratą czasu.

No, to naprzód - pomyślał, przypisując swój zły nastrój przepracowaniu w ciągu ostatnich tygodni. Podejźmy do nich i pokażmy, że nic damy się złemu losowi. Po głowie chodziła mu jednak myśl o innej uroczystości, jedynej, na którą naprawdę czekał, a miała nią być inauguracja zamku w Vaux.

Na szczycie wspaniałych schodów górujących nad wejściowym przedsionkiem Fouquet mimo wszystko raz jeszcze się zatrzymał. Goście już się zeszli i nieprzerwana ich fala przetaczała się tam i z powrotem między salonami i ogrodem, gdzie grały dwie orkiestry kameralne.

Przynajmniej pogoda nam sprzyja - pomyślał Fouquet, chcąc dodać sobie animuszu. Zrobił głęboki wdech i wtopił się w tłum.

Luiza nudziła się. A przecież była tu ledwie od pół godziny. Musiała jednak przyznać, że jakoś nie chciało jej się bawić, choć wieczór był piękny, a towarzystwo doborowe. Wystrzelone na rozpoczęcie zabawy ognie bengalskie ani na chwilę nie zwróciły jej uwagi. Stoły, uginające się pod zwałami mięsa, piramidami warzyw i najsmakowitszych owoców ani trochę jej nie przyciągały. A kręcące się wśród zaproszonych gości jaskrawo ubarwione zwierzątka - małpki i ptaki - wywoływały w niej tylko lekki uśmiech. Aude niepostrzeżenie gdzieś zniknęła i Luiza została sama. Siadła na ławeczce obok ustawionego na kolumnie starożytnego popiersia z czarnego marmuru.

- Tęsknisz pani za swoim ukochanym aktorkiem, panno de La Vallière?

Ironia zawarta w tym pytaniu sprawiła, że Luiza już drugi raz tego wieczoru drgnęła i z oburzeniem odwróciła się w stronę osoby, która tak się do niej odezwała.

Stał przed nią gospodarz przyjęcia, Nicolas Fouquet, z lekko drwiącym uśmiechem na ustach. Luiza, całkowicie zaskoczona, wstała, żeby mu się odkłonić, pomyślała jednak, że jego docinek tylko częściowo był chybiony. Rzeczywiście odczuwała brak Gabriela mimo tej jego bezsensownej zazdrości.

- Czy nie sądzisz, pani, że młodość jest niekonsekwentna? - ciągnął Fouquet. - Nudzisz się, pani, w Paryżu, a on nudzi się w Vaux, jeśli mam wierzyć własnym oczom. Niechże pani sobie wyobrazi, jak stoi z omdlewającą miną i skręca się z niecierpliwości. Stara się raczej tego nie pokazywać, bo jest dobrze wychowany, ale z jego twarzy można czytać jak z książki, mimo całego jego aktorstwa.

W oczach Luizy pojawił się błysk nieufności i Fouquet podszedł trochę bliżej.

- Niechże się pani nie boi, panno de La Valliere. Gabriel był tak uprzejmy, że wybrał mnie na swego protektora, a zatem zwierzył mi się z wielu rzeczy, dzięki czemu wiem, co was łączy, a mianowicie jego nazwisko, urodzenie i młodość. Życzę mu wszystkiego dobrego. Jednakże nie licząc gróźb, jakie wiszą mu nad głową i zmuszają do przebywania daleko od Paryża, obawiam się, żeby działania pana Colberta nie wpłynęły na tego niewdzięcznika, Moliera, i nie zaszkodziły poważnie sytuacji zawodowej pana de Pontbrianda. Nie wiem jeszcze, jak to się dzieje, że jego działalność, choć jest tylko Gabrielem de Pont-briandem, interesuje tak wiele wysoko postawionych osób. Ale się dowiem. Tymczasem trzeba zachować ostrożność.

Ton głosu Fouqueta stał się coraz natarczywszy.

- Dotyczy to również pani, panno de La Valliere. Rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty pierwszy ma być podobno niebezpieczny dla wszystkich nowo przybyłych na dwór królewski. Niechże pani uważa - dodał bardzo poważnym tonem. - Są pewne ważne sprawy, które wcale nie wyglądają na ważne, są również kłębowa węża, które zauważamy dopiero wtedy, gdy na nie nadejmiemy...

Wystraszona tą tak zagadkową wypowiedzią Luiza spojrzała pytająco na Fouqueta.

- Co masz, panie, na myśli?

- Panie naczelny intendencie! - zawołano.

Fouquet, porwany przez grupkę gości, dał Luizie znak, że nie może już jej odpowiedzieć. Popatrzyła za odchodzącym i poczuła niepokój w sercu.

- Po co to powiedział? - zastanowiła się, marszcząc cieniutkie brwi, osłaniające jej wielkie niebieskie oczy. - I co tak naprawdę wie?

Nie zdążyła nawet znaleźć odpowiedzi na to pytanie i po raz trzeci tego wieczoru aż drgnęła, czując, że czyjaś ręka dotyka jej nagiego ramienia.

- Skąd ta nerwowość, moja droga? - zapytała cieniutkim głosem Olimpia Mancini.

Luiza skłoniła się jej, starając się powstrzymać emocje, ale czuła, że czerwienią się jej policzki.

- O czymże marzą dziewczęta? - ciągnęła Olimpia, siadając obok Luizy. - Porozmawiamy trochę, co? Pani jesteś młoda, dopiero co tu przybyłaś, chciałabym porozmawiać jak przyjaciółka z przyjaciółką. Dwór królewski to świat pełen okrucieństwa, a co najważniejsze, trudno go zrozumieć, ma wiele zagadek i zwyczajów, które są zarazem pułapkami dla nowo przybyłych. Nie należy wchodzić w ten świat samotnie i łatwo tu uznać plewy za ziarno, a łotra za uroczego księcia - szepnęła tonem na pozór obojętnym.

Luiza poczuła głęboką nieufność. Wyobrażała sobie oczy Olimpii, wpatrujące się w jej kark i policzki. Byle tylko niczego po sobie nie okazać!

- Ludzie są jak pory roku - podjęła Olimpia - zmienni i nieprzewidywalni. Trzeba pogodzić się z myślą, że jedyni nasi przyjaciele to tylko ci, z którymi łączy nas wspólny interes. Wiem, że pani dziecięcemu serduszkowi wyda się to smutne i cyniczne, ale nie mogę pani nie uprzedzić, gdyż byłaby to z mojej strony złośliwość.

Luiza poczuła, że chłodne palce Olimpii dotykają jej przegubu.

- Mogę zostać pani przyjaciółką, powinnam nawet nią zostać. Niezawodną, wierną i bardzo przydatną przyjaciółką, taką, która potrafi zachować każdy sekret, a nawet chronić. Może pani w to wierzyć albo nie, ale nie interesują mnie pani tajemnice - powiedziała, a jej głos stał się nagle oschły.

Luiza wysłuchiwała tych słów w milczeniu, ale czuła się coraz mniej pewna.

- Taka przyjaźń to rzecz bardzo cenna - powiedziała, cedząc powoli słowa i starając się panować nad ich brzmieniem. - Obawiam się, że nie potrafię sobie na nią zasłużyć.

Olimpia wahała się przez chwilę.

- Niechże pani nie będzie nierozsądna - odparła wreszcie. - Interesuje mnie tylko to, co pani widzi, co pani słyszy, i nic więcej. Będzie mi pani o tym mówiła, i to wszystko.

- Sekrety są jak zapachy - odrzekła Luiza, uwalniając rękę z uchwytu. - Nie znoszą przewietrzania.

- Słusznie! - wykrzyknęła głośni Olimpia tonem, w którym czuć było groźbę i lęk, że ofiara się jej wymknie.

- A w dodatku sama nie mogę odpowiadać na takie pytanie. Czy pozwolisz mi, pani, że je przedłożę Jego Królewskiej Mości? - rzuciła Luiza, uciekając i nie czekając na odpowiedź, jakby sama wystraszyła się swojej śmiałości.

- Do pioruna! - zaklęła przez zęby Olimpia. - Zapłaci mi za to.

Luiza wybiegła z ogrodu i wpadła na taras, po drodze omal nie wywróciła służącego niosącego właśnie półmisek. Świeże powietrze, przepojone zapachem kwiatów, nappełniło jej płuca. Zauważyła, że cała się trzęsie.

Przyjęcie dobiegało końca. Goście małymi grupkami wychodzili z pałacu i kierowali się w stronę znowu obstawionej służbą alei. Na otwartej przestrzeni powoli robiło się coraz chłodniej. Luiza, kołysana stukotem kół na polnej drodze, wciąż jeszcze pełnej błota po wczorajszej ulewie, zawiązała sobie szal na ramionach. Obok niej spała już Aude, a jej pochylona głowa przy każdym wstrząsie karety opadała Luizie na ramię. Przerazające skrzypienie kół rozlegało się głośnym echem w uszach Luizy. Próbowwała nie zwracać na nie uwagi, ale i tak nie potrafiła zapomnieć spotkania z Olimpią. Słowa tej kobiety wydawały się przyklejać jej do skóry na podobieństwo przesłodzonego soku ze śliwek zrywanych w cudzych sadach wspólnie z Gabrielem. Jakże to było dawno... - pomyślała.

Znowu zadrżała, przypominając sobie groźby, wyczierające zza słodziutkich słówek Olimpji, świadczących, że wie ona o więzi łączącej Luizę z królem, że źli ludzie mogą się oburzyć i zacząć jej szkodzić, że powinna znaleźć sobie opiekuna, a przecież tak prosto i tak bezpiecznie można sobie zapewnić wdzięczność wielmożów, wystarczy przekazywać im wiadomości o tym, co król mówi i czym się zajmuje.

Zastanawiała się, czy miała rację, mówiąc „nie”, wszak można było nic nie mówić. W każdym jednak razie błyskawice, jakie w chwili roz-

stania miały oczy Olimpii, wyraźnie oznaczały, że odwrót nie jest już możliwy.

- Byle do jutra, zobaczymy, co będzie jutro - raz jeszcze szepnęła Luiza, czując, że morzy ją senność.

Gdy w chwilę później woźnica wprowadził konie na drogę do Paryża, a baszta w Vincennes zniknęła w oddali, żaden już odgłos nie zakłócał ciszy i ciemności, jaka zapadła w karecie.

51

*Saint-Mandé, pałacyk Nicolasa Fouqueta - niedziela, 10 kwietnia,
po przyjęciu*

Ostatni goście opuścili już dom naczelnego intendenta finansów. Cała służba zajęta była przestawianiem mebli, sprzątaniem nakryć i wynoszeniem resztek jedzenia ze stołów ustawionych w pomieszczeniach, gdzie odbywało się przyjęcie. Nicolasa Fouqueta nic jeszcze nie ciągnęło do łóżka, zwłaszcza że ciąża żony pozbawiała go przyjemności cielesnych. Zaprosił więc do swego gabinetu François d'Orbaya i Jeana de La Fontaine'a, zamierzając poczęstować ich winem Porto, które sprowadzał całymi skrzynkami. Rozmowa toczyła się swobodnie i wesoło. Po tygodniach niepewności związanej z chorobą kardynała, a potem z powstawaniem nowego rządu, odpowiadającego życzeniom Ludwika XIV, naczelnik intendent odnosił wrażenie, że sprawy wróciły do stanu poprzedniego. Jego wyprawa do Fontainebleau i uzyskane tam wybaczenie zdawały się uwalniać go od podejrzeń, które Colbert od miesięcy złośliwie podtrzymywał.

- Widzieliście go, panowie - mówił La Fontaine. - Składając przysięgę, był nadęty jak ropucha, która chciała dorównać wielkością wołu.

Porównanie to wywołało głośny śmiech Fouqueta.

- Dobrześ to powiedział, drogi Jeanie! Ropucha, która chce się nadać jak wół! Myślę, że potrafisz zrobić z tego bajkę, bo przecież tak

pięknie je piszesz. Tylko że zaskroniec, który widnieje w herbie tego zacnego pana Colberta, już od kilku tygodni wydaje mi się oklapnięty -dodał Fouquet. - Zauważany, że od dnia nominacji na przewodniczącego Rady Handlu Zagranicznego ten drogi pan nie przepuszcza ani jednej okazji i za każdym razem zapewnia mnie o swojej wierności. Jego słodkie słowa są częścią każdego naszego spotkania.

- Strzeż się, dostojny panie, zaskronców na pozór drzemiących w słońcu - podjął d'Orbay, pociągając ze smakiem łyk wina Porto. -Zwierzę to ma w sobie więcej chytryści niż ropucha.

- Ma pan rację, mój drogi d'Orbay.

Fouquet siadł głębiej w fotelu. Rozmyślał właśnie o pięknej i słodkiej pannie de La Vallière i żałował, że nie rozmawiał z nią dłużej.

- Zastanawiam się, czegóż to Olimpia Mancini chciała od tej młodziutkiej de La Vallière.

Słuchając François d'Orbaya, można by sądzić, że czyta on w myślach Fouqueta.

- Na pewno nie chodziło o nic dobrego - odpowiedział La Fontaine. - To biedne dziecko krzywiło się, a Olimpia trzymała je za rękę.

Gospodarz miał przymknięte oczy i zdawał się nie słyszeć tego, co wokół niego mówiono. Wyprostował się wreszcie i zabrał głos.

- Za kilka dni będę musiał wyjechać do Londynu. Mam tam do załatwienia kilka niezwykle ważnych spraw finansowych. Liczę, panowie, że w czasie mojej nieobecności przypilnujecie, by na naszych budowach w Vaux wszystko toczyło się normalnie. Drogi Jeanie, będziesz musiał zbesztać Le Bruna, bo nie zadbał o sprowadzenie przyrzeczonych nam obić i opóźnia przez to wykończenie wnętrza. Pan, panie d'Orbay, będziesz nadzorował prace w ogrodach, wydaje mi się bowiem, że doprowadzenie wody do zbiorników zaczyna się opóźniać. Niechże, u diabła, w kwietniu nikt nie usprawiedliwia się mrozami! Na koniec przypilnujesz pan również, żeby wszystkie sadzonki, o których panu mówiłem, znalazły się wreszcie w ziemi, bo wtedy zdążą wyrosnąć do lata - dodał Fouquet, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie ze swoim architektem.

Na wiadomość, że naczelny intendent wyjeżdża wkrótce do stolicy Anglii, d'Orbayowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Dostojny panie, możesz być spokojny, osobiście zatrudnię dwa razy więcej robotników i podwyższę im zarobki, a wtedy zimowe zaległości da się nadrobić - obiecał architekt. - Jeszcze wczoraj byłem na budowie i mogę pana zapewnić, że praca wre. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że w Vaux niepokoi mnie coś zupełnie innego.

Fouquet zmarszczył brwi.

- Co masz pan na myśli?

- Sprawa dotyczy młodego Gabriela. Wziąłeś go pan pod opiekę, ale odnoszę wrażenie, że zżera go melancholia.

- Jesteś pan tego pewien? - ciągnął Fouquet, rozumiejąc, dlaczego d'Orbay przekazuje mu tę wiadomość, ale o niczym nie mówi La Fontaine'owi. - A co się z nim dzieje?

- Z pewnością zawinił tu Moliere, bo pozbawił go marzeń o teatrze. Myślę również, że przyczyną tego smutku jest pobyt poza Paryżem. Zwykła rzecz, dostojny panie, w jego wieku wiejskie przyjemności niedługo bawią. Z pewnością należałoby umożliwić mu zmianę otoczenia - dorzucił sprytnie architekt z nagłym błyskiem w oczach.

- A nie mógłbyś zabrać go ze sobą do Londynu? - wtrącił bez ogródek La Fontaine.

Takiej właśnie propozycji oczekiwał od pewnej chwili architekt. Wyobrażał już sobie, jak bardzo ucieszy się jego stary nauczyciel, André de Pontbriand, na widok syna.

- Doskonała myśl! - zawołał z głośnym śmiechem Fouquet, zadowolony ze zręcznego wejścia d'Orbaya. - A zatem zabiorę tego gołąbeczka ze sobą do Londynu. Nie mogę wam jednak zapewnić, panowie, że mgły znad Tamizy przywrócą mu uśmiech.

52

Luwr, gabinet Colberta - piątek, 15 kwietnia, godzina szósta wieczorem

Colbert z ponurą miną i z założonymi do tyłu rękoma od dwudziestu już minut chodził tam i z powrotem wzdłuż szlaczka okalającego wielki gobelin rozłożony na podłodze przed jego biurkiem. Olimpia Mancini

i rozwalony na dwóch jaskrawoniebieskich fotelach księżę Orleanu, a zarazem brat króla, wydawali s^ę tak samo przejęci. Księżę bawił się, skręcając w swoich grubych palcach z licznymi pierścieniami zielone wstążki, zdobiące jego białą jedwabną kamizelkę.

- Mimo wszystko - mówił swoim piskliwym i jękliwym głosem -...mimo wszystko, rezygnując dziś ze wspólnego polowania z bratem, spodziewałem się innych wiadomości, bardziej zgodnych z naszymi oczekiwaniami.

- Miło mi, że mówisz, Wasza Wysokość, o naszych oczekiwaniach - wtrącił się Colbert, wciąż chodząc po gabinecie i głęboko oddychając, by ukryć rozdrażnienie. - Najpierw dlatego, że wyrażenie to mi schlebia, gdyż nie wiem, czym zasłużyłem sobie na uprzejmość, jaką Wasza Wysokość mi okazujesz, mówiąc o naszych wspólnych zmartwieniach. A poza tym widzę, że idąc różnymi drogami, doszliśmy do tego samego wniosku. Wasza Wysokość sądzisz, że panna de La Vallière potwierdzi skargi twej przyszłej małżonki i mogłaby ci zaszkodzić, przekazując te oszczerstwa królowi. Mogę się tego obawiać i martwi mnie to. Sądzisz, Wasza Wysokość, że ta dziewczyna wymknęła się spod kontroli? Ja też jestem o tym przeświadczony. Te młodzietki dworki często dostają zawrotów głowy. To dla niej zły znak. Daliśmy jej szansę - dodał, odwracając się w stronę milczącej wciąż Olimpii. - Nie chciała z niej skorzystać. To dla niej zły znak - powtórzył. - Dodam tylko od siebie -zatrzymał się wreszcie i przeszył Olimpię wzrokiem - że mam inne, jeszcze poważniejsze obawy.

- Potwierdzam, że widziałam ją, jak rozmawiała, i to długo, z naczelnym intendentem finansów w Saint-Mandé - oznajmiła Olimpia, jak gdyby odpowiadając na niewypowiedziane pytanie.

- Mówiła coś nawet - wtrącił Colbert - o pewnym młodym człowieku, który ma na imię Gabriel i pojawia się zwykle w towarzystwie ludzi znanych ze spiskowania na bezpieczeństwo państwa, co zaczyna mi się bardzo nie podobać, zwłaszcza że młodzian ten spotkał się kiedyś w cztery oczy z panem Fouquetem, a potem przepadł jak kamień w wodę. Masz, Wasza Wysokość, rację - coraz głośniej mówił Colbert - wszystko to zbyt długo się ciągnęło. Opisaliliśmy fakty, suche

fakty. Pora przejść do czynów. Natychmiast trzeba z tym skończyć. Moi ludzie podejmują się znaleźć i zatrzymać tego Gabriela...

Colbert przerwał, dając znak, że musiałby za długo mówić.

Książę Pan na chwilę osłupiał.

- Co to właściwie znaczy? - zapytał z niepokojem.

- Znaczy to - odpowiedział Colbert, podchodząc do Olimpii - że wysłanniczka, która przynosiła pewność, stanie się wkrótce wysłanniczką niepewności.

Na widok zdziwionej miny i zmarszczonych brwi Księcia Pana Colbert lekko się uśmiechnął.

- Waszej Wysokości nie było jeszcze na świecie, ale z pewnością wie, co przydarzyło się królowej matce, oby Bóg miał ją w swojej opiece. Widząc, że książę nie reaguje, Colbert tonem profesora mówił dalej.

- Ojciec Waszej Wysokości, Ludwik XIII, dowiedziawszy się, że powiadomiła ona listownie swoich hiszpańskich rodziców o tym, co robi król Francji, chciał ją od siebie oddalić, a potem i wypędzić, ale królowa miała na swoje szczęście poparcie świętej pamięci kardynała Ma-zariniego, oby Bóg przyjął jego duszę. A to, co raz się wydarzyło, może się znowu wydarzyć. Z tą tylko różnicą, że panny de La Valliere nie będzie już bronił tak znakomity adwokat jak pan kardynał.

- A gdyby tak zaczęła spiskować! - wykrzyknął z radością książę, wszystko nagle rozumiejąc.

- Otóż to - podchwycił Colbert. - Nareszcie sensowna moim zdaniem rozmowa - dodał, zwracając się do Olimpii.

Ona zaś wstała, nisko skłoniła się obu panom, a potem ruszyła w stronę drzwi.

- Sądysz więc pan, że tę sprawę da się rozwiązać? - zapytał książę. - Nie sędzę, ale jestem całkowicie o tym przekonany - odparł pewnym tonem Colbert. - Największą zaletą takich dziewcząt jak Olimpia jest to, Wasza Wysokość, że są pojętne i nie trzeba długo i jasno wszystkiego im tłumaczyć... Wystarczy wiedzieć, kogo nienawidzą. Nie wątpię więc, że panna Mancini potrafi swoje myśli wprowadzić w życie. Posiadła tę charakterystyczną dla kobiet umiejętność konkretnego widzenia.

Książę Pan odpowiedział skinieniem głowy.

Londyn, pałac Buckingham - piątek, 22 kwietnia, godzina piąta po południu

Gabriel cierpliwie stał w sali recepcyjnej koło Fouqueta, spojrzał na wspaniały kamienny kominek, wsparty na dwóch brodatych olbrzymach, i omal nie krzyknął ze zdziwienia.

- O! - powiedział z ożywieniem, wskazując naczelnemu intendentowi na wykutą w kamieniu tarczę herbową.

Fouquet spojrzał i uśmiechnął się.

- Z jakiejże to przyczyny tak się zdziwiłeś, mój młody przyjacielu?

- Bo tutaj... o, niech pan spojrzy... to po francusku - odpowiedział Gabriel, wyciągając rękę w stronę tarczy - tu jest napisane *Honny soit qui mal y pense*".

- Wcale tego nie przeoczyłem - spokojnie odparł Fouquet - zwłaszcza że jest to dewiza króla i jego rodziny. Część tego, o co obwiniali go przeciwnicy i zabójcy jego ojca. Niestety, wszystko tu pana dziwi, mam więc nie sekretarza, ale żaka - dodał na zakończenie Fouquet.

Drzwi otworzyły się, przepuszczając orszak królewski z królem Anglii, Karolem II na czele. Gabriela urzekła siła charakteru bijąca z monarchy, gdy powoli wchodził na przybrane purpurą podwyższenie, gdzie czekał na niego tron ze wznoszącą się nad nim tarczą herbową z lwami angielskimi.

Jakiż on młody - pomyślał Gabriel. Prawie tak samo jak król Francji i prawie tak samo jak ja.

Potem wszystko przebiegało już zgodnie z protokołem. Zagraniczni goście - Hiszpanie, Austriacy, Francuzi - przekazywali królowi po wieszania, a jednocześnie patrzyli wilkiem jeden na drugiego i każdy starał się odgadnąć, po co naprawdę przybyli tu ci inni, bo oficjalnym powodem ich obecności było tylko złożenie kurtuazyjne

* Hańba temu, kto źle o tym myśli - dewiza ustanowionego w XIV wieku angielskiego Orderu Podwiązki.

wizyty młodemu władcy, który tak niedawno odzyskał tron. Gabrielowi przyszło na myśl, że zapewne to właśnie było przyczyną wyczuwalnego napięcia na sali, chłodu i wzajemnych kwasów. A może nad tym wszystkim ciąży nieufność - zastanawiał się, patrząc na tłum gwardzistów otaczających podwyższenie. Nie spuszczała z oczu zagranicznych gości i uważnie przyglądali się ich strojom, gdyż mogła tam być ukryta broń.

- Gabrielu, Gabrielu!

Słowa te wypowiedziane zostały szeptem. Gabriel odwrócił się, a jednocześnie Fouquet wstąpił na podwyższenie, złożył ukłon Karolowi II i podał mu list od króla Francji.

Początkowo Gabriel dostrzegł jedynie jakąś potężnie zbudowaną postać, stojącą w bocznych drzwiach o kilka kroków obok.

- Gabrielu - znów rozległ się szept.

Gdzieś już słyszałem ten głos - pomyślał Gabriel, podchodząc powoli do drzwi, a jednocześnie nie spuszczając z oczu Fouqueta.

- Kto mnie wołał? - zapytał równie cicho.

Czyjaś dłoń schwyciła go za rękę i wyciągnęła z sali. Gabriel aż wykrzyknął ze zdziwienia.

- Pan Barreme!

Matematyk dał mu znak, że powinien mówić ciszej, i próbował odciągnąć go od drzwi.

- Sza! I bez nazwisk! Proszę nic nie mówić i iść za mną.

- Ale co pan tu robi? - zapytał, nie ruszając się, Gabriel. - I dokąd mam z panem iść?

Barreme odwrócił się. Na jego twarzy malował się gniew.

- Czy musi pan wciąż o coś mnie pytać? Teraz nie pora na to. Już kiedyś zauważyłem u pana tę manię.

Gabriel wciąż się nie ruszał.

- Na miłość boską, chodźże za mną, Gabrielu! - rzekł ostro Barreme. - Mamy bardzo mało czasu, nikt nie powinien zauważyć pańskiej nieobecności. Czy chce pan poznać tajemnicę tych papierów, które mi przekazałeś? - dodał, jeszcze bardziej ściszej głos.

Gabriel zajrzał do sali i zobaczył, że Fouquet wciąż jeszcze rozmawia

z królem. Wahał się chwilę, a potem dał znak matematykowi, żeby już ruszał.

Dziwny człowiek - pomyślał, idąc za przewodnikiem.

54

Londyn, mieszkanie Andrego de Pontbrianda - piątek, 22 kwietnia, godzina piąta trzydzieści po południu

Zmęczony starzec, znany jako Charles Saint John, już nie wytrzymał. Nie był w stanie skupić się nad grubą księgą rachunków swojej niewielkiej spółki, nie interesował go również widok ulicy, na którą zwykle spoglądał, gdy nie potrafił zająć się pracą. Od chwili, gdy Barreme powiadomił go o popołudniowych odwiedzinach, był po prostu nieprzytomny.

Nie widziałem go od prawie piętnastu lat. Jak wygląda? Jak zareaguje? Co o mnie myśli? Co powinienem mu powiedzieć o tych piętnastu latach rozłąki? - zastanawiał się bez przerwy, choć zdążył tymczasem pogodzić się z myślą, że już nigdy nie ujrzy nikogo ze swej rodziny.

Firma Charles Saint John miała swoją siedzibę w dzielnicy robotniczej i zajmowała piętrowy dom. Na parterze zawsze było mnóstwo towarów dostarczonych przez różne spółki handlu morskiego, z którymi wygnaniec utrzymywał kontakty handlowe. Dwóch urzędników zajmowało się sprawdzaniem i zapisywaniem wszystkiego, co przechodziło przez to pomieszczenie. Działalność ta stanowiła dla starca idealną przykrywkę, mógł bowiem dzięki niej podróżować, dokąd chciał, nie wzbudzając najmniejszych nawet podejrzeń. Była również jedynym źródłem jego dochodów. Na piętrze natomiast urządził sobie skromne, ale wygodne mieszkanie. Obok sypialni miał swój pokój do pracy, będący jednocześnie biblioteką. W ciągu piętnastu lat zgromadził tu pokaźny zbiór książek, głównie poezji. Sam też próbował pisać i przechowywał sporo swoich rękopisów, ale nigdy nie starczało mu odwagi, by wydać je drukiem.

Raz jeszcze podszedł do okna i zobaczył, że przed domem zatrzymuje się pojazd. Woźnica zeskoczył z kozła na ziemię, opuścił schodki ułatwiające pasażerom wyjście, a potem pokazał im dom kupca. Serce starca zaczęło bić szybciej. Pierwszy wysiadł z powozu Barreme, zaraz po nim pojawił się Gabriel. Stojący przy oknie i z niecierpliwością wpatrujący się w ulicę starzec nie od razu zareagował. Na widok młodego człowieka, którego pamiętał jako małego „Cherubinka”, zakręciło mu się w głowie. Zawstydził się swojego wahania, poczuł, że pot występuje mu na czoło, i odezwał się sam do siebie:

- Gabrielu... Syneczku...

- Dokąd właściwie mnie pan prowadzisz? - odezwał się Gabriel do matematyka, który wpatrywał się już w niewielki dom, gdzie mieściło się przedsiębiorstwo handlowe, i zamierzał już do niego wchodzić.

- Jesteśmy prawie na miejscu, proszę więc o odrobinę cierpliwości - odpowiedział Barreme, popychając Gabriela do pomieszczenia, gdzie przyjmowano klientów. - Idziemy na piętro. Ktoś tu na pana czeka - dodał, wskazując ręką schody.

Gabriel ruszył do góry. Znalazszy się na piętrze, zwiększył czujność, obawiając się jakiejś nowej pułapki. Podszedł do uchylonych drzwi i usłyszał:

- Wejść proszę!

Gabriel, niczego już nie rozumiejąc, wszedł na te słowa do gabinetu i ujrzał stojącego nieruchomo i zwróconego doń tyłem siwego człowieka. Człowiek ten odwrócił się powoli ruchem prawie teatralnym i stanął przed przybyszem. W milczeniu wpatrywał się w Gabriela, on zaś stał tymczasem w osłupieniu, zaskoczony bladoniebieskim kolorem oczu starca. Sytuacja stawała się kłopotliwa i Gabriel w końcu uznał, że to on powinien odezwać się pierwszy.

- Szanowny panie...

- Szczęśliwy jestem, że cię widzę. Nie spodziewałem się, że kiedyś to nastąpi - odpowiedział starzec, podchodząc powoli do Gabriela takim krokiem, jakby zbliżał się do ptaka i bał się go spłoszyć.

Gabriel czuł, że ogarnia go coraz większe wzruszenie. Ten głos - pomyślał, wpatrując się w starca - a do tego to spojrzenie, ta twarz... Cofnął się o krok.

- Kim pan jesteś? - zapytał ledwie dosłyszalnym głosem. Starzec nie odpowiedział i podszedł bliżej. Podniósł rękę i spróbował niezręcznie chwycić Gabriela za ramię.

Chłopak zauważył, że starcowi trzęsą się ręce.

- Jakiż ty jesteś duży - spokojnie powiedział starzec i Gabriel zobaczył, że oczy zachodzą mu łzami.

- Pan nie jesteś... - wybełkotał Gabriel i w chwili, gdy rzekomy Charles Saint John ścisnął go w ramionach, wszystko nagle zrozumiał.

- Moje dziecko, moje kochane dziecko, nareszcie cię znajduję! - cieszył się André de Pontbriand, ściskając syna.

W pamięci Gabriela ożyły setki wspomnień. Był w tej chwili tak wzruszony i zakłopotany, że nie potrafił ojcu odpowiedzieć. Ojcu, który tak wielki wpływ wywarł na jego dzieciństwo, a którego jeszcze w Amboise stale oplakiwał w samotności po nocach, o którym nic nie wiedział, którego wsparcia i porad tak bardzo mu brakowało. Ten stojący przed nim starzec był jego ojcem. Gabriel rozpoznał go, choć go nie znał. Ten ojciec był mu bliski, a jednocześnie całkowicie obcy.

Milczenie przedłużało się. André de Pontbriand wciąż stał i tak mocno ścisnął syna, jak gdyby chciał wynagrodzić mu lata rozłąki. Wypuścił go wreszcie z objęć i cofnął się, chcąc znowu spojrzeć na mężczyznę, który był jego dzieckiem, którego spojrzenie wyrażało siłę, ale któremu z oczu płynęły łzy.

- No, ale co tu robisz, ojczy, pod przybranym nazwiskiem? I dlaczego odszedłeś od nas, pozostawiając nam przekonanie, że nie żyjesz? Zanim znów zaczniesz mnie ścisnąć, chciałbym, żebyś mi to wyjaśnił.

Z gorzkim uśmiechem na twarzy spoglądał André de Pontbriand na zaciśnięte pięści syna, jego gorące spojrzenie i zaczerwienione jeszcze oczy. Pierwsze zdziwienie Gabriela minęło i wzruszenie przechodziło teraz w gniew.

Jakiż on do mnie podobny - pomyślał de Pontbriand.

- Masz rację, synku - odpowiedział ze smutkiem w głosie. - Poświęciłem was dla sprawy najważniejszej dla nas wszystkich. Czuję się odpowiedzialny za tę rozłąkę, jest to dla mnie rana, która się nigdy nie zasklepi. A ty jesteś już mężczyzną i masz prawo znać prawdę. Nie sądz mnie, dopóki jej nie poznasz. Odpowiem na wszystkie twoje pytania. Najpierw jednak usiądźmy sobie, co? - zaproponował, wskazując część pokoju urządzoną jak salon. - Zaraz każę podać herbatę. Jak widzisz, przebywając tu tak długo, przejąłem w końcu zwyczaje angielskie - dodał z udawaną beztróską.

André de Pontbriand umoczył usta w herbacie, następnie zaczął opowiadać, jak mu się żyło w ciągu tych ostatnich piętnastu lat.

- Musisz przede wszystkim wiedzieć, że już w wieku dwudziestu lat miałem zaszczyt pracować w szlachetnej kompanii, w której pracował również twój dziadek, a także jego ojciec oraz ojciec jego ojca. Jest nas tylko czternastu towarzyszy i mieszkamy w różnych zakątkach świata, chroniąc pewną niezwykle ważną Tajemnicę, i to jest właśnie przyczyna, dla której przenieśliśmy się do Londynu, a potem już nie mogłem połączyć się z wami. Wiadomość o mojej śmierci miała chronić was przed groźbami, które w razie zdrady mogłyby zawisnąć nad naszą rodziną. Dla zaspokojenia twojej ciekawości powiem ci tylko, że człowiekiem, który zdradził naszą kompanię, był ktoś, kto występował jako Naiim. Piętnaście lat temu za ogromne pieniądze odstąpił kardynałowi Mazariniemu pewien dokument, na którym widniało moje nazwisko. Ukradł mi ten dokument, a jest on kluczem, bez którego nie można poznać tej Tajemnicy. Na szczęście twój dziadek wprowadził mnie w arkana kryptografii, potrafiłem więc zaszyfrować ten dokument. Sprawa była tak ważna, że policja kardynała wytropiła mnie i deptała mi już po piętach, musiałem więc uciekać z ojczyzny i zerwać wszystkie więzy z przeszłością. Widzisz więc, mój drogi Gabrieli, jak dla ratowania honoru Pontbriandów i ze względu na wasze bezpieczeństwo podjąłem tę ciężką decyzję, że już was nie zobaczę i odtąd występować będę jako Charles Saint John.

Gabriel, poznawszy teraz pewne szczegóły z czasów swojego dzieciństwa, cały się trząsł i miał wrażenie, że kręci mu się w głowie.

- Ale po co to wszystko? - zapytał półprzytomnie ojca. - Po co?

- Pozwól, że ci to wyjaśnię, ale daj mi trochę czasu. Obaj tak długo czekaliśmy.

Starzec opowiedział o wielu szczegółach swojego londyńskiego życia, o swojej nowej działalności i o dalekich wyprawach handlowych. A potem zaczął wypytywać syna, chcąc dowiedzieć się czegoś o całej rodzinie.

Gabriel słuchał ojca, ale jednocześnie uważnie przyglądał się jego mieszkaniu, próbując zapamiętać każdy szczegół umeblowania i w ogóle wszystko, co czuł, widział i słyszał. Ileż to już razy śnił mu się ojciec przechadzający się w nieznanym, ale zawsze wspinałym otoczeniu. Proste wyposażenie ojcowskiego mieszkania urzekło go i wzruszało zarazem.

De Pontbriand uśmiechnął się, słysząc, jak bardzo Gabriel pragnął wyrwać się spod władzy wuja, uciec do Paryża i dotrzeć do Moliera, i cieszył się, widząc śmiałość potomka. Rozmowa ojca z synem bardzo się przeciągnęła, musieli przecież nadrobić piętnaście lat opóźnienia.

Syn z kolei szczegółowo przedstawił ojcu okoliczności, w jakich przybył do stolicy, opowiedział również o nieprawdopodobnym odkryciu, które w wyniku dziwnych powiązań i zaskakujących zmian sytuacji doprowadziło go aż tutaj. Na wzmiankę o Fouquecie i François d'Orbayu stary Pontbriand uśmiechnął się. Gabriel wielokrotnie wypytywał go o szczegóły tego sekretu i tajemniczej, interesującej go kompanii, składającej się z czternastu towarzyszy. Odpowiedzi, jakie otrzymał, rozczarowały go jednak, brzmiały bowiem jak wróżby Pytii delfickiej, a Gabriel chciał wiedzieć więcej.

- Nie męcz mnie tak, synu - ze śmiechem powiedział po chwili ojciec. - Tylko wtajemniczeni mogą poznać prawa, którymi rządzi się nasza kompania, naturę tak strzeżonego przez nas tekstu. Ty już teraz wiesz aż za dużo i za bardzo się narażasz. Barrême to mój wierny przyjaciel, powiedział mi, jaką pokazałeś mu stertę papierów.

Po tych słowach twardo wpatrzył się synowi w oczy.
- Co zrobiłeś z tymi papierami? - zapytał.
- Są tu, w Londynie, w moich torbach - odparł Gabriel.
- Mój powóz jest do twojej dyspozycji. Jedź po nie i wróć do mnie na wieczór, mamy jeszcze tak dużo sobie do powiedzenia.
Uszczęśliwiony tą propozycją, Gabriel wstał i wyszedł. Chciał jak najszybciej poznać tajemnicę tej historii.
- Szybko wracaj! - zawołał za nim ojciec. - I uważaj na siebie.

55

Londyn, mieszkanie André de Pontbrianda - piątek, 22 kwietnia, godzina dziewiąta wieczorem

Po powrocie Gabriel zastał ojca w gabinecie na piętrze. Pracował. Na jego twarzy widać było zmęczenie.

- Potrafiłeś, na szczęście, szybko wrócić, synu - powitał go pełnym radości głosem.

- Weź to, ojczy - odparł Gabriel, podając mu granatowy portfel z safianu, wypełniony tymi ważnymi papierami. - Jest tu wszystko, co znalazłem w norze suflera.

- Ano, popatrzmy - powiedział stary de Pontbriand, zakładając jednocześnie okulary. - Usiądź, synu, bo to na pewno trochę potrwa.

Starzec uważnie przeglądał wszystkie wyciągnięte z portfela pergaminy. Czytał je i układał w kupki na wielkim mahoniowym stole zastępującym mu biurko. Gabriel z podziwem patrzył na ojca, pilnie zwracał uwagę na szczegóły jego zachowania i na nowo go poznawał. Rozpoznawał stopniowo niektóre znane mu i ledwie zachowane w pamięci powiedzenia i zachowania ojca, mętnie przypominające mu dzieciństwo.

- No, już wiem - odezwał się wreszcie starzec, przecierając sobie oczy. - Rozłożyłem te papiery na trzy kupki. Tutaj - powiedział z przejęciem, wskazując na jedną z kartek - mamy dokument, który
Naum

sprzedał Mazariniemu. Na odwrocie widzisz zaszyfrowane słowo-hasło, a pod nim mój podpis, który zresztą rozpoznałeś.

Sięgnął drżącą ręką po dokument. Gabriel z przerażeniem i w milczeniu przypatrywał się ojcu, który zmagał się z zalewającą go falą wspomnień.

- Gdybyś wiedział, jak wiele znaczy dla mnie ten kawałek papieru - ledwie dosłyszalnym głosem rzekł starzec, wypuszczając jednocześnie kartkę z ręki. - Zresztą nie tylko dla mnie, ale i dla przyszłych pokoleń. I to ty mi go przynosisz...

Z wysiłkiem oderwał się od wspomnień, pokazał Gabrielowi, że o nic nie powinien go pytać, i przyjrzał się pozostałym dokumentom.

- Tutaj - ciągnął, wskazując na drugą kupkę - mamy do czynienia z szyfrem bez porównania prostszym, znanym jako szyfr włoski. Od lat znają go wszyscy związani z dworem i szyfr wyszedł już z użycia, a posługiwano się nim w okresie Frondy. Powszechnie wiadomo, że stosowała go w swojej tajnej korespondencji królowa Anna Austriaczka. Zresztą na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że są to jakieś oficjalne pisma. Myślę, że szybko się z nimi uporam i dowiem się, o co w nich chodzi. Tutaj wreszcie mamy pisma dotyczące finansów. Zredagowano je w taki sposób, żeby nikt niewtajemniczony nie mógł odczytać ich przez przypadek. Można by powiedzieć, że jest to na swój sposób zakamuflowana buchalteria, kwity poświadczające szwindle, na których Jego Eminencja chciał się wzbogacić. Spójrz choćby tu - powiedział stary Pontbriand, wskazując synowi jedną z kupek - a zobaczysz podejrzone zaświadczenia, wystawione po to, żeby kardynał mógł kupić posiadłość w Montereau i w Moret przez podstawionych i opłacanych przez niego ludzi.

- Tym lepiej rozumiem zaciekłość Colberta i jego zbirów! - zawołał Gabriel.

- Ludzie, którzy zgubili albo ukryli w twoim teatrze ten portfel, z pewnością doskonale wiedzieli, czego szukają - ciągnął starzec. - Wróćmy jednak do dokumentów napisanych szyfrem włoskim - dodał, odwracając się do drugiej kupki. - Daj mi odrobinę czasu na

przetłumaczenie tych papierów, a są to akta notarialne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ukrywają jakąś ważną tajemnicę państwową.

De Pontbriand powyciągał z szuflad jakieś dziwne, pokryte cyframi kartoniki i starał się przypasować je do rozłożonych na stole dokumentów, a Gabriel pomyślał tymczasem, że ojciec nie zdaje sobie sprawy, co ma przed sobą. Przecież ten portfel to istna beczka prochu.

Oto wyjaśnienie, dlaczego wszyscy wokół mieli do mnie pretensje -pomyślał Gabriel, coraz bardziej zniecierpliwiony długim czekaniem na zapoznanie się z prawdą.

- No i co, panie de Pontbriand, siedziałeś pan na bombie! - zawołał po długim milczeniu zadowolony ze swojej pracy starzec.

Wstał i przeszedł na drugą stronę stołu, chcąc pokazać dokument synowi, który wprost kipiał z niecierpliwości, widząc, że pogrążony w czytaniu ojciec coraz wyraźniej okazuje zdziwienie.

- Przede wszystkim mamy tu urzędowy akt ślubu zawartego przez Annę Austriaczkę i Jego Eminencję kardynała Mazariniego. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, synu? Gdyby frondystom i ich sprzymierzeńcom papiery te wpadły swego czasu w ręce, to w królestwie francuskim doszłoby, jak sadzę, do wybuchu o nieobliczalnych następstwach. Zwłaszcza że złamanie tego szyfru to dziecinna igraszka dla każdego, kto choć trochę opanował tę umiejętność.

Gabriel niczego nie rozumiał. Oczywiście o wydarzeniu tym mówił cały Paryż, ale nikomu nie przychodziło do głowy, że świadectwo ślubu królowej matki z jej pierwszym ministrem może znajdować się na wyciągnięcie ręki.

- Ale to jeszcze nic w porównaniu z dołączonym do aktu ślubu listem.

Gabriel poruszył się.

- Co w nim jest i kto go wysłał?

- Anna Austriaczka, mój synu, do kardynała Mazariniego. A treść

tego listu jest taka, że aż trudno uwierzyć. Ten list, Gabrielu, został napisany w roku tysiąc sześćset trzydziestym ósmym, a więc dwadzieścia trzy lata temu, a pisała go młoda matka leżąca jeszcze w połogu. Adresatem był ojciec jej dziecka, czyli...

- Mazarini? Ojcem króla?

Gabriel poczuł, że kręci mu się w głowie.

- Synu - odezwał się do niego ojciec - wiesz już wystarczająco dużo o sprawach królestwa, żeby ocenić znaczenie tych papierzyśków. Na ich podstawie można by wszcząć wojnę domową.

- No, a my co mamy z nimi zrobić?

- Musimy zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Myślę, że Colbert energicznie poszukuje wszystkich tych materiałów. W porównaniu z tymi papierami życie nas obu niewiele by znaczyło - dodał ponuro. - Powiedziano mi, że będziesz w Londynie kilka dni. Najpierw muszę uspokoić braci i przekonać ich, że papierom naszej kompanii nic nie zagraża. Tu nie mam powodów do niepokoju, gdyż tak jak ci mówiłem, szyfry nie zostały złamane, zresztą prócz mnie nikt nie potrafi ich złamać. Kiedyś wyjaśnię ci, dlaczego mogę być tego całkiem pewien - dodał starzec, odpowiadając na pytające spojrzenie syna. - Całą tajną buchalterię Mazariniego oraz świadectwo jego ślubu zabierzesz ze sobą, sądzę bowiem, że dom, w którym umieścił was król angielski, jest obecnie najlepiej strzeżonym miejscem w tym królestwie. Gdy będziesz wyjeżdżał, ustalimy, jak masz się zachowywać.

Zetknąwszy się z chłodną, ale stanowczą postawą ojca, Gabriel poczuł się nagle spokojniejszy. Mógł teraz ocenić, jak bardzo brakowało mu dotychczas ojcowskiego wsparcia.

- Już późno, ojciec - powiedział, widząc, że zawieszony na ścianie zegar pokazuje pół do dwunastej.

- A w dodatku z pewnością jesteś głodny. Bo ja zjadłbym teraz konia z kopytami - dodał ojciec, prowadząc Gabriela do pokoju na parterze, gdzie czekał już na nich zimny posiłek.

- Cieszę się, ojciec, z tego, co mi przed chwilą powiedziałeś - rzekł Gabriel, zabierając się do wspaniałego kawałka udźca. - Będę się mod-

lil, żebyś teraz, po odnalezieniu kompromitujących papierów, mógł jak najszybciej wrócić do Amboise - dodał i poczuł się nagle tak wzruszony, że nie potrafił się opanować.

Po tej wypowiedzi syna również stary de Pontbriand nie mógł powstrzymać łez.

- To moje najgorętsze życzenie - oznajmił. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo zmieniło mnie spotkanie z tobą. Jest wieczór, a mnie nic nie boli, choć już od kilku miesięcy dolegliwości nie dawały mi spokoju. Czuję się tak, jakby wzmocniła mnie siła twojej młodości.

Gadali tak i gadali i wciąż nie mogli się nagadać. Chcieli wzajemnie się poznać i nadrobić utracone lata. Gabriel bez przerwy próbował wyciągnąć z ojca coś, co miałoby związek z tym cennym dokumentem, któremu niejedno pokolenie Pontbriandów poświęciło całe życie.

Na koniec głęboko się zamyślił.

- Nad czym się tak zastanawiasz? - po chwili milczenia zapytał go ojciec.

- Nad tym, że mnie nie brałeś jakoś, ojcze, pod uwagę. Skoro ta Tajemnica była aż tak ważna, to dlaczego nie chciałeś, żebym i ja czuwał nad jej zachowaniem.

- Uwierz mi, synu - odparł ojciec - że jeśli dziś wieczorem niczego ci już nie powiem na temat tej Tajemnicy, zrobię to tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo. Nie bądź taki niecierpliwy.

Widząc jednak ponure spojrzenie Gabriela, starzec pochylił się w jego stronę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Chcesz usłyszeć ode mnie prawdę? Przez całe lata spodziewałem się, że więź między nami się zerwie. Przez całe lata żyłem w samotności, opatrując swoje rany, przeklinając los i życząc ci, by przynajmniej tobie powiodło się lepiej, choć ani trochę w to nie wierzyłem. Spodziewałem się również, że moje pokolenie doprowadzi poszukiwania do końca i ty nie będziesz już musiał niczego szukać. Z tej właśnie przyczyny tak bardzo wstrząsnęła mną wiadomość, że przypadkowo odnalazłeś te dokumenty. Nie miej mi tego za złe - powiedział słabnącym nagle głosem. - No, już dobrze. Chcesz, bym ci dał dowody na to, co mówię? Niech będzie, zaraz przekażę ci pewną cenniejszą od złota tajemnicę,

uważnie nadstaw uszu, Gabrielu, bo to, co usłyszysz, słyszało bardzo niewiele. Przeczytam ci za chwilę przekład tego tekstu, który dawno temu gdzieś zaginął, a ty go odnalazłeś. Staniesz się wtedy po części naszym człowiekiem.

Udał się do swojego gabinetu na piętrze i wrócił z dokumentem w rękach.

Gabriel z osłupieniem wysłuchał tekstu, który wydał mu się długą listą roślin i mądrych przepisów.

Stary de Pontbriand przeczytał dokument do końca i uśmiechnął się.

O pierwszej w nocy, po długiej rozmowie z synem, starzec uznał, że trzeba iść spać, a jednocześnie powiedział Gabrielowi, że może go przenocować.

- Będiesz spał w fotelu w moim gabinecie - dodał. - Tym sposobem rano znowu będziemy mogli przeglądać te dokumenty.

Gabriel był zachwycony. Powiedział ojcu dobranoc, wszedł na piętro i przygotował sobie posłanie. Przez długi czas nie mógł usnąć, wciąż chodziły mu po głowie dziwne zdania, wypowiedziane przez ojca. Usnął późno i spał bardzo niespokojnie.

56

Londyn - sobota, 23 kwietnia, godzina czwarta rano

Łomot przewracanych mebli gwałtownie obudził Gabriela. Nie od razu zrozumiał, co się dzieje.

- Na pomoc!

Przyduszony głos ojca wyraźnie świadczył o tym, że dzieje się coś złego, toteż Gabriel natychmiast złapał za szpadę pozostawioną przed kilku godzinami koło fotela, na którym spał. Błyskawicznie wypadł na korytarz. W nieoświetlonym i nieznanym mu domu musiał poruszać się po omacku. Dotarł wreszcie do pokoju ojca i w słabym świetle księ-

życa zdołał jedynie zauważyć jego znieruchomiłe ciało, leżące w poprzek łóżka. Jednocześnie ktoś wybiegł z pokoju i potracił go.

- Stój! - wrzasnął Gabriel.

Odpowiedzi nie było, Gabriel ujrzał tylko błysk skierowanego w jego stronę ostrza i zaczął się bronić. Odpierając ataki napastnika, usłyszał głośne hałasy na parterze i uświadomił sobie wtedy, że napastników jest kilku. W pomieszczeniu spółki Charles Saint John ktoś wyraźnie buszował. Rozwścieczony Gabriel zdwoił wysiłki, chcąc uwolnić się od człowieka, który niedawno rzucił się na jego ojca. Zrećznie parując ciosy przeciwnika, dotarł najpierw na schody, potem dość szybko wpadł do pokoju, gdzie przyjmowano klientów. Bałagan był tu niesamowity, bele drogich tkanin leżały poszarpane, ze skrzyń ktoś wysypał przyprawy. W przyległym pokoju Gabriel zauważył kilku ludzi, którzy, przyświecając sobie trzymanymi w rękach pochodniami, opróżniali schowki, gdzie kupiec przechowywał swoje zapiski handlowe.

- Mam was! - krzyknął Gabriel, śmiało uderzając na wrogów. Nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa, rzucił się sam

jeden na czterech napastników. Nie zapomniał na szczęście lekcji, których udzielał mu wuj w Amboise, szpadą władał jak mało kto i odpierając z niezwykłą zręcznością ataki czterech zbójów, dokonywał wprost cudów. Jednego z przeciwników ciężko zranił w ramię, a drugiego mistrzowskim wypadem ugodził ostrzem szpady prosto w serce, ten zaś zwałił się na ziemię, nie mając nawet siły, żeby krzyknąć.

Na krótki rozkaz rannego trzej pozostali przy życiu uciekli przez okno, wybite, gdy włamywali się do domu. Gabriel wahał się chwilę, czy nie powinien ich gonić po nieoświetlonych uliczkach, potem jednak pomyślał o leżącym na piętrze ojcu i popędził do sypialni, z której przed kilkunastu minutami przepłoszył napastnika. Podeszedł do łóżka i zbladł. Dobrze widoczna na koszuli plamka krwi znajdowała się dokładnie tam, gdzie u człowieka jest serce.

- Zabili go - szepnął, patrząc na zbielełą twarz starca.

Widok martwego ciała tego cudownie odnalezionego przed kilkoma

godzinami ojca wstrząsnął nim i w głowie przesuwwały mu się teraz coraz to nowe obrazy.

Próbował się uspokoić. Powinien by natychmiast wracać i znaleźć się pod opieką Fouqueta. Wszedł do gabinetu ojca, by zabrać jego rzeczy, a w szczególności jego tak cenne dokumenty, musiał przecież ich teraz pilnować. Przed zejściem na parter raz jeszcze zatrzymał się w pokoju, gdzie leżało ciało Andrégo de Pontbrianda.

- Ojczy, postaram się dochować ci wierności - szepnął, mając oczy pełne łez i rzucając ostatnie spojrzenie na tego ojca, którego życie wciąż jeszcze kryło tyle tajemnic.

Przed wyjściem z domu postanowił obszukać napastnika, który leżał nieżywy w kałuży krwi.

Kimże są ci złoczyńcy i dla kogo pracują? - zastanawiał się.

Odpowiedź znalazł w piśmie znalezionym w wewnętrznej kieszeni kurtki zabitego.

Pismo to, podpisane przez Charles'a Perraulta, dowódcę policji Col-berta, zawierało między innymi polecenie, że należy śledzić młodego Gabriela w czasie jego pobytu w Londynie oraz za wszelką cenę i przy użyciu wszelkich środków odzyskać dokumenty będące w posiadaniu rzezonego aktora.

Gabriel poczuł wzbierający w nim gniew.

A więc to sam Golbert jest sprawcą śmierci mojego ojca - uświadomił sobie. No to zapłaci on za to własnym życiem, gdyby nawet miało mi to zająć całą resztę moich dni.

Lektura całości pisma dostarczyła mu innych jeszcze wiadomości. „Po wykonaniu zadania zatrzymacie się w zajeździe pocztowym w Beauvais i zawiadomicie mnie kartką o powrocie. Macie tam na mnie czekać bez względu na sytuację”.

Gabriel w mgnieniu oka uznał, że nie może tracić w Londynie ani minuty i musi natychmiast ruszać w pogoń za zabójcami ojca.

Wyśle kartkę do Fouqueta i zawiadomię go, że wracam do Paryża -postanowił, wychodząc z domu ojcowskiego. A potem udam się do Beauvais.

Ból i żal ustąpiły miejsca zimnej wściekłości.

W drodze do Paryża - niedziela, 24 kwietnia

Gabriel nie oszczędzał koni. Z Londynu popędził prosto na wybrzeże i w ostatniej chwili zdążył się jeszcze zabrać na odpływający do Francji statek. Podróż morską wykorzystał na sen i odpoczynek, w Boulogne zszedł na ląd i pobiegł do najbliższego zajazdu pocztowego. Wybrał tam sobie wytrzymałego wierzchowca i nie tracąc czasu, pogalopował na nim do Beauvais.

Przez całą drogę rozpamiętywał wydarzenia ostatnich godzin. Widok zabitego ojca mącił mu umysł, ale Gabriel nie mógł się od tego widoku uwolnić. W głowie miał teraz tylko jedno - musi pomścić tę śmierć. Najpierw dopadnie uciekających i podetnie im gardła, a potem dotrze aż do rozkazodawcy i Colbert bez względu na wszystko będzie musiał zapłacić za tę zbrodnię - powtarzał w kółko opętany bólem Gabriel.

Gdy wreszcie znalazł się w Beauvais, obszedł wspaniałą, mającą już ponad cztery wieki katedrę, a potem odszukał znajdujący się tuż obok zajazd pocztowy. O tej porze nie było tam tłoczno.

- Czym mogę ci służyć, dostojny panie? - zapytał go na wstępie zgięty w ukłonie miejscowy poczmistrz, Scipion Carion.

Człowiek ten był niski i pulchniutki, widać było, że ceni sobie przyjemności życia, a w dodatku budził zaufanie.

- Muszę dogonić przyjaciół - odpowiedział mu Gabriel, nie chcąc budzić żadnych podejrzeń. - Bardzo możliwe, że już na mnie czekają. A poza tym jestem głodny i chce mi się pić.

Scipion Carion wziął przybysza pod rękę i zaprowadził do jadalni, gdzie gość mógł zaspokoić swój wilczy głód. Gabriel szedł za nim nieufnie i spoglądał dyskretnie na siedzących przy stołach klientów.

- Zatrudniam najlepszą w mieście kucharkę. Jest nią sama pani Carion, zobaczysz ją pan przy kuchni - obwieścił dumnie, sadzając Gabriela za stołem w pobliżu okna.

Gabriel przyjrzał się pozostałym gościom, potem zerwał się nagle i chwycił za szpadę.

- To wy! - krzyknął, rzucając się na trzech mężczyzn siedzących w głębi sali.

Oni zaś, wyraźnie zaskoczeni tym spotkaniem, też chwycili za szpady i rzucili się na Gabriela. Zaczęła się bójka, a oberżysta głośno krzyczał:

- Zmiłujcie się, panowie, oszczędźcie moją rodzinę! Żyjemy tylko z tego zajazdu! Zaklinam was, nie tłuczcie niczego! - błagał biedak, a tymczasem zastawa stołowa latała w powietrzu przy każdym starciu.

Raz jeszcze zręczność Gabriela zadziwiła jego przeciwników; byli zaskoczeni i tym spotkaniem, i walecznością młodego de Pontbrianda.

Tymczasem Gabriel mimo swoich umiejętności czuł się teraz niepewnie. Drobnie draśnięcie w ramię sprawiło, że postanowił przerwać walkę. Wyskoczył przez otwarte okno i znalazł się na podwórku za zajazdem. Trzej jego przeciwnicy natychmiast za nim wyskoczyli.

- Uważać, jest groźny! - zawołał jeden z nich, biegnąc za uciekającym Gabrielem.

Dopadli go przed katedrą i walka przeniosła się na wiodące do niej schody. Gabriel, przyparty do ciężkich drewnianych drzwi kościoła, był pewien swojej zguby, ale na myśl, że nigdy nie zobaczy już ojca, poczuł w sobie przypływ gniewu i przebił szpadą jednego z atakujących. Zakrwawione ciało napastnika stoczyło się po schodach na plac przed katedrą.

Jakie to szczęście, że nikogo tu nie ma - pomyślał Gabriel, starając się jak najszybciej wydobyć z opresji. Zabił drugiego napastnika, wbijając mu szpadę prosto w oko. Gniew dodawał mu sił, i ostatni przeciwnik, ugodzony prosto w serce, zwałił się na ziemię.

No, poradziłem sobie - stwierdził potomek Pontbriandów, wycierając zakrwawioną szpadę o kubrak ostatniej ofiary. Nie mam teraz czasu do stracenia i muszę zmykać, zanim ktoś tu znajdzie tych trzech łotrów.

Oddalając się w pośpiechu od katedry i myśląc, jak by tu szybko i bez rozgłosu dotrzeć do Paryża, poczuł się trochę jak pijany.

A to dopiero pierwszy krok - pomyślał, obmacując sobie zranione ramię. Zmierzymy się teraz, panie Colbert!

58

Paryż, mieszkanie Julie - środa, 27 kwietnia, godzina ósma rano

Gabriel już od trzech dni był w Paryżu i ukrywał się u swojej przyjaciółki Julie, mieszkającej samotnie w skromnym pokoiku na poddaszu, nieopodal teatru Pałacu Królewskiego. Przywitała go ze zdziwieniem, ale i ze wzruszeniem, ogromnie szczęśliwa z powrotu swojego powiernika, który tak nagle rozstał się z zespołem Moliera. Gabriel nie opowiedział jej o swoich przejściach i pobyt u dziewczyny zaczął od wyspania się - spał bez przerwy prawie dwadzieścia godzin. Po obudzeniu się stwierdził, że złość, jaka opanowała go na widok zabitego ojca, bynajmniej mu nie przeszła. Bardziej niż kiedykolwiek był zdecydowany rozprawić się z Colbertem. Nie chcąc niepokoić Julie, opowiedział jej historyjkę, w której przedstawił się jako bohater zmuszony dla dobra sprawy do ukrywania się przez kilka dni w Paryżu. Dziewczyna uwierzyła mu, lub przynajmniej udała, że wierzy, szczęśliwa, że sytuacja zmusza chłopaka do przebywania u niej. Nie zapytała, jak długo to potrwa, i w ogóle o nic nie pytała. Już drugiego wieczoru po powrocie z teatru, gdzie występowała w sztuce *Don Garcja z Nawary*, wciągnęła go do łóżka. Nie ukrywała uczuć do niego, on zresztą już je zauważał i był czuły na jej wdzięki, upajał się więc radością i przyjemnościami, choć nie koili jego smutków.

Co dzień po wyjściu Julie do teatru włóczył się koło Pałacu Królewskiego, a raczej wokół domu Colberta, i szukał najlepszego sposobu rozprawienia się z człowiekiem, który stał się jego osobistym wrogiem. Spoglądając na mury i dziedziniec, widoczny za uchyloną na krótko bramą, w chwili gdy przejeżdżał przez nią pojazd z opuszczonymi firankami - kto wie, może jechał nim Colbert? - Gabriel czuł, że kipi w nim krew. Nie zważając na chłód, stawał przy bramie od strony ulicy, cierpliwie zapisując godziny wyjścia i powrotu ludzi ze służby pałacowej, zwyczajnie strażników, a wreszcie wszystkie szczegóły, które mogłyby mu ułatwić dokonanie zemsty.

W ten słoneczny poranek Gabriel, czule spleciony z Julie, leżał jeszcze w łóżku, gdy ktoś zastukał nagle do drzwi.

- Otwórz, Gabrielu! Wiem, że tam jesteś! - mówił człowiek, który dobijał się do drzwi.

Gabriel wyskoczył z łóżka i chwycił za szpadę.

- Nie otwieraj! - poprosiła go wyrwana ze snu i wystraszona tym gwałtownym łomotaniem Julie, naciągając sobie prześcieradło na piersi.

- Otwórz, mówię! - powtórzył przybysz. - To ja, François d'Orbay.

Gabriel uspokoił się i natychmiast otworzył drzwi. Na widok młodzieńca, gołego, jak urodziła go matka, ale ze szpadą w ręce, architekt uśmiechnął się.

- Oto dowód, że niczego nie ukrywasz, panie zbiegu. Ubieraj się i zejdź do mnie - dodał d'Orbay, nie zwracając już uwagi na owiniętą w prześcieradło dziewczynę. - Chciałbym z tobą porozmawiać. Rozkaz naczelnego intendenta finansów.

Gabriel zamknął drzwi i zaczął zbierać porozrzucane bezładnie części odzieży.

- Nie masz się czego obawiać - spokojnie powiedział Julie, całując ją w czoło. - To przyjaciel Fouqueta. Wróć jak najszybciej.

Dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się, choć trochę smutno.

- Idź - powiedziała. A potem dodała ciszej:

- Do zobaczenia, panie Tajemniczy.

Na ulicy rzeczywiście stała ciężka, zaprzężona w sześć koni kareta. Opuszczone firanki zasłaniały wnętrze. Architekt w oczekiwaniu na Gabriela przeglądał gazetę.

- Miło mi, że pana widzę, panie de Pontbriand. Bardzo niepokoiłiśmy się o pana, gdy nagle wyjechał pan z Londynu.

- Przecież zostawiłem bilecik z wyjaśnieniami dla pana naczelnego intendenta - odpowiedział Gabriel, siadając naprzeciwko rozmówcy. -

Istotnie wyjechałem całkiem niespodziewanie, ale miałem po temu ważne przyczyny osobiste i nie mogłem ich panu wyjawić, panie architekcie.

- Są mi znane - odparł krótko d'Orbay, kładąc Gabrielowi dłoń na ramieniu - i podzielam pańską boleść. Niech mi pan wierzy...

- No to co pan wie? - ostro przerwał mu Gabriel.

D'Orbay, zdziwiony tak gwałtownym tonem, uśmiechnął się i spokojnie mówił dalej.

- Zechcesz mnie pan wysłuchać i nie przerywać, Gabrielu. Charles Saint John, a właściwie Andre de Pontbriand, czyli pański ojciec, nieprawdaż?... był jednym z moich przyjaciół. Poznałem go na długo przed pańskim przyjściem na świat. Jego tragiczna śmierć bardzo mnie zasmuciła, zwłaszcza że nieco wcześniej spotkałem się z nim w Londynie. Wiem z grubsza, co się stało. Prosiłem z odległości o roztoczenie nad panem opieki i o...

Przerwał na chwilę i zacisnął zęby.

- Niestety, moi ludzie przybyli za późno i nie mogli już niczemu przeszkodzić. Zobaczyli tylko, że pan ucieka, a potem stracili ślad w okolicach kanału La Manche. Dopiero później, gdy dowiedziałem się z tajnych źródeł o zabiciu tych trzech ludzi w Beauvais, zrozumiałem, co się potem stało. Nie było to zbyt trudne. Trudniej mi było znaleźć pana w Paryżu. Możesz mi pan jednak wierzyć, że zaraz po powrocie kazałem pana szukać, bo lękałem się o pańskie życie. Muszę zresztą przyznać, że wprowadzając się do tej młodej aktoreczki, wybrałem pan idealną kryjówkę, i to pod każdym względem, jeśli wierzyć temu, co przed chwilą zobaczyłem - dodał z przyjaznym mrugnięciem architekt.

- Gdyby Isaac Bartet nie zauważył swego czasu, że kręcisz się pan wokół miejsca zamieszkania Colberta i gdyby potem nie poszedł za panem, to do tej pory łamalibyśmy sobie głowy, jak się dowiedzieć, czy jeszcze pan żyjesz.

Gabriel nachmurzył się i z ponurą miną spojrzał na d'Orbaya. Nie rozumiał, o co właściwie mu chodzi, postanowił więc zachować ostrożność, dopóki nie będzie wiedział, jakimi to informacjami dysponuje ten bliski współpracownik pana naczelnego intendenta.

- Nie wiem, co pan kombinujesz, ale zalecałbym jak najdalej posuniętą ostrożność - podjął d'Orbay. - Pan Colbert nie lubi, żeby ktoś wysyłał jego ludzi na tamten świat.

- Chcę się zemścić i ukarać tego Colberta za jego zbrodnie. Jeśli zgodnie z tym, co pan mówisz, byłeś pan przyjacielem mojego ojca, to jego nikczemne zamordowanie przez zbirów Perraulta nie powinno być panu obojętne. Jeśli zaś chodzi o mnie, to już od kilku tygodni jestem w samym środku jakiejś przerastającej mnie intrygi i wielu jej sprężyn jeszcze nie poznałem, ale bez względu na niebezpieczeństwo nie pozwolę, żeby śmierć któregośkolwiek Pontbrianda pozostała bez kary.

- Hola, nie rozpędzaj się pan! Spokojnie, młody człowieku! Chcesz rozprawić się z Colbertem? Proszę, proszę... Nie jest to trochę zarozumiałstwo z twojej strony?

Gabriel milczał, więc d'Orbay mówił dalej.

- Razem z pańskim ojcem służyliśmy sprawie, która nas przerastała. Może ojciec coś panu o tym wspomniał. Zresztą przyczyn swoich nieszczęść powinieneś pan szukać w powodach tej walki i w rodzaju dokumentów, które wpadły panu w ręce. Jeśli naprawdę chcesz pan dochować wierności ceniom Andrégo de Pontbrianda, to powinieneś pan moim zdaniem zrezygnować z wszystkich tych głupstw popełnianych dla honoru i w pierwszej kolejności porozmawiać z samym panem Fouquetem.

Gabriela zatkało. Nie wiedział, co robić, i nie miał pojęcia, jak zareagować, a jednocześnie odnosił bardzo niemiłe wrażenie, że jego rozmówca wie coś więcej, ale nie chce mu tego ujawnić.

Jakby wyczuwając tę przykrość, François d'Orbay wydobył z rękawa bilecik i podał go Gabrielowi.

Drogi François!

Dzięki Tobie spotkałem się przed chwilą z Gabrielem. Wielkie to szczęście! Wykorzystując okoliczność, że pojechał szukać tego, na co liczymy, przesyłam Ci ten bilecik ze słowami wzruszenia i ojcowskiej wdzięczności. Jeśli los mnie ugodzi, liczę na Ciebie i myślę, że zajmiesz się moim Cherubinkiem.

Twój przyjaciel Charles Saint John

Gabriel przeczytał ten pośmiertny list i zbladł.

- Zgoda, panie architekcie, wierzę panu, ale to pismo od ojca nie zwalnia mnie z obowiązku pomszczenia go. Wie pan, co się wydarzyło, zgoda. No to niech pan jeszcze się dowie, że przy jednym z tych ludzi, tym mianowicie, którego zabiłem w Londynie, znalazłem pismo bezpośrednio wskazujące na Colberta. To on kierował rękami morderców!

Gabriel już prawie krzyczał:

- Zabiję go! Chcę pomścić ojca!

D'Orbay odpowiedział mu z lodowatym spokojem.

- Pomścimy go, możesz mi pan wierzyć. Ale nie teraz. I nie w ten sposób. Czy sądzisz pan, że Colbert jest tak wielkim głupcem, żeby utracić czujność? Kazał pana śledzić, pan zniknąłeś, jego ludzie zginęli, a on będzie postępował tak, jakby nic się nie wydarzyło? Jestem pewien, że zdążył już wzmocnić swoją osobistą ochronę, jeśli nawet nie zna jeszcze związku między śmiercią tych ludzi a panem, co zresztą jest całkiem możliwe. Bartet potrafił pana znaleźć, czy sądzisz pan, że nikomu innemu się to nie uda?

Gabriel milczał, dobitny argumentami d'Orbaya.

- Wepchnięcie pana samego w jego szpony nie umożliwiłoby panu zemsty, a nam mocno pokrzyżowałyby plany. Na Boga! Niechże pan jedzie do Vaux i porozmawia tam z Fouquetem. Ręczę, że Colbert panu nie umknie.

Gabriel potakująco skinął głową.

- Zgoda, zastosuję się do pańskich rad i pojedę spotkać się z panem naczelnym intendentem, ale uprzejmie prosiłbym o powiedzenie mi w końcu tego wszystkiego, co pan wie o moim ojcu i o tajemnicy otaczającej jego życie i, niestety, będącej przyczyną jego śmierci.

D'Orbay odetchnął z ulgą i raz jeszcze położył dłoń na ramieniu pobladłego Gabriela.

- To długa historia - powiedział, dając woźnicy znak do odjazdu -bardzo długa. Ale opowie panu o niej Nicolas Fouquet. Tylko on ma do tego prawo. Został wybrany - dodał zagadkowym tonem d'Orbay.

Vaux-le-Vicomte - sobota, 30 kwietnia, godzina trzecia po południu

Gabriel patrzył, jak biały kamyk odbija się od lśniącej powierzchni wody, a potem spada pionowo i tonie.

Popołudniowe słońce oblewało światłem wykończone już prawie ogrody i jeszcze bardziej podkreślało jaskrawą biel kamienia na zamkowych fasadach. Rusztowania były już rozebrane, kwiaty i krzewy zaczynały coraz gęściej pokrywać grządki i nadawały życia klombom; Vaux ożywiało się powoli, odsłaniając kawałek po kawałku całą swoją wspaniałość.

Nie zaprzętało to głowy młodemu Gabrielowi. Obchodziła go jedynie odległość z Vaux do Paryża, czyli do miasta, gdzie mieszkał zabójca jego ojca. Uplęnięło już dwa dni od chwili, gdy zgodził się postąpić zgodnie z radą d'Orbaya, dwa dni, podczas których jego pragnienie zemsty zderzało się ze świadomością, że zaatakowanie w pojedynkę człowieka, który odważył się mieć węża w herbie, doprowadzi go do klęski i samobójstwa.

- Gabrielu!

Słyszając ten łagodny głos, Gabriel odwrócił się, odrzucił trzymane w rękach kamyki, wstał i ruszył w stronę człowieka, który go wołał.

- Słucham pana...

Fouquet stał z opuszczoną głową nakrytą głęboko naciśniętym na czoło kapeluszem. W milczeniu ściągnął zakurzone rękawiczki i rozpiął płaszcz podróżny mający osłaniać jego ciemnozielony kaftan.

- Przyjeżdżam z Paryża - rzekł. Podniósł głowę i spojrzał na Gabriela.

- Muszę z panem pomówić, drogi panie de Pontbriand.

W tejże chwili oślepiły Gabriela padające na szyby fasady zamkowej promienie słońca. Przymrużył oczy i nic nie widząc, cofnął się o krok. Nie otwierając oczu, usłyszał jeszcze głos Fouqueta:

- Chodzi o pańskiego ojca. Gabriel spochmurniał.

- François mówił mi już o swojej rozmowie z panem - podjął, podchodząc bliżej, Fouquet. - Rozumiem pańską niecierpliwość, gniew i nawet ból. François podziela z panem te uczucia, zresztą wszyscy je podzielamy.

Ostatnie słowa Fouquet powiedział z wyraźnym naciskiem.

- I pomścimy pańskiego ojca.

Wziął Gabriela za łokieć i powolutku poprowadził ze sobą.

- Pańskiego ojca spotkałem tylko raz, dawno temu i dość przelotnie. Dla mnie był zresztą Charles'em Saint Johnem, a nie Andrém de Pont-briandem. Rozmowa nasza trwała krótko, ale i tak zdążył powiedzieć mi to i owo o panu, prawie niczego nie ukrywając. Mówił również o tym, co nazywał swoim drugim marzeniem, chcąc odróżnić je od poszukiwań prowadzonych przez nasze bractwo. Gorąco pragnął oszczędzić panu cierpień, jakich sam zaznał, i tym marzeniem była chęć uczynienia pana swoim spadkobiercą. Przyznaję, że nie od razu zrozumiałem, co miał na myśli. Zauważył to i zaczął powtarzać słowo „spadkobierca”. Chciał powiedzieć, że chodzi mu o spadkobiercę spośród nas, a nie tylko o spadkobiercę z tytułu synostwa.

Fouquet przerwał i spojrzał Gabrielowi w twarz.

- Ten spadek ma bardzo szczególną postać, panie de Pontbriand. Gabriel miał łzy w oczach i wciąż zaciskał zęby.

- Nie będę owijał w bawełnę, Gabrielu, że jesteś nam potrzebny. Dokumenty, które w tak cudowny sposób znalazłeś pan w teatrze, a potem uratowałeś w ten wieczór, kiedy to zamordowano pańskiego ojca, te dokumenty, z powodu których groziła ci utrata życia, mają niezwykłą wagę. To one zmieniły życie pańskiego ojca i pana. Masz pan teraz możliwość zdjąć z siebie to przekleństwo. Oddając mi te papiery, spełnisz pan najgorętsze życzenie swojego ojca i staniesz się kontynuatorem jego dzieła.

- Jakie jednak złowróżbne tajemnice rozbiły moją rodzinę? - ostro przerwał Gabriel.

- Wyjaśnię to panu, bo zasłużyłeś na to, i to z wielu powodów. Chciałbym jednak, żeby to była pańska decyzja, Gabrielu, gdyż zapoznanie się z historią tej Tajemnicy rodzi pewne skutki, oznacza zaak-

ceptowanie jej i zgodę na służenie jej. Gdy historię tę opowiem panu do końca, nie będziesz już pan mógł się wycofać.

Fouquet umilkł na chwilę i odsunął się nieco od Gabriela.

- Niech pan siada i pomyśli. Tym razem okoliczności nam sprzyjają. Aż do jutra będziemy tu sami. Zaraz sprawdzę, jak posuwają się prace, potem spożyjemy wieczerzę, a towarzyszyć nam będzie pan La Fontaine. Staraj się pan niczego po sobie nie pokazywać, zaklinam pana. De La Fontaine to mój serdeczny przyjaciel, ale nie należy do naszego kręgu i nie powinien wiedzieć, o co chodzi w tej walce. W razie potrzeby niech pan do nas nie schodzi, powiem, że pan nie domaga. Potem będę czekał na pana dziś o jedenastej wieczorem w swoim gabinecie. Jeśli pan tam przyjdiesz, uznam, że przyjmujesz spadek i doceniasz doniosłość tych tajemnic.

Po tych słowach Fouquet, nie czekając na odpowiedź, zostawił Gabriela samego i poszedł w stronę zamku.

Nad zamkiem w Vaux zapadły ciemności. Fouquet stał przed oszklonymi drzwiami z gabinetu na taras. Z założonymi w tył rękoma wpatrywał się w rozgwieżdżone, czarne jak atrament niebo. W milczeniu uśmiechnął się lekko, usłyszawszy za sobą słabe odgłosy kroków na parkiecie przyległego salonu. Drzwi cicho skrzypnęły i otworzyły się. Fouquet odwrócił się i ujrzał nieruchomo stojącego w nich Gabriela. W świetle dwóch pochodni jego twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Ubrany był w zwyczajną białą koszulę i szedł lekkim krokiem, wpatrując się Fouquetowi prosto w oczy. Znalazłszy się w samym środku gabinetu, znieruchomiał.

- Słucham pana.

- Noc jest spokojna - odpowiedział Fouquet, wskazując na drzwi.

-Może byśmy się trochę przeszli?

W oddali migotały jeszcze światła zamku. Fouquet i Gabriel weszli w alejkę. Ciepły wietrzyk delikatnie owiewał im twarze.

- Jest to bardzo długa historia, Gabrielu. Zaczęła się przeszło tysiąc sześćset lat temu w Ziemi Świętej, nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego, w domu pewnego rybaka, który już od lat, czyli od dnia, gdy poszedł za prorokiem mającym na imię Jezus, nie wracał w swoje strony. Człowiek ten nazywał się Szymon Piotr i mieszkał w miasteczku Kafarnaum. A cała ta historia zaczęła się w chwili, gdy raz jeszcze przeczytał księgi napisane przez innych towarzyszy mistrza. A tych ksiąg było cztery i nazywano je ewangeliami. Szymon Piotr, przeczytawszy je, wpadł w furję i podjął straszliwą decyzję, postanowił bowiem część tych ksiąg napisać od nowa, a całość przerobić. Ot, zwykła sprawa, chodziło tu po prostu o ocenzurowanie tekstu, tyle że pisma te zmieniły życie narodów i całego świata. Szymon Piotr dokonał w nich cięć. Wprowadził poprawki i podyktował nową ich wersję, tę, którą znamy obecnie. Pierwotne teksty ukrył potem w amforze i przez dwanaście wieków nikt nic o nich nie wiedział. Było tak aż do chwili, gdy zaczęły się wyprawy krzyżowe i nasi rycerze ruszyli do Ziemi Świętej. Niektórzy z nich zatrzymali się na drodze do Syrii, nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego, i szukali tam schronienia w grocie, która przez dwanaście wieków wystawiona była na działanie erozji i stała się przez to dostępna. Przypadkiem znalazł się wśród nich pewien uczonec znający język aramejski. W kilka miesięcy później, przebywając już w swoim jerozolimskim klasztorze, zajął się odczytywaniem znalezionych papirusów. W trakcie czytania ogarniał go strach, nie wierzył własnym oczom i wszystko po tysiąc razy sprawdzał, aż wreszcie zdobył się na odwagę i zawiadomił o swoim odkryciu kapitułę zakonu. Ten uczonec był również rycerzem i należał do zakonu templariuszy. Odczytane przezeń pisma nazwano wtedy Piątą Ewangelią. Oto Tajemnica, którą znał pański ojciec. -Tak jak ja i tak jak inni został strażnikiem Piątej Ewangelii i gotów był poświęcić wszystko, byleby tylko nie poznali tej Tajemnicy ludzie nikczemni, gdyż mogli źle się nią posłużyć, a nawet zniszczyć. Takie niekontrolowane rozgłoszenie Tajemnicy mogłoby wywołać straszliwą i krwawą anarchię. Pański ojciec tak samo jak inni ślubował, że Tajemnicy tej nie zdradzi i będzie czekał aż do chwili, gdy sytuacja zmieni się na naszą korzyść i będzie można wyjawić wtedy tę

Tajemnicę komuś, kto zrozumie jej doniosłość, przewidzi następstwa i potrafi zapobiec zgubnym skutkom ówczesnego działania Szymona Piotra.

Gabriel czuł, że mu się w głowie kręci, ale uważnie wsłuchiwał się w słowa Fouqueta.

- No, a gdzie są te dokumenty? Czy je przyniosłem? Fouquet uśmiechnął się.

- Nie. Zdarzyło się coś nieprawdopodobnego, bo przyniosłeś pan klucz umożliwiający ich odczytanie. Rycerze, chcąc zachować Tajemnicę, rzeczywiście ją ukryli. Po przetłumaczeniu tekstu przepisali go między wierszami na poszczególnych arkuszach użytego przez Szymona Piotra papiirusu. Potem włożyli cały zwój do naczynia z tuszem, który spowodował, że tekst stał się nieczytelny. Umiejętności tej nauczyli się od pewnego uczonego Araba. Kartki zwoju po obu stronach stały się czarne. Dopiero zanurzenie go w naparze z pewnych roślin, dobranych według ściśle określonego przepisu, sprawia, że czarny kolor znika i tekst staje się widoczny, zarówno w części aramejskiej jak i łacińskiej. W dodatku czynność tę trzeba wykonać w ściśle określonym dniu. Na zaszyfrowanym przez pańskiego ojca dokumencie można odczytać dokładny przepis na ten napar. Jego historia jest tak niezwykła jak dzieje samego kodeksu. Zaginął w czasach, gdy żołnierze Filipa Pięknego 1 rabowali komandorie 2 templariuszy, i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Jednocześnie niedający się odczytać w tej sytuacji kodeks leżał starannie ukryty w Rzymie. A my strzeżliśmy tylko pamięci o nim i przekazywaliśmy ją z pokolenia na pokolenie, gotowi do działania w razie odnalezienia przepisu, a wydarzyło się to w czasie Frondy, trochę ponad piętnaście lat temu. Okazało się, że posiadaczem przepisu jest pewien zamożny kupiec z Genui; nie bardzo wiadomo, jak go zdobył. Wiemy tylko, że w czasie napadu na jedną z komandorii któryś z naszych braci, całkowicie odcięty od bractwa, na chwilę przed śmiercią powierzył w odruchu rozpaczony ten przepis swojemu gierm-

¹Filip IV Piękny, król francuski w latach 1285-1314. Rozprawił się z zakonem templariuszy, by zagarnąć jego bogactwa.
²Komandoria. Tu: posiadłość, majątek.

kowi, który nawet nie wiedział, co bierze. Ów brat kazał mu uciekać do Włoch i wejść tam w kontakt z braćmi, ale giermek nie zrobił tego. Usiłował, nędznik, spieniężyć swoją własność, ale mu się to nie udało. Zmarł w nędzy jakoś około roku tysiąc trzysta pięćdziesiątego. Prawdopodobnie przepis przeleżał trzy wieki gdzieś na strychu, aż wreszcie przypadek sprawił, że powędrował w kufierku do Genui i już tam pozostał wraz z innymi dokumentami należącymi do templariuszy, przy czym listy i papiery wartościowe zostały zniszczone. Ten genueńczyk poznał pańskiego ojca dwadzieścia lat wcześniej, razem wojowali w armii francuskiej przeciwko Habsburgom. Utrzymywali między sobą kontakty listowne i kupiec wiedział, że pański ojciec interesuje się historią zakonu templariuszy. Zaproponował mu więc te dokumenty, nie mając nawet pojęcia o tym, co zawierają, ale ojciec pański od razu się na nich poznał. Zbliżyliśmy się do celu. Natychmiast zwołano do Rzymu nadzwyczajne zebranie bractwa, przybyło na nie czternastu braci. Niestety, po przybyciu do Rzymu pański ojciec zdradził bratu, który towarzyszył mu w podróży, temat zebrania. Uratowało nas wtedy tylko to, że pański ojciec interesował się szyframi. Ledwie zdążył zaszyfrować tekst w sposób znany jedynie nam, a już następnego dnia, czyli w przeddzień zebrania, zdrajca złożył na niego donos i oddał go w ręce przebywających we Włoszech agentów Mazariniego. Zatrzymany, przewieziony do Francji, uwięziony i torturowany, pański ojciec niczego nie powiedział. Udało mu się w końcu uciec, ale przepis przez piętnaście lat wciąż był zaszyfrowany i czekał, aż opatrzność odda go w pańskie ręce.

- A co z oryginałem? - zapytał wstrząśnięty Gabriel.

- Pański ojciec zniszczył go, gdy zrozumiał, że padł ofiarą zdrady. Fouquet odwrócił oczy.

- Historia ta to niezwykle splot wydarzeń, w czasie których ludzie nie mogli powstrzymać się od pisania. Dlaczego Szymon Piotr nie zniszczy! papirusów? Nigdy nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, co mu w tym przeszkodziło.

Fouquet westchnął, a potem znowu zaczął mówić. W jego głosie można było wyczuć napięcie.

- Już od czterech wieków cierpliwie i spokojnie czekamy na szczęśliwy traf. Mamy w rękach kodeks, nie potrafiliśmy go rozszyfrować, ale rozpoczęliśmy przygotowania do przedstawienia go w wielu krajach, w nadziei, że znowu poznamy wreszcie przepis. We Francji do kierowania tą akcją bracia wybrali mnie. Tymczasem niewiele brakowało, a rewolucja angielska okazałaby się dla nas sukcesem. Cromwell był naszym człowiekiem i gdyby nie zabiło go ziarno piasku, które przedostało mu się do nerek, oblicze świata wyglądałoby inaczej, a nasze losy też potoczyłyby się w inny sposób. Jednakże...

Gabriel chciał coś powiedzieć, ale Fouquet go ubiegł.

- Niech pan nie prosi mnie teraz o tekst kodeksu. Na razie powinien mi pan zaufać, tak jak ja panu ufam, ujawniając istnienie naszej Tajemnicy. Zioła potrzebne do sporządzenia naparu rosną w oranżerii i za kilka tygodni będziemy mogli je wykorzystać. Przygotowaliśmy również miejsce - dodał, wskazując zamek. - Od tej pory wszystko jest możliwe, o ile mi pan zaufa.

Podszedł bliżej do Gabriela. Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Tak więc, panie de Pontbriand, o połowie swojego spadku już pan wie. Wie pan również, co było celem życia dla Andrégo de Pont-brianda. Czy chce pan poznać drugą połowę? Dowie się pan wtedy, jakim sposobem mógłby pan po raz drugi stać się jego synem.

W odpowiedzi Gabriel też się uśmiechnął do Fouqueta. Stali teraz w ciemnościach, zwrócenii do siebie przodem.

- Proszę, niechże pan mówi. Nie mogę poznać tej Tajemnicy, wiem o tym, ale w takim razie może się dowiem, jakaż to przyczyna może sprawić, żeby syn zemstę za ojca odkładał na później?

- Rozejrzyj się, Gabrielu, ta przyczyna jest wokół ciebie. Jest nią to, co symbolizują te mury - dodał, wskazując ręką oblane światłem księżycy dachy Vaux.

Gabriel zadrżał.

- To już pora. Chodź za mną.

W milczeniu zeszli z wysadzanej topolami alejki i wspięli się na wzgórze pomiędzy drzewami.

- To wzniesienie powstało z ziemi wybranej z wykopu pod funda-

menty zamku - powiedział Fouquet, wdrapując się na sam szczyt wzniesienia. - Spójrz pan na prawo, a wszystko zrozumiesz.

Gabriel odwrócił się i w świetle księżyca ujrzał przed sobą zamek w Vaux, ale taki, jakiego nigdy jeszcze nie widział.

Fouquet patrzył na Gabriela i lekko się uśmiechał.

- Zdziwiająca, nieprawdaż? Widzisz pan to, czego nikt jeszcze nie oglądał z wyjątkiem pana d'Orbaya i mnie. Oto jak naprawdę wygląda zamek w Vaux.

Dachy oglądane z tej wysokości i z ukosa wydawały się ciągnąć aż po horyzont. Zamek i przyległe do niego zabudowania tworzyły zwartą całość, w wyniku czego budowla wyglądała zupełnie inaczej. To, na co ze zdumieniem spoglądał Gabriel, nie było już dumnym zamkiem wielkiego magnata, ale miastem, nowo powstałym warownym grodem.

- Vaux jest zmaterializowaną postacią, symbolem słowa, którego jesteśmy strażnikami, i tak jak to słowo przybierać może dwojaką postać. Jedna jest wyraźna i zwodnicza, widzimy ją, stojąc przy głównej bramie i patrząc na zamek od frontu. Ale prawdziwy wygląd zamku ukazuje druga, ukryta postać.

Gabriel stał jak urzeczony i nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

- Czy teraz już pan rozumiesz? - zapytał Fouquet. - Ta Tajemnica, która nakazuje panu odłożyć zemstę, obejmuje nie tylko pana i mnie, bo ogarnia całe królestwo, a nawet coś więcej. Ta Tajemnica to utworzenie owego porządku publicznego, społeczeństwa powszechnej zgody, a nie strachu, wyboru, a nie zniewolenia. Społeczeństwa, w którym władca nie będzie już rządził na mocy zesłanego z góry porządku, ale w imieniu ludzi tworzących jego naród. Społeczeństwa, gdzie zasadą będzie równość, gdzie zamki nie będą świadczyły o wielkości jednostek, ale połączą ludzi i staną się zwykłymi domami.

Gabriel spoglądał teraz na Fouqueta.

- Symbolem tego jest zamek w Vaux. W jego wnętrzu, pod kopułą, gdzie wkrótce rozbłyśnie słońce naszego bractwa, pod czternastoma kolumnami symbolizującymi czternastu braci, którzy przez całe wieki prowadzili swoje poszukiwania, spocznie już wkrótce kodeks, czyli Piąta Ewangelia. Przy budowie kopuły zorientowano ją dokładnie tak,

żeby w określonym dniu można było objawić tekst w odpowiednich warunkach. I to tutaj przedstawię królowi dowód, przed którym będzie musiał się ugiąć i rządzić od tej pory na nowych zasadach. Fouquet zrobił krok do przodu.

- Wybraliśmy to słońce, gdyż patrzy ono na wszystkich ludzi z tego samego oddalenia i każdemu daje taką samą ilość światła i ciepła. Masz pan prawo do zemsty, ale odkładając ją, ułatwiasz nam pan realizację planów. Wybór należy teraz do pana. Masz pan w rękach dziedzictwo po swoim ojcu. Czy stoisz pan po naszej stronie, panie de Pontbriand?

Gabriel odwrócił się na chwilę i spojrzał na roztaczający się przed nim wspaniały widok. Potem znowu skierował spojrzenie na Fouqueta. Zerwał się wiatr i rozwał mu jego czarne włosy.

- Niech tak będzie - zgodził się, rozkładając ręce. - Prosiłbym tylko o podanie mi daty objawienia tego tekstu.

Fouquet uśmiechnął się, a w oczach pojawił mu się niezwykle blask.

- Siedemnasty sierpnia - powiedział. - Wieczorem siedemnastego sierpnia.

60

Pałac d'Orléans - poniedziałek, 9 maja, godzina szósta wieczorem

- Proszę się nie ruszać, Wasza Wysokość! Błagam, proszę się nie ruszać! Słowa te, wymówione z wyraźnie obcym akcentem, skierowane były do Henryki Angielskiej, przyszłej bratowej Ludwika XIV Siedząc na mocno niewygodnym krześle, wbita we wspaniałą kremową suknię i tak ściśnięta gorsetem, że ledwie mogła oddychać, coraz wyraźniej i odczuwała, że seans ciągnie się już za długo. Przyszły mąż życzył sobie jednak takiego wielogodzinnego pozowania, bo chciał mieć portret pędzla utalentowanego i słynnego malarza holenderskiego, znanego jako Rembrandt Harmensz van Rijn. Artysta ten wolał wprawdzie ma lować autoportrety i obecna praca wydawała

mu się dość nudna, jed nakże sowita zapłata przyrzeczona mu przez Księcia Pana skłoniła go do przyjęcia zamówienia.

Tego ranka jak zwykle towarzyszyła Henryce Luiza de La Valliere i spełniała najdrobniejsze życzenia swojej młodej pani. Między Henryką a Luizą zdążyło się już wytworzyć wzajemne i pełne szacunku zrozumienie. Obie lubiły podśmiewać się dla zabawy z dziwactw starego Rem-brandta. W szczególności bawił je dziwaczny ubiór malarza - zbyt obszerny czepek, mający zapewne chronić przed zimnem łysą czaszkę właściciela, i gruby kaftan, zapaćkany wszelkich kolorów farbami. Luiza spojrzała na lekko wystraszoną pokrzykiwaniami malarza Henrykę i uśmiechnęła się. Myślała o Gabrielu. Z lakonicznego bilecika dowiedziała się, że Fouquet zabrał go ze sobą do Londynu. Potem nie miała już żadnych od niego wiadomości i dość boleśnie odczuwała niemożność pogadania z nim o tym i owym. Mocniej, niż mogłaby się spodziewać.

A przecież Fouquet już od kilku dni jest w kraju - rozumowała - więc i Gabriel z pewnością już wrócił.

W tejże chwili do wielkiego salonu, przerobionego chwilowo na pracownię malarską, wszedł Isaac Bartet. Przytknął palec do ust, pokazując w ten sposób osłupiałej Luizie, by milczała i nie zdradzała jego obecności.

- Chodź ze mną, panienko - szepnął jej do ucha. - Jestem tu z polecenia pana naczelnego intendenta i mam panience coś powiedzieć. Sprawa ważna.

Razem wyszli na korytarz.

- Słucham pana, co się stało? - zapytała z niepokojem Luiza. -A przede wszystkim kim pan jesteś?

Bartet skłonił się.

- Nazywam się Isaac Bartet, panienko, i jestem do usług - ciągnął, widząc nieufność na twarzy dziewczyny. - Należę do pani przyjaciół i nie przyszedłem tu po to, żeby zawracać pani głowę, ale po to, żeby jak najszybciej panią ostrzec. Wisi nad panią wielkie niebezpieczeństwo. Mam niewiele czasu, nie mogę więc powiedzieć wszystkiego. Proszę cię więc, panienko, zaufaj mi i nie przerywaj.

Luiza skinęła potakująco głową, chcąc nakłonić rozmówcę do dalszych zwierzeń.

- Jestem w posiadaniu listu wysłanego z Madrytu i adresowanego

do Henryki Angielskiej. List ten zawiera poważne oskarżenia pod pani adresem. Na szczęście udało mi się go przechwycić i mam przy sobie jego odpis. Będziesz mogła, panienko, zapoznać się z jego treścią. Oskarżają cię tam, że jesteś na żołdzie dworu hiszpańskiego. Nadawca listu pisze nawet o twoim niedawnym nocnym spotkaniu z Ludwikiem XIV i dodaje, że tylko po to zostałam jego kochanką, żeby móc szkodzić interesom Francji.

- Ależ wszystko to jest... - przerwała Bartetowi Luiza.

- Wszystko to jest kłamstwem, panienko, całkowitym kłamstwem. Oboje o tym wiemy. Ale strzał jest dobrze wymierzony i obawiam się, że sporządzono kilka kopii tego donosu i rozesłano je do różnych odbiorców, licząc, że przynajmniej jedna z nich wywoła wybuch. Zainteresowanie, jakim Jego Królewska Mość zechciał cię obdarzyć, panienko, oraz związki, jakie za pośrednictwem tego młodego de Pontbrianda utrzymujesz z panem naczelnym intendentem, są znane i bardzo interesują niektóre wysoko postawione osobistości.

Bartet ściszył głos.

- A jeśli chodzi o to nocne spotkanie z Jego Królewską Mością, to panienka, jak myślę, powinna wiedzieć, że drzewa w Wersalu mają uszy, a może i oczy. Jeśli nawet spotkanie to było tylko spotkaniem, to i tak bardzo trudno będzie ci, panienko, przekonać o tym ludzi. Czy nie mam racji?

Luiza czuła się zdruzgotana, nie tylko charakterem przyniesionej przez Barteta wiadomości, ale przede wszystkim tym oszczerstwem, którego lodowaty podmuch zmroził jej krew w żyłach.

- Wielki Boże! - westchnęła, zagryzając wargi. - Co mam robić?

- Znaleźć osłonę, panienko - odpowiedział szpieg. - A ja tymczasem czym prędzej jadę do Dijon. Muszę zawiadomić pana naczelnego in tendenta o tej intrydze, bo wydaje mi się, że godzi ona nie tyle w panią, ile w niego.

- Czy mogłabym prosić pana o chwilę zwłoki, bo chciałabym przekazać krótki liścik panu de Pontbriandowi? - zapytała Luiza.

- Niech pani szybko pisze, bo czasu mam niewiele - odpowiedział Bartet.

Luiza zostawiła Barteta, pobiegła do buduaru Henryki, usiadła przy jej sekretarzyku i zaczęła pisać rozpaczliwe wezwanie do Gabriela, a pisała na papierze z herbem swojej pani. Krótco przedstawiła całą groźbę swej sytuacji. „Jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Nie ma Cię, więc nie wiem, co robić. Przyjedź, błagam, i pomóż mi”. Twoja Luiza.

Ten krótki list starannie zapieczętowała i wręczyła Bartetowi. Dołączyła przekazaną jej przez szpiega kopię oskarżającego ją pisma. Patrząc, jak oddalał się wielkimi krokami, pomyślała, że Gabriel wkrótce osobiście się zjawi i pomoże jej.

Komu można ufać w tym kłębowisku zmij? - pomyślała w rozpacz. Jak to się stało, że ktoś tak źle jej życzy? W walce z ogarniającym ją strachem próbowała przypomnieć sobie niektóre sceny z dzieciństwa, kiedy to miała obok siebie Gabriela.

Wracając do wielkiego salonu, uszczypnęła się i głęboko odetchnęła, chcąc przywrócić trochę koloru swojej pobladłej twarzy.

- Muszę ładnie wyglądać - szepnęła do siebie - i nie mogę niczego po sobie pokazywać. A do tego trzeba mieć nadzieję.

Na widok powracającej dworki Henryka uspokoiła się i uśmiechnęła, a na znak zadowolenia pomachała ręką.

- Na miłość boską, niechże Wasza Wysokość się nie rusza! - wykrzyknął malarz. - Bo w przeciwnym razie usta Waszej Wysokości będą wyglądały jak wykrzywione twarze trupów u tego biednego doktora Tulpa.

61

Vaux-le-Vicomte - wtorek, 10 maja, godzina szósta rano

Dniało już i pierwsze promienie słońca zaczerwieniły mahoniowy sekretarzyk w pokoju Gabriela. Przed oczyma skakały mu litery i cyfry zaszyfrowanego dokumentu.

- Piąta Ewangelia - szepnął raz jeszcze, tak jakby wywołanie tych

słów mogło nadać sens niezrozumiałym stronom. Z gniewem przetarł sobie oczy. Wydało mu się nagle, że widział we śnie Pałac Królewski, spotkał w nim Bertranda Barreme'a i swojego ojca, przypomniał sobie spędzone z nim chwile. Jedyne bolesne pieczenie, które poczuł, ujrzawszy martwego ojca, i które wciąż jeszcze bezlitośnie go męczyło, mówiło mu, że to nie sen, lecz rzeczywistość. Jedyne gniew i żądza zemsty sprawiały, że nie utracił jeszcze nadziei. Słowa d'Orbaya i Fou-ąeta nie stłumiły tej żądzy, ale tylko odsunęły trochę na później. Nie mając już prawie sił, postanowił przejść do znajdującej się obok łazienki. Obmył sobie twarz zimną wodą i cały się zatrzęsł. Zwilżył sobie tors i ramiona i zaczynał energicznie je wycierać, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Gabriel zdążył jedynie narzucić na siebie koszulę, otworzył drzwi i stanął oko w oko z Isaakiem Bartetem. Przybysz podał mu w milczeniu list, zaskoczony Gabriel wziął go i uśmiechnął się, poznając charakter pisma.

- Od Luizy! - zawołał półgłosem.

Czym prędzej złamał woskową pieczęć i rozwinął papier. Uśmiech zamarł mu na ustach. Poczuł, że palce mu sztywnieją, a na jego umęczonej twarzy pojawiła się nagle bladość.

Podniósł oczy na stojącego nieruchomo Barteta.

- Co się stało, u diabła? - zapytał.

- No i co, Gabrielu? - ze zdziwieniem zapytał, przeciągając się w łóżku, rozespany jeszcze d'Orbay. - Co to ma znaczyć?

Wyraźnie wzburzony Gabriel uściśnął mu rękę i odpowiedział drżą cym z przejęcia głosem:

- Ogromne niebezpieczeństwo, muszę z panem natychmiast poroz mawiać.

- A któraż to godzina? - zapytał d'Orbay, zdziwiony, że w szparze między grubymi zasłonami widać dopiero słabe światło zaczynającego się dnia.

- Jest wczesny ranek, ale czekać nie mogłem.

D'Orbay poczuł, że ogarnia go niepokój na widok ledwie ubranego

Gabriela w rozchełstanej koszuli, z rozczochranymi włosami i zaczerwienionymi z niewyspania oczyma. Zrzucił z siebie pościel, wysunął nogi i złapał za szlafrok, a tymczasem Gabriel wciąż chodził wokół jego wspaniałego łoża z baldachimem.

- Spokojnie, przyjacielu, spokojnie - powiedział. - Powiedz mi, co cię tak wystraszyło, bo chciałbym ci przyznać, że to coś było przyczyną wystarczającą do budzenia mnie tak rano.

- Chodzi o bezpieczeństwo Luizy, a może nawet o jej życie - przerwał Gabriel.

D'Orbay zmarszczył brwi.

- Masz na myśli pannę de La Vall i ère?

Gabriel skinął potakująco głową, co jeszcze bardziej zwiększyło niepokój d'Orbaya.

No tak - pomyślał. A przecież Nicolas ją ostrzegał. To dziecko prowadzi grę, która może się okazać groźna dla niej samej.

Spojrzał na rozgorączkowaną twarz Gabriela i westchnął.

A więc i on. W czym naraziłem się niebu, że przyczepiają się do mnie wszyscy młodzi a nieostrożni ludzie naszego królestwa? - pomyślał.

- Dziś rano otrzymałem od niej ten oto list, przekazał mi go Bar-tet - oznajmił Gabriel, wyciągając zza koszuli pismo doręczone mu przez szpiega.

D'Orbay wziął list do ręki i szybko go przeczytał.

- Istotnie sprawa jest poważna. Pańska przyjaciółka ma szczęście, że nasi szpiedzy działają bardzo sprawnie, a z tym listem los obszedł się lepiej niż z codziennymi raportami, które Bartet przysyłał do pana Fou-queta. Otrzymałem ostatnio od niego krótki list. Píše, że jest zaniepokojony, bo od trzech dni, czyli od chwili, gdy przybył do Dijon na kontrolę urzędów finansowych księstwa Burgundii, nie otrzymał żadnej korespondencji. Obawiam się, że przyczyna tego jest mi znana. Raporty oczywiście ktoś przejął, a wiedząc, że Bartet zwęszył spisek, nie chce dopuścić do jakiegokolwiek interwencji naczelnego intendenta. Woli, łądak, uderzyć pod jego nieobecność. Na szczęście panna de La Vallière uznała, że powinna wezwać pana na pomoc.

D'Orbay oddał list Gabrielowi.

- No tak, nie mamy wiele czasu - powiedział po krótkim namyśle.
-Ruszamy do Paryża.

Gabriel zbladł.

- Chce pan ratować swoją przyjaciółkę? No to proszę się spakować i wrócić tu za trzydzieści minut. Ja postaram się tymczasem o g dejt i list. Podpiszę go za Nicolasa i musimy jak najszybciej doręczyć go królowi, żeby uprzedzić jego reakcję. List z donosem jest dobrze ob-myślony i na jego podstawie nie będzie łatwo dowieść, że chodzi tu o spisek. Jednakże ostrzeżenie ze strony naczelnego intendenta spowoduje przynajmniej tyle, że król nie wybuchnie gniewem, ale najpierw wszystko sprawdzi. Ja aż za dobrze znam porywczy charakter Jego Królewskiej Mości, nie możemy więc biernie czekać na powrót pana Fouqueta. Będzie tu najwcześniej za cztery dni, a wtedy może już być za późno. Nasz list bezwzględnie musi dotrzeć do króla, zanim ci zdrajcy zdążą podrzucić mu swoją fałszywkę. Tak więc, Gabrielu, spakuj swoje rzeczy i zaraz tu wracaj. Każda stracona godzina to większe zagrożenie dla twojej przyjaciółki. Wyruszysz pierwszy, uspokoisz ją i wręczysz jej kopię listu, w razie gdyby zdarzyło się nam coś złego. Pędź potem do Wersalu. Spotkamy się przed urzędem akcyzowym przy drodze do Paryża. Ja pojedę tam inną drogą, w karecie z herbem pana Fouqueta, bo w naszej sytuacji ostrożności nigdy nie za wiele.

D'Orbay popatrzył z pobłażaniem na wyruszającego w drogę Gabriela.

Dziecko, ale pełne zagadek - pomyślał, nalewając sobie kieliszek wina ze stojącej na nocnym stoliku karafki.

W godzinę później Gabriel, ubrany w podróżny płaszcz z grubego szarego sukna, nie mając ani na sobie, ani na wierzchowcu niczego, co wskazywałoby na jego powiązania z Fouquetem, mijał południową bramę i opuszczał Vaux.

- Trzymaj się, Luizo - wyszeptał, bodąc konia ostrogą. - Pędzę do ciebie.

Pałac d'Orléans - środa, 11 maja, godzina dziesiąta rano

Luiza długo jeszcze nie mogła usnąć. Godziny po odejściu Barteta ciągnęły się i ciągnęły, a dziewczyna żyła w ciągłym strachu, gdyż w każdej chwili spodziewała się aresztowania i wydalenia z Paryża. Były to również godziny bez wieści od króla Francji i bez listów od powracającego Gabriela. Leżała z otwartymi oczyma, liczyła sekundy i minuty, nie była w stanie znaleźć ratunku, nie wiedziała, w którą stronę się zwrócić, i nie potrafiła się uspokoić. A najstraszniejsze wydawało się jej to, że nie znała swojego losu. Wyczerpana, usnęła dopiero o świcie i spała jeszcze późnym rankiem.

Obudziły ją odgłosy uderzających o szybę ziarenek żwiru. Uniosła się na łokciach, wyskoczyła z łóżka i z przerażeniem podbiegła do okna. Uchyliła je i wyjrzała na dziedziniec, ale nikogo nie zauważyła. Zamykała już wietrznik, gdy usłyszała nagle, że ktoś po cichu ją wola.

- Luizo! - szeptał znany jej głos. - Luizo!

Wysunęła trochę dalej głowę i wpatrzyła się w ciemną wnękę, skąd dochodził głos. Coraz szerzej otwierała oczy, ale dostrzegła tam tylko poruszającą się ludzką rękę.

- Luizo - powtórzył głos. - Otwórz mi, to ja, Gabriel.

Serce zabiło jej mocniej, narzuciła szlafrok na koszulę nocną i zbiegła kuchennymi schodami na parter. Zatrzymała się tam na chwilę, spokojnie odsunęła zasuwę i otworzyła bramę od strony podwórka.

- Gabrielu - szepnęła, rzucając mu się w ramiona. - Jakże się przestraszyłam! Czy otrzymałeś mój list?

Skinął potakująco głową, upojony zapachem jej jasnych włosów i gładkością policzka, tulącemu mu się do szyi.

Luiza cofnęła się, raz jeszcze zerknęła na prawo i lewo, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Poczekaj, Luizo - powiedział z odrobiną żalu w głosie. - Mamy niewiele czasu. Muszę jeszcze znaleźć sposób przekazania królowi listu ostrzegającego go o tej machinacji. Nie osiągnęliśmy jeszcze wszyst-

kiego. Nasi wrogowie są czujni i w ostatnich dniach sam mogłem ocenić ich upór.

Sięgnął pod płaszcz, wyjął kopertę i podał ją dziewczynie.

- Nie bój się - powiedział łagodnie, widząc przerażenie na jej twarzy. - Po prostu zabezpieczyłem *się*. Postaraj się jutro pod byle pretekstem o jakąś spokojniejszą służbę, na przykład przy królowej matce, i miej to pismo przy sobie. Jest to kopia listu, który François d'Orbay wystosował do króla. Widnieje na nim pieczęć Fouqueta i pokazać go można tylko wtedy, gdy nie uda się nam dotrzeć do króla. Jeśli jednak dojdzie do tego nieszczęścia - dodał z naciskiem - przekaż ten list królowej matce i powiedz jej, co wiesz o tych groźbach. A jednocześnie poproś ją w moim imieniu o jak najszybsze udzielenie mi audiencji. To bardzo ważne - rzekł dobitnie. - Wy tłumaczę ci to później, ale już teraz powinnaś wiedzieć, że mam dla niej dokumenty pierwszej wagi. A teraz naprzód! - powiedział, gładząc dziewczynę po zażawionym policzku. - Niczego się nie bój, na pewno się nam uda.

- Tak bardzo się bałam - odparła Luiza, ściskając Gabrielowi rękę. - Tak się bałam, że nie przyjedziesz. Przez tyle dni nie miałam od ciebie wiadomości. Gdzie byłeś po powrocie z Londynu?

Zadrżała, widząc cień w oczach Gabriela.

- Nic nie mówisz. Co się stało? Niepokoisz mnie. Stałeś się taki dziwny.

Gabriel zakrył twarz rękami.

- Zbyt długo musiałbym mówić. W ciągu kilku ostatnich dni więcej się dowiedziałem o swojej przeszłości niż przez całe dotychczasowe życie. A im więcej się dowiaduję, tym więcej widzę przed sobą prze szkód.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zupełnie nie rozumiem twoich słów.

- Odnalazłem ojca, Luizo. Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie.

- Ojca? Ależ to cudów...

Na widok bólu, który pojawił się na twarzy Gabriela, urwała.

- Nie żyje, Luizo. Zabito go prawie na moich oczach. Wiem nawi, kto to zrobił.

Nie mówiła już, ale szeptała.

- Ach Boże... ależ to straszne... Gabrielu, któż...

- Zrobili to wciąż ci sami nasi wrogowie. Ale ja go pomszczę!

- A te przeszkody to mordercy?

- Nie tylko. W tej ponurej historii chodzi o coś więcej niż los mojego ojca i mój. Tu wszystko się wiąże, Luizo, groźby wymierzone w ciebie, zabójstwo mojego ojca... Wszyscy jesteśmy tu pionkami, biorącymi udział w rozgrywce o przyszłość całego naszego kraju. W tej rozgrywce powinienem wybrać sobie rolę - dodał jakby do siebie.

- Boję się, Gabrielu - odpowiedziała, przytulając się do niego. Przymknął oczy i objął ją ramieniem. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu.

- To już koniec - odezwał się Gabriel. - Jutro będzie po wszystkim. A teraz wstawaj. A ja pędzę do Wersalu.

Luiza aż zatrzęsała się na te słowa.

- Tak, do Wersalu - powtórzył Gabriel. - Król poluje.

63

Pawilon myśliwski w Wersalu - środa, 11 maja, godzina druga po południu

- W służbie naczelnego intendenta czy nie, a powtarzam panu, że nikogo nie przepuszczę!

François d'Orbay wychylił się z okienka karety i stuknął dłonią w przymocowany do drzwiczek herb z wiewiórką.

- U diabła, panie muszkietarze, raz jeszcze daję panu możliwość zmiany tego, co pan powiedział!

- A bądźże sobie "pan, kim chcesz! - głośno przerwał d'Orbayowi żołnierz. - Nie myśl, że się przestraszę. Król poluje i nie można mu ot tak sobie przeszkadzać. Ej, tam, młody człowieku! - zawołał, odwracając się nagle. - Cóż to, ogłuchłeś? Dokąd chcesz iść?

Gabriel, wyskoczywszy z drugiej strony karety, biegł już w stronę murowanego budynku.

- Warta pod broń! - wrzasnął muszkieter, rzucając się za nim w pościg.

Z malutkiej wartowni, do której przymocowana była krata otaczająca pawilon, wybiegło nagle trzech muszkieterów i zagrodzili Gabrielowi drogę. Zatrzymał się gwałtownie i przez chwilę nie wiedział, co robić, ale to wystarczyło, żeby żołnierze rzucili się na niego i przytrzymali go.

- Zbóje! - wrzasnął, szamocąc się, Gabriel, a tymczasem podbiegł zziębnięty d'Orbay oraz muszkieter, który zaalarmował wartownię.

- Trzech na jednego? - rzucił d'Orbay. - To już nie potraficie walczyć jak mężczyźni?

- Zaraz przekonasz się pan... - zagroził muszkieter, chwytając d'Orbaya za ramię. - Jazda mi stąd! - rozkazał żołnierzom, którzy z trudem przytrzymywali Gabriela. - I zabrać tego furjata! Jak posiedzi kilka dni w areszcie, to się uspokoi.

Gabriel poczuł ogromną rozpacz w sercu. Być tak blisko celu i tak wpaść! Zacisnął zęby i zaczął się szamotać.

- Ano trzeba będzie zdzielić go w łeb! - zauważył jeden z muszkieterów.

- Popęlnicie wielki błąd - wmieszał się odciągany do tyłu d'Orbay -bo mamy przy sobie bardzo ważne pismo...

- Na pomoc! - wrzeszczał Gabriel. - Na pomoc!

- Ej, co tam za wrzaski?

Człowiek wypowiadający te słowa stał pod słońce, z drugiej strony ogrodzenia, wśród grupki mężczyzn, którzy wyszli właśnie z pawilonu. Spokojnie, palec po palcu poprawiał sobie źle założone rękawiczki ze lśniącej skóry.

Muszkieter, który wydawał rozkazy, zamilkł nagle i podniósł rękę do oczu, chcąc osłonić je przed oślepiającym blaskiem słońca.

- Cóż to, ogłuchłeś? Odpowiadaj! Co to za wrzaski? - odezwał się inny głos.

- Złapaliśmy dwóch agitatorów, panie kapitanie - odpowiedział niepewnie muszkieter.

- Nieprawda! - przerwał mu d'Orbay, wyrwawszy się trzymającemu go żołnierzowi.

Przymrużył oczy i podbiegł do siatki.

- Panie d'Artagnan, pod słońce nie mogłem pana poznać. Nazywam się François d'Orbay, jestem architektem pana naczelnego intendenta finansów, budowałem jego zamek w Vaux, a ten chłopak to sekretarz pana Fouqueta. Ma od niego pilny list do króla. Niechże pan tylko spojrzy na nasz pojazd - powiedział, wskazując pozostawioną w tyle karetę i wymalowany na niej herb.

D'Artagnan dał znak muszkieterom, że mają uwolnić zatrzymanych.

- To przez gorliwość - mruknął. - A teraz zechce mi pan pokazać ten list - zwrócił się do Gabriela, wyciągając rękę przez kratę.

Gabriel skrzywił się i nadal rozcierał sobie przeguby rąk.

- Nie, panie kapitanie, pan Fouquet powiedział mi, że mam go oddać do rąk własnych Jego Królewskiej Mości.

Zmieszany taką zuchwałością, d'Artagnan uśmiechnął się lekko.

- Widzę, panie Bruyant³, że nie brakuje panu pewności siebie. Czyżby był pan w jakiejś części Gaskończykiem? - zapytał, nie cofając wysuniętej przez kratę ręki.

A potem już ostrzej dodał:

- Szybciej, bo czuję, że tracę cierpliwość, panie sekretarzu. Gabriel ani drgnął i nadal wpatrywał się w d'Artagnana.

- Pochodzę co prawda z Turenii, kapitanie, ale wiem, co to znaczy „do rąk własnych”, a sprawa jest zbyt ważna.

- Dość tego! - wmieszał się do sporu człowiek w skórzanych rękawiczkach. - Ma pan list do króla Francji? - dodał, wysuwając się do przodu. - No to niech mu go pan odda i pozwoli mi, na miłość boską, jechać na polowanie.

- Wasza Królewska Mość! - zawołał d'Orbay, poznając nagle Ludwika XIV

Oszołomiony Gabriel przez ułamek sekundy przyglądał się rysom znanym mu już z relacji Luizy i natychmiast dostrzegł w nich siłę charakteru, na którą wskazywały oczy, wąskie usta, a przede wszystkim

³ D'Artagnan przekręca nazwisko Gabriela. *Bruyant* (fr.) - hałaśliwy.

dumnie uniesiona głowa. Wyciągnął z płaszcza list, przykleknął i podał go monarsze.

Król bez słowa wziął list do ręki, spojrzął na pieczęć z wiewiórką i w oczach pojawiła mu się niepewność. Obrócił pismo w rękach, jakby się bał je otworzyć.

- No tak, panie d'Artagnan. Proszę zawiadomić wszystkich, że opóźniamy wyjazd. Chcę wyjaśnić pewną sprawę.

Oddał służącemu kapelusz i płaszcz, ściągnął swoje tak starannie dopasowane rękawiczki, potem odwrócił się i wszedł do pawilonu. Stał jedną nogą na pierwszym stopniu i chyba się rozmyślił, gdyż zwrócił się do d'Artagnana:

- To potrwa chwilę. Proszę wypuścić pana d'Orbaya i jeśli tylko mnie kocha, niechże pamięta, że nie powinien opowiadać swojemu przyjacielowi, panu La Fontaine'owi, bajeczek o gorliwości pańskich muszkieterów.

Architekt skłonił się.

- Jak również panu...

- Gabrielowi de Pontbriandowi - odparł Gabriel, także się kłaniając.

64

Luivr - środa, 12 maja, godzina czwarta po południu

- Proszę, niech pan czyta.

Królowi drżały nozdrza, wykrzywił wargi, nerwowo stuknął obcasem o podłogę i nie odwracając się, wskazał ręką dwa listy leżące na stole do gry w karty.

Colbert, który przed chwilą wszedł do gabinetu króla i został tam tak niemile przywitany, zbliżył się drobnymi kroczkami i delikatnie wziął do ręki jeden z listów.

- A poza tym proszę mi wyjaśnić, gdzie była moja policja! - miotał się król, nie dając Colbertowi czasu na przeczytanie listu. - Od czego są szpiedzy? Co robią, jeśli dopiero naczelny intendent finansów za-

wiadamia mnie o tych ohydnych łotrostwach, których dopuszczono się w moim pałacu. Czy wyobrażasz pan sobie, że tę intrygę przeprowadzono w taki sposób, żeby pan Fouquet z tej czy innej przyczyny nie zdążył wysłać do mnie tego młodego Gabriela de Pontbrianda albo żeby nie mógł on do mnie dotrzeć, do czego zresztą prawie doszło? I pomyśleć, że uwierzyłbym w kłamstwo! Oszukano by mnie i mógłbym się pomylić! Czy pan to rozumiesz, panie Colbert? - ciągnął spokojniejszym już tonem monarcha. - Król Francji splamiłby się niesprawiedliwością! Musiałem więc przerwać polowanie i wrócić tu galopem. Nie zdążyłem się nawet przebrać - dodał, pokazując swoje buty. - Nie, tak być nie może!

W chwili gdy padło nazwisko Gabriela, Colbert aż się zatrzęsł z zaskoczenia. A więc znowu on, ten nieuchwytny podopieczny Fouqueta. W dodatku zajęty - niby przypadkowo - ratowaniem tej intrygantki.

Fouquet, panna de La Valliere i ten młody de Pontbriand bez przerwy mieszają mi szyki - pomyślał, czując, że wzbiera w nim gniew. Ten hultaj de Pontbriand ma przynajmniej nazwisko, sprawa nie jest jeszcze skończona. Trzeba będzie tylko zachować ostrożność. Za wszelką cenę musimy znaleźć te dokumenty wcześniej niż oni. A jeśli je już odnaleźli... - tu Colbert zadrżał - trzeba będzie im je wyrwać. De Gondi nie rzuca słów na wiatr. Najpierw jednak wypadnie się upewnić, że to niepowodzenie z listem nie ma wielkiego znaczenia.

- Oburzenie Waszej Królewskiej Mości jest całkiem słuszne i dziękuję Bogu, że jakaś informacja... zastanawiam się tylko, gdzie leży jej źródło... mogła spowodować interwencję pana Fouqueta. Osobiście nawet nie przypuszczałem, że zna on pannę de La Valliere - dodał na pozór szczerze Colbert.

W odpowiedzi król wzruszył tylko ramionami.

- W gruncie rzeczy najważniejsze jest to, że ten nikczemny spisek został wykryty, zanim wyrządził szkody, choćby były do naprawienia - podjął Colbert, zacierając ręce. - Zbadam oczywiście sprawę tego ohydneho donosu - dodał, wsuwając sobie list do rękawa.

- Do dzieła, panie Colbert - powiedział król, nie patrząc na rozmówcę. - Do dzieła i obyś pan szybko znalazł winnego, gdyż moja

cierpliwość ma swoje granice. Wiem, że potrafisz pan skutecznie działać, a mój ojciec chrzestny dobrze się wyrażał o pańskiej siatce wywiadowczej. Mówił, że jest sprawniejsza od oficjalnej policji. Pożar w Pałacu Królewskim to było coś okropnego. A teraz na dodatek te bezsensowne próby zaszkodzenia dziewczynie, która nikomu nie zrobiła nic złego. A dlaczego? Dlatego, że jest dworką, a moja żona skierowała do niej kilka uprzejmych słów w czasie prezentacji. Czy jednak zdajesz pan sobie sprawę, panie Colbert, na jak podłe oszczerstwo pozwolili sobie ci nędznicy? Przedstawili ją w tym piśmie jako moją kochankę i na dowód tego podali szczegół znany tylko kilku najbliższym mi osobom. Niech pan spojrzy, co piszą o bliźnie, którą mam w górnej części uda. Ma kształt litery S, a pozostawił mi ją jeden z pierwszych upolowanych przeze mnie dzików. To oczywisty dowód, że pismo to podaje nieprawdę.

Colbert opuścił oczy i przytaknął.

- Zresztą mniejsza o to! Trzeba wreszcie z tym skończyć! - oświadczył król. - Niestety, na polowanie już za późno - dodał, wzdychając i spoglądając w stronę okna.

Colbert odjechał, a król został jeszcze na chwilę w swoim gabinecie, rozkoszując się ciszą i spokojem. Napięcie, które go ogarnęło, stopniowo opadało. Powoli i ze zdziwieniem uświadamiał sobie, że w tej ohydnej aferze ważny był nie tyle sam spisek, ile osoba ofiary, czyli panny de La Valliere. Strach, że ta afera mogłaby go zmusić do zerwania słabych jeszcze więzów z dziewczyną, dusił go znacznie mocniej niż obawa, że ktoś mógł go oszukać. Przypomniawszy sobie nauki z czasów, gdy jeszcze wierzył, że uczucia króla mogą znaleźć zrozumienie na dworze, a jego miłość do Marii Mancini da się połączyć z racją stanu. Biedny głupiec, jakże strasznie się zawiódł! No, ale wtedy był jeszcze dzieckiem.

Czasy się zmieniły - pomyślał. Zmieniły.

Sięgnął do dzwonka i tak długo szarpał za sznurek, aż wreszcie w drzwiach pojawiła się czyjaś głowa.

- Papier, atrament, pióro! - zażądał. Widząc zdziwioną minę pokojowca, dodał:

- Słyszałeś? Nie dyktuję. Sam piszę. Ruszaj i pośpiesz się! Szybko!

Szybko. Słowo to samo się narzucało. Nie było już czasu do stracenia. Ten list dziewczyna otrzyma jutro. Spotkają się, gdy tylko będzie to możliwe. I zostanie jego kochanką. Po co udawać? Czas działać! - pomyślał, chwytając za pióro, które w pośpiechu przyniósł mu pokojowiec.

- Konia pod wierzch pod drzwi! - rzucił jeszcze w stronę cofającego się tyłem służącego.

Na jego dumnym obliczu pojawił się uśmiech.

- Bo taka jest nasza wola.

65

Wersal, pawilon myśliwski - środa, 8 maja, północ

Luiza nie spała. Oczy miała otwarte i patrzyła, jak dopala się stojąca obok na okrągłym stoliku świeca. Wyciągnęła rękę i dotknęła ciepłego wosku spływającego do miseczki pod lichtarzem. Płomień zgasł.

Teraz, leżąc nieruchomo, powoli przyzwyczajała wzrok do ciemności i zauważyła, że dostrzega kształty przedmiotów, które jeszcze przed chwilą, gdy pokój tonął w mroku, były niewidoczne. Przez uchylone okiennice słyszała odgłosy nocy i głuchy poszum lasu, przypominający jej Amboise. Światło księżycy padło przelotnie na wielkie zwierciadło nad kominkiem. Wpatrywała się w nie aż do chwili, gdy światło znikło, przesłonięte wiszącym powyżej łóżka baldachimem. Spojrzała na pościel z cieniutkiego płótna i na kapę, zwaloną w połowie na podłogę. Miała ochotę wziąć do ręki dłoni leżącą na tej pościeli i wsunąć swoje cieniutkie paluszki między te palce, żyłaste i mocne, które nawet w czasie snu zwijały się w zaciśniętą prawie pięść. Podniosła się trochę, chcąc spojrzeć na twarz śpiącego - leżał odwrócony do niej tyłem. Znowu poczuła bicie serca i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Mój kochanek - szepnęła, pociągając wskazującym palcem wzdłuż żeber leżącego na boku mężczyzny. - Mój kochanek, a zarazem król Francji!

Stłumiła w sobie wybuch śmiechu, wysunęła się z łoża i podbiegła na palcach do okna. Odsunęła zasłonkę i spojrzała na unoszone wiatrem liście oraz na oblane światłem księżyca chmury przesuwane nad lasem.

Doskonale widziała teraz karafkę z winem i kieliszki, krzesła, na których siedzieli, jak również swoją odzież - zauważyła ją, stąpając po rzuconej na dywan sukni. Przechodząc przed lustrem, drgnęła, ujrzawszy w nim siebie samą, a potem zaśmiała się, wspominając, jak to nie tak dawno próbowała wstydliwie zasłaniać sobie piersi. Podeszła bliżej, opuściła ręce wzdłuż ciała i uśmiechnęła się do swojego odbicia.

- Oto kochanka króla Francji - szepnęła cichutko. Poczula jego dłonie na swoich biodrach i zadrżała.

Odwróciła się do pogrążonego we śnie króla, spojrzała na jego ręce, które jeszcze tak niedawno pieściły jej plecy i nogi. Zarumieniła się, myśląc o jego szorstkich słowach, o jego pocałunkach, tak namiętnych, że były prawie ukąszeniami, o wirze, który ją porwał, gdy poczuła na sobie jego ręce, o dziwnej gorączce, która zdawała się chwytać ją i dokądś unosić. Znieruchomiała, widząc, że śpiący rusza się przez sen, i poczekała, aż znowu znieruchomieje.

Chciałaby tylko wiedzieć, co mu się śni, ale chwilowo nie potrzebowała już jego słów ani żadnego z jego prawie gwałtownych ruchów, które tak ją niedawno przerażały, ale i oczarowały zarazem. „Louise” -wymówił wtedy jej imię z powagą, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziała, dodał, że bardzo bał się ją stracić, ona jednak niczego nie musi się teraz obawiać, bo on będzie się nią opiekował i nie skrzywdzi jej już żaden wróg. „Ani żaden niezastąpiony przyjaciel” - dodał, odzyskując na chwilę dumę, którą tak często można było ujrzeć w jego oczach. Ona nie chciała mu pozwolić, by powiedział, że jest dla niego piękna, a potem zarumieniła się i protestowała, gdy to jednak powiedział.

Och, oby ta chwila trwała wiecznie! Tydzień temu byłam prawie zgubiona, a teraz jestem w sypialni króla jako jego kochanka - myślała w uniesieniu, przestawiając drobiazgi ustawione na marmurowym blacie komody. Kiedy opowiem o tym Gabrielowi? I natychmiast zrobiło się jej głupio na tę myśl. Nie, Gabriel nigdy nie powinien tego wiedzieć, Czyżby oszalała? Oczywiście, uratował ją, ale... I tu przyszedł jej do głowy słowa „ale w innym życiu”. Gabriel de Pontbriand uratował małą Luizę de La Valliere. Ale tej małej Luizy już nie ma - pomyślała, z lubością wtulając się pod ciepłą jeszcze pościel.

66

Paryż, brama przedmieścia Saint-Martin - czwartek, i 9 maja, godzina jedenasta w nocy

Kobieta spojrzała złym okiem na księżyc i na cień, jaki jej postać rzuciła na ogrodzenie ogrodu. Potem szybko nakreśliła na ziemi kilka słów, obeszła je dookoła i natychmiast wytarła, wydając z siebie jakieś ochryple pomruki. Wyprostowała się, splunęła w ręce i zaczęła zasypywać wykopany pod krzakami dołek, w którym leżały trzy bezkształtne paczuszki owinięte w brunatny gałganek. Po zakończeniu tej pracy ubiła powstały pagórek grzbietem łopaty.

Dopiero wtedy pozwoliła sobie na wypoczynek. Podparła się pod boki, a potem wytarła czoło przywiązaną do pasa ściereczką. Nie zwracając uwagi na włosy lepiące się jej do skroni, chwyciła za łopatę i ruszyła w stronę otwartych drzwi w tylnej części jej domku, gdy nagle stanęła jak wryta. Po wyboistej drodze jechał pojazd. Na chwilę wstrzymała oddech, nasłuchując, czy nie zbliża się patrol straży nocnej.

Nie, to tylko ona! W samą porę! Zaśmiała się i pośpieszyła do domu.

- Jestem, już jestem - odpowiedziała z wściekłością w głosie na stukanie do drzwi. - Nie tak mocno!

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i do ciemnego pomieszczenia zastępującego pokój mieszkalny weszła kobieta. Płonący w kominku ogień rzucał słabe światło na drewniany stół i przystawione do niego dwie ławki. Wzdłuż ścian i nad kominkiem ciągnęły się półki i można było na nich ujrzyć przeróżnego kształtu buteleczki oraz stare księgi z zakłębionymi i drewniane lub żelazne skrzynki, powkładane jedne w drugie. Między rdzawoczerwonymi kafelkami posadzki połyskiwały kałuże wody.

Olimpia Mancini opuściła kaptur i z trudem opanowała mdłości, tak bardzo dusił ją panujący w izbie słodki odór.

Gospodyni milczała z obojętną na pozór miną i wpatrywała się w przybyłą kobietę, a jednocześnie wycierała zabrudzone ręce przywiązaną do pasa ściereczką.

- Czym mogę dostojnej pani służyć? - odezwała się najuprzejmiej, jak tylko potrafiła. - Może dostojnej pani coś przeszkadza... coś, od czego potrafiłabym ją uwolnić - ciągnęła, wpatrując się uparcie w skrzyżowane na brzuchu ręce przybyłej damy.

Olimpia spojrzała na nią wyniośle.

- Nie o to mi chodzi. Myślałam, że skoro znasz się na czarach, to potrafisz coś więcej zobaczyć - syknęła ze złością.

Usłyszawszy ten zarzut, kobieta aż się zwinęła.

- Ależ, dostojna pani, istnieją słowa... - wybełkotała.

- Nie znasz mnie, kobieto - przerwała jej Olimpia, chodząc po izbie i wpatrując się w zakurzone buteleczki - ale ja wiem, kim jesteś i jakie uprawiasz rzemiosło. Catherine Voisin, czarownica, trucicielka i fabrykantka aniołków. Przyszłam tu w sprawach, które nie należą do ciebie i nawet nie potrafiłabyś ich sobie wyobrazić. Spróbuj tylko dowiedzieć się o nich coś więcej, a przyrzekam ci, że natychmiast zjawi się w twoim domku policja i zainteresuje się tymi dziwnymi roślinkami, które podlewasz tu nocami w ogródku.

Catherine Voisin zadrżała.

- Jak również innymi pakunkami, których dostarczasz na nocne, niezbyt legalne obrzędy.

Olimpia czekała, aż jej groźby zrobią wrażenie na kobiecie. Potem znowu odwróciła się do niej i dalej mówiła.

- Zresztą jeśli wszystko pójdzie dobrze i będziesz trzymała język za zębami, niczego nie musisz się obawiać. Ani fabryki aniołków, ani czarne msze nie interesują moich mocodawców, interesuje ich natomiast skuteczny i niewykrywalny środek skracający ludziom ich ciężki doczesny żywot.

Catherine Voisin, stwierdzając, że rozmowa znowu dotyczy jej specjalności, odetchnęła z ulgą i przymilnie się uśmiechnęła.

- Tak, tak, rozumiem. Czy jest to silny i szczupły mężczyzna, czy drobna kobieta? Muszę to wiedzieć, by ustalić dawkę, ponieważ zabicie szczura to nie to samo co zabicie psa - przekonywała, patrząc na pełną podejrzliwości minę Olimpii.

Olimpia była w karecie sama. Zaciągnęła zasłonki i wydobyla spod oponczy niewielką szklaną flaszeczkę. Ostrożnie, nie zdejmując rękawiczek, podniosła ją na wysokość twarzy i wpatrywała się przez chwilę w mętny mlecznoniebieski płyn.

Tym razem Colbert będzie zadowolony - pomyślała. Jakże proste jest to życie! A jakie kruche! W uszach huczał jej turkot pędzącego w nocnych ciemnościach powozu, a przed oczyma tańczyła twarz Luizy de La Vallière.

67

Saint-Mandé - poniedziałek, 23 maja, godzina dziesiąta rano

Nicolas Fouquet stał od strony parku na najniższym stopniu białego kamiennego tarasu i nie spuszczał oczu ze swoich dzieci bawią-

cych się w serso. Biegały, szturchały się i popychały, pokrzykiwały wesoło i wybuchały śmiechem, a on patrzył na nie i patrzył i wciąż nie mógł się zdecydować na powrót do swego gabinetu. Zerwał machinalnie czerwony kwiat rosnący we wspaniałym wazonie zdobitym kamienną płytą i zaczął obracać go w palcach, zrywając płatek po płatku.

- Armandzie, zostaw go! - krzyknął groźnie któryś z dzieciaków. Nicolas Fouquet opuścił wzrok i ujrzał gołą łodygę kwiatu. Westchnął, odrzucił ją i odszedł.

Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się przed Fouquetem. Na odgłos kroków gospodarza jego gość, wpatrzony w jeden z wiszących na ścianie obrazów, odwrócił się gwałtownie.

- Witam pana, panie Jabach - zaczął Fouquet. - Bardzo mi przykro, że zostawiłem tu pana przed dziełem niegodnym pańskich oczu! - Zraniłem je, pokazując im tak mało subtelności w porównaniu z tym, co przywykły podziwiać.

Jabach skłonił się nisko. Tak nisko, że jego zawsze ten sam czarny surdut aż się rozciągnął.

- Och, nie, panie naczelny intendencie, jest to naprawdę przepiękny obraz, a temat...

- Pojedynek Horacjuszy z Kuriacjuszami.

- ...artysta przedstawił znakomicie. Zresztą pański dom jest tak gościnny, że nawet szkło przemieniłby w drogocenny kamień - zauważył z uśmiechem Jabach.

- Dziękuję panu za przybycie - powiedział poważnym tonem Fouquet, pokazując w ten sposób, że poruszone zostało sedno sprawy.

- To ja czuję się zaszczycony - odparł Jabach.

- Panie Jabach - rzekł Fouquet, podsuwając rozmówcy krzesło. - Nie będę owijał w bawełnę. Moi pracownicy mówią mi, że dwa weksle wyrównawcze, przekazane na rzecz pańskiego przedsiębiorstwa na sumę... - Wyciągnął rękę do papierów leżących na małym stoliku obok jego krzesła i przejrzał je pobieżnie. - ...na sumę dwustu tysięcy sku-

dów, zostały przez pańskich buchalterów odrzucone. Powiedziano mi również, że dokumenty tej sprawy zostały natychmiast przekazane jednemu z intendentów królewskich, a więc chyba jednemu z moich podwładnych.

Jabach zacisnął wargi i na potwierdzenie tych słów skinął tylko głową.

- A ściślej mówiąc, panu Colbertowi. Najwyraźniej mamy tu do czynienia z nierozwagą, ale również ze zbiegiem okoliczności - dodał oschle Fouquet. - W każdym razie chciałbym niezwłocznie to wyjaśnić w imię szczerości, którą niedawno tak pan wychwalałeś, panie Jabach -dodał jeszcze ostrzejszym tonem.

Jabach bezradnie rozłożył ręce.

- Panie naczelny intendencie, jestem pańskim bankierem, a przez to i bankierem króla. Pańskie dyskonto u mnie jest znaczne i pan o tym wie. Nie powinienes pan jednak prosić mnie o stosowanie innych zasad niż te, które obowiązują w moim zawodzie. Politycy narażają się, panie naczelny intendencie, a bankierzy zarządzają. To bardzo ważny szczegół.

- Co to znaczy? - zapytał lodowatym już tonem Fouquet.

- To, że nie będę mógł udzielać panu pożyczek, nie mając minimalnej choćby gwarancji, gdyż brałbym wtedy na siebie całe ryzyko... i nie miałbym żadnych widoków na zysk.

Fouquet zerwał się z miejsca, trzasnąwszy otwartą dłonią w poręcz fotela.

- Ależ gwarancje są!

- Dla pana są - bronił się Jabach - ale dla skarbu ich nie ma. Nicolas Fouquet jest wprawdzie dobrym i wypłacalnym klientem, ale państwo... zechcesz mi pan wybaczyć tę szczerość, panie naczelny intendencie... otóż państwo jest bardzo niepewnym płatnikiem.

- Nie ma w tym nic nowego!

- W zasadzie nie ma, ale w finansach obowiązują pewne reguły. A one wyraźnie przemawiają za nieudzieleniem kredytu. Zechciej mnie pan dobrze zrozumieć - ciągnął Jabach, podnosząc się z krzesła, jak gdyby chciał odeprzeć widoczny na zaczerwienionych policzkach

Fouqueta wybuch gniewu. - Czy przypominasz pan sobie nasze spotkanie? Mówi pan o szczerości. Czyż nie ostrzegałem pana przed tą niebezpieczną grą, w której wziąłbyś pan na siebie zobowiązania przekraczające pańskie możliwości, i to na rachunek osób trzecich, na których wdzięczność i solidarność nie bardzo można by liczyć. Przecież to pan mi wtedy powiedziałeś, że sprawa ta dotyczyć będzie tylko pana.

- Mówiłem o polityce, ale nie o zdradzie - syknął Fouquet. -A skoro mówisz mi pan o naszej dawnej rozmowie, to zawrzyjmy układ, zgadzasz się pan? Zagrajmy raz jeszcze w pańską grę. Wystrój mojego gabinetu mniej się do tego nadaje niż pańska galeria, ale cóż, na wojnie jak na wojnie.

Na twarzy Jabacha pojawił się smutek.

- Czy nadal pan twierdzi, że wmieszanie się pana Colberta w tę sprawę jest dziełem przypadku i że nie ma to żadnego znaczenia w pańskim nagłym oświadczeniu o niebezpiecznym charakterze moich zobowiązań?

Jabach pokręcił głową.

- Nie powiedziałem, że pańskie zobowiązania są niebezpieczne, panie naczelny intendencie. Nie pozwoliłbym sobie na sprawdzanie, w jaki sposób wykorzystujesz pan swój kredyt, gdy wiem, że jest to korzystne dla skarbu królewskiego. Powiem nawet, że świadczy to moim zdaniem o pańskim oddaniu i rycerskiej duszy. Powiedziałem tylko, że wprawdzie wysoko cenię pański kredyt, ale on też ma swoje granice i dzisiaj są już one osiągnięte. W tym nigdy pana nie zdradziłem. A jeśli chodzi o mieszanie się do tej sprawy osoby trzeciej...

Jabach zawahał się.

- Cóż, niech będzie, skoro gramy, to grajmy do końca. Prawdą jest, że dla niektórych ludzi byłem solą w oku i teraz ci ludzie, wskazując zarówno na kompanie morskie zakupione przez pańską rodzinę, jak i na pańskie inwestycje w Bretanii oraz na budowę zamku w Vaux, tym bardziej mnie nie cierpią. To prawda, ale co miałem zrobić? Przeproszę pana, ale raz jeszcze powtórzę swój argument. Polityka dla polityków, a ja jestem tylko bankierem.

Podszedł do ministra i twardo wpatrzył się w niego swymi czarnymi oczyma.

- Nie jestem niczyją własnością, panie naczelny intendencie. Nie ma w tym zresztą mojej zasługi, gdyż nikt nie chciałby wiązać się ze mną ani z żadnym członkiem mojej rodziny, choćby wspólnotą interesów. Myślisz pan o władzy i o tym, żeby wiernie służyć królowi. Ja takimi sprawami nie zaprzęgam sobie głowy, staram się tylko przeżyć. Widziałem tak wielu swoich ziomków, jak kończyli życie na stosach, że pozbyłem się wrażliwości na pochlebstwa i obietnice.

Teraz Fouquet spojrział w milczeniu na Jabacha.

- Niezajmowanie żadnego stanowiska też jest zajęciem stanowiska, panie Jabach, więc pańskie rozumowanie nie ma podstaw. Oby tylko boskim zrządzeniem mianowanie pana Colberta na stanowisko wiceprotektora Akademii Sztuk Pięknych, czyli wszechmocnego władcę naszego rynku dzieł sztuki, w niczym nie wpłynęło na pańską decyzję.

W oczach Jabacha pojawił się krótki błysk.

- Powinienem był jeszcze dodać, że pozbyłem się również wrażliwości na zniewagę, panie naczelny intendencie - powiedział, kierując się ku drzwiom.

- A to podlec - mruknął Fouquet, patrząc na oddalającego się dumnie małego człowieczka. - La Fontaine niejednokrotnie mi to powtarzał.

Ręce same mu się zacisnęły.

- Trzeba działać, i to szybko, nie ma ani chwili do stracenia. Potrzebny mi jest ten kredyt. Rachunki z Jabachem ureguluję później.

Poczuł wzbierający w sobie gniew.

- Ten podły Colbert! - wykrzyknął.

W pustym pokoju echo odbiło jego słowa. Usłyszał płacz i odwrócił się.

- Tato - szlochał wystraszony hałasem najmłodszy synek. - Marie zabrała serso...

Dampierre - wtorek, 24 maja, godzina jedenasta przed południem

Wiosną Anna Austriaczka lubiła przenosić się do zamku w Dampierre. Wielką przyjemność sprawiały jej długie codzienne przechadzki po parku, kończone pobyt w oranżerii, gdzie rosły róże. W tym roku pozwalała już sobie na krótką popołudniową drzemkę, co zapewne świadczyło o zrozumiałym w jej wieku zmęczeniu. Tego ranka królowa matka była u siebie w buduarze i czytała przy otwartym oknie, by tym pełniej wdychać zapach ogrodu i cieszyć się ciepłem majowego słońca. Miała na sobie czarną suknię, w którą ubierała się od śmieci kardynała Mazariniego. Starzejąc się, odrzuciła wszystko, co mogło za bardzo rzucać się w oczy. Bolała z powodu sposobu, w jaki syn odsunął ją od władzy. Sprawowała przecież kiedyś rządy w tym drogim jej królestwie Francji, tęskniła więc za sprawami państwa.

- Pan Gabriel de Pontbriand - zameldował nieoczekiwanie dawny pokojowiec kardynała, będący obecnie na służbie Anny Austriaczki.

Gabriel wszedł i doskonale wyuczonym, eleganckim i zamaszystym ruchem trzykrotnie zamiótł posadzkę piórem ze swego kapelusza. Ubrany był w nieskazitelnie białą koszulę, a jego ulubione buty z jas-nożółtej skóry sięgały mu aż do kolan i nadawały jego postaci wojowniczy wygląd.

Jaki śliczny chłopiec - pomyślała królowa matka, wyciągając w stronę gościa rękę do pocałowania.

- Witam cię w Dampierre, panie de Pontbriand - powiedziała bardzo uprzejmie. - Przyjmujemy cię tu jak przyjaciela. List polecający od tej uroczej panny de La Valliere znaczy dla nas tyle co glejt - dodała, wskazując gościowi fotel obity jaskrawożółtym aksamitem.

Gabriel, patrząc z przejęciem na pełne dostojeństwa oblicze władczyni, starał się nie okazywać zakłopotania.

- Najjaśniejsza Pani, serdeczność, z jaką mnie przyjmujesz, wprost chwyta mnie za serce. Pragnąłem stanąć tu przed tobą, Pani, przez pa-

mieć dla swojego ojca, Andrego de Pontbrianda, mieszkającego kiedyś w Londynie - zaczął Gabriel, patrząc prosto w oczy królowej matce, a ona tymczasem mocno się zastanawiała, o co gościowi chodzi.

- Londyn to bardzo ładne miasto - przerwała mu i westchnęła, zagłębiając się nagle we wspomnienia.

- Mój ojciec pragnął przed śmiercią, bym przekazał ci, Pani, te dokumenty, bo wtedy nie wpadną one w ręce ludzi, którzy mogliby zrobić z nich niewłaściwy użytek - zaczął Gabriel, wyciągając z zawieszanej na pasie skórzanej sakwy plik przewiązanych czerwoną wstążką dokumentów.

Anna Austriaczka zmarszczyła pytająco brwi. Bez pośpiechu rozwiązała wstążkę i w milczeniu przystąpiła do czytania. Potem zbladła i zaczęła gorączkowo przeglądać pergamin po pergaminie.

- Czy wiesz, młody człowieku... czy wiesz, jakim sposobem twój ojciec mógł to zdobyć? Czy masz pojęcie, jaką wartość mają te dokumenty? - dodała, patrząc Gabrielowi prosto w twarz.

- Tego nie wiem, Najjaśniejsza Pani - bez namysłu skłamał Gabriel. - Wiem tyle tylko, że odkąd te dokumenty znalazły się w moich rękach, zważyło się na mnie mnóstwo kłopotów. Mam wrażenie, że ludzie, którzy ich szukają, gotowi są na wszystko, żeby je zdobyć.

- Kto poza twoim ojcem i tobą mógł mieć dostęp do tych dokumentów, młodzieńcze?

- Nikt, Najjaśniejsza Pani, mogę to przysiąc! Nikt!

- Skąd masz tę pewność? - rzekła królowa matka, a jej twarz nagle się zachmurzyła.

Gabriel postanowił postawić wszystko na jedną kartę i przekazać Annie Austriaczce, co tylko wiedział, nie ukrywając sposobu, w jaki wszedł w posiadanie tych papierów. Opowiedział szczegółowo o napadach na jego osobę. Przedstawił okoliczności, w jakich zginął jego ojciec, ale nic nie wspomniał o jego zabójcach i ich przywódcy. Nie napomknął również o innych dokumentach.

- Dziękuję ci za szczerą, moje dziecko - powiedziała królowa matka, gdy skończył mówić. - Istnienie tych papierów powinno na za-

wsze pozostać tajemnicą. Nie ulega wątpliwości, że twój ojciec za ich posiadanie zapłacił życiem. W trosce o twoje bezpieczeństwo radzę ci zapomnieć o ich istnieniu.

Gabriel, poruszony dostojeństwem i opanowaniem, jakie wykazała królowa matka, wstał i skłonił się przed nią, ona zaś też się podniosła i - rzecz niezwykła - odprowadziła gościa aż do drzwi.

- Drogi chłopcze - powiedziała pełnym wzruszenia głosem - nigdy nie zapomnę, coś dla mnie zrobił. Od tej chwili możesz przyjąć, że jesteś pod moją opieką. Powiedz panie de La Valliere, że jestem jej niezwykle wdzięczna za przysłanie cię tutaj.

- Pozwól mi, Najjaśniejsza Pani, zapytać, czy w swojej niezmierzonej dobroci nie mogłabyś roztoczyć opieki nad panną de La Valliere. Prawdę mówiąc, znacznie bardziej obawiam się o nią niż o siebie -dodał z niewesołą miną Gabriel. - Mam powody sądzić, że pewne wysoko postawione osoby, a niektóre z nich widzisz, Najjaśniejsza Pani, w swoim otoczeniu, bardzo by chciały ją zgubić.

- Ach Boże, cóż to za wiadomość, panie de Pontbriand! Osoby z mojego otoczenia? Jak to mam rozumieć?

- Olimpia Mancini, Najjaśniejsza Pani - odpowiedział półgłosem Gabriel.

Królowa wciąż nad czymś myślała.

- Dobrze, panie de Pontbriand. Wysłuchałam pana i wezmę pod uwagę pańskie słowa. To zresztą bardzo mało w porównaniu z tym, co panu zawdzięczam. Czemu jednak nigdy nie zatroszczysz się pan o siebie?

Gabriel raz jeszcze się skłonił, ale nie odpowiedział. Wychodząc, poczuł, że zrobiło mu się lekko na sercu, i pomyślał, że dobrze zrobił, przychodząc do królowej.

Anna Austriaczka oświadczyła, że chce być sama. Powolutku podeszła do fotela i wzięła do ręki papiery. Przejrzała je kolejno.

Najważniejsze mamy - pomyślała. Dzięki odwadze i wierności de Pontbrianda ci szubrawcy nic nie wskórają.

Wstała i zbliżyła się do kominka. Zadzwonila i kazała służbie rozpalić ogień, a potem cierpliwie patrzyła, jak jeden ze służących wykonuje to polecenie. Podeszła i wszystkie dokumenty rzuciła w płomień. A potem cofnęła się o kilka kroków.

W kominku pałacu w Dampierre płonęło świadectwo jej ślubu z kardynałem Mazarinim oraz metryka króla. Królowa matka stała w milczeniu i płakała.

69

Zamek w Mincennes - czwartek, 26 maja, godzina trzecia po południu

- Róże to wierne przyjaciółki, panie Colbert, a jako towarzyski życia potrafią milczeć.

Colbert uśmiechnął się z wdziękiem - jak mu się wydawało - i podsunął sobie pod nos kwiat, który podała mu Anna Austriaczka.

- Niezwykle cenię tę zaletę, Najjaśniejsza Pani - odpowiedział z ukłonem.

Anna Austriaczka i nowy intendent finansów byli w ogrodzie, gdzie wszystko wyglądało tak, jak królowa matka sobie życzyła, i przechadzali się powoli w cieniu wieży, gdzie znajdowały się jej apartamenty.

- Nie ma ona żadnego znaczenia w spotkaniu, o które pan się starał, panie Colbert - odpowiedziała królowa. - Bo przecież nie po to wyszedł pan z urzędu, odłożył na bok swoje obowiązki i spotkał się ze starszą już kobietą, żeby popatrzeć na kwiaty i trochę sobie pomilczeć.

- Pani! - zawołał Colbert. - Nie jestem ani pochlebcą, ani dobrym mówcą, bo nie starałem się o niczyje względy, wyjąwszy tylko króla i pana kardynała, oby Bóg zechciał przyjąć jego duszę. Nie znasz, Pani, mojego charakteru i zapewne tym właśnie należy tłumaczyć twoją nieufność wobec mojej osoby. Przystąpię więc od razu do sprawy. Chciałem jak najszybciej spotkać się z tobą, Pani, a w dodatku bez świadków,

bo chodziło mi o to, żeby porozmawiać o poważnych wydarzeniach związanych z bezpieczeństwem państwa oraz o wskazówkach, jakich udzielił mi pan kardynał.

Tu Colbert przerwał, licząc, że ujrzy w oczach królowej niepokój lub przynajmniej zaskoczenie. Nie zobaczył ani jednego, ani drugiego.

- Najjaśniejsza Pani, pan kardynał na krótko przed śmiercią zamierzał powiadomić mnie o istnieniu pewnych tajemnic i o obawach, jakie zaczął odczuwać na krótko przed śmiercią, po zniknięciu dokumentów zawierających te tajemnice. Czy mam powiedzieć to jaśniej?

- Słucham pana, panie Colbert - odpowiedziała królowa tonem, w którym można było wyczuć lekkie wzruszenie.

Czyżby Giulio coś mu powiedział? - pomyślała.

- I cóż, Pani, znalazłem te dokumenty i miałem wszelkie podstawy, by sądzić, że ktoś wykradł je z biblioteki pana kardynała wraz z innymi tajemnicami, równie ważnymi, przy czym ten ktoś zrobił to z podpuszczenia niektórych osób, pragnących mieć wpływ na politykę królestwa i działających na rzecz wysoko postawionych osobistości.

- I co jeszcze, panie Colbert?

- Róże są nieme, Najjaśniejsza Pani, ośmielę się więc wymówić przed nimi nazwisko naczelnego intendenta, pana Fouqueta, choć prawdę mówiąc, na razie nie potrafię tego dowieść. Powiedziałem „na razie”, gdyż dowodów mam coraz więcej.

- Przypuśćmy więc, że ma pan te dokumenty, panie Colbert. Przecież natychmiast by mi je pan przekazał? - zauważyła chłodno królowa, tonem osoby, która stara się ukryć swoją nieufność.

Colbert wahał się przez chwilę, nim wreszcie odpowiedział.

- Właściwie wydaje mi się, że rozsądniej było zatrzymać je na pewien czas u siebie, naturalnie z zamiarem ukrycia ich i przekazania w stosownej chwili Waszej Wysokości. W nadziei oczywiście, że nie zostaną użyte jako dowody zbrodniczych zamiarów pana naczelnego intendenta.

Skąd ta nienawiść? - pomyślała królowa - i jak nie wstydzi się tak kłamać? No, chyba że młody de Pontbriand przekazał mi jedynie od-

pisy tych dokumentów. Boże wielki, w głowie mi się nie mieści, żeby ten młody człowiek mógł kłamać. Jeśli jednak Fouquet...

- Chyba zrobiło się chłodno, bo widzę, Pani, że drżysz - szepnął Colbert, czując z radością, że trucizna powolutku działa. - A Najjaśniejszej Pani jak się wydaje, czy linie obronne pana naczelnego intendenta trudno będzie przełamać?

Królowa zauważyła pułapkę i znowu zadrżała.

Nie, na pewno nie - pomyślała. To podstęp, a Colbert bez wątplenia jest zdrajcą i szantażuje mnie. Chce, żebym milczała, bo wtedy i on będzie milczał. Ja dopuszczę do upadku Fouqueta, a on w zamian będzie bronił mojego honoru i mojego syna.

Milczenie przeciągało się i Colbert uznał w końcu, że trzeba je przerwać.

- Nie proszę o odpowiedź, Najjaśniejsza Pani, i zechciej mi wierzyć, że najgorętszym moim pragnieniem jest jak najszybciej wręczyć ci, Pani, te papiery.

Kłamie - pomyślała ze smutkiem królowa. Czy uznam, że Fouquet to buntownik, czy nie będę go broniła z obawy przed groźbami Colberta, wynik zawsze będzie taki sam - to on zwycięży.

Podniosła głowę i spojrzała spode łba na intendenta.

- Muszę panu podziękować, panie Colbert. Istotnie, rzadko mamy do czynienia z możliwością tak wyraźnego rozróżnienia postaw moralnych. Czy widzi pan, jaka jest różnica między panem a człowiekiem honorowym? Otóż niedawno zjawił się u mnie pewien szlachcic mogący kandydować do tego zaszczytnego tytułu. Oddał mi papiery, o których pan wspominałeś, i zupełnie o nic nie prosił, nawet o jakiś zupełny drobiazg. A przecież był to skromny sekretarz, niemający ani stanowiska, ani władzy.

Colbert zacisnął zęby i przełknął gorzkie słowa królowej. A potem odszedł.

Królowa matka odprowadzała go wzrokiem i cała trzęsła się z gniewu.

- Boże, jak miło jest mieć wokół siebie róże - szepnęła.

Vincennes, apartamenty Anny Austriaczki - piątek, 2 7 maja, godzina czwarta po południu

Anna Austriaczka w obawie, że Henryka Angielska, w miarę jak zbliża się dzień jej ślubu z księciem Orleanu, może popaść w melancholię, zaprosiła przyszłą synową oraz cały jej fraucymer na podwieczorek. Panie rozsiadły się wokół królowej matki i słuchały pana Lullego wykonującego na klawesynie swoje najnowsze kompozycje.

- Cóż za talent! - zawołała Anna Austriaczka, żywo oklaskując mistrza, gdy skończył grać. - Pańska muzyka tak bardzo wprawia w zachwyt ciało i duszę, że aż nabrałam apetytu - powiedziała z rozbawieniem, wzywając jednocześnie służbę stojącą po obu stronach drzwi wejściowych. - Podajcie nam, proszę, gorącą czekoladę z cynamonem, chciałabym, aby obecne tu panie spróbowały, jak smakuje to boskie ziarno, podarowane nam przez zacnego pana Colberta - dodała z odrobiną złośliwości w głosie.

Luiza de La Valliere siedziała skromnie gdzieś z tyłu. Miała nadzieję, że korzystając z tego przyjęcia, będzie mogła podziękować królowej matce za tak szybko udzieloną Gabrielowi audiencję, uzyskaną za jej pośrednictwem. Olimpia Mancini, jako ochmistrzyni dworu królowej matki, również była obecna. Dyskretnie przyglądała się wszystkim, a zwłaszcza Luizie.

Chwila, gdy mistrz Lulli skończył swój koncert, wydała się Luizie odpowiednia.

- Najjaśniejsza Pani - rzekła, składając ukłon królowej matce - czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

- Ależ oczywiście, kwiatuszku - odpowiedziała królowa, serdecznie obejmując dziewczynę i odchodząc z nią w stronę okna.

- Najjaśniejsza Pani, tworzy się spisek przeciwko mnie - zaczęła roztrzęsiona trochę Luiza. - Ktoś chce mnie skompromitować, choć nie wiem, dlaczego.

A może to z powodu twoich związków z królem? - pomyślała kró-

lowa matka, w żaden sposób nie zdradzając, że coś wie na ten temat. Ludwik w każdym razie miał dobry gust, bo panienka wygląda prześlicznie i chyba jest niegłupia. Król przynajmniej zapomni przy niej o Marii Mancini.

- Zapewniam cię, Najjaśniejsza Pani - ciągnęła Luiza - że jestem całkowicie oddana rodzinie królewskiej, i nie wierz, błagam, w te rozsiewane przez niektórych oszczerstwa na mój temat.

- Twoje oddanie całej rodzinie królewskiej nie uszło mojej uwagi - odpowiedziała trochę uszczypliwie Anna Austriaczka. - Nie bój się, dziecko, wiem o wszystkich tych podłostkach i nie mają one na mnie żadnego wpływu. Dopóki tu będziesz, zawsze znajdziesz we mnie przyjaciółkę.

Luiza uspokoiła się i złożyła królowej matce głęboki ukłon, opuszczając przy tym wzrok, by ukryć zmieszanie.

- Najjaśniejsza Pani, czekolada.

Do królowej matki i Luizy podeszła Olimpia, niosąc dwie filiżanki z gorącą czekoladą. Jedną podała królowej matce, ta wzięła ją i uśmiechnęła się lekko. Drugą filiżankę podała Luizie.

- Nie, nie, przepraszam, ale to dla pani! - zawołała dziewczyna i odsunęła filiżankę, widząc, że ochmistrzyni dworu królowej matki, podając jej czekoladę, narusza w ten sposób wszystkie zasady etykiety.

- Ależ proszę - odparła nieco zmieszana Olimpia, po raz drugi podając Luizie filiżankę i szeroko się przy tym uśmiechając.

Luiza wzięła filiżankę i już podnosiła ją do ust, gdy powstrzymała ją nagle królowa matka.

- Chwileczkę, moja droga! Pozwól starszej pani mieć kaprysy. Wydaje mi się, że w twojej czekoladzie jest więcej śmietany niż w mojej. Pozwól przeto, że się zamienimy. Ja wprost uwielbiam czekoladę ze śmietaną.

Oszołomiona Luiza grzecznie podała królowej swoją filiżankę.

- Ojej... Najjaśniejsza Pani... - wybełkotała Olimpia. - Nie mo...

- Co się stało? - zapytała oschle królowa matka, wpatrując się w Olimpię.

Olimpia była wyraźnie zakłopotana.

- Co pani jest? - raz jeszcze zapytała królowa matka.

Zrobiła potem krok do przodu i nagle upuściła filiżankę. Naczynie stłukło się, a czekolada szeroko się rozlała.

- O Boże! - zawołała Olimpia.

- Ech, nic wielkiego - zauważyła królowa matka.

- Jeden z obecnych będzie miał nawet uciechę - wtrąciła ze śmiechem Henryka Angielska, patrząc na rozbitą filiżankę.

W rzeczy samej pod zaniepokojonym wzrokiem pani lizał już czekoladę mały piesek, podarowany królowej matce przez króla i mający umilać jej samotność.

Olimpia odeszła, a Luiza skłoniła się królowej i powiedziała:

- Najjaśniejsza Pani, lęk, z jakim otworzyłam się przed Panią, jest jedynym wytłumaczeniem złego wychowania, którego dowiodłam, wciąż jeszcze nie dziękując Pani za uprzejme spełnienie mojej prośby i udzielenie audiencji mojemu przyjacielowi, panu de Pontbriandowi. Szlachetność Waszej...

Królowa nie pozwoliła jej dokończyć.

- Pan de Pontbriand jest prawdziwym szlachcicem, panno de La Val-liere, a do tego uroczym chłopcem - odparła. - Było mi bardzo miło, że mogłam go przyjąć. Wielu ludzi przychodzi do mnie, by o coś prosić, ale takich, co przychodzą, by mi coś ofiarować, jest bardzo niewielu. Tak więc to ja jestem twoją dłużniczką i ja powinnam ci dziękować. Zresztą... Ach Boże!

Anna Austriaczka przerwała na widok pieska. Leżał na grzbiecie z pianą na pyszczku i cały się trząsał. Królowa nie zdążyła nawet podejść, a biedne zwierzątko już nie żyło. Z pyszczka sączyła mu się niebieska ciecz.

71

Zamek w Yincennes - sobota, 28 maja, godzina dziesiąta rano

- Za gorąca! Wciąż za gorąca!

Król ze złością odepchnął cebrzyk z wodą, którą posługacz gotów był już przelać do miedzianej wanny, gdzie siedział monarcha.

- Potrzebuję ciepłej wody, u diabła, a nie wrzątku! Do kaduka, nie jestem świnia do oskórowania!

Posługacz natychmiast wybiegł, potracił cebrzyk, woda wylała się na posadzkę i utworzyła kałużę, nad którą unosiły się wielkie kłęby pary. A król znowu się zamyślił. Za oknem królewskiej łazienki widać było błękitne niebo i rozliczne barwy wybuchającej wiosny - wszystko to rozpraszało chwilowy gniew króla.

Nawet ciągła świadomość, że dla umocnienia władzy trzeba będzie jeszcze mocno się natrudzić, nie mogła zgasić uśmiechu na twarzy królewskiej na myśl o Luizie i spędzonych z nią ostatnich piętnastu dniach. W tej dziewczynie zachwycało króla wszystko - uroda, kipiący temperament, radość życia i spontaniczność.

A w dodatku zostaną wkrótce ojcem - pomyślał, przy czym ta gwałtowna zmiana tematu rozmyślań nie sprawiła mu żadnego kłopotu. I znowu trzeba będzie zająć się polityką - stwierdził, zanurzając się z głową pod wodę, jakby chciał odpędzić od siebie te myśli.

Otworzył pod wodą oczy i pojawiła mu się twarz Marii Mancini, niby blizna po niedoleczonej ranie, przypominająca się co pewien czas zranionemu. Maria, Luiza... Ludwik XIV łączył te dwa imiona w tajemnym zakątku, gdzie umieszczał swoje marzenia młodego mężczyzny, choć nie miał już prawa nim być. A królowa zdążyła już opuścić te ukryte rejony, gdzie zresztą nie czuła się pewnie. Odwiedzanie jej było obowiązkiem króla i tylko jego silna zmysłowość i ogromna żywotność sprawiały, że jakoś je wytrzymał. Wiadomość, że królowa jest w ciąży, uradowała go oczywiście, ale tylko tak, jak uradowałaby go wieść o zwycięskiej bitwie. Jego rodząca się chwała domagała się dziedzica.

- Byle tylko był to chłopak - westchnął po cichu. A potem głośno zawołał:

- Ej tam, wody!

Odgłos kroków świadczył, że ktoś się zbliża. Król, oczekując na porcję gorącej wody, wyciągnął się jak długi na dnie wanny.

- Zaskakuję cię, synu, i proszę o wybaczenie.

Król poznał głos matki, gwałtownie się odwrócił i całe otoczenie ochlapał wodą.

- To ty, Pani? - zdziwił się. - Doprawdy król Francji nie ma ani chwili dla siebie.

- Do rzeczy, synu - odpowiedziała Anna Austriaczka, uśmiechając się i siadając na drewnianym krzeselku, ustawionym tuż przy wannie. -Prawdą jest, że dawno mi się to nie zdarzyło, ale pamiętam, że już kiedyś byłam obecna przy twojej kąpieli, w czasach kiedy nie potrafiłeś jeszcze trzymać nad wodą tylko głowy.

Teraz z kolei uśmiechnął się król.

- Niestety, nie przychodzę tu dzisiaj z tęsknoty i nie po to, żeby wspominać przeszłość. Nie szukałam cię w twoim gabinecie, ale uciekłam się do podstępu, gdyż zmusiła mnie do tego konieczność. Chodziło mi o utrzymanie naszej rozmowy w tajemnicy.

Król podniósł się.

- Niepokoisz mnie, Pani. O cóż chodzi?

Królowa, patrząc na ściągnięte brwi syna, zauważyła jego zmieszanie.

- Nie bój się, synu. Nie przychodzę tu po to, żeby zanudzać cię uwagami o twoim zachowaniu, i nie po to, żeby rozmawiać o twojej małżonce.

Oblicze króla jeszcze bardziej się zachmurzyło.

- Wiesz, synu, co o tej sprawie myślę. Mówiłam ci już o tym, gdy razem z panem kardynałem rozmawialiśmy o jego siostrzenicy, i nie będę już do tego wracała, choć wciąż dochodzą do mnie bardzo niemiłe uwagi.

- Pani, nawet w moim pałacu kwitnie obmowa - burknął król tonem, który wyraźnie wskazywał, że nie zamierza rozmawiać na ten temat. - Wydaje mi się, że i ty padłaś ofiarą oszczerstw.

Matka i syn patrzyli przez chwilę na siebie.

- To prawda, synu - podjęła Anna Austriaczka. - Masz rację, z oszczerstwem mamy do czynienia na co dzień. Jest jednak coś poważniejszego. Zawiązują się spiski, dochodzi do prób zabójstwa. Nawet tu, w twoim pałacu.

Król cały się zatrząsł, słysząc słowa, które aż za bardzo przypominały mu niedawną rozmowę z Colbertem.

- Co takiego? Co mówisz, Pani?

Anna Austriaczka wstała i podeszła do okna.

- Mówię prawdę, Ludwiku. Próbowano niedawno otruć jedną z dworek twojej przyszłej bratowej, której ślub ma się odbyć za kilkanaście dni. W dodatku stało się to w moich apartamentach.

Król otwierał już usta i chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wymówić ani słowa. Wydało mu się nagle, że ściekająca po nim woda zamieniła się w lód. Królowa, nie dostrzegając tego, nadal się skarżyła.

- Bardzo niewiele brakowało, a zginęłaby pewna dziewczyna, i tylko cudem ocalała. Czemuś tak nagle pobladł, Ludwiku? - zapytała obojętnym tonem królowa i odwróciła się jednocześnie. - Wydaje mi się zresztą, że nazwisko tej młodej osóbki nie jest ci obce. To Luiza de La Valliere.

Król wstał i chwycił za ręcznik podany mu przez pokojowca.

- Dość tego, Pani. Nie staraj się mnie przechytryć - powiedział chłodno. - Rozumiem i to, co mówisz, i to, czego nie mówisz.

- W takim razie działaj, Wasza Królewska Mość - odparła tym samym beznamiętnym tonem królowa. - Teraz nie ma znaczenia, co cię z nią wiąże, a co mnie jako matce, świekrze i chrześcijance bardzo się nie podoba. Ważne jest tylko to, że kto uderza w nią, uderza zarazem w ciebie, a tego jako królowa Francji tolerować nie mogę. Naraziłeś tę dziewczynę na niebezpieczeństwo, więc musisz ją ratować, wymaga tego uczciwość. Ale wymaga tego również twoja godność królewska, gdyż uzyskasz w ten sposób większy autorytet.

Król, owinięty ręcznikiem, ze wzruszeniem wpatrywał się w surową i pełną godności postać matki, odnajdując w szczerości jej wypowiedzi to, czym kierowała się przez całe swoje życie.

- Masz rację, Pani - powiedział tylko. Królowa podniosła palec.

- Jeszcze jedna sprawa, synu, zanim wrócisz do swoich obowiązków. O tym, co mówiłam, nie wie nikt oprócz ludzi z mojego otoczenia oraz sprawców tego haniebnego uczynku. Nie powinno to wstrzymać twojego ramienia. Winni zrozumieją karę, a ci, co jej nie rozumieją, poczują strach. I bardzo dobrze. Dowiedz się jednak, że rozmawiałam z pewnym młodym człowiekiem, wydaje mi się, że uczciwym, i czło-

wiek ten wyświadczył mi wielką przysługę, przekazał mi bowiem wiadomość, która powinna kierować twym ramieniem.

- Mów, Pani - odpowiedział król.

- Moja ochmistrzyni, siostrzenica pana kardynała, Olimpia, zapalała z niezrozumiałych mi przyczyn nienawiścią i zazdrością w stosunku do panny de La Valliere. Jestem pewna, że była w tej sprawie tylko ramieniem. A kto był głową? Drzę i wciąż nie mogę uwierzyć oskarżeniom kierowanym w stronę twego brata. Drzę, gdyż musiałabym wtedy przyznać, że nie potrafiłam oduczyć go ani jednego spośród jego ohydnych zbrodni.

- Dość tego, Pani - przerwał król, tym razem już łagodnie. - Pamiętam o swoich obowiązkach i aż za dobrze znam księcia Orleanu, żeby traktować jego słabostki jako zalety.

Królowa przytaknęła w milczeniu.

Przechodząc obok syna, musnęła mu policzek czubkami palców, prawie całkowicie ukrytych wśród koronek przy rękawach.

- Jeszcze słówko. Jak nazywa się ten młody człowiek, który wysunął tak poważne oskarżenia? - zwrócił się król do stojącej już w progu matki.

- Przedstawił mi się jako Gabriel de Pontbriand. Jest człowiekiem pana Fouqueta.

Król patrzył za wychodzącą w milczeniu matką, a potem stłumił w sobie okrzyk wściekłości. Luiza! Odważyli się! A przecież przyrzekł jej, że ją obroni! Jakże był głupi! Jego władza nic tu nie znaczyła. Matka miała rację. A on nikomu nie może już ufać.

Cierpienie powoli przechodziło w gniew, hamowany tylko zdziwieniem, że padło nazwisko jakiegoś młodego człowieka, który próbował ratować Luizę.

- De Pontbriand - szepnął w zamyśleniu. - A do tego jeszcze Fouquet...

Potem krew znowu zaczęła kipieć mu w żyłach i znowu wybuchnął gniewem.

- Strach, niech poczują przede mną strach! - wrzasnął, wychodząc z łazienki pod okiem zaniepokojonych służących, którzy nie odważyli się o nic go pytać. - Zmiażdżę ich wszystkich! Jestem królem i nie potrzebuję już ani rad, ani pomocy, ani poparcia.

Łzy wściekłości piekły go w^T oczy.

- Wszystkich! Poniża mnie sama ich obecność! Wszystkich!

Jakże brakowało mu teraz chrzestnego ojca! Nawet matka wydawała mu się już zagrożeniem dla jego władzy.

- Czy wciąż jeszcze jestem dzieckiem, żeby dopiero matka musiała otwierać mi oczy? Żeby udzielała mi rad, a naczelny intendent mógł chełpić się swoją przebiegłością! Do diabła z nimi wszystkimi! Jestem królem.

Uświadomił sobie, że mówi głośno, i spiorunował wzrokiem swojego pierwszego pokojowca.

- Ubierz mnie - rozkazał - i natychmiast wyślij kogoś po Colberta!

72

Pałac Tuileries - sobota, 28 maja, godzina trzecia po południu

Ludwik XIV nie mógł się uspokoić. Chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie i krzyczał na księcia Orleanu.

- Panie mój bracie, wiedz, że nie będę tolerował żadnych spisków na dworze francuskim! Czasy, kiedy każdy snuł plany takiego czy innego zamachu w korytarzach tego pałacu, minęły raz na zawsze. Słyszysz mnie pan? Minęły na zawsze! Także dla książąt krwi!

- Ale...

- Żadne ale! Bo niby kim pan jesteś, skoro ośmielasz się nastawiać na ludzi z mojego otoczenia? Jesteś pan poddanym królewskim tak samo jak każdy i wymagam od pana takiego samego posłuszeństwa i szacunku wobec mojej osoby, bo w przeciwnym razie... - pienił się król, chwytając w przystępie furii brata za żabot, by mieć jego twarz na wysokości swojej.

Wzburzenie króla było tak gwałtowne, że książe Orleanu zbladł.

- Raz na zawsze, powtarzam, i powinienes pan zrozumieć - kontynuował monarcha, wypuszczając wreszcie brata - że godząc w Luizę de La Valliere, godzisz pan i we mnie. A ja nie pozwolę, żeby ktokolwiek mnie lekceważył, bo byłoby to zniewagą dla państwa. Chciałeś pan zrealizować swój zamiar, ale zarazem ukryć swój udział, postanowiłeś więc posłużyć się Olimpią Mancini.

- Ale... - książe Orleanu raz jeszcze nieśmiało próbował się odezwać.

- Przestań, panie mój bracie, co chwila mi przerywać! - ostro krzyknął król. - Wiadomości przekazane mi przez królową potwierdziło śledztwo... Na moje polecenie przeprowadził je pan Colbert. Myliłeś się, sądząc, że skoro jestem tak przywiązany do siostrzenic kardynała, to mogę wybaczyć im nawet zbrodnię. Olimpia po stokroć zasługuje na śmierć, jednakże przez szacunek dla swojego ukochanego ojca chrzestnego postanowiłem potraktować ją łaskawie i skazać tylko na wygnanie. Jeszcze dziś wyjedzie stąd i zamieszka na prowincji. Będzie tam mogła modlić się za spokój duszy pana kardynała i przez resztę życia prosić Boga o przebaczenie.

Uspokojony już Filip Orleański nic nie mówił, stał ze zwieszoną głową i czekał z drżeniem serca na wymiar kary.

- Panu zaś daję ostatnią szansę wykupienia się w moich oczach i pokazania, że jesteś pan godnym dziedzicem naszego ojca. Tak jak było postanowione, poślubisz pan Henrykę Angielską i poskromisz swoje popędy, tak żeby nasza matka miała mniej powodów do zmartwienia, a wreszcie raz na zawsze uwolnisz się pan od manii knucia spisków -powiedział Ludwik XIV i machnął nerwowo ręką na znak, że to już koniec rozmowy.

Książę Orleanu nie zdobył się na żadną odpowiedź i wyszedł z gabinetu. Ostatecznie wszystko skończyło się dla niego raczej dobrze, przyrzekł więc sobie, że od tej pory trzymać się będzie z dala od wszelkich intryg.

* * *

Ludwik XIV znowu zasiadł przy stole i sięgnął po leżący na nim list.

- Prosić Colberta! - warknął.

Intendent wszedł i skłonił się monarsze aż do ziemi.

- Panie Colbert - powiedział król tonem, w którym wciąż można było słyszeć rozdrażnienie. - Jak najszybciej udasz się pan do Olimpii Mancini i zapoznasz ją pan z treścią tego pisma. Osobiście przypilnujesz pan, żeby moje rozkazy zostały natychmiast wykonane. Olimpia jeszcze przed zapadnięciem nocy ma opuścić Paryż. Czy zrozumiałeś mnie pan?

- Przypilnuję tego, Wasza Królewska Mość - odparł Colbert, zaintrygowany treścią listu.

Po wyjściu z gabinetu króla zatrzymał się na korytarzu pod świecznikiem i przejrzał dokument określający wymierzoną Olimpii karę. Czym prędzej przeszedł do przeciwnego skrzydła pałacu i udał się do apartamentów zajmowanych przez ochmistrzynię królowej matki. Przez ozdobne drewniane drzwi usłyszał szloch dziewczyny. Zapewne księżę Orleanu zawiadomił ją już o jej losie - pomyślał, wchodząc do salonu. Na jego widok Olimpia podniosła krzyk.

- Wszystko powiem! Nie wygrzebiesz się pan z tego! Nie może tak być, żebym tylko ja za wszystko płaciła! Doskonale pan wiedziałeś, co się kroi! - wrzeszczała dziewczyna, podchodząc bliżej i pokazując, do czego jest zdolna.

- Uspokój się, pani - spokojnie, ale twardo odparł Colbert. - Wracasz z dalekiej drogi i twoja niezręczność mogła nas drogo kosztować. Jak mogłaś być tak niemądra, żeby nadstawiać własną głowę? Trucizna to broń delikatna, zbyt delikatna dla ciebie, pani.

- Ale w końcu...

- Nie ma żadnego „ale w końcu”. Nikt nie oczekiwał od ciebie, pani, takiej niezręczności. Bądź szczęśliwa, że wychodzisz z życiem. Wygnanie to nie śmierć. Uprzedzam cię jednak, pani, że ona też potrafi cię dopaść, bez względu na to, gdzie będziesz, jeśli na nieszczęście przyjdzie ci do głowy głupi pomysł i zaczniesz gadać byle co. Krótko mówiąc, wyjeżdżaj stąd natychmiast, po cichu i nie czekając, aż król zmieni zdanie i wyprawi cię na stos.

Olimpia Mancini, wycierając łzy, zrozumiała, że poniosła klęskę i będzie teraz musiała odpowiedzieć za swój czyn.

- Zgoda, wygnanie to nie śmierć. Chciałabym dobrze pana zrozumieć. Nie wiesz pan jednak, jak smutno wygląda u nas zima na prowincji - powiedziała całkowicie już zmienionym i wręcz przymilnym głosem. - Skoro mam milczeć, to czy nie należałoby złagodzić mi trochę to przymusowe oddalenie i zapewnić choć trochę wygód pomocnych w sytuacji, gdy trzeba się skupić i milczeć.

Nie ma dwóch zdań - pomyślał Colbert. Te dziewczuchy Mancinich nigdy się nie zmieniają.

- Wszystko pani dostanie, i to z naddatkiem, postaramy się - obiecał.

73

Luwr - piątek, 10 czerwca, godzina dziesiąta rano

- Pięćdziesiąt trzy armaty żeliwne, w tym cztery gwintowane, produkcji szwedzkiej, jedna kolubryna, sto pięćdziesiąt siedem armat żelaznych, w tym trzydzieści trzy ustawione w fortach i na stanowiskach, dwa żeliwne moździerze i sześćdziesiąt gotowych do montażu lawet okrętowych. Bardzo dobrze - z zadowoleniem powiedział Colbert, spoglądając na stojącego przed biurkiem Perraulta. - Jakim sposobem, u diabła, udało się panu sporządzić ten spis?

- Musiałem się dostać na wyspę, postanowiłem więc wysłać wzdłuż brzegów Bretanii statek z dziesięcioma beczkami wina i winiarzem z La Rochelle na pokładzie. Udało mu się minąć linie obronne wokół posiadłości naczelnego intendenta. A potem wino bez trudu rozwiązało wielu ludziom języki - dodał z miną niewiniątka naczelnik policji.

Colbert, ukontentowany, wetknął nos w memoriał, przygotowany specjalnie dla niego przez Perraulta.

- Siedemset sześćdziesiąt muszkietów z Sedanu, osiemset dziesięć z Leodium, krótkie muszkiety, tysiąc sto siedemdziesiąt granatów, dziesięć tysięcy sześćset siedemdziesiąt trzy kule armatnie wszystkich ka-

librów... Drogi panie Perrault, zachwyca mnie pańska dokładność, ale i niepokoi! - zawołał były buchalter. - Jakim sposobem może pan być pewien tych danych?

- Mój wysłannik na Belle-Île okazał się bohaterem. Winiarz pod pozorem, że przewozi żeliwo, zdołał przekupić buchaltera fortecy, w wyniku czego masz pan przed sobą dokładną kopię pisma, które w ubiegłym miesiącu otrzymał pan Fouquet.

- Doskonale - skomentował Colbert, znowu zaglądając do spisu. - A wszystko to miało być użyte jedynie na wyposażenie okrętów i na obronę faktorii. Wiedziałem, że tak będzie. Fouquet niby to zajmuje się handlem morskim, ale w rzeczywistości tworzy sobie prawdziwą armię, chociaż mamy właśnie pokój - dodał, odkładając papiery na stół. - Zapewnia, że ta droga jego sercu Belle-Île stanie się konkurencją dla Amsterdamu, ale tak naprawdę chodzi mu o zbudowanie wielkiej bazy morskiej, którą w razie potrzeby mógłby wykorzystać jako punkt oporu.

- Oceniam, że przy fortyfikowaniu wyspy pracuje około półtora tysiąca ludzi - ciągnął Perrault, widząc, że były sekretarz kardynała skończył właśnie przeglądać jego memoriał. - Mój wywiadowca twierdzi, że pieniędzy na tę budowę nie brakuje, chociaż nazwisko Fouqueta nigdy przy tym nie pada. Mieszkańcy wyspy mówią co najwyżej o panu Belle-Île. A jeśli chodzi o żołnierzy, to według wyliczeń naszego wywiadowcy jest ich na wyspie około dwustu.

Usłyszawszy tę liczbę, Colbert zaśmiał się szyderczo.

- Dla mnie wszystko jest oczywiste i pański raport tylko to potwierdza, panie Perrault. Człowiek, który chce uchodzić za zwykłego armatora, dbającego o swoje interesy i o rozwój handlu francuskiego, myśli w rzeczywistości o czymś zupełnie innym.

- Chce pan powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że czekam teraz na dalsze dowody tych szachrajstw, bo żeby zacząć proces, muszę mieć mocne podstawy, a sam proces ma być tak głośny, że aż to pana zdziwi - zwierzył się Colbert. - Mam do pana zaufanie, drogi panie Perrault. Wiem, z jakim oddaniem służy pan królowi, i znam pańską niezachwianą wier-

ność. Sądzę przeto, że mogę liczyć na pana w pewnej dość delikatnej sprawie.

Wrażliwy na miłe słowa Perrault skłonił się z szacunkiem.

- Sytuacja jest poważna. Wydaje mi się, że jeśli nie zaczniemy działać, to królestwo nasze stanie w obliczu niemałych trudności. Moment jest dobry, bo mówiono mi, że naczelny intendent finansów przechodzi właśnie atak malarii. Niedawno wraz z całym otoczeniem przeniósł się do swojego zamku w Vaux-le-Vicomte. Zatrzyma się pan po cichu w Saint-Mandé i wykryje wszystko, co uda się panu wykryć i co może okazać się przydatne. Działać będzie pan sam i proszę o rozwagę - zakończył Colbert, zagadkowo się przy tym uśmiechając.

Zmieszany tą prośbą, a jednocześnie mile polechtany udzielonym mu zaufaniem, Perrault nie odpowiedział i tylko skłonił się aż do ziemi.

Colbert odprowadził wzrokiem wychodzącego z pokoju naczelnika policji i nadal się uśmiechał. Stał przy otwartym oknie, przez które wdzierał się do pokoju ciepły strumień promieni słonecznych.

No to wiewiórka wpadła w potrzask! Niech tylko Perrault dostarczy mi jeszcze kilka dowodów, a król nie będzie mógł dłużej zwlekać. Nie, ten przeklęty Fouquet już się nam nie wymknie. Mam wszystko, co potrzebne do wszczęcia procesu, i pan naczelny intendent już się nie wybroni - pomyślał Colbert, uderzając pięścią w memoriał opisujący uzbrojenie zmagazynowane przez Fouqueta na Belle-Ile. Zwłaszcza że już wkrótce któryś z moich ludzi odkupi od niego urząd prokuratora, a wtedy Fouquet do reszty straci wszelki wpływ na sędziów. A potem, zanim doprowadzę do jego aresztowania, pozostanie mi tylko uporać się z możliwymi zastrzeżeniami królowej matki. To nie pójdzie tak łatwo, ale nie takie rzeczy już robiłem. Zresztą niepokój, jaki przeżywa po naszych ostatnich rozmowach, będzie działał na moją korzyść. Anna Austriaczka z bólem serca, ale jakoś poświęci wiewiórkę, choć prędzej dałaby sobie rękę uciąć niż zrobić coś, co mogłoby zaszkodzić

jej synowi. Doprawdy, jakież to piękny dzień! - zakończył swoje rozważania Colbert i wstał, by z bliska popatrzeć na ogrody Luwru i nacieszyć się ciepłem słonecznego dnia.

74

Luwr - niedziela, 72 czerwca, godzina jedenasta rano

- No już, dawać go tu! - rozkazał zniecierpliwiony, ale i rozradowany król, wyciągając jednocześnie rękę w skórzanej rękawicy.

- Czy Wasza Królewska Mość jest pewien, że ta rękawica dobrze się trzyma? - z niepokojem zapytał d'Artagnan.

- Panie kapitanie moich muszkieterów, nie jestem z cukru, żeby trzeba było osłaniać mnie z tak bliska - mruknął lekceważąco król, odsuwając się jednocześnie. - No to już, niech mi go pan wreszcie poda.

W tejże chwili do gabinetu króla wszedł Colbert, a widząc podchodzącego do monarchy człowieka, odruchowo się cofnął.

Królewski sokolnik miał na ręce taką samą skórzaną rękawicę jak król, a na ręce siedział mu sokół i gorączkowo bił skrzydłami, rozpościerając je na ponad łokieć. Sokolnik stanął ramieniem obok króla i próbował przesunąć wczepionego w jego rękawicę ptaka na rękawicę Ludwika XIV. Młody monarcha z zaciekawieniem i zachwytem na twarzy wsłuchiwał się w wydawane przez sokolnika słabe świsty. Kierowane były do krwiożerczego ptaka, którego głowa, okryta czarnym skórzanym kapturem, wykonywała od czasu do czasu nieregularne ruchy. Colbertowi wydało się, że widowisko to nigdy się nie skończy. Schronił się za stołem, położył na nim żółtawą wypchaną walizeczkę i nie spuszczał z oczu tej ceremonii. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że jest ona profanacją tego miejsca, gdyż dzikość i krwiożerczość zastąpiły to, co dominować tu powinno, a mianowicie inteligencję, wyliczenia i celowe działania.

Teraz król chodził tam i z powrotem po gabinecie i wpatrywał się

w sokoła wczepionego w rękawicę osłaniającą wyciągniętą pięść monarchy, a z jego twarzy promieniowała prawie dziecięca radość.

- Powiedźcie wysłańcowi, że jestem zachwycony tym prezentem - powiedział, wciąż przyglądając się ptakowi.

Gdzie tylko podszedł, wszędzie słyszał szmer podziwu i wyraźnie sprawiało mu to przyjemność.

- No to trzeba będzie zamówić odpowiedni obraz - dodał. Zauważył Colberta i patrząc na jego wykrzywioną twarz, raz jeszcze się uśmiechnął.

- No i co, panie Colbert, widzi pan, co otrzymałem z Turcji? Czyż nie jest to coś wspaniałego?

Colbert ze wszystkich sił starał się nie zamykać oczu, ale sokół rozwinął nagle skrzydła i zaczął przeraźliwie skrzeczeć, prosto w twarz ministrowi.

- Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość - potwierdził, kłaniając się z szacunkiem.

- Zauważam lęk na pana twarzy, czyżby jego przyczyną był ten ptak? - zagadnął król.

Colbert zaprzeczył.

- Och, bynajmniej, Wasza Królewska Mość, ale ja mam na głowie inne sprawy, tym ważniejsze, że dotyczą i królestwa, i osoby Waszej Królewskiej Mości.

Przywołany do rzeczywistości, Ludwik XIV rozchmurzył się.

- To prawda, panie Colbert, pracy mamy po uszy. Nie mogę mieć do pana żalu, choć nieczęsto zdarzają mi się chwile radości. Mówisz pan, że sprawy są poważne - powiedział król, wyciągając rękę w stronę sokolnika.

- Nawet bardzo poważne, Wasza Królewska Mość - przyznał Colbert. - Wiesz, Najjaśniejszy Panie, że nigdy nie odważyłbym się przeszkadzać mu w jego zajęciach, ale mam niezwykle ważne po temu powody.

Król uśmiechnął się.

- To dobrze, panie Colbert. Pan kardynał powiedział mi kiedyś, że jesteś pan niezmordowany w pracy, ale smutny jak dzień jesienny.

Colbert zniósł docinek i ani drgnął.

- No to do pracy, panowie - oznajmił król, dając obecnym znak, że mogą się rozejść, a jednocześnie ktoś ze służby ściągnął mu z dłoni skórzaną rękawicę.

- No to jak, panie Colbert? - zapytał król, gdy znalazł się z nim w gabinecie i mógł wrócić do swoich podstawowych obowiązków. - Czegóż więc mamy się obawiać?

- Spisku, Wasza Królewska Mość, i buntu.

Król zaciskał zęby i nie mógł oderwać oczu od rozłożonego na stole planu. Były na nim dokładnie zakreślone kontury Belle-Île z wieżyczkami i całą siecią umocnień. Wyraźnie widać było port z zaznaczonymi z grubsza statkami. Na poszczególnych odcinkach umocnień kolumny cyfr informowały o zapasach amunicji i uzbrojenia, były również wypisane nazwiska żołnierzy. Król ze złością podniósł plan, wyciągnął spod niego mapę w mniejszej skali przedstawiającą Bretanię aż po Nantes. Tu także z taką samą dokładnością zaznaczono umocnienia i dostępne środki bojowe. Colbert przerwał milczenie i król spojrzał na niego.

- Wasza Królewska Mość, ja też nigdy nie uwierzyłbym tym dokumentom, gdybym nie był pewien ich pochodzenia i gdyby nie zamykały łańcucha oskarżeń. Musiałem jednak przyznać rację faktom. Tak, pan Fouquet szachruje w swoich rachunkach, utożsamiając własną szkatułę ze szkatułą Waszej Królewskiej Mości i nawiązując do swoich dawnych metod, kiedy to starał się nam wmówić, że pan kardynał, Boże, świeć nad jego duszą...

W tym miejscu Colbert podniósł oczy ku niebu, złożył ręce i wypowiedział kilka brzydkich słów.

- ...jako jedyny ponosi tu odpowiedzialność. Tak, panu Fouquetowi jego bretońska posiadłość potrzebna jest po to, żeby mógł przewozić swoje zasoby do Ameryki i do Indii, w czym pomagają mu kompanie handlowe. I jak gdyby wszystkie te kradzieże, oszustwa, sprzeniewierzenia, wszelkiego rodzaju oszczerstwa, a do tego próby skompromi-

towania w tym szale istot niewinnych lub lekkomyślnych, takich jak ten młody de Pontbriand lub panna de La Valliere, u której tak długo przesiaduje, na co mamy dowody... Król, słysząc te słowa, nagle zbladł.

- ...i jakby tego wszystkiego, powtarzam, nie było dosyć - ciągnął Colbert, starannie ukrywając swoje zadowolenie - pan naczelny intendent, nie licząc tych haniebnych czynów, grozi buntem przeciwko swojemu królowi, a na wypadek gdyby jego niecne sztuczki wyszły na jaw, zakłada sobie zapewne w Bretanii bazę tyłową, żeby w razie powstania mieć punkt oparcia.

Colbert już ledwie dyszał. Ściszył głos i wreszcie zamilkł. Król, blady, wciąż się nie ruszał. Przytłoczony taką masą zręcznie spreparowanych dokumentów i faktów, mających ukryć nieścistości, półprawdy i kłamstwa, czuł, że ogarnia go głębokie znużenie. Nigdy z tym nie skończę - pomyślał z przerażeniem. Zawsze będę musiał bać się podstępów i spisków.

Spojrzał na Colberta i ujrzał jego pełne zawiści oblicze oraz błyszczące oczy.

- A oto dowody - podkreślił intendent - wskazując teatralnym gestem na stertę wydobytych z teczki dokumentów.

- No dobrze - z rezygnacją i ciężkim westchnieniem powiedział król i dodał jeszcze: - Należałoby oczyścić nasze czasy.

Colbert spojrzał pytająco na króla i usłyszał odpowiedź:

- Niech pan starannie zamknie te papiery w jakimś kufrze. Król ruszył do wyjścia, ale w progu jakby się rozmyślił.

- Kardynał nie oszukał mnie, panie Colbert. Nie zapomnę jego słów. Colbert uklonił się nisko. Gdy wyprostował się, króla już nie było.

Podszedł więc do stołu i zaczął zbierać, a potem segregować dokumenty, tak żeby właściwie ułożyć je w swojej walizeczce. Gdy skończył, spojrzał z zadowoleniem na pusty pokój.

- Smutny jak dzień jesienny - mruknął, wzruszając ramionami. - Mniejsza z tym, bylebym tylko osiągnął swoje.

Zapiął walizeczkę, wziął ją pod pachę i ruszył w stronę drzwi. Wyszedłszy na korytarz, ujrzał przez okno stojącego na dziedzińcu pała-

cowym króla otoczonego tłumem dworzan, których ściągnął tu pokaz polowania z pięknym sokolem. Drapieżny ptak zerwał się z ręki sokolnika, gdy tylko zdjęto mu z głowy kaptur. Błyskawicznie dopadł gołębia wypuszczonego z niewielkiej, wplecionej z sitowia klatki i chwycił go w swoje szpony, wydając przy tym ostry krzyk. Tłum wydawał okrzyki zdziwienia i strachu, a sokół zataczał tymczasem w powietrzu współśrodkowe kręgi, nie wypuszczając gołębia ze swoich potężnych pazurów.

Colbert skrzywił się z niesmakiem i ruszył wzdłuż wyłożonego złotą boazerią korytarza.

- Oczyszczyć nasze czasy? - powtórzył półgłosem.

75

Vaux-le-Vicomte - środa, 7 sierpnia, godzina szósta wieczorem

- Do diabła z takim, pozał się Boże, kucharzem!

Już po raz chyba dziesiąty Vatel, kucharz zamku w Vaux-le-Vicomte podnosił dwuzębowy widelec i z niezwykłą łatwością obracał nim piekące się nad ogniem różnorakie mięsa. Kuchnia mieściła się w ciemnych podziemiach zamku i widoczna w blaskach płomieni postać kucharza, powiększona o tańczący na ścianach cień, wydawała się wyolbrzymiona.

- Ile razy muszę wam jeszcze powtarzać, że nie wolno piec tego mięsa na mocnym ogniu, chyba że chcecie je przypalić albo odebrać mu całą jego soczystość.

Skuleni za piecami kuchcikowie z niepokojem patrzyli na ten nowy wybuch gniewu.

- A co z tymi wypiekami?! - wydzierał się kuchmistrz, tocząc swoje tłuste cielsko w stronę babek i ptysiów, poukładanych kunsztownie na długich miedzianych tacach. - Nie, tak być nie może!

- Jezus, Maria, Józefie święty! - westchnął po cichu kuchcik stojący najdalej od mistrza.

- Jezus, Maria, Józefie święty! Koniecznie chcecie wpędzić mnie do grobu! - odpowiedział jak echo Vatel, choć niczego przedtem nie usłyszał.

Westchnął, twarz mu się zaczerwieniła, trochę od ognia, a trochę z gniewu, na chwilę się załamał i wytarł pot spływający mu z czoła i policzków.

- Ruszcie się, niedojdy! - krzyknął. - Za godzinę wszystko ma być gotowe! Będzie król, kucharczycie tu dla króla! Pokażcie, do pioruna, co umiecie!

Ostatnie słowa przedostały się przez okienko piwniczne i wywołały uśmiech na twarzy Gabriela de Pontbrianda.

Biedny Vatel - pomyślał Gabriel, dochodząc do głównych drzwi. Przekleństwo wypiekom, które mogą tak strasznie męczyć istotę ludzką.

Raz jeszcze poczuł lęk, który przez ostatnie dni prawie nigdy go nie opuszczał. Byli już blisko celu i jeśli wszystko ułoży się tak, jak liczył, to ten wieczór oznaczać będzie początek nowych czasów. Emocje kłębiły mu się w głowie jak białe chmury na horyzoncie. Dziś wieczorem spełni się marzenie jego ojca.

Skacząc po kilka stopni naraz, popędził w górę po schodach, próbując znaleźć Fouqueta. Z wysokości tarasu roztaczał się wspaniały widok. Gdzie spojrzeć, wszędzie uganiały się drobne postaci zajęte ostatnimi przygotowaniami do zabawy. Gabriel skrzywił się, poznając aktorów, swoich dawnych towarzyszy z teatru. Obstąpili ze wszystkich stron Moliera, on zaś tak gwałtownie machał rękami, że wyglądał jak mały pajacyk. Tego dnia Gabriel już go widział, gdy rano towarzyszył Fouquetowi sprawdzającemu stan przygotowań Chłód, z jakim wielki komediopisarz powitał gospodarza, najpierw mocno dotknął Gabriela, a potem utwierdził go w przekonaniu, że opatrność dobrze nim pokierowała. Bliżej, między drzewami, widać było robotników. Fouquet pokazywał im, jak mają budować fontanny, skały i wodospady, gdzie ustawiać rzeźby i różne urządzenia

mechaniczne. Muzykanci zajmowali miejsca na obrzeżach trawników. Gabriel odwrócił się i ujrzał tłum gości zbliżających się powoli do zamku i przechodzących właśnie przed złoconą kratą z herbem naczelnego intendenta. Serce mu biło, a jednocześnie szeroko otwierał oczy, próbując wypatrzeć w pstrokaciźnie sukien i innych ubiorów twarz Luizy.

Z zamyślenia wyrwał go dobrze mu znany głos La Fontaine'a.

- No i co, Gabrielu? Czy to w takim stroju będziesz witał króla? Cały dwór ciśnie się do wejścia, a ty nawet nie włożyłeś kamizelki.

Gabriel pochylił głowę, spojrzął na swoją koszulę i podskoczył w stronę schodów.

- Zabawny dzieciak - mruknął poeta, patrząc na biegnącego Gabriela.

Skakał po cztery stopnie naraz, starając się zawiązać niebieską jedwabną wstążkę opasującą mu kołnierz. Potknął się i niewiele brakowało, a wyłożyłby się jak długi; zawadził o kamienną balustradę, usłyszał suchy trzask rozdzieranej tkaniny i wylądował na podeście pierwszego piętra.

- U diabła, mój rękaw! - burknął z gniewem, stwierdzając, że ma rozdarty żakiet. - Trudno - skwitował, wstając.

Wyjrzał przez okno i zdrętwiał. W odległości najwyżej stu kroków ujrzał wysiadającego właśnie z karety króla. Monarcha trzymał w ręce laskę z gałką, miał na sobie obcisły strój ze złocistego jedwabiu, a głowę przykrywał mu czarny kapelusz z białymi piórami. Stał już na ziemi i uśmiechał się, słysząc powitalną mowę pochylonego w niskim ukłonie Nicolasa Fouqueta. Gabriel, widząc, że aktorzy właśnie ruszają, zbiegł po schodach, dostał się na tylny taras i popędził okreśną drogą, by niezauważenie przyłączyć się do orszaku. Wysunął głowę ponad sunący za królem tłum dworzan, ujrzał Fouqueta z ożywieniem opowiadającego monarsze o upiększeniach i pracach wykonanych w Vaux. Wspaniałe ogrody z okien zamku widać było tak wyraźnie, jakby wszystkie jego ściany były przezroczyste. Król stał nieporuszony i tak uporczywie

wpatrywał się w zamek i górującą nad nim kopułę, że Gabriel poczuł klucie w sercu.

Byle tylko zachować odrobinę zimnej krwi - pomyślał Gabriel, zagryzając wargi. To jeszcze nie czas. A co robi d'Orbay? Jeśli wszystko pójdzie dobrze, na pewno się tu znajdzie.

- Gabrielu!

- Luizy! - wykrzyknął Gabriel, zauważając przyjaciółkę, która, walcząc z naporem masy ludzkiej, machała mu ręką.

Rozpychając się, zdołał wreszcie dotrzeć do dziewczyny i wyciągnąć ją z tłumu.

- Stałeś się panem bardzo ładnego zamku - powiedziała mu ze śmiechem.

Gabriel nie mógł oderwać oczu od jej pięknej, haftowanej złotymi nićmi sukni, od jej błyszczących oczu i jasnej karnacji.

- Drwij sobie ze mnie, ty zimna dziewczyno, trzeba nie było jakiej okazji, żebym mógł cię zobaczyć. Bez reszty należysz już do dworu - powiedział z wyraźnym smutkiem w głosie.

- Skądże znowu! To ty jesteś nieuchwytny!

- Najtrudniej uchwytne jest ten, o kim już nie myślimy - odpowiedział Gabriel, tym razem poważnie. - Doskonale wiesz, że jestem tam, gdzie mnie wzywają.

Słyszając tę aluzję, zarumieniła się.

- To prawda - przyznała. - Ale przecież to ty uciekłeś z Amboise i opuściłeś mnie. A potem to ja cię odszukałam.

Teraz z kolei uśmiechnął się Gabriel.

- Idź już - powiedziała mu, widząc, że odruchowo odwraca głowę, by zobaczyć idących razem króla i Fouqueta. - Nie pozwól, żeby pan naczelny intendent czekał na ciebie. Ja zresztą też muszę odszukać swoją panią.

- Do zobaczenia na przedstawieniu! - krzyknął na pożegnanie.

W oddali promienie słońca odbijały się od błyszczącego stroju króla Francji.

Ostatni goście, zagubieni w zakątkach parku w czasie pokazu bijących wodotrysków, wracali na salony, gdzie Vatel kazał tymczasem ustawić stoły do wieczerzy.

Goście tłumnie cisnęli się do kaczek i pulard, do wszelkiego rodzaju pieczeni i niezliczonych przystawek, do koszów z owocami i apetycznie prezentujących się wypieków.

Z sąsiedniej sali podniosły się okrzyki zachwytu. Po przyjściu króla Fouquet odsłonił tu wspaniały portret monarchy, ukazujący jego postać

na całą wysokość.

Król usiadł na podwyższeniu, skąd mógł widzieć wszystkie przybyłe tu osoby, i skinieniem głowy serdecznie pozdrawiał takiego czy innego gościa, a spośród obecnych każdy pchał się, jak mógł, byleby tylko znaleźć się w jego polu widzenia. Siedząca obok monarchy królowa matka nie wytrzymała chyba upału, gdyż na jej bladej twarzy malowało się zmęczenie, niczego nie chciała jeść i tylko energicznie machała swoim hiszpańskim wachlarzem.

Fouquet stał przy drzwiach od strony ogrodów i zbierał pochwały od wchodzących, a wszyscy byli tak zachwyceni tym, co ujrzeli, że aż oczy im błyszczały.

- Rozrzutność - skomentował ktoś stojący z tyłu.

Fouquet odwrócił się i ujrzął Colberta. Intendent stał oparty o pilaster i trzymał w ręce kieliszek czerwonego wina.

- Czyż można wyobrazić sobie coś, co byłoby zbyt piękne na przyjęcie króla? - odparł Fouquet, spokojnie, ale tonem, w którym wyczuwało się szczyptę wrogości.

W odpowiedzi Colbert podniósł kieliszek i kiwnął głową.

- Zechce mi pan wybaczyć - lodowato ozwał się Fouquet - ale muszę właśnie sprawdzić, czy Jego Królewska Mość jest już gotów udać się na przedstawienie przygotowane dla nas przez pana Moliera.

Fouquet odwrócił się i odszedł. Nie widział, jak Colbert wbija mu w plecy oczy jak sztylety.

Vaux-le-Vicomte - środa, 17 sierpnia, godzina dziewiąta wieczorem

Przytłumione odgłosy zabawy docierały aż do posągu Herkulesa. Ukryty w jego cieniu Gabriel wsunął dźwignię pod kamienną płytę połączoną z cokołem pomnika i z całej siły ją naciskał. Przerwał na chwilę, by znowu nabrać sił, odwrócił się i spojrzął na filujące światła w przeciwnym końcu ogrodów. Goście patrzyli teraz w stronę zamku. Gabriel spojrzął w górę i przez chwilę wpatrywał się w ciemnoniebieskie niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki, ogromny księżyc w pełni rzucał na ziemię swoje żółte, prawie białe światło.

Gabriel napinał mięśnie i znowu starał się poruszyć dźwignię. Kamienna płyta drgnęła i powolutku, z głuchym skrzypieniem zaczęła się obracać. Odsłoniła ciemny korytarz wiodący do sieci kanalizacyjnej obsługującej zbiorniki wodne i wodotryski parkowe.

Gabriel wymacał nogami wmurowane w ścianę żelazne uchwyty. Potem wyciągnął z ziemi pochodnię wbity po drugiej stronie cokołu, tak żeby z pomieszczeń pałacowych nikt nie mógł go widzieć, i zaczął schodzić w głąb studni.

Ostrożnie stąpając po zardzewiałych i wilgotnych prętach, poczuł, że odór cuchnącej wody zaczyna go dusić. Wsunął ramię pod żelazny pręt i naciągnął na twarz chustę, osłaniając sobie w ten sposób nos i usta. Teraz mógł już schodzić niżej.

Pomyślał o Fouauecie i d'Orbayu. Obecnie wszystko zależało od niego. Znowu ujrzał poważnie zaniepokojoną twarz d'Orbaya.

- Nicolas nie będzie mógł na długo wyjechać. Jego nieobecność za bardzo rzuciłaby się w oczy, zwłaszcza że nic nas nie osłania przed czujnym okiem ludzi Colberta. Tak więc to ty udasz się po tę formułę, tam gdzie ją ukryłeś po powrocie z Londynu. I to ty zajmiesz się przemianą. Ja tymczasem spreparuję odpowiednie rośliny w pokoiku nad kopułą. Znajdziesz je pod belkami rusztowania, tam gdzie ci pokazałem. Dostęp do pomieszczenia nad kopułą będzie miał tylko pirotechnik wystrzeliwujący petardy, ale jest to nasz człowiek. Ognie sztuczne zawsze

mogą wybuchnąć, będą więc trzymały ludzi na odległość nie gorzej niż gwardziści na schodach. Punktualnie o dziesiątej księżyc zajmie optymalne położenie nad kopułą i będziesz musiał być wtedy gotów. Zejdiesz potem do pokoju Nicolasa. Będzie na ciebie czekał, bo chce mieć pewność, że ci się powiodło.

Noga obsunęła się nagle Gabrielowi na śliskim pręcie i już by upadł, ale zdołał się jakoś utrzymać. Dla złapania oddechu przerwał na chwilę schodzenie, potem znów zaczął się opuszczać.

Poczuł wreszcie twardy grunt pod nogami, zszedł więc z drabiny i zapuścił się do otwierającego się przed nim tunelu. Plusk cieknącej w przewodach wody tak mocno odbijał się od ścian, że Gabrielowi zaczęło dudnić w uszach. Uważnie liczył kroki, starając się, by miały jednakową długość. Zatrzymał się wreszcie i odwrócił w prawo. Oparł pochodnię o ceglana ścianę, wyjął z pasa sztylet i zaczął wydłubywać cegłę położoną na wysokości jego bioder. Bezgłośnie spadła na spąg. Gabriel wsunął rękę w zagłębienie i wydobył stamtąd niewielką skrzyneczkę. Włożył ją do zawieszanej na szyi torby i ruszył w drogę powrotną.

- Spóźnia się - warknął nerwowo d'Orbay.

Fouquet przymrużył oczy, osłaniając je przed podmuchami letniego wiatru, i z uśmiechem odwrócił się do architekta.

- Uspokój się, za chwilę tu będzie.

Chwycił d'Orbaya za ramię i pokazał mu człowieka biegnącego wzdłuż zabudowań gospodarskich.

- Spójrz, widzisz go? Musi dobiec już tylko do kopuły, za pięć minut tam będzie.

Fouquet wyciągnął z kieszeni niewielki, płaski srebrny zegarek i spojrzał na niego z bliska.

- Za dwadzieścia dziesiąta, znakomicie!

Zamilkli i znowu wpatrywali się w widoczny z tarasu krajobraz. Światło księżyca mieszało się z odblaskami zabawy i rzucało na ziemię ruchome cienie drzew i krzewów. Wkrótce obaj zmieszali się z tłumem.

W chwilę później Gabriel pokazał się na balkonie kopuły. Spojrzał na księżyc, następnie wszedł pod dach, ale niebawem wrócił, ściskając nabożnie w rękach czarną skrzyneczkę.

Wszystko gotowe - pomyślał z przejęciem, unosząc wieczko i odsłaniając dwanaście przegródek z proszkiem, przy czym w każdej przegródce proszek miał inny kolor. Mamy tu wszystkie składniki, osiem ziół, sproszkowane złoto, wodę, oliwę i mirrę.

Odłożył skrzyneczkę, wziął do rąk leżącą na podłodze lunetę, zakończoną czymś w rodzaju tarczy zegarowej, i przyłożył ten instrument do oka.

Odstawiając lunetę, poczuł, że cały się trzęsie, i wytarł sobie pot z czoła.

Rozwinął jeden z papierków ukrytych w mechanizmie wodotrysku, przeczytał pierwszy wiersz, sięgnął potem do skrzyneczki, wziął z którejś przegródki szczyptę proszku, następnie wrzucił go do szklanej probówki, by dokładnie odmierzyć jego ilość.

Postępował zgodnie z przepisem i czuł, że stopniowo ogarnia go podniecenie. Serce biło mu coraz mocniej.

Na koniec zalał zioła oliwą i wodą, potem cofnął się i spojrział na zegarek pożyczony mu przez d'Orbaya. Pokazywał godzinę dziesiątą bez jednej minuty.

Gabriel wziął ostrożnie do ręki naczynie, w którym zmieszał uprzednio zioła, i przytrzymał je nad miedzianą rynienką. Wykorzystując białe, prawie nieziemskie światło księżyca, wpatrzył się w trzymany przed oczyma pergamin. Gdy poczuł na twarzy podmuch wiatru, przechylił naczynie i jego zawartość spłynęła powoli do rynienki. Mętna i gęsta ciecz wylała się na rękopis, wciskając się między wchłaniające ją kartki. Gabriel na chwilę zmrużył oczy. Gdy je otworzył, zajrzał do rynienki i stwierdził, że pergamin wchłonał całą ciecz.

Dotknął kodeksu - wydał mu się całkiem suchy. Ostrożnie wziął go do ręki. Przez chwilę się wahał i chciał go otworzyć, ale spojrzawszy

w dół, ujrzał, że pierwsi goście, prowadzeni przez służbę z pochodniami w rękach, idą już w stronę wzniesionej na skraju lasu estrady, na której miał wystąpić zespół Moliera. Wtedy zmienił zdanie. Wszak Fouquet wykorzystał z pewnością tę chwilę i gdzieś zniknął pod pretekstem, że musi raz jeszcze wszystko sprawdzić, król bowiem udawał się właśnie do swoich apartamentów, żeby trochę sobie odpocząć, a widzowie zajmowali tymczasem miejsca. Niewykluczone, że naczelny intendent był już u siebie w pokoju.

Gabriel zawinął kodeks w kawałek białego batystu, zbiegł pędem po krętych schodach, poszedł wzdłuż belki nośnej podtrzymującej cały szkielet wspaniałej kopuły, podniósł klapę i dostał się do małego pokoiku. Tu wystarczyło mu tylko uruchomić mechanizm poruszający ukrytą płytę, za którą znajdowały się schody z gabinetu Fouqueta do jego sypialni. Na palcach przeszedł po cichutku przestrzeń oddzielającą go od gospodarza. Po omacku odszukał dźwignię poruszającą ukryte drzwi, których kontur, obramowany cienką smugą światła, wyraźnie odcinał się od prawie całkiem ciemnego korytarza. Drzwi obróciły się bezgłośnie, Gabriel stał jeszcze chwilę w progu, oślepiiony silnym światłem wychodzącym z dwóch kryształowych żyrandoli i odbijającym się od olbrzymiego zwierciadła weneckiego.

Usłyszał głos Fouqueta, a wkrótce również go dostrzegł. Naczelny intendent stał przy swoim biurku.

- Podejdź tu, Gabrielu.

Gabriel ruszył, wciąż trzymając w wyciągniętych rękach owiniętą w batyst rynnienkę. Fouquet wziął ją w milczeniu i postawił na stole. Ściągnął ostrożnie płótno, chwilę przyglądał się okładce, na której pojawiły się już zielono-czerwone arabeski oraz słońce o czternastu promieniach. Pogładził kodeks palcami, a następnie zajrzał do środka.

Gabriel patrzył na przesuwające się po tekście ręce Fouqueta. Podniósł głowę i ujrzał jego oczy. Tak mocno i tak uparcie wpatrywały się w kartki kodeksu, jakby ich właściciel chciał spalić je wzrokiem. On zaś czytał je, czytając, mruczał coś pod nosem.

Zamknął wreszcie kodeks i przez chwilę wpatrywał się w pustą przestrzeń.

Odwrócił się i Gabriel ujrzał wtedy łzy w jego oczach.

- Wszystko układa się jak najlepiej - powiedział Fouquet i powtórzył: - Wszystko układa się jak najlepiej.

Potem, jakby wyrwany z marzeń, zapytał:

- Czy François pokazał ci mechanizm skrytki nad kopułą? Gabriel skinął głową.

- No to w porządku - potwierdził Fouquet, znowu i jakby z żalem owijając kodeks batystem. A potem dodał: - Odłóż to na miejsce i natychmiast pędź na przedstawienie.

Gabriel otwierał już usta, by coś odpowiedzieć, ale Fouquet był już w drzwiach. Kodeks zostawił na biurku. Gabriel zabrał go i wyszedł przez ukryte drzwi, które z trzaskiem zamknęły się za nim. Gabriel znowu znalazł się w ciemnościach. Idąc w stronę schodów do kopuły, czuł, że serce stuka mu jak szalone w przyciskany do piersi pergamin.

77

Vaux-le-Vicomte - środa, 17 sierpnia, godzina jedenasta wieczorem

Estradę wzniesiono w alejce między świerkami. Dzięki bijącym obok fontanom było tu wyraźnie chłodniej. Na widowni w pierwszym rzędzie usiadł król, a na scenie pojawił się Molière. Ubrany był po miesz-czańsku, a twarz jego wyrażała zakłopotanie.

- Wasza Królewska Mość, niestety, nie mieliśmy dość czasu, prosimy więc o wybaczenie nam, że wbrew oczekiwaniom Waszej Królewskiej Mości nie zagramy dziś wieczorem zapowiadanej sztuki.

W tłumie gości, którzy na zaproszenie właściciela zamku w Vaux-le-Vicomte przyszli na tę wspaniałą zabawę, rozległy się pomruki. Ludwik XIV jednak ani drgnął i nadal siedział obok Fouqueta, którego uśmiech wyraźnie kontrastował z ogłoszoną przez Molière zapowiedzią.

Tymczasem już wkrótce po tym sprytnym oświadczeniu, pomyślanym przez Molière jako wstęp do właściwego utworu, na

scenę weszła przebrana za nimfę Madeleine de Bejart. Zebrała huragan oklasków.

Zamówiony przez Fouqueta utwór był nowym rodzajem literackim, gdyż łączył teatr z baletem. Sztuka miała tytuł *Natęci*, w przerwach między poszczególnymi jej aktami występował balet Beauchampa. Włączono do utworu również jedną z suit Lullego. Komedia szeroko wysławiała zasługi króla i odniosła całkowity sukces. Na zakończenie widowiska zgotowała aktorom długą owację. Molier triumfował. Król serdecznie się uśmieł i w trakcie przedstawienia wielokrotnie oklaskiwał aktorów, co uspokoiło mającego od rana gorączkę Fouqueta. Gdy więc goście zaczęli rozchodzić się po alejkach, nad parkiem rozbłysły sztuczne ognie wyglądające na niebie jak pole usiane kwiatami lilii. Na kanale pojawił się olbrzymi wieloryb, poruszający się w rytmie podawanym przez trąby i bębny. Ze zwierzęcia wystrzeliły w niebo świece dymne, wywołując głośnie „uch” i „ach” oszołomionych tym widokiem dworzan.

- Najjaśniejszy Panie - odezwał się Fouquet - ten fajerwerk przygotował nam sam wielki Torelli. Specjalnie sprowadziłem go tu z Włoch na ten wieczór.

Ludwik XIV kiwnął głową na znak aprobaty, ale nie odpowiedział. Szedł obok swojego ministra w stronę zamku. Fouquet, odnoszący się ze szczególnym szacunkiem do Anny Austriaczki, oddał do jej dyspozycji dwukonny powóz, by nie musiała się trudzić. Tłum gości, wciąż jeszcze pełnych zachwyty, kierował się w milczeniu w stronę głównego budynku.

- Zechciej, Wasza Królewska Mość, spojrzeć z tej strony! - zawołał Nicolas Fouquet, wskazując na kopułę nad zamkiem.

W tejże chwili ku wielkiemu zdziwieniu obecnych z wieżyczki nad kopułą wystrzeliła w niebo ostatnia wiązka iskier. Niezliczone rozbłyski tworzyły teraz coś w rodzaju świetlistego dachu, pod którym szli zachwyceni i zdziwieni goście. Fouquet nie spuszczał z oczu króla, który wciąż nie reagował emocjonalnie na tak wspaniałe widowisko.

- Co on może o tym myśleć? - zastanawiał się, niemile zaskoczony tym brakiem reakcji młodego monarchy.

W zamku przygotowano już ostatni posiłek. Składał się głównie z różnorodnych owoców, podawanych przy dźwiękach skrzypiec.

Dużo mówiono, goście byli pełni podziwu. Nigdy jeszcze dwór francuski nie widział tak wspaniałego przyjęcia. Okazałość zamku i piękno otaczających go ogrodów jeszcze bardziej zwiększały to wrażenie potęgi i wielkości. Nicolas Fouquet pod pretekstem, że musi omówić niektóre sprawy finansowe, zamknął się z królem w salonie. Szukający Luizę Gabriel przyglądał się z daleka towarzystwu, a Colbert nadal wszczepiał jad otaczającym go dworzanom.

- Wszystko to należy do Waszej Królewskiej Mości - powiedział Fouquet otwarcie, wskazując ręką zamek i jego bogactwa. - Mam tylko jedno pragnienie, chcę być sługą Waszej Królewskiej Mości i służyć mu całym swoim majątkiem.

Młody monarcha spojrzał spode łba na rozmówcę i dopiero po chwili odpowiedział.

- Wszystko to jest rzeczywiście wspaniałe - rzekł, przyglądając się meblom, obiciom i wiszącym na ścianach obrazom. - Nad wyraz wspaniałe.

- Pozwól mi, Wasza Królewska Mość, przedstawić jeszcze jeden dowód swojego przywiązania - podjął Fouquet, wycierając pot z czoła, tak strasznie męczyła go gorączka. - Jestem w posiadaniu bardzo starego i niezwykle ważnego rękopisu. Niewłaściwe wykorzystanie go mogłoby utrudnić sprawowanie rządów w królestwie.

Młody król wciąż wydawał się nieporuszony.

- Ten cenny dokument mógłby wszelako, o ile Wasza Królewska Mość pozwoli, służyć obecnej i przyszłej chwale monarchy. Bezsprzecznie opiera się na Biblii i umożliwiłby królowi Francji oparcie władzy na nowych podstawach, zapewniających jednocześnie pomyślność rządzonym.

- Więc sądzisz pan, panie naczelny intendent, że król Francji nie jest prawowitym jej władcą? - zapytał z przekąsem Ludwik XIV.

- Najjaśniejszy Panie, jesteś jeszcze młody. Chcesz wziąć sprawy królestwa w swoje ręce i zapewnić Francji miejsce, jakiego nigdy jeszcze nie zajmowała - odparł Fouquet, nie odpowiadając na słowa króla. - Bardzo mi się podobają te wielkie zamiary, ale czasy się zmieniły. Zmieniają się również dążenia ludów. Jutro lud zapagnie wypowiadać się

w taki czy inny sposób i czynnie uczestniczyć w określaniu swojego losu. A jeśli to pragnienie się nie spełni, przekształci się wkrótce w żądania, gniew, a wreszcie w bunt. Widzę tu zagrożenie dla naszego kraju. Sądzę, Najjaśniejszy Panie, że powinieneś zostać twórcą nowych czasów. Tylko Wasza Królewska Mość możesz dać potrzebny impuls i zapoczątkować zmiany.

Król nadal z wyraźnym roztargnieniem patrzył na ministra, toteż Fouquet czuł się coraz mniej pewnie.

- Czy pozwolisz, Wasza Królewska Mość, że przedstawię ci ten rękopis, byś mógł zapoznać się z jego treścią?

Król uparcie milczał i zachowywał się tak, jakby był całkowicie pochłonięty swoimi myślami.

- Czy rozumiesz mnie, Najjaśniejszy Panie? Zechciej, na miłość boską, rozważyć moje słowa. Chodzi o los królestwa.

Król ożywił się nagle, jakby odzyskał mowę.

- Los królestwa? A co pan przez to rozumiesz, panie naczelny intendencie? Los ludzi, monarchii czy może władcy? Doskonale rozumiem, co mi pan mówisz, ale zastanawiam się, dlaczego tak wiele uwagi poświęca pan „życzeniom” ludu, a tak niewiele obchodzą cię interesy króla. Z jakich przyczyn miałbym dbać o dobrobyt ludzi, jeśli chcą ograniczyć moją władzę? W imię czego miałbym naruszać tradycję, jeśli jestem tylko jej depozytariuszem, tak jak przede mną byli nimi moi przodkowie, a po mnie będą moi potomkowie?

- Ależ, Najjaśniejszy Panie, ważne jest tylko dobro Francji, jej ciałem jest lud, a Wasza Królewska Mość jesteś jej wcieleniem.

Na ustach króla pojawił się lodowaty uśmiezek.

- Mówi pan niekiedy tak, jak mówią jezuici z mojego otoczenia, panie naczelny intendencie. Ja zaś życzyłybym sobie nie tyle argumentów, co wyraźniejszego podkreślenia mojej sławy i polityki. Nie widzę zresztą w tym argumencie żadnego powodu, dla którego miałbym postępować wbrew tradycji opartej na nauce Kościoła.

- Tym dowodem jest właśnie ów tekst, Najjaśniejszy Panie. Mam w rękach pochodnię, od niej może zapalić się cały kraj i osuną się fundamenty, na których się opiera. Tę pochodnię chciałbym wykorzystać

tylko po to, żeby oświetlała drogę i kierowała krokami Waszej Królewskiej Mości.

Król z gniewem zacisnął pięści.

- Kierowała, kierowała - burknął. - Takich, co chcieliby mną kierować, jakoś mi nie brakuje i nie przypominam sobie, żebym kiedyś, wychodząc z sypialni, nie spotkał dziesięciu chętnych do kierowania mną! A ja chcę tylko tego, żeby mnie słuchano - dodał głośniej.

- Nie możesz, Wasza Królewska Mość, zlekceważyć tego dokumentu - podjął Fouquet. - A on rzeczywiście istnieje. Świat nic o nim nie wie, ale Wasza Królewska Mość powinie się z nim zapoznać, uwzględnić i objawić ludziom. Będiesz, Najjaśniejszy Panie, tym, kto otworzy im oczy. To pismo mówi prawdę, najświętszą prawdę.

- Prawdy, panie naczelny intendent, nie trzeba odkrywać. Posiedliśmy ją już...

- Ależ, Najjaśniejszy Panie, zechciej tylko pomyśleć...

- ...i nikt nie zamierza jej podważać - król po raz drugi chłodno przerwał rozmówcy - chyba żeby chciał otworzyć straszliwą puszkę Pandory. Ja sam wiem, co to znaczy, że ktoś mi wiernie służy. I nie jest dobrze, gdy naczelny intendent finansów koniecznie chce zostać filozofem i egzegetą. Niechże pan zapomni o tekstach biblijnych, panie naczelny intendent. Na miłość boską, pomyśl pan trochę i postaraj się, żebym mógł rozporządzać środkami potrzebnymi na tak wspaniałe przyjęcia jak to, w którym uczestniczyliśmy dziś wieczorem.

Widzi we mnie szaleńca - pomyślał Fouquet. A może nie wyrażam się już jasno, gorączka utrudnia mi myślenie?

- Z pańskiego opowiadania o tym rękopisie niczego nie rozumiem - podjął młody król. - A ściśle mówiąc, rozumiem tylko to, co ktoś mniej dobrotliwy ode mnie uznałby za herezję, świętokradztwo lub obrazę majestatu. Pochodnia! Osuwające się fundamenty, na których opiera się kraj! Powiedz pan jeszcze coś o Rzeczypospolitej, panie naczelny intendent! - uniósł się król, choć wkrótce odzyskał spokój, co prawda z wyraźnym wysiłkiem. - Takich słów nie mogę rozumieć. No, ale rzeczywiście wyglądasz pan na chorego.

Nie czekając na odpowiedź, król odszedł kilka kroków, a potem się odwrócił.

- Żegnam pana, panie naczelny intendentcie, pora się rozstać - powiedział głosem dziwnie poważnym i zrównoważonym.

Fouquet zrozumiał, że tego wieczoru niczego już nie uzyska, i mimo skrajnego osłabienia ruszył za królem. Ludwik XIV wychodził z salonu powolnym i uroczystym krokiem, żegnany dziesiątkami ukłonów składanych przez obecnych na sali dworzan.

Po zejściu ze schodów Fouquet cały się trząśł z powodu gorączki, która nie opuszczała go cały wieczór. Wciąż patrzył na oddalającą się karetę króla Francji.

Podszedł do niego La Fontaine.

- Nie wygląda pan dobrze, a przecież przyjęcie wypadło znakomicie! Nie zabrakło niczego! Mogę panu powiedzieć, że dwór z przyjemnością będzie wspominał o czymś równie wspaniałym.

- Należałoby sobie życzyć, żeby to samo dotyczyło i króla - mruknął minister, wchodząc po schodach do swojego wymarzonego zamku w Vaux.

78

Vaux-le-Vicomte czwartek, 18 sierpnia, godzina druga w nocy

Fouquet, blady, z wyraźnym zmęczeniem na twarzy, odwinął zawiązaną wokół przegubu wstążkę i cisnął ją na ziemię. Dreszcze wstrząsały całym jego ciałem i świadczyły o męczącej go gorączce. Z wielkiego przedsionka wciąż jeszcze było widać idących przez park gości. Szli małymi grupkami, stawali przy wodotryskach, kobiety narzucały sobie szale na ramiona. Między gośćmi kręciła się już służba i rozbierała ustawione wśród drzew bufety. Przez bramę przewalały się dwa sznury gości, tworząc wielobarwne plamy na tle bladego światła księżyca. Po wyźwirowanych alejkach przejeżdżały, skrzypiąc, karety.

Przyglądali się temu dwaj milczący panowie. Usłyszawszy odgłosy kroków, odwrócili się i ujrzeni d'Orbaya. Stał oparty o drzwi, o czymś myślał i wyglądał na zmęczonego.

Fouquet i Gabriel, nic nie mówiąc, wpatrzyli się w niego.

D'Orbay wreszcie się poruszył.

- No, to jesteśmy tu razem - powiedział zgaszonym głosem, w którym można było wyczuć wzruszenie. - Koniec zabawy, panowie, i obawiam się, że nasz sen może się rozwiać przed świtem.

Fouquet z osłupieniem wpatrzył się w architekta.

- Wiara w to była oczywiście czystym szaleństwem, ale nie można wciąż się cofać. Fakty są faktami. Wszak do końca chcieliśmy dochować wierności naszemu ideałowi. Nie dopuścić do podziałów i wojny domowej w naszym kraju. I aż do końca mieliśmy do czynienia z niewdzięcznikami. A co gorsza, zawsze stykaliśmy się z niezrozumieniem. To zresztą nieważne. Zaszliśmy już zbyt daleko, żeby się cofnąć. Dziś wieczorem, panowie, przy ogniach bengalskich tego widowiska spłonęły nasze statki. Król nie musi niczego rozumieć, bo i tak wie aż za dużo. Ryzyko jest zbyt wielkie.

Architekt spojrzał na kopułę i wyciągnął ku niej otwartą dłoń.

- Jest tam, właśnie tam, między dwoma stropami.

Zwiesił głowę i spojrzał chłodno na stojącego nieruchomo Fouqueta.

- Musimy natychmiast działać, a kopię dokumentu trzeba jak najszybciej doręczyć legatowi papieskiemu i parlamentowi paryskiemu. Należy również wysłać gońców do parlamentów poszczególnych prowincji. Nieco później oddziały rozmieszczone na Belle-Ile i w Bretanii otrzymają rozkaz marszu na Rennes i Nantes, a potem na Angers, Orlean i Paryż. Za cztery tygodnie będziemy mogli, Nicolasie, przejąć ster rządów, gdy tylko powstanie rozszerzy się na całe królestwo Francji.

W oczach d'Orbaya pojawił się błysk, a jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Fouqueta.

- Trzeba działać, Nicolasie - nalegał z coraz większym uporem. - Jeśli się nie ruszymy, zginiemy, a razem z nami przepadnie Tajemnica.

Fouquet pokręcił głową.

- François, jestem pewien, że nie wszystko przepadło. Nie panikujmy. Król nie odrzucił mojej propozycji. Nie powiedział: nie. Nic nie powiedział. Spotkam się z nim i powoli, szczegółowo omówię ten dokument. Król otworzy oczy, zrozumie, gdzie jest prawda, i nie wystąpi przeciwko niej. Nie wątpię, że przemyśli sprawę i wyrazi zgodę. Nie powinniśmy wszczynać wojny domowej, król przyłączy się do nas - nalegał.

D'Orbay skrzywił się gniewnie.

- Jeśli wierzysz w swoje mrzonki, nie mogę ci w tym przeszkodzić, Nicolasie. Wstąpiłeś jednak na złą drogę. Wyruszam jutro do Rzymu i zapytam naszych braci o zdanie. Postaw przynajmniej nasze wojska w stan gotowości bojowej. I wyślij Gabriela z odpowiednim rozkazem -d'Orbay po raz ostatni usiłował przekonać Fouqueta.

- Dwa tygodnie, François, daj mi dwa tygodnie, a pokażę ci zgodę króla. Jedź do Rzymu, jeśli chcesz, ale pozwól mi na tę zwłokę.

- Dobrze. Dwa tygodnie, ale ani dnia więcej.

D'Orbay zrobił gest, jakby chciał nadal się spierać, ale w końcu machnął gniewnie ręką i odszedł.

Gabriel wykonał ruch, jakby chciał iść za nim, ale zatrzymał go Fouquet. Chłopak ujrzał jeszcze wychodzącego i zamykającego za sobą drzwi architekta. Gdy znowu się odwrócił, zobaczył, że teraz w niewykończoną jeszcze kopułę wpatruje się Nicolas Fouquet.

79

Vaux-le-Vicomte - czwartek, 18 sierpnia, godzina druga w nocy

- Do Fontainebleau!

Słyszając ten ostro rzucony w ciemnościach rozkaz, siedząca w karecie Anna Austriaczka zrozumiała, że król nie jest w dobrym nastroju. Mimo późnej pory było jeszcze na tyle gorąco, że królowa, widząc krople potu na czole siadającego obok niej Ludwika, uznała, że jej syn dusi się w tym upale.

W kilka minut później powóz wjechał między dwa rzędy wysokich drzew rosnących po obu stronach drogi do Maincy i Anna Austriaczka przerwała milczenie.

- Bardzo bym chciała, żeby małżonka Waszej Królewskiej Mości mogła tu być z nami.

Król nie odpowiedział, ale królowa matka i tak kontynuowała rozmowę, choć coraz bardziej upodabniała się ona do jakiegoś dziwnego monologu.

- Jestem pewna, że mimo swojego stanu mogłaby oklaskiwać komedię pana Moliera, a przy tym podziwiać to miejsce i te przepiękne ogrody.

Król, zazwyczaj niezbyt skąpy w słowach - przynajmniej w czasie prywatnych, rzadkich spotkań z królową - nie odpowiedział i zachowywał się tak, jak gdyby interesowały go wyłącznie ulice Maincy, stukot kopyt końskich i szczęk broni muszkietierów gwardii królewskiej. Wojacy rzeczywiście zachowywali się wesoło i nietrudno było odgadnąć, że wieczorem nieźle sobie pociągnęli i pociągali jeszcze w stajniach.

Nikt nie obronił się przed szczodrością pana naczelnego intendenta - pomyślał król. Kipiała w nim głucha wściekłość, w miarę jak przypominał sobie szczegóły tego szaleństwa. Po co taka rozrzutność? - zastanawiał się. A przede wszystkim co ten Fouquet chce osiągnąć, demonstrując przed całym dworem swoje bogactwo? Pomyślał jeszcze, że Colbert ma rację. Tym bardziej że dzisiejsze wieczorne wypowiedzi Fouqueta brzmiały trochę jak groźba. W tej dziwnej propozycji, mającej na celu uszczęśliwienie Francuzów, Ludwik XIV wyczuł próbę zakwestionowania jego władzy.

- Czyżby ci coś dolegało, synku? Może nie odpowiada ci kuchnia pana Vateła?

Lekki uśmiech na twarzy króla miał uspokoić królową matkę, ale zarazem pokazać jej, że nie powinna przedłużać tej rozmowy.

Ludwik przyglądał się siedzącej obok niego Annie Austriaczce. Zmęczenie na jej obliczu nie było już takie, jakie Ludwik widział w dzieciństwie. Była to pomarszczona twarz kobiety, która miała za sobą lata

władzy i nieustających intryg. On zaś, nawet nie wiedząc kiedy, stał się dorosłym mężczyzną i wkrótce będzie ojcem. Czy nie powinien dowieść krajowi, że poradzi sobie w tej nowej sytuacji?

- Ach Pani, czyż nie każemy wszystkim zwrócić tego, co zrabowali? Królowa zrozumiała wreszcie przyczyny, dla których syn milczał, i uśmiechnęła się.

- Przed kilkoma dniami przyjechałam w Dampierre Colberta. Przyszedł zapewne po to, by wy badać, co myślę o panu Fouquecie - powiedziała z całkowitym spokojem. - Nie jest oczywiście bez winy, ale potrafił uzdrowić finanse królestwa. Uwielbia zbytek i lubi głośno się nim chwalić, to pewne, ale jeśli naród ma kochać swojego króla, to trzeba mu zostawić kilku znienawidzonych ministrów.

- Pani, nie jestem już dzieckiem i sam już potrafię kierować sprawami państwa, nie potrzebuję więc niczyich rad - odparł król tonem człowieka, który nie znosi sprzeciwu.

W karecie znowu zapanowała cisza, a tymczasem orszak królewski zbliżał się do zielonych obrzeży Fontainebleau. Ludwik XIV wyrzwał przez okno i zobaczył dachy Zamku Królewskiego. Widok ten przypomniawszy mu niektóre sceny z przyjęcia w Vaux.

Królowa matka drzemała. Gdyby nie to, mogłaby usłyszeć, jak król Francji mruczy sobie:

- Ukradł mi moje marzenia, zapłaci za to.

80

Rzym - środa, 24 sierpnia, godzina jedenasta wieczorem

François d'Orbay wjeżdżał do Rzymu w czasie burzy, w potokach ulewnego deszczu. Jego oślepiiony przez błyskawice wierzchowiec mógł się potknąć na wybitym bruku, mógł stanąć dęba i zrzucić jeźdźca z siodła, dlatego d'Orbay przezornie się zatrzymał. Schronił się pod arkadami Koloseum, przywarł do konia i czekał. Krople deszczu głośno uderzały o kamieniste podłoże, tworząc strumienie na zniszczonej dro-

dze przecinającej resztki dawnego forum. Potężna błyskawica rozdarła niebo i oświetliła na chwilę kontury starożytnych budowli, ledwie widocznych w strugach deszczu. D'Orbay cały się trząsał, nie wiedząc, czy z zimna, czy ze zmęczenia. Od wyjazdu przed sześcioma dniami z Paryża niewiele wypoczywał i pędził, prawie nie zatrzymując się po drodze, by jak najszybciej dotrzeć do celu.

Delikatnie poklepał konia po szyi i zwierzę znowu się ruszyło, ale zaraz potem rzuciło łbem i stanęło w miejscu.

D'Orbay szykował się do dalszej drogi. Przed oczyma znowu miał zastygłe oblicze Fouqueta, a w uszach wciąż jeszcze słyszał jego stanowczy głos:

- Mój los będzie taki, jaki powinien być. Nie wolno nam schodzić z drogi, musimy zmierzać prosto do celu, wierzyć w lojalność króla wobec narodu i w siłę Tajemnicy. Ja w każdym razie nie będę podlegał do wojny domowej.

Powiedziane było wszystko. D'Orbay zawahał się wtedy, ale tylko na krótką chwilę. W swoich stosunkach z Fouquetem dostrzegł nie-naprawialne pęknięcie, które sprawiło, że znaleźli się na przeciwnych krawędziach wciąż rozszerzającej się przepaści. Przez długi czas łączyły ich wspólne marzenia, teraz ich drogi się rozchodziły i już nie mogły się zejść.

- Ruszamy - powiedział łagodnie do konia. - Deszcz chyba ustaje, przyjacielu, więc w drogę! I tak nie będziemy przed czasem.

Stojąc przed równymi sobie, d'Orbay wreszcie zamilkł. Skończywszy sprawozdanie, poczuł w sobie dziwną lekkość. Tak jakby ktoś zaczął mu pomagać w niesieniu ciężaru i nieśli go teraz we dwóch. Wciąż jednak wyczuwał, że jego wystąpienie było beznadziejne i nie miało sensu.

Giacomo Del Sarto stał z kamienną twarzą i wciąż się w niego wpatrywał.

- Ryzyko jest duże i dobrze zrobiłeś, żeś tu przybył i złożył nam sprawozdanie. Pozwólmy Nicolasowi iść aż do końca, niech postępuje

zgodnie ze swoją logiką, skoro takie jest jego zdanie. Módlmy się tylko, żeby właściwie wszystko widział, zachowajmy jednak ostrożność i liczymy się z możliwością porażki. Czyli z koniecznością użycia siły i ratowania tego, co da się jeszcze uratować, jeżeli i w tej walce przyjdzie nam ulec.

W jasnych oczach lekarza d'Orbay szukał choćby śladu oskarżenia, zarzutu, żalu... Niczego takiego nie zauważył, dostrzegł tylko wieczny płomień, niesiony przez pokolenia podobnych do siebie ludzi, i tylko tę dodającą otuchy pewność, że nawet w razie dzisiejszej klęski powstaną inni, przejmą pochodnię i będą czekali w cieniu, aż wybije godzina zwycięstwa.

Ja tej godziny już nie doczekam - pomyślał nagle.

Del Sarto szczegółowo wyliczał wszystkie środki bezpieczeństwa. Mówił o miejscach i zwyczajach, z którymi wypadnie się pożegnać, o nowych, odległych krajach, do których trzeba będzie przewieźć dokumenty, ukryte chwilowo między dwoma stropami kopuły zamku w Vaux-le-Vicomte, o zacieraniu śladów dla zmylenia tych, którzy chcieliby ich śledzić, a wreszcie o sposobach, jakich trzeba będzie użyć, aby przekonać chwilowych zwycięzców, że dalej i tak się nie posuną.

D'Orbay był już pewien, że bractwo znowu milknie i schodzi w podziemia.

Na ile lat? Dziesięć, pięćdziesiąt, sto? - pomyślał.

Poczuł, że coś mu coraz mocniej uciska pierś. Zachwiał się, przeciągnął ręką po czole, pokazał mówcy, żeby mówił dalej, a potem się wyprostował.

Sto lat. A może tysiąc?

Del Sarto powtórzył pytanie. Teraz, kiedy znów byli sami, d'Orbay zauważył na jego twarzy niepokój. Del Sarto zaś przyglądał się architektowi, czując jego wewnętrzną rozterkę.

- Pytam cię, kiedy wyjeżdżasz, François.

D'Orbay wzruszył ramionami.

- Gdy tylko będzie można. Powiniennem jak najszybciej zobaczyć się z Gabrielem.

Żeby przekazać mu pochodnię - pomyślał.

- No to dobrze - odparł Giacomo. - Oby niebo sprawiło, że pojawi się tu ten młody de Pontbriand i jak najlepiej wykona swój zamiar. A co z twoją rodziną? - zapytał łagodniejszym już tonem.

Architekt nie odpowiedział. Przed oczyma stanęły mu dzieci i żona. Gdzie oni są teraz? - zastanawiał się. Z pewnością już śpią. W mieszkaniu na meble nałożono już pokrowce, a bagaże są spakowane. Uciekać, wciąż uciekać, niczego nie rozumiejąc, o nic nie pytając! Bez powodu!

- Mówiłeś coś? - zapytał Giacomo. D'Orbay pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Potem sam wpatrzył się w rozmówcę.

- Do zobaczenia, przyjacielu - powiedział spokojnie.

Uścisnęli się i Giacomo poczuł, że ciało przenika mu lodowaty dreszcz. Dałby Bóg, żebym się przesłyszał - pomyślał, modląc się po cichu.

81

Vaux-le-Vicomte - niedziela, 28 sierpnia, godzina dziesiąta rano

Hugues de Lionne siedział już we wspaniałej karecie stojącej od kilku minut przed wejściem do zamku w Vaux. Za chwilę miał wyjeżdżać. Wszyscy czekali na naczelnego intendenta finansów. Panowie udawali się do Nantes na spotkanie z królem, który postanowił niedawno wybrać się na długi objazd Bretanii. Wreszcie pojawił się Fouquet. W ubraniu z czarnego jedwabiu wyglądał niezwykle elegancko. Ze względu na jesienne chłody włożył wygodny płaszcz. Na głowie miał miękki żółtobrazowy kapelusz. W pierwszej kolejności pożegnał się z żoną.

- Przypilnuj, skarbie, winobrania w Thomery. Ten wyjazd jest mi trochę nie na rękę, ale król bardzo nalegał. Kocham cię z całego serca - dodał, całując czule tę, która niedawno urodziła mu kolejne dziecko.

- Uważaj na siebie, mój drogi. Bądź ostrożny i myśl trochę o dzieciach - dość zwyczajnie odpowiedziała mu żona.

Fouquet odszedł na bok z La Fontaine'em, który przyszedł tu, żeby się z nim pożegnać.

- Drogi Jeanie, chciałbym, żebyś w czasie mojej nieobecności zajął się pewną delikatną sprawą. Jak wiesz, sprzedałem swój urząd, wziąłem za niego milion liwrów i natychmiast przekazałem te pieniądze królowi. Jednakże Harley, a właśnie z nim prowadziłem rozmowy, wciąż jest mi jeszcze winien czterysta tysięcy liwrów i wcale się nie śpieszy ze zwrotem. Mam wprowadzić trochę, a nawet sporo pieniędzy u kilku niezawodnych przyjaciół, ale wszystko to niewiele znaczy, bo jeśli kiedykolwiek...

- ...jeśli kiedykolwiek?... - z niepokojem zapytał La Fontaine, marszcząc brwi. - Czyżbyś miał jakieś wiadomości i ukrywał je przede mną?

- Ależ skąd! Jedni powiadają, że zostanę wkrótce pierwszym ministrem, a inni, że wplączę się niebawem w straszliwą awanturę. Ja jednak już od kilku dni zauważam, że król odnosi się do mnie uprzejmiej. Odnoszę wrażenie, że znowu mi ufa.

- Czy jesteś tego całkiem pewny?

- Jesteś strasznym czarnowidzem, drogi Jeanie. Jeszcze niedawno przepowiadałeś mi, że znajdę się w Bastylji. A sam widzisz, że do niczego takiego nie doszło. Wręcz przeciwnie, król wzywa mnie do siebie do Nantes. No już, uspokójcie się i postarajcie tylko oddać to, co mi się należy! - dodał Nicolas Fouquet, odwracając się do ludzi, wciąż czekających na niego przy karecie. - D'Orbay! - zawołał, zauważając zeskakującego z konia architekta. - Zjawiasz się pan w chwili, gdy odjeżdżam.

- Przyjechałem tu tak szybko, jak tylko mogłem, Monsignore - odpowiedział, kłaniając się, d'Orbay.

- Gabriel ucieszy się z pańskiego przyjazdu. O ile oczywiście uda się panu go znaleźć - powiedział ze śmiechem Fouquet. - Szukałem go, bo chciałem się z nim przywitać, ale już o świcie go tu nie było. Gdy wrócę - dodał ciszej Fouquet, biorąc d'Orbaya pod rękę - uzgodnimy

sprawę i podejmiemy decyzję stosownie do okoliczności. Wciąż mam jednak nadzieję, że w trakcie tej podróży uda mi się przekonać króla.

Architekt odpowiedział uśmiechem, w którym przywiązanie mieszało się z głębokim smutkiem.

Fouquet zręcznie wszedł po schodkach do pojazdu, serdecznie przywitał się z de Lionne'em i usiadł naprzeciwko niego.

- Cieszę się, że odbędę tę podróż razem z panem, drogi panie de Lionne. Zależałoby mi na zatrzymaniu się w Angers, o ile nie widzisz pan przeszkód. Moja rodzina pochodzi właśnie stamtąd.

- Będzie mi bardzo miło - odpowiedział uprzejmie Hugues de Lionne.

- Ruszaj! - krzyknął Fouquet do woźnicy.

Woźnica trzasnął z bata i karetą ruszyła. Na jej drzwiczkach - i z prawej, i z lewej strony - można było ujrzeć wytłoczoną ze szczerego złota wiewiórkę oraz herb rodu Fouquetów.

W chwili gdy powóz wjechał w alejkę, Fouquet zauważył w oddali Gabriela. Chłopak, widząc, że się spóźnił, zaczął biec, a Fouquet, wstawszy, wysunął głowę przez okienko i pomachał mu ręką na pożegnanie. Przez pewien czas nie poruszył się, patrząc z coraz większej odległości na tak dobrze mu znany widok zamku. Z pewnością będzie to dzieło mojego życia - pomyślał, podziwiając proporcje, wspaniałość, a zarazem subtelność budowli.

Znowu usiadł w karecie na swoim miejscu i zadrżał.

- Nie ma się czego bać - powiedział do de Lionne'a, chcąc go uspokoić. - Za każdym razem przeżywam to samo. Ilekroć wyjeżdżam z Vaux, zawsze wydaje mi się, że już go więcej nie ujrzę.

82

Nantes - poniedziałek, 5 września, godzina jedenasta przed południem

Fouquet, schodząc po wielkich schodach zamku w Nantes, gdzie król zwołał Radę, był w całkiem niezłym nastroju. Wsiadł do czekającej nań na pałacowym dziedzińcu lektyki i zamyślił się.

Posiedzenie potoczyło się gładko. Młody monarcha w dniu swoich dwudziestych trzecich urodzin każdemu powiedział coś miłego, a Fouqueta po odejściu reszty ministrów nawet zatrzymał i rozmawiał z nim w cztery oczy o różnych sprawach, chociaż niezbyt ważnych. Fouquet widział w tym dobry znak. Korzystając ze sposobności, prosił o audiencję, a król wyraził na nią zgodę, nie pytając nawet o powód tej prośby i wyznaczając spotkanie na popołudnie tego samego dnia.

Nareszcie go przekonam. Po naszej rozmowie w Vaux z pewnością zastanawiał się nad tym - pomyślał naczelny intendent.

Na temat Fouqueta krążyło mnóstwo plotek. Poprzedniego dnia wieczorem spotkał się jednak z pewnym ministrem i przeprowadził z nim długą rozmowę, która pod koniec przeszła w spór. Rozmówca zaniepokojony był poruszeniem wywołanym pogłoskami o jakimś tajnym porozumieniu między królem i Colbertem. Swoimi obawami podzielił się z naczelnym intendentem, ten jednak rozproszył je jednym machnięciem ręki.

- Nie ma strachu - skwitował sprawę. - Jediną osobą, która powinna bać się króla, jest sam Colbert.

Wsiadając do lektyki, Fouquet przypomniał sobie te słowa.

D'Artagnan wstał o pierwszym brzasku dnia i dokładnie wykonał wydane mu osobiście przez króla rozkazy.

- Jutro o godzinie czwartej rano - powiedział mu poprzedniego dnia monarcha - wyślesz pan do Ancenis dziesięciu żołnierzy pod dowództwem wachmistrza. O godzinie szóstej na dziedzińcu zamkowy wejdzie dwudziestu muszkieterów, a drugi taki oddział stanie przy bramie od strony miasta. Reszta dowodzonej przez pana kompanii zbierze się w razie konieczności na polach - dodał Ludwik XIV, stojąc przed d'Artagnanem, który coraz mniej z tego rozumiał. - Sprawa rozegra się przy wyjściu z zamku. Potem podjedzie do pana okratowana karetka, wsiądziesz pan do niej i natychmiast wyruszysz w kierunku Oudon. Zanocujesz pan w zamku Angers, będę tam pana oczekiwał.

D'Artagnan nie wydobrzeał jeszcze po chorobie, która na pięć dni przykuła go do łóżka, na wezwanie króla nie mógł się jednak nie stawić. Czekał więc od wczesnego ranka na człowieka, którego miał aresztować przy wyjściu z zamku, i wciąż powtarzał sobie to, co powiedział mu król.

„A teraz przysięgniesz mi pan, że przed wykonaniem tego rozkazu nikomu o nim nie wspomnisz. Przed czterdziestu ośmiu godzinami kazałem zatrzymać kopistę, który zapisywał moje polecenia, jeśli więc cokolwiek wyjdzie na zewnątrz i powstaną komplikacje, ich sprawcą będzie mógł być tylko jeden z nas. Śmiało, panie d'Artagnan, nie można wątpić, że przyszłość królestwa zależeć będzie jutro od pańskiego sprytu”.

Do rozpoczęcia akcji brakowało już tylko ostatecznego jej potwierdzenia. Król miał je podpisać, wychodząc z posiedzenia Rady, a doręczyć je miał Le Tellier, który jednak od kilku już minut stał pod drzewami, zajęty rozmową. D'Artagnan nie odważał się mu przeszkadzać i myślał nawet, że sprawa przyjęła, być może, inny obrót. Wiedząc jednak, że naczelny intendent ma już wkrótce wyjeżdżać, postanowił się pośpieszyć.

- Za pozwoleniem - rzekł, przerywając rozmowę - czy rozkazy wydane wczoraj przez króla w czymś się zmieniły?

- Ani trochę, panie kapitanie - oschle odparł Le Tellier.

Tymczasem lektyka gdzieś zniknęła. Zniknęli również tragarze.

D'Artagnan pobiegł do bramy wejściowej. Pozostawieni tam muszkietierowie powiedzieli mu, że naczelny intendent wszedł w tłum i gdzieś przepadł. D'Artagnan, nie wiedząc, co robić, popędził do króla i został natychmiast przyjęty.

- Najjaśniejszy Panie, wymknął się nam!

- Niemożliwe! - odpowiedział błady z gniewu monarcha. - Trzeba go znaleźć i ja na pewno go znajdę. Weźmiesz pan piętnastu ludzi i złapiesz go. W razie potrzeby niech pan przetrząśnie całe miasto.

D'Artagnan, o nic już nie pytając, wyruszył na poszukiwania Fouqueta, który tymczasem spokojnie udawał się na obiad do swojego domu przy

ulicy Haute-du-Chateau. Zatłoczone, wąskie ulice starej dzielnicy utrudniały nieco pochód. Fouquet wciągał w płuca chłodne i suche wrześnie powietrze, aż wreszcie dowodzony przez d'Artagnana oddziałek dogonił lektykę na placu Świętego Piotra, w pobliżu katedry. Fouquet, nie wiedząc, dlaczego tragarze nagle stanęli, wyrzwał przez okno i poznał kapitana.

- Co się stało, panie d'Artagnan? - zapytał.

- Dostojny panie, mam panu coś do powiedzenia - odparł niezbyt pewnym tonem Gaskończyk.

- Nie można by z tym poczekać?

- Obawiam się, że nie, dostojny panie.

Fouquet wyszedł więc z lektyki i przywitał się z oficerem. Na chwilę zaświeciło słońce i naczelny intendent musiał zmrużyć oczy, chcąc lepiej widzieć d'Artagnana, który zeskoczył już z konia i stał teraz przed nim.

- Dostojny panie, aresztuję pana w imieniu króla! Fouquet zdziwił się.

- Czy nie pomyliłeś się, panie d'Artagnan? - zapytał, ale oficer natychmiast podał mu wyciągnięty z rękawa rozkaz aresztowania.

Fouquet przeczytał dokument i zrobiło mu się czarno przed oczyma. Trupio błąd, podał papier d'Artagnanowi.

- Nigdy bym się tego nie spodziewał - szepnął.

Potem, trochę pewniejszym już tonem, odezwał się głośno do d'Artagnana:

- Panie kapitanie, jak zawsze, tak i tym razem podporządkuję się rozkazom i życzeniom Jego Królewskiej Mości. Jestem więc do pańskiej dyspozycji. Prosiłbym tylko, żebyś pan tego nie rozgłaszał.

83

Vaux-le-Vicomte - środa, 7 września, godzina piąta po południu

- W zamku w Angers?

- Nie przesłyszałeś się, panie La Fontaine - rzekł Isaac Bartet. - Pan Fouquet pierwszą noc po aresztowaniu rzeczywiście spędził w zamku w Angers.

- Angers to kolebka jego rodziny - podjął d'Orbay. - Takie postępowanie ma tylko jeden cel. Chodzi o poniżenie naczelnego intendenta, żeby go potem złamać.

- Gdy dowiedziałem się o jego aresztowaniu, myślałem tylko o jednym - wyznał Isaac Bartet, dopijając kieliszek wina, które podano mu wraz z chlebem i serem, by się trochę pokrzepił po dwudziestu czterech godzinach spędzonych prawie bez przerwy w siodle. - Chciałem was uprzedzić, a potem gnać do Saint-Mandé i spróbować ocalić, co się da. Tak więc, panowie... - dodał, podnosząc się z krzesła.

Bartet aż do ostatniej chwili był wierny Fouquetowi.

- Ależ zastanów się pan - powiedział La Fontaine. - Jak można tak od razu ruszać w drogę! Przecież nie trzyma się pan na nogach! Prześpij się pan, choćby ze dwie godziny.

- Nie ma mowy - odparł Bartet. - Nie mamy ani minuty do stracenia. Ta jadowita żmija Colbert sprytnie to wszystko wykombinował. Z pewnością rozesał już wszędzie swoich zbirów.

Podczas gdy Bartet, nieogolony i ubłocony, ruszał galopem w dalszą drogę, Gabriel wracał z przejażdżki, w trakcie której wypróbował najwspanialszego czystej krwi konia ze stajen w Vaux. Zeskakując na ziemię, poznał po minach swoich dwóch towarzyszy, że sytuacja jest poważna.

- Wczoraj w Nantes aresztowano pana naczelnego intendenta - oznajmił mu ze smutkiem La Fontaine. - Przewieziono go do Angers. Z pewnością znajdzie się wkrótce w Bastylii.

- Ależ to niemożliwe! - zawołał Gabriel. - To jakieś nieporozumienie. Trzeba zawiadomić króla! Gdy się dowie...

- Ludwik XIV osobiście podpisał rozkaz aresztowania - rzekł d'Orbay. - Chwilowo nie możemy nic zrobić. Chyba że spróbowałibyśmy ratować, co się da.

- A ja zostanę tu i spróbuję ocalić wszystko, co będziemy mogli wykorzystać w procesie Fouqueta - postanowił La Fontaine. - Przecież Colbert z pewnością postara się doprowadzić do bardzo głośnego procesu.

- Dobrze - powiedział François d'Orbay. - Będziesz pan również musiał zadbać o interesy dzieci i małżonki naszego przyjaciela. Obawiam się bowiem, podobnie jak Bartet, że na zwłoki Fouqueta natychmiast rzucą się ludzie-sępy.

- A ja? - wtrąci! Gabriel. - Co mogę zrobić, żeby dowieść swojej wierności?

- Pomyśleć o sobie i jak najszybciej stąd umykać - podsunął d'Orbay, spoglądając czule, ale i twardo na syna najlepszego swego przyjaciela. -Dziś w nocy będziesz pan już w Paryżu i uporządkujesz własne sprawy. A resztę swoich rzeczy przeniesiesz pan na ulicę Lions Saint-Paul i...

D'Orbay na chwilę umilkł.

- ... i... pomyślimy - dokończył. - Ruszaj pan. Za pięć minut zjawię się u pana i pomogę panu się pakować.

- A pan co zamierzasz robić? - zapytał La Fontaine, gdy wracali do zamku.

- Och, ja znam swoje obowiązki - odpowiedział dziwnie zmienionym tonem architekt.

Gabriel natychmiast udał się do swojego pokoju. Nie był w stanie zrozumieć, że naczelny intendent królestwa, największy we Francji moczarnik i właściciel dóbr w Vaux, mógł zostać aresztowany i uwięziony. Wystarczył rozkaz króla. Przypomnił mu się ojciec. Potrafiłby mi doradzić - pomyślał Gabriel, pędząc po schodach i przeskakując po cztery stopnie naraz. Przed oczyma pojawiła mu się twarz Luizy. - Muszę z nią pomówić, bo wyjeżdżając z Paryża, nie mogę zapomnieć o zemście. Luiza pomoże mi...

W kilka chwil potem do drzwi pokoju Gabriela zapukał d'Orbay.

- Już prawie skończyłem - oznajmił, nie odwracając się, Gabriel. -Muszę przyznać, że nie mam tu wielu rzeczy.

- A ja wydałem właśnie zarządzenie, że za pół godziny ma tu podjechać nieoznakowana karetka. Zabierze pana do Paryża.

- A co potem? - zapytał Gabriel. - Myślałem, że będę mógł wybrać się do Luizy de La Vallière i poprosić ją o...

- Siadaj! - powiedział François d'Orbay do zdziwionego tym tykaniem Gabriela. - Sam rozumiesz, że sytuacja jest poważna - ciągnął, siadając na łóżku, architekt. - Może się okazać, że Fouquet nie wyjdzie żywy z tej sprawy. Wraz z jego upadkiem runą również nadzieje twojego ojca, i to raz na zawsze. W ubiegłym tygodniu byłem w Rzymie i zwołałem nasze kolegium mędrców. Głosowaliśmy między innymi nad ostatnią propozycją naczelnego intendenta. Prosił o przyjęcie cię do naszego bractwa, gdyby wydarzyło się coś złego.

- Mnie?

- Tak - odpowiedział z uśmiechem d'Orbay. - Uznał, że zasługujesz na to, żeby zająć miejsce swoich przodków. Teraz jednak muszę postawić ci pewne bardzo ważne pytanie. Czy jesteś gotów bronić Piątej Ewangelii? Czy masz w sobie dość sił, aby poświęcić jej całe swoje życie, a w razie potrzeby nawet je oddać, tak jak uczynił to twój ojciec? Czy w razie konieczności potrafisz z dnia na dzień zgodzić się na zmianę nazwiska i sposobu życia, opuścić kraj i rozstać się z przyjaciółmi bez cienia nadziei na powrót? Dobrze to przemyśl - dodał uroczystym tonem d'Orbay.

- Zgadzam się - odparł po chwili Gabriel. - I co mam teraz robić? D'Orbay głęboko westchnął, dobył z surduta kopertę i podał ją Gabrielowi.

- Znajdziesz tu wszystko, co powinieneś wiedzieć o naszym towarzystwie i o obowiązujących w nim zasadach. Naucz się tego na pamięć, a potem zniszcz kartkę.

Gabriel mocno ścisnął w dłoni kopertę.

- A teraz muszę przekazać ci wolę naszego towarzysza. Pojedziesz, Gabrielu, daleko stąd, i to natychmiast.

- Daleko?

- Tak, nawet bardzo daleko — potwierdził architekt. — Wyruszysz do Nowego Świata.

Gabriel ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Tak, wcale się nie przesłyszałeś - ciągnął d'Orbay. - Czeka cię po-

dróż do Ameryki. Polecono mi wręczyć ci to pismo, gdy tylko wyrazisz zgodę, a co ważniejsze, gdy uznam, że sytuacja stała się groźna i me jesteśmy już w stanie osłaniać Tajemnicy Świętego Piotra. Aresztowanie Fouqueta i niebezpieczeństwa, na jakie obaj się dziś narażamy, powodują, że gorąco proszę cię o zgodę. Do głowy mi nawet nie przychodziło, że wydarzenia potoczą się tak szybko, ale musisz osłaniać naszą Tajemnicę. Ludwik XIV wie o niej i zapewne spróbuje do niej dotrzeć, by ją zniszczyć. Rozumiesz więc teraz, dlaczego tak nalegam, byś jak najszybciej stąd wyjechał.

- Jestem gotów - odparł krótko Gabriel.

- Bardzo dobrze. Niczego się nie bój - dodał d'Orbay. - Wysłałem właśnie gońca do Nantes. W sobotę będzie na ciebie czekał w porcie i wprowadzi cię na statek do Ameryki. W Nowym Amsterdamie* też ktoś będzie na ciebie czekał. A pieniędzy nigdy ci nie zabraknie - dodał tajemniczo d'Orbay.

Oblicze Gabriela sposepniało.

- Niestety, nie mogę wyruszyć tak szybko. Nie pomściłem jeszcze śmierci ojca i nie odpłaciłem się Colbertowi. Odłożyłem zemstę na później, ale...

- Ja się tym zajmę - przerwał Gabrielowi d'Orbay. - Na razie wszystko zostało przewidziane. Niczego się nie bój, kara jest już blisko. Teraz jednak masz obowiązki gdzie indziej - zakończył łagodniejszym już tonem.

A potem ze wzruszeniem uściskał Gabriela, nic przy tym nie mówiąc. Gabriela zaś opanowało nagle przeczucie, że nigdy go już me zobaczy.

- Dlaczego nie jedzie pan ze mną?- zapytał. Architekt smutno się uśmiechnął.

- Moja praca w służbie naszej Tajemnicy dobiega końca. A ty znajdziesz w Ameryce towarzyszy równych ci wiekiem, tak jak wymaga tego organizacja naszego bractwa. Rozpoznasz ich, gdy przeczytasz dokumenty, które ci właśnie przekazałem.

* Pierwotna nazwa Nowego Jorku.

Zaraz potem architekt zabrał ze sobą Gabriela i poszli po kodeks ukryty pod kopułą zamkową.

- Spójrz - powiedział d'Orbay, wręczając Gabrielowi cenny pakunek. - Znajdziesz w nim zredagowane przez Fouqueta pismo z objaśnieniami i proszę cię, żebyś przeczytał je tylko raz, i to na pokładzie statku. Potem masz je zniszczyć. Tajemnica Piątej Ewangelii przestanie wtedy być dla ciebie tajemnicą.

D'Orbay serdecznie pożegnał się z Gabrielem, a służba spakowała w tym czasie kuferek chłopaka.

- Musisz być bardzo ostrożny, chłopcze. Od dzisiejszego wieczoru jesteś ogniwem długiego łańcucha, którego nie wolno nam przerwać. A teraz ruszaj - rzekł ze łzami w oczach d'Orbay - i wiedz, że twój ojciec będzie z ciebie dumny.

Gdy rozpędzony pojazd mijał bramę zamku w Vaux-le-Vicomte, Gabriel myślał tylko o tym, żeby zabrać ze sobą do Ameryki Luizę.

84

Vaux-le-Vicomte - środa, 7 września, godzina jedenasta wieczorem

François d'Orbay wpatrzył się w sufit wielkiego przedsionka i w położoną na wysokości gzymsu płytę wkomponowaną w płaskorzeźbę noszącą znak Bliźniąt. Myślał o miesiącach, kiedy to spiskował w ukryciu i cierpliwie szukał znaków, na podstawie których uwierzył w możliwość wykorzystania pomyślanej sytuacji, jaka miała powstać w wyniku zgonu Mazariniego, młodości Ludwika XIV i talentu Fouqueta. Gdzież więc się pomylił? O czym nie wiedział i co błędnie ocenił, że wszystko zakończyło się całkowitym niepowodzeniem? Nie potrafił już zapanować nad głuchym gniewem, który sprawiał, że łzy napływały mu do oczu, a widok wież zamku Vaux, jego wspaniałej sylwetki, pięknie wykończonych bram, jasnego kamienia, ogrodów i kopuły jawił mu się jak potworny katafalk, wzniesiony tu po to,

żeby przez długie wieki świadczyć o jego niepowodzeniu. Miesiącami pracował nad tym cudownym dziełem, wyobrażał sobie, jak wielkie znaczenie mieć będzie ten wspólny dom, jak wokół niego rozkwitnie miasto, a zamek znajdzie się w samym środku nowej stolicy królestwa, w którym wszyscy będą równi i które rządzić się będzie według prawa boskiego. Miesiąc w miesiąc obserwował, jak zamek w Vaux staje się najukochańszym dzieckiem Fouqueta. To on nadał kształt tej miłości i to on ukazał je światu, bo chciał wesprzeć naczelnego intendenta. A przecież to nie przez Colberta i nie przez jego nikczemne intrygi wszystko się zawaliło. Na pewno nie! - próbował sam siebie przekonać.

- Jakie to zresztą ma znaczenie?

Na krótką chwilę twarz ożywił mu smutny uśmiech.

- Jakież to ma znaczenie, dla Colberta cena jest już ustalona. Człowieka uderza się w jego najczulszą strunę.

Szedł teraz po tarasie. Wrześniowa noc była ciepła i najśłabszy nawet wiaterek nie marszczył wody w sadzawkach. Wyglądały jak ciemne zwierciadła i d'Orbay widział w nich swoje utopione marzenia.

Może to jeszcze po prostu nie czas? - pomyślał i gniew zaczął mu przechodzić, ustępując zniechęceniu.

Podniósł głowę i pomyślał, gdzie o tej porze może być kodeks.

- Gabrielu - szepnął.

Tylko wspomnienie tego chłopaka dodawało mu trochę otuchy. Przystanął na środkowym tarasie, zmrużył oczy i spróbował opanować drżenie rąk.

- Szczęśliwej drogi, chłopcze! I powodzenia!

Dzieci już spały... Mocniej przymknął powieki i odegnał od siebie widok, który wciskał mu się do świadomości.

Tak jest lepiej - pomyślał przez chwilę. - Tak jest lepiej, to ich szansa...

Poczuł tylko chłód na wargach jak od dotknięcia metalu.

Ciemności rozświetlił nagły błysk, a ciszę nocną przerwał huk wystrzału. Jego echo długo jeszcze odbijało się od drzew i słychać je było nawet wtedy, gdy na tarasie zrobiło się już całkiem ciemno. W cieniu kopuły, na płycie tarasu, leżało nieruchome ciało człowieka, który w mocno zaciśniętej prawej dłoni wciąż trzymał drewnianą kolbę pistoletu.

85

Paryż, ulica Lions Saint-Paul - środa, 7 września, północ

Gabriel zaraz po powrocie do swojego mieszkania napisał krótki list do Luizy, gorąco prosząc ją o przybycie. List wręczył stangretowi, przykazując mu, żeby nie ważył się wracać bez panny de La Valliere. W swoim pokoiku nie był już od kilku tygodni. Teraz wracając do siebie i widząc swoje rzeczy porzucane bez ładu i składu, odniósł wrażenie, że od jego wyjazdu stąd upłynęła cała wieczność. Nie był już początkującym aktorem, marzącym o wygłaszaniu długich tyrad i zbieraniu za nie oklasków. Nie był również niezaradnym, zbiegłym z Amboise chłopaczkiem. Był widzem okrutnej komedii władzy, która miażdży jednostki w imię racji stanu. Przeżył chwile ogromnego szczęścia, a potem straszliwego bólu, odnajdując i tracąc na zawsze ojca, którego całe życie okrywała tajemnica. Był teraz wciągnięty w niejasną działalność jako obrońca jakiejś mistycznej Tajemnicy i wciąż nie wiedział, co go czeka. Powiedział sobie, że najgorsze ma już za sobą. Czuł się naprawdę silniejszy i koniecznie chciał okazać się godnym swojego nazwiska i zasłużyć na zaufanie, jakim niegdyś darzył go ojciec. Myśl o wyjeździe do Ameryki przerażała go trochę, ale i pociągała. Wrzucił do kuferka kilka niezbędnych w podróży przedmiotów i zaczął marzyć o nadzwyczajnych przygodach.

Luiza zjawiała się w chwili, gdy kończył list do właścicielki mieszkania, dołączając do niego dobrze wypchaną sakiewkę.

- No, jesteś wreszcie, Luizo! - zawołał, zrywając się z miejsca, by porwać wchodzącą dziewczynę w ramiona.

- Ostrożnie, zgnieciesz mnie! - broniła się, nieco zaskoczona takim przyjęciem. - Chyba nie po to wezwałeś mnie tu w środku nocy i bez słowa wyjaśnienia, żeby już przy wejściu mnie udusić - dodała, robiąc zalotną minę i wyswobadzając się z jego objęć.

- Nie! Sytuacja jest... jest fantastyczna. Siadaj tu, proszę, chciałem z tobą pomówić.

Zrzuciła z siebie płaszcz i ściągnęła z głowy ogromny kaptur, obsyty miękkim lisim futerkiem i zasłaniający twarz.

- Słucham pana, panie Tajemniczy - powiedziała, wysyłając ku niemu swój najbardziej uwodzicielski uśmiech.

Gabriel opowiedział jej, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, i powiadomił o aresztowaniu Fouqueta. Ta przekazana przez Barteta wiadomość nie dotarła jeszcze do Paryża.

- Powinieneś schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu - przerwała Gabrielowi Luiza. - Nikt cię już nie osłania. Jeśli chcesz, porozmawiam o tym z królem, gdy tylko wróci do Paryża.

Gabriela aż rzuciło przy tych słowach i poczuł, że wzbiera w nim głuchy gniew.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie potrzebuję, żebyś temu swojemu królowi cokolwiek mówiła. Zresztą to właśnie ten twój król kazał aresztować Fouqueta. Może dla przyjemności, a może dlatego, że ma w tym swój interes. Kiedyż wreszcie przejrysz?

- Nie osądzaj króla tak pochopnie. Kieruje sprawami państwa i opiera się na przesłankach, których nie znasz ani ty, ani ja. Jestem jednak pewna, że ma dobry charakter i nie pozwoli, żeby ktoś cię skrzywdził. Powiem mu...

- Nie powiesz mu ani słowa, bo muszę wyjeżdżać - wyjaśnił Gabriel. - Fouquet przed swoim aresztowaniem powierzył mi pewne niezwykle zadanie. Prosił, żebym wyjechał do Ameryki i zajął się tam naszymi sprawami.

- Do Ameryki?! - zawołała Luiza. - A kiedy masz wyruszyć? Widząc zaskoczenie dziewczyny, uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Właśnie dlatego prosiłem cię, byś przyszła tu dziś w nocy - odezwał się łagodnie. - Znamy się od dzieciństwa. Przecież w lutym, gdy

zobaczyłem cię tu, w Paryżu, był to dla mnie taki wstrząs, że nie potrafiłem ocenić jego następstw. A gdy w Vaux otrzymałem twój liścik z zawiadomieniem, że jesteś w niebezpieczeństwie... Pędząc ci na pomoc, zrozumiałem...

- Co rozumiałeś? - zapytała, zaniepokojona nagle.

- Kocham cię, Luizy! Kocham cię i zawsze kochałem tylko ciebie - odparł Gabriel, całując dziewczynę po rękach.

Milczała. Patrzyła na Gabriela, on zaś przyciągnął ją do siebie.

- Ruszajmy razem dziś w nocy - powiedział, odczuwając zmysłową wręcz rozkosz tej pięknej chwili.

- Wyjeżdżać? Do Ameryki? Nawet o tym nie myśl! Henryka potrzebuje mnie i nie mogę tak po prostu od niej odejść.

- Chyba nie rozumiałaś mnie do końca - rzekł Gabriel, wciąż wpatrując się w dziewczynę. - Nie proponuję ci jedynie podróży. Kocham cię i proszę, byś została moją żoną i towarzyszką życia.

- Ależ nie mogę! Nie mogę! - zawołała, odsuwając się, a była już kochanką króla Francji.

- Otwórz oczy, dziewczyno, dałaś się olśnić blichtrowi dworu, ale w głębi duszy uświadamiasz to sobie. Nie pasujesz do tego świata intryg.

- Życ mogę tylko tutaj, Gabrielu. Ten świat jest moim światem, zozydzasz go, bo chcesz z niego uciec. A ja tylko tu czuję się dobrze. Tu jestem kochana i...

- Wierzysz, że jesteś kochana?! - wybuchnął. - A co ty wiesz o tej miłości i o rzeczywistych uczuciach na tym dworze, gdzie wszystko jest tylko maskaradą.

- Jestem młoda, Gabrielu. Chcę się śmiać i bawić, korzystać z zabaw i balów, upajać się teatrem, błyszczeć w salonach, spotykać najwybitniejszych uczonych, zachwycać się arcydziełami sztuki. Chcę uwodzić potężnych i rozkoszować się władzą. Czy teraz już rozumiesz, że życie mogę tylko tutaj? Przecież nie po to opuściłam Amboise, żeby teraz, kiedy spełniają się moje marzenia, znowu wszystko porzucić. Ja, Gabrielu...

Dziewczynie rozbłysły oczy i Gabriel z niedowierzaniem patrzył na ten jej wybuch.

- Nie mów już nic więcej - powiedział ściszym głosem, biorąc do ręki kosmyk jej włosów. - Nie odpowiadaj mi, przynajmniej nie teraz. Rano od godziny trzeciej przy bramie Saint-Martin stać będzie powóz. Będę na ciebie czekał aż do czwartej.

Stanowcze, ale i pełne smutku spojrzenie Gabriela do głębi poruszyło dziewczynę i rozbudziło w niej od dawna żywione do niego uczucia. Zawsze nazywała je siostrzanym przywiązaniem, jak gdyby chciała w ten sposób ukryć przed sobą prawdziwą ich naturę. Podeszła do Gabriela i swoimi wąskimi wargami przywarła mocno do jego ust. Wziął ją w ramiona i gorąco ucałował. Potem objął jej cienką talię, a ona tylko przez chwilę mu się opierała.

Blade światło budzącego się dnia padło na śpiącego Gabriela. Obudziły go nagle odgłosy kroków na bruku.

- Luiza - szepnął sennym jeszcze głosem.

Stojąca na stopniu dziewczyna odwróciła się i przytknęła mu palec do ust.

- Zobaczmy się jeszcze, Gabrielu de Pontbriand - powiedziała cichutko. Potem zeszła ze schodka i podążyła w swoją stronę.

86

Mieszkanie Jeana-Baptiste'a Colberta - poniedziałek, 12 września, godzina piąta rano

Colbert obudził się gwałtownie. Ręce mu się trzęsły, a nocna koszula była mokra od potu. Uświadomił sobie, że krzyczał przez sen. Odrzucił przykrycie i rozejrzał się niepewnie w ciemnościach. Przeżegnał się ukradkiem i wymamrotał po cichu kilka niezrozumiałych

słów; opuścił nogi na podłogę i zmacał pantofle ranne. Odsunął zasłonę i spojrzał na odziedziczony po kardynale złocony zegar ścienny.

- Obłąd - powiedział głośno, jakby po to, by odegnąć od siebie strach. - To tylko zły sen. A zresztą zobaczymy.

Przez chwilę wahał się, czy nie wrócić do łóżka, ale w przekonaniu, że słyszał głos mądrości i rozwagi, nie mógł się na to zdecydować.

- Tantal - szepnął stłumionym przez emocję głosem.

Senne widziadło nie chciało go opuścić, znowu wydawało mu się, że stoi związany, cierpi głód i męczy go pragnienie, ale nie może sięgnąć po kołyszące mu się nad głową winogrona i żadnym sposobem nie zaspokoi głodu.

W kącie sypialni, wśród sterty pudeł i paczek zawierających podarki lub po prostu lupy zagarnięte w rezydencjach Fouqueta i przewiezione bezpośrednio do jego mieszkania, stał oparty o ścianę niewielki pakunek. Colbert chwycił go ze złością, zerwał uszkodzone częściowo opakowanie i raz jeszcze spojrzał na obraz. Na oprawionym w pozłacane drewniane ramy płótnie można było ujrzeć umęczonego Tantala.

- Do diabła z czymś takim! - krzyknął, ciskając obrazem o podłogę.

Pakunek ten otworzył Colbert przed dwoma dniami, prawie przypadkowo. Był pewien, że znajdzie w nim coś, co miło połechce jego dumę, a tymczasem to, co ujrzał, wbiło mu się trwale w pamięć i w końcu wywołało ten upiorny sen, w którym Colbert ujrzał wydanego na męki samego siebie.

Zatrwożył się.

Czyżby to było możliwe? - pomyślał z przerażeniem.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, złapał zostawioną na kanapie cienką narzutkę, pośpiesznie wciągnął ją na siebie, na łysą czaszkę nasunął niewielką filcową czapkę i otworzył drzwi na korytarz, ale tam było jeszcze ciemniej. Potrącił jedną z kolumnienek i omal nie zwałił ustawionej na niej wazy. Zatrzymał się na chwilę, dając sercu trochę odpoczynku.

- Naprzód - powiedział, wchodząc na schody do gabinetu. - Muszę się upewnić.

W gabinecie na pośpiesznie dostawionych stołach leżały całe sterty papierów. Colbert zgromadził tu wszystko, co pozostało po Mazarinim, a czego nie chciał widzieć w archiwach państwowych. Uchylił okiennice na rodzący się dzień i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Widok tych dokumentów uspokajał go. Wszystkie były potwierdzeniem jego potęgi. Pierwsza sterta zawierała uzupełniane przez całe lata akta osobowe. Kryły one wstydlive tajemnice i dzięki tym aktom kilkaset wpływowych osobistości mógł trzymać jak pieski na smyczy. W dwóch innych, wyższych stertach można było znaleźć szczegółowe dane na temat podwójnego księgowania publicznych operacji finansowych, dokonywanych za pośrednictwem podstawionych ludzi.

Colbert, czując, że strach, który go zmroził i obudził, znowu chwyta go w swe szpony, przerwał rozważania i usiadł przed czwartą stertą papierów. Zaczął pośpiesznie przerzucać przejrzone w ostatnich dniach dokumenty i bez trudu doszedł do tego, czego szukał. Od tej chwili uważniej, jakby z wahaniem, przyglądał się każdemu papierkowi i wszystko starannie czytał.

- Dalej, dalej - mrucał półgłosem dla dodania sobie odwagi.

Promienie słońca jasno oświetlały boazerię za Colbertem i odbijały się od wielkiego zwierciadła nad kominkiem.

Colbert, trupio blady, wychylony do tyłu na fotelu, z rękami na poręczach i z oczyma utkwionymi w pustą przestrzeń, wyglądał jak zahipnotyzowany. Siedział nieruchomo i czekał w milczeniu na chwilę, kiedy jego dom znowu zatętni życiem i znowu zrobi się w nim głośno. W chwili tej zacznie się również sprawdzać jego przeczucie. Przez krótki czas tylko on jeden rozumiał, zatrzymywał w prawie chłopięcym uniesieniu wiadomość, która jakby stawała się mniej straszna dlatego, że nikt inny jej nie znał.

Wszystko miał przed oczyma i wszystko było do tego stopnia jasne, że aż się zastanawiał, dlaczego tak późno zdał sobie z tego sprawę. Przyczyną był z pewnością pośpiech, z jakim musiał tuszować nieprawidłowości, bronić się, potem organizować przeciwuderzenia i w końcu ostatecznie dobić Fouqueta, robiąc z niego kozła ofiarnego. Kierując całą swą energią na te właśnie cele, nie zauważał, że owe papiery nie dość, że zawierają mnóstwo danych, ale określają również sposoby dotarcia do opisanych bogactw.

Kurczowo zacisnął zęby. Dziesięć, dwanaście, może nawet piętnaście milionów liwrów! Ledwie odważył się przystąpić do sumowania liczb.

Pracował w pośpiechu i nerwowo przewracał papiery. Weksle, procenty, otrzymane zlecenia, lata oszukańczych praktyk pana kardynała i machlojek potrzebnych do przemycenia efektów tych starannie ukrywanych wysiłków do Włoch i Holandii. Wszystko było tu drobiazgowo opisane, ale całkowicie niezrozumiałe.

Brakowało tylko jednego, ale za to najważniejszego pisma. Umożliwiało ono rozszyfrowanie ciągów cyfrowych określających pośredników, banki i nazwiska osób, którym otwierano konta. Bez tego dokumentu wszystko stawało się bezużyteczne, tak jak bezużyteczna jest butelka orzeźwiającej wody, umieszczona poza zasięgiem spragnionego.

Uznał za rzecz oczywistą, że to brakujące pismo, skradzione w urzędzie kardynała, miało charakter czysto osobisty, gdyż Mazarini nigdy nawet o nim nie wspominał. Włamywacze zdobyli klucz od skarbca i mieli dość czasu, żeby spokojnie wybrać depozyty umieszczone w najpewniejszych bankach europejskich.

Colbert wstał nagle i odwrócił się w stronę innej sterty prezentów, pozostawionych w gabinecie i jeszcze wspanialszych niż te, które znajdowały się w sypialni.

- Ten obraz... Zbyt wielkie podobieństwo... A był jeszcze i drugi -jęknął, grzebiąc brutalnie w stercie wszelkiego rozmiaru pakunków

i wysyłając do diabła tych, którzy przeszkadzali mu w poszukiwaniach.

Dogrzebał się wreszcie do paczki mającej te same wymiary co poprzednia. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie, potem rozerwał papier ją okrywający i zbladł. Obraz przedstawiał mężczyznę leżącego na łożu śmierci. Obok modliła się rodzina, wśród której łatwo było rozpoznać wysuniętego do przodu zapłakanego syna.

Colbert błędnym wzrokiem spojrzął na obraz. Zauważył wtedy dołączoną z tyłu do płótna kartę wysyłkową tych dwóch pakunków.

Ręce mu się trzęsły i podszedł bliżej do światła.

- Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię -przeczytał. - Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą⁴.

Zmieszał się i odwrócił kartę.

- Przekleci niech będą skąpcy, nie nacieszą się zdobytym majątkiem. Przekłete niech będą zatwardziałe serca, nie unikną cierpień. Uznajcie, że wasz los godny jest zazdrości. Utrata nienależnych zysków i osobiste cierpienia to tylko ostrzeżenie dane wam po to, żebyście nie cieszyli się zbyt zbytnio ze zwycięstwa i przekonali o groźbie, jaka nad wami zawisnie, jeśli nadal szukać będziecie niektórych papierów, zawłaszczonych swego czasu przez kardynała Mazariniego. Los jeszcze okrutniej was wtedy ukarze⁵.

Colbert przeczytał te słowa i aż dech mu zapało. Ktoś mu grozi! W jego własnym domu! A w dodatku bluźni przeciwko Pismu Świętemu!

Łajdaki! - pomyślał. Chcą „utrąty nienależnych zysków"! Znów pochylił się nad papierem i znów zabrakło mu tchu. „Osobiste cierpienia"?

Pochłonięty lekturą, nie usłyszał, że drzwi nagle się otwierają.

. 5,8.

⁵Oczywiste jest, że ten fragment nawet w części nie pochodzi z żadnej ewangelii.

- Dostojny panie - odezwał się zdyszany pokojowiec. - Dostojny panie...

Colbert spojrział gniewnie na służącego.

- Stało się coś? O tej porze? - burknął.

- Niestety, dostojny panie, nieszczęście... - jęczał pokojowiec. Straszliwe przeczucie wręcz sparaliżowało Colberta.

- Na Boga, dostojny panie...

- Mówże wreszcie! - wrzasnął Colbert.

- Ojciec dostojnego pana...

Pod Colbertem ugięły się nogi. Wypuścił z rąk kartę - poszybowała aż do podłogi.

- Znaleźliśmy go dziś rano w jego sypialni. Już nie żył.

- Nie żył?... - powtórzył z obłędem w oczach Colbert. Jak ślepy podniósł ręce, by odgrodzić się od tańczących mu przed oczyma słów: „Przeklęte niech będą zatwardziałe serca, nie unikną cierpień”.

87

Na morzu po wypłynięciu z Nantes - poniedziałek, 12 września, godzina dziesiąta rano

Nocą zerwał się silny wiatr i żaglowiec musiał zwinąć część żagli. Mimo to wciąż płynął dość szybko, prując dziobem wysokie fale.

Gabriel wyszedł z kabiny i zbiegł w dół po schodkach. Nie orientując się jeszcze w tym nieznanym mu dotychczas otoczeniu, przystanął na chwilę, a potem ruszył w stronę rufy. Siadł przed wejściem na schodki wiodące na mostek kapitański - stojące tu skrzynie na żagle osłaniały go przed bryzgami wodnymi.

Widział, jak statek opada w doliny między falami, a potem podnosi się i kłęby piany zalewają mu dziób. Urzekł go ogrom pustego morza, dotychczas bowiem tylko raz je widział, umoczył w nim wtedy nogi i dalej bał się już wejść.

- Czy umie pan pływać? - zapytał go poprzedniego dnia przy wie-

czery kapitan. - Nie? To dobrze, mógłby pan być doskonałym marynarzem. Ja osobiście nie lubię tych, którzy to umieją, bo mniej dbają o swój statek! - zawołał ze śmiechem zadowolony z siebie oficer.

Na pytania o ceł i przyczyny wyjazdu Gabriel odpowiadał wymijająco. Mówił, że jest po prostu młodym człowiekiem i rodzina uznała, że na pewien czas trzeba go gdzieś daleko wysłać. Tłumaczenie, że ten wyjazd ma być zwieńczeniem edukacji, ani trochę nie chwyciło, nikt w nie nie uwierzył i nawet życzliwy Gabrielowi kapitan uśmiechał się drwiąco, dając do zrozumienia, że przyczyną może być tu jakiś skandal obyczajowy albo pojedynek. Było to zresztą najlepsze wyjaśnienie, bardziej wiarygodne i pewniejsze. Po dopłynięciu do Nowego Amsterdamu będzie można się rozejrzeć i zdecydować, co dalej.

Gabriel zdjął rękawiczki, sięgnął pod płaszcz i wyjął stamtąd zapieczętowaną kopertę. Wcześniej sobie przyrzekł, że znajdujący się w niej list przeczyta tylko raz, i to na pokładzie statku. Raz jeszcze spojrzął w milczeniu na kopertę i dopiero wtedy zdecydował się ją rozerwać. Z ruchem tym jakby na dłuższy czas zacierały się wydarzenia tego szalonego roku, który tak wstrząsnął jego losem.

Pomyślał o tych ostatnich dniach, spędzonych jeszcze we Francji, i poczuł nostalgię i smutek. W drodze do Nantes przez cały czas myślał o tym, że Luiza nie przyszła na spotkanie koło bramy Saint-Martin, a on przez całą godzinę daremnie na nią czekał, w nadziei, że ujrzy jej postać w drzwiach karety.

Gdy już przeczytam i zniszczę ten list, nie zostanie we mnie nic z dotychczasowego życia, nic już nie będzie mnie z nią łączyło i zniknę tak samo, jak przed dwudziestu laty zniknął mój ojciec - pomyślał, znowu przez chwilę się wahając. Wreszcie gwałtownym ruchem złamał błękitną woskową pieczęć i przystąpił do czytania.

Drogi Gabrielu,

czytając ten list, jesteś już zapewne daleko od naszej Turenii. Skoro François d'Orbay przekazał Ci go, wynika stąd, że nasze poszukiwania

nie skończyły się jeszcze, a Ty zgodziłeś się wstąpić w nasze szeregi i przejąć żagiew, którą ja przedtem nosilem. Los bywa złośliwy, bo według tego, co Twój ojciec opowiadał panu d'Orbayowi, rodzice wybrali Ci takie właśnie imię, gdyż żadne życie nie wydawało się im piękniejsze niż życie posłańca zwiastującego ludziom słowo boże.

Być może już jutro dane Ci będzie ukończyć naszą podróż albo odpowiedzialność za nią przekazać komuś innemu. Zauważysz wtedy, jak znikają Twoi bracia i jak Ty sam, nie mając nadziei na powrót, rozstajesz się z innymi. Modłę się, żeby te przeżycia nie zostawiły w Twoim sercu goryczy, gdyż jest to jedyne niebezpieczeństwo, jakiego musimy się obawiać. Oby myśl o powierzonym Ci zadaniu przepeliła Ci serce, a osobiste Twoje losy włączyły się w to zbiorowe dzieło, trudne i nieporównywalne z życiem jednostek. Oto spuścizna, którą mogę Ci przekazać. Mało to, ale i dużo zarazem.

W drewnianym kufunku przekazanym Ci przez François znajdziesz przekład jednego z wykradzonych Mazariniemu dokumentów. Dokument ten zabrałeś, są w nim hasła, kontakty i adresy potrzebne do odzyskania części majątku zagrabionego przez kardynała i jego ludzi. Za te pieniądze Ty od tej pory odpowiadasz. Przy Tobie będą najlepszym strażnikiem naszej Tajemnicy.

Masz w swoich rękach los Piątej Ewangelii, czyli jak Ci to powiedziałem w ogrodach Vaux, oryginalny tekst Pisma Świętego z poprawkami Piotra. Jeśli zechcesz, będziesz mógł poznać to, co wstrząsnęło tronami i spowodowało rozlew krwi, a mogłoby doprowadzić do straszliwych, niedających się powstrzymać nieszczęść.

W wyobraźni widzę Cię już, jak czytasz ten list i w młodzieńczym uniesieniu płoniesz chęcią poznania tej Prawdy. Czy wciąż jeszcze nie odgadłeś, jaka może być jej natura? Pomyśl, Gabrielu. Można zabijać królów, kwestionować ich pochodzenie, zagarniać ich ziemie. Można intrygować, planując zabicie papieża albo wybór na jego miejsce kogoś innego. W polityce zdarzyć się może wszystko. Z wyjątkiem jednego, tego, co jest starsze od wszelkiej prawowitej władzy i ma zapewnione przeżycie. Tym czymś jest więź, za pośrednictwem której sacrum namaszcza władzę doczesną. A skąd pochodzi ta władza.

która z władców czyni namiestników Boga na ziemi? Ze swobody, którą w tej sprawie pozostawia Pismo Święte. „Ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój” - powiedział Chrystus. Dodał przy tym: „...czy miłujesz Mnie? (...) Paś owce moje”**. Czy nie wydało Ci się dziwne, Gabrieli, połączenie tych dwóch zdań w jedną wypowiedź?*

Jeśli tak, to jesteś już na drodze do rozwiązania tej Tajemnicy. Wiele pokoleń potrafiło tylko bez ustanku o niej mówić, a Ty wkrótce ją zrozumiesz. Wiesz bowiem, że istnieje jej tekst. Czysty, a nie skażony.

Doprawdy zadziwiająca to mistyfikacja! Przez całe wieki ludzie wy-rzynali się wzajemnie w obronie takiego czy innego rozumienia tekstu, a przecież już sam tekst był fałszywy.

A tymczasem nauka Chrystusa jest całkiem jasna.

Przeklęty niech będzie ten, kto głosi, że porządkuje sprawy ludzkie w imieniu Mojego Ojca.

Przeklęty niech będzie, kto miesza imię Mojego Ojca ze sporami mocarzy. Niech budują cesarstwa z piasku, ale niech nie wypisują na frontonach swoich złotych pałaców imienia Mojego Ojca.

Gdy usłyszycie od kogoś, że nosi miecz i wymierza ludziom sprawiedliwość, a w miastach w imieniu Mojego Ojca układa im życie, zaprawdę powiadam wam, że ten człowiek jest kłamcą. Co więcej: „Szczęśliwi, którzy nie pragną władzy, albowiem będzie im dane królowanie przy boku Mojego Ojca”.

ZAania te są prawdziwe. A poprzednie, znane Ci już, są fałszywe.

Tymczasem prawda jest tak prosta. Już od wieków ludzie pytają, dlaczego w Piśmie Świętym nie występuje zagadnienie władzy politycznej. Jest tak dlatego, że temat ten stamtąd usunięto. Chrystus naucza, że żadna władza polityczna nie może opierać się na Prawdzie duchowej, a wszelka próba łączenia władzy Kościoła ze sprawami ludzi, albo raczej uprawomocnienie władzy człowieka przez źródło duchowe jego Kościoła, jest herezją.

*" Mt XVI. 18. ** Jan XXI. 17.*

Co więcej, nauka Chrystusa, ten prawdziwy tekst, którego naturę potwierdził nam dzień 17 sierpnia, podaje nam przyczynę tej niemożliwości. Słuchaj, Gabrielu, słuchaj słów Chrystusa.

Czy istnieją gwiazdy ważniejsze i mniej ważne? Czyż istnieje pojęcie pierwszeństwa między ziarenkami piasku? Zaprawdę powiadam wam, że żadne z nich nie wyobraża sobie, by mogło narzucać siwoją władzę innym ziarnkom. Wszystkie są równe, tak samo jak owieczki Mojego Ojca. Rządzące nimi prawo ma być sprawiedliwe, a sprawiedliwość to przecież równość. Niechaj ten, kto sprawuje władzę, robi to z nadania braci. Tylko ten, kto wybiera taką właśnie drogę, wejdzie do domu Mojego Ojca.

Co o tym powiesz, Gabrielu? Wyobraź sobie, że ta nowina rozszerza się na wszystkie kraje chrześcijańskie i ludzie zaczynają nagle pojmować, że święta władza króla, któremu byli posłuszni, jest nie tylko kłamstwem, ale i oszustwem. Ludzie zdają sobie sprawę, że nie muszą już słuchać ani króla, ani papieża. Cóż się wtedy stanie, jak myślisz? Z tej właśnie przyczyny chcemy znaleźć człowieka, który potrafiłby rozpowszechnić to objawienie, nie otwierając przy tym puszeki Pandory. Taka też była moja rola, Gabrielu, a teraz Ty poznałeś naszą Tajemnicę, brutalniej niż ja i brutalniej niż pozostali nasi bracia. No, ale musieliśmy się śpieszyć.

Widzę już przestרח w Twoich oczach, Gabrielu, czy jednak naprawdę sądzisz, że łatwo jest spojrzeć prawdzie w twarz? Gdyby tak było, historia ludzkości wyglądałaby całkiem inaczej. Taka właśnie była straszliwa siła Piotra-Opoki. Wiedział, że tak naprawdę nikt nie poda w wątpliwość treści pism.

Bądź jednak spokojny. Z biegiem czasu oswoisz się z tym skandalem. Przyzwyczaisz się do tego, że piąty rozdział Mateusza zawiera dziesięć, a nie jedenaście błogosławieństw. Ze Piotr nie trzy, ale cztery razy zaparł się Jezusa, ale szczegół ten został usunięty z tekstu, który do nas dotarł. Wina Piotra polegała nie na zaprzeczeniu, że jest jednym z uczniów Chrystusa, ale na tym, że zafalszował nauki Zbawiciela. Nauczysz się zauważać wiersze z dopiskami oraz wiersze, z których coś usunięto.

Oto wszystko, co zawiera rękopis, którego treść zdołaliśmy w końcu rozszyfrować.

Masz teraz dużo czasu, sięgnij więc do źródła i zapoznaj się z tą spuścizną. Kiedyś, za kilka miesięcy, za kilka lat, a może nawet już po Twoim zgonie, przesłanie to znowu się pojawi i ci, co przyjdą po Tobie, spróbują głosić zawartą w nim Prawdę, nie wywołując przy tym kataklizmu.

Dbaj o siebie, Gabrielu! Teraz, gdy wyruszam do Nantes i będę próbował ratować swoje sprawy, chciałbym tylko, żebyś Ty nie musiał już tego robić.

Żegnaj, Gabrielu de Pontbriand! Pokaż, że jesteś godny swoich braci, i wstępuj w ślady swojego ojca. Ja całym sercem spodziewam się, że niebawem zwyciężę, wrócę i własnoręcznie podrę ten Ust.

Nicolas Fouquet

Gabrielowi tak bardzo trzęsły się ręce, że nie był w stanie powtórnie złożyć listu. Wytrzeł rękawem łzy napływające mu do oczu, głowa opadła mu na piersi. Stał nieruchomo, a zmięta w palcach kartka papieru wydawała mu się czymś żywym. Wstał wreszcie, poczuł, że wiatr rozwiewa mu włosy, i skierował się w stronę burty.

- Niech pan uważa - powiedział stojący boso i zajęty zwijaniem sznurów marynarz. - Z tej strony jest ślisko.

Gabriel minął marynarza, nawet go nie zauważając, i szedł dalej w stronę dziobu. Piana na grzywaczach zamazywała mu horyzont i niebo zlewało się tam z wodą. Strzępki rozdieranego papieru, które Gabriel rzucał na wiatr, wirowały przez chwilę w powietrzu, opadały potem w zieloną wodę i znikwały.

Stał tak jeszcze przez pewien czas i wpatrywał się w wodną pustynię, aż wreszcie wrócił do kabiny.

Kuferek był na miejscu. Leżał w dużym kufrze, przywalony stertą ubrań.

Kadłub statku trzeszczał pod uderzeniami fal, a świst wiatru w żaglach przypominał rozdzierającą uszy muzykę. Gabriel nie ruszał się i zdawał się nie słyszeć ani jednego, ani drugiego, tylko leciutko poruszyły mu się wargi, gdy zaczął recytować z pamięci: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo”^{*}.

88

Zamek w Fontainebleau - wtorek, 1 listopada, godzina jedenasta przed południem

- Syn! Królowa dała nam syna!

Luiza z osłupieniem patrzyła, jak król Francji otwiera okno pokoju, gdzie rodziła Maria Teresa, a potem wychyla się i co sił w piersiach wykrzykuje swoją radość.

- Zechciej, Wasza Królewska Mość, zamknąć okno. Syn i żona Waszej Królewskiej Mości mogą się przeziębic - grzecznie zauważyła rozpromieniona Anna Austriaczka.

Ze względu na okoliczności Ludwik XIV raz jeszcze posłuchał matki. Podeszedł potem do łóżka, na którym odpoczywała wymęczona porodem infantka.

- Pani, wykonałaś wielką pracę. Urodziłaś cudowne dziecko. Nazwiemy je Ludwikiem Francuskim - powiedział król, z niezwykłą czułością wpatrując się w swoją młodą małżonkę.

Wkrótce potem wyszedł z pokoju, zostawiając „kobiece sprawy” kobietom. Gdy się oddalał, Luiza nie spuszczała go z oczu. Stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, a potem podeszła bliżej łoża i z napięciem na twarzy wpatrywała się w ozdobną kołyskę, w której ułożono Delfina.

^{*}Jan, 1.1.

Colbert w asyście najważniejszych ministrów stał w korytarzu i czekał. Pierwszy złożył królowi gratulacje. Monarcha musiał potem stawić czoło wciąż gęstniejącemu tłumowi dworzan. Szedł przez to morze ludzkie, wszyscy mu się kłaniali, a on tymczasem wspominał wydarzenia tego roku, a był to rok 1661.

No, nareszcie - pomyślał, idąc przed frontem kłaniających mu się dworzan. Teraz będę mógł wreszcie pokazać, do czego jestem zdolny.